



**Tańsi
i zaangażowani**
Bez ukraińskich
lekarzy
nie przeżyjemy

► 26



**Władysław
Kosniak-
-Kamysz**
Byłem wodzony
na pokuszenie

► 21



WYSOKIE OBCASY
**Doradczyni
Hillary Clinton:**
Czemu nasze
dzieci boją się
dyskutować

FOT. SEAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, SHUTTERSTOCK



MAGAZYN

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

250 LAT USA

Happy
Birthday,

AMERICA

★★★ 8-20

FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

Wydanie Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198



**Sztuczna
inteligenja**
Czy skończymy
jak drukarze
► 30

**Prof.
Urbańczyk:**
Polska zaczęła się
od zamachu
stanu ► 45

**Pogrom
kielecki**
w tajnych
archiwach
Watykanu ► 4

**Kto naprawdę
zdradził Grot-
-Roweckiego ► 42**

Lewica i alkohol ► 33

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl
na weekend**

Sobota – czwartek, 4-9 lipca 2026 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 12,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 154.11253, 1

Nakład 69 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

Od pogromu kieleckiego mija 80 lat. Ta zbrodnia do dziś kładzie się głębokim cieniem na polskiej pamięci historycznej. Dwadzieścia lat temu na łamach „Gazety Wyborczej” Adam Michnik opublikował słynny esej „Pogrom kielecki. Dwa rachunki sumienia”. Pochylił się w nim nad dwiema radykalnie odmiennymi postawami, które w obliczu tej tragedii przyjęli najwyżsi przedstawiciele polskiego Kościoła katolickiego. Zestawił ze sobą dwa oblicza: biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka i biskupa częstochowskiego Teodora Kubiny.

Biskup Kaczmarek w poufnym raporcie dla ambasadora USA z września 1946 r. pisał: „Wskutek komunistycznej działalności Żydów wytworzyła się w stosunku do nich nienawiść szerokich mas w Polsce”. Usprawiedliwiał w ten sposób pogrom, traktując go jako sprowokowany wybuch rzekomo uzasadnionych politycznych załóg. Z kolei biskup Kubina jako jedyny hierarcha w kraju wydał odezwę natychmiast potępiającą zbrodnię, odrzucając kłamstwo o mordzie rytualnym. „Nic, absolutnie nic – pisał Kubina – nie usprawiedliwia zasługującej na gniew Boga i ludzi zbrodni kieleckiej”. Jak pisał Michnik: „W obliczu grozy i hańby pogromu bp Kubina powiedział »tak« prawdzie i miłości bliźniego; powiedział »nie« zbrodni, kłamstwu i nienawiści”.

Pisząc swój tekst, Michnik musiał się opierać na domysłach, jeśli chodzi o reakcję i zakulisowe działania samej stolicy Kościoła. Nie miał dostępu do tajnych archiwów watykańskich z okresu pontyfikatu Piusa XII, które otwarto dla badaczy dopiero w marcu 2020 r. Dokumenty, do których dotarłam podczas moich badań w Rzymie, pozwalają dziś dopełnić ten obraz o brakujące ogniwo: centralę. Pokazują, jak o pogromie w Kielcach pisał do papieża prymas Polski August Hlond i jak na te doniesienia zareagował Watykan. Aby jednak zrozumieć to, co wydarzyło się latem 1946 r., nie można zaczynać tej historii po wojnie.

Przyzwolenie na antysemityzm niefizyczny

Sposób, w jaki polska hierarchia kościelna – a w szczególności prymas Hlond – zareagowała na ocalałych z Zagłady, nie zrodził

Kłamstwa KARDYNAŁA HLONDA

się w próżni. Wymaga zrozumienia mechanizmu, który w moich badaniach określam mianem „ciągłości transgenocydalnej” (transgenocide continuity). Zagłada trzech milionów polskich Żydów, choć bezprecedensowa w swej skali, nie zmieniła głęboko zakorzenionego w Kościele antysemickiego paradygmatu, a jedynie wymusiła jego retoryczne dostosowanie do nowych, powojennych realiów.

Jak wyglądał ten paradygmat u progu drugiej wojny światowej? W lutym 1936 r. kardynał Hlond wydał głośny list pasterski „O katolickie zasady moralne”. Z jednej strony prymas potępiał w nim wprost fizyczną przemoc wobec Żydów, ale z drugiej – w sposób autorytatywny legitymizował ich całkowite wykluczenie ze społeczeństwa i utrwał najcięższe antysemickie stereotypy. W liście tym czytamy:

„Faktem jest, że Żydzi walczą z Kościołem katolickim, tkwią w wolnomyślicielstwie i stanowią awangardę bezbożnictwa, ruchu bol-

• Prymas Polski kard. August Hlond, 15 maja 1946 roku, niespełna dwa miesiące przed pogromem kieleckim, podczas uroczystości religijnych w Kaliszu

FOT. PAP

Prymas Polski pisał do papieża, że w czasie pogromu kieleckiego Żydzi otworzyli do funkcjonariuszy zmasowany ogień. Użyli nawet granatów.

Monika Stolarczyk-Bilardie*

szewickiego oraz akcji wywrotowej. Faktem jest, że zgubny jest wpływ żydowski na obyczaj, a ich wydawnictwa drukują literaturę pornograficzną. Prawdą jest również, że Żydzi dopuszczają się oszustw, uprawiają lichwę i handel żywym towarem”.

Dalej prymas konkludował, w zdaniu, które stało się swoistą kwintesencją dopuszczalnej postawy katolika: „Nie wolno nienawidzić nikogo. Ani Żydów”.

Ten dwoisty dyskurs – odrzucający brutalne pobicia, ale dostarczający wiernym pełnego, uświęconego autorytetem Kościoła katalogu żydowskich „grzechów” narodu – dawał w istocie przyzwolenie na to, co można nazwać antysemityzmem niefizycznym.

Jednak to, co dla Kościoła było dozwoloną obroną moralności, dla państwa polskiego stało się coraz większym problemem. Archiwa watykańskie ujawniają w tym względzie dokument niezwykle: 31 marca 1938 r. rząd polski przesłał do Watykanu poufne, dziewięciostronnicowe memorandum. Polskie władze alarmowały w nim Stolicę Apostolską, że część katolickiego kleru wykracza poza swoje religijne kompetencje. Co najbardziej wstrząsające, rząd w Warszawie oskarżał przedstawicieli Kościoła oraz katolickie organizacje (podległe bezpośrednio episkopatowi) o jawne podżeganie do skrajnej nienawiści, używając w oficjalnym dyplomatycznym piśmie terminu „zoologiczny antysemityzm”. Dla rządu było jasne, że część kleru promuje antysemityzm rasowy, biologiczny – zbliżony do tego, który rósł w siłę w nazistowskich Niemczech, a który mógł zagrozić bezpieczeństwu państwa.

Gdy Watykan zażądał wyjaśnień, kardynał Hlond odpowiedział pismem z 26 czerwca 1938 r. Odrzucił w nim oskarżenia o to, by kler wspierał ów „zoologiczny antysemityzm”, ale zarazem powtórzył z całą mocą swoje przekonania. Dowodził Rzymowi, że naród polski jest niedostatecznie chroniony przed „zgubnymi wpływami moralnymi” Żydów. W ocenie prymasa misją Kościoła było nie fizyczne atakowanie społeczności żydowskiej, lecz ochrona polskich katolików przed jej ideologiczną i kulturową deprawacją.

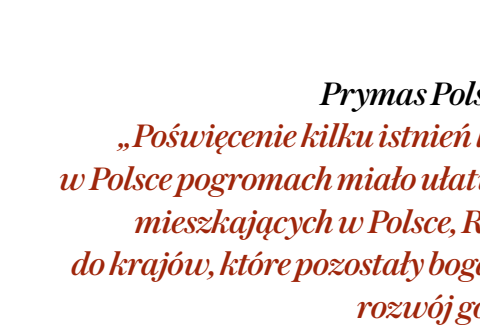
Tępcie Żydów, ale nie zabijajcie

Dokumenty z Watykanu odsłaniają w tym miejscu fakt kluczowy: rzymska centrala podzielała ówczesny sposób myślenia polskich hierarchów. Odpowiedź Stolicy Apostolskiej dla polskiej ambasady, przygotowana w październiku 1938 r. w formie nieoficjalnego pro memoria, była osobiście redagowana przez ówczesnego sekretarza stanu Eugenia Pacellego – przyszłego papieża Piusa XII. Watykan pisał polskiemu rządowi wprost:

„Ponieważ powszechnie wiadomo, że wielu Żydów wywiera w Polsce zgubny wpływ moralny, w szczególności poprzez prasę pornograficzną wywrotową wobec chrześcijańskich zasad (należy zauważyć, że duża liczba przywódców komunizmu to Żydzi), nie będzie niespodzianką, jeśli duchowieństwo – co jest jego ścisłym obowiązkiem – chroniło wiernych przed religijnymi, moralnymi i kulturowymi naukami Żydów. W żadnym wypadku nie miało to jednak miejsca poprzez niespełnianie wymogów, jakie chrześcijańskie miłosierdzie nakłada nawet na Izraelitów”.

Fraza użyta przez Pacellego o miłosierdziu, które musi obejmować „nawet Izraelitów”, brzmi jak wierne, niemal dosłowne echo słów Hlonda: „Ani Żydów”. Ten uchodzący w teorii za „niefizyczny” antysemityzm znajdował jednak twarde przełożenie na praktykę w postaci nagonki prowadzonej przez prasę katolicką (taką jak „Mały Dziennik” czy „Przegląd Katolicki”), nad którą episkopat sprawował bezpośredni nadzór.

Doskonałym tego przykładem, opisanym w nowo udostępnionych dokumentach watykańskich, jest sprawa uboju rytualnego. W drugiej połowie lat 30. prasa katolicka prowadziła agresywną kampanię na rzecz jego całkowitego zakazu. Tłumaczono to rzekomą obroną praw zwierząt oraz interesem ekonomicznym chrze-



Prymas Polski do papieża:

„Poświęcenie kilku istnień ludzkich w zorganizowanych w Polsce pogromach miało ułatwić przesiedlenie mas żydowskich mieszkających w Polsce, Rosji, Rumunii i na Węgrzech do krajów, które pozostały bogate lub dawały nadzieję na szybki rozwój gospodarczy”

ścijan, a „Mały Dziennik” wprost argumentował, że polska konstytucja została napisana „specjalnie dla większości”, domagając się ignorowania praw mniejszości żydowskiej.

Kiedy wiosną 1938 r. sprawa oparła się o Watykan, wewnętrzna korespondencja obnażyła przerażającą zbieżność poglądów Rzymu i Warszawy. Eugenio Pacelli na marginesie listu w tej sprawie wprost instruował nuncjusza Filippa Cortesiego, by przekazał polskiemu rządowi następujący komunikat: „macie całkowitą rację, chcąc bronić się przed żywiołem semickim: ale ta droga (ubój) nie przyniesie wam żadnego pożytku; zamiast tego powinniście ograniczyć prasę żydowską i żydowskie banki”. Z kolei nuncjusz Cortesi, raportując do Rzymu w maju 1938 r. o dążeniach do zredukowania żydowskiego monopolu, wprost nazywał Żydów „świeckim wrogiem Kościoła i chrześcijańskiego porządku społecznego”.

Różnice zdań między Watykanem a polskim episkopatem przed wojną dotyczyły zatem wyłącznie taktyki, a nie samych zasad – na najwyższych szczeblach w pełni zgadzano się na systemowe, polityczne i gospodarcze wykluczenie Żydów, byle zachować pozory braku otwartej przemocy. To właśnie ten dyskurs ukształtował ramy pojęciowe, w których polscy katolicy mierzyli się później z koszmarem Holocaustu. I to przez jego pryzmat kilka lat później prymas August Hlond spojrzął na rozlew krwi w powojennych Kielcach.

Biskup Kubina odrzuca kłamstwo...

Trzy dni po rzezi w Kielcach, gdy krew ofiar jeszcze nie obeschła, a miasto trwało w szoku, padły słowa, które mogły zmienić bieg historii polskiego Kościoła. 7 lipca 1946 r. biskup częstochowski Teodor Kubina wspólnie z lokalnymi władzami wydał odezwę do społeczeństwa. Jak po latach pisał Adam Michnik, był to głos bezkompromisowego świadectwa chrześcijanina, pobrzmiwający radykalizmem Kazania na górze. Biskup Kubina nie kluczył, nie szukał politycznych usprawiedliwień dla rozjuszonego tłumy, nie odwoływał się do kategorii „walki z komunizmem”. Przemówił językiem czystej Ewangelii:

„W Kielcach dokonano zbrodni masowego mordu na osobach obywateli polskich narodowości żydowskiej. Zamordowano ponad czterdziestu Żydów i dwóch Polaków, którzy przeżyli piekło okupacji niemieckiej, patrzyli na śmierć i męczarnie swoich najbliższych i sami uniknęli śmierci z rąk okupanta nie bez pomocy polskiego społeczeństwa chrześcijańskiego. [...] Nic, absolutnie nic nie usprawiedliwia zasługującej na gniew Boga i ludzi zbrodni kieleckiej, której tła i przyczyny poszukiwać należy w zbrodniczym fanatyzmie i nieusprawiedliwionej ciemnocie. [...] Wszelkie twierdzenia o istnieniu mordów rytualnych są kłamstwem. Nikt ze społeczności chrześcijańskiej ani w Kielcach, ani gdzie indziej w Polsce nie został skrzywdzony przez Żydów dla celów religijnych i rytualnych”.

W odezwie tej uderza chrześcijańska przejrzystość i całkowity brak relatywizmu. Biskup

Kubina jako jedyny zhierarchizował tę tragedię poprawnie: uznał zamordowanych za obywateli polskich, przypomniał o ich świętym, potwornym doświadczeniu Zagłady i – co fundamentalne – wprost odrzucił jako kłamstwo mit o mordzie rytualnym, który posłużył za iskrę dla morderców z ulicy Planty. W ten sposób w obliczu hańby częstochowski hierarcha powiedział „tak” miłości bliźniego, a „nie” nienawiści.

...kardynał Hlond obwinia ofiary

Ten proroczy głos pozostał jednak odosobniony. Zaledwie kilka dni później światowa opinia publiczna usłyszała zupełnie inny ton – płynący z samego szczytu polskiej hierarchii kościelnej. 11 lipca 1946 r. prymas August Hlond, ustępując pod naciskiem zagranicznego oburzenia i bezpośrednimi prośbami ambasadora USA, zorganizował w Warszawie konferencję dla zagranicznych dziennikarzy. Zamiast powtórzyć ewangeliczny sprzeciw biskupa Kubiny, głowa polskiego Kościoła przeniosła ciężar dyskusji z obszaru moralności na pole brutalnej bieżącej polityki. W oświadczeniu, które odczytał zagranicznej prasie, kardynał Hlond stwierdził:

„W czasie eksterminacyjnej okupacji niemieckiej Polacy, mimo że sami byli tępieni, wspierali, ukrywali i ratowali Żydów z narażeniem własnego życia. Niejeden Żyd w Polsce zawdzięcza swe życie Polakom i polskim księżom. Że ten dobry stosunek się psuje, za to w wielkiej mierze ponoszą odpowiedzialność Żydzi stojący w Polsce na przodujących stanowiskach w życiu państwowym, a dążący do narzucenia form ustrojowych, których ogromna większość narodu nie chce. Jest to gra szkodliwa, bo powstają stąd niebezpieczne napięcia. W fatalnych starciach orężnych na bojowym froncie politycznym giną niestety niektórzy Żydzi, ale ginie nierównie więcej Polaków”.

Mamy tu do czynienia z drastycznym mechanizmem odwrócenia pojęć. Prymas wprawdzie potępił mord, ale de facto obarczył ofiary moralną odpowiedzialnością za wybuch nienawiści, usprawiedliwiając go ich rzekomą masową współpracą z komunistycznym reżimem. Zbrodnia kielecka – prymitywny, oparty na średniowiecznych zabobonach mord na cywilach ocalałych z Zagłady – została zredukowana do niefortunnego epizodu w ramach „starć orężnych na bojowym froncie politycznym”. Jak zauważał z bolesnym zdumieniem Michnik, takie ujęcie problemu było nie tylko krzywdzące, ale i absurdalne:

„Jak można całą społeczność żydowską obwiniać o czyny komunistów o żydowskich nazwiskach z rządu komunistycznego? Jak można przyrównywać stosunki polsko-żydowskie do »starć orężnych na bojowym froncie politycznym«?”. Co więcej, w wystąpieniu Hlonda uderzało całkowite przemilczenie antysemitycznych oskarżeń o rzeźki mord rytualny – prymas nie zdemontował tego groźnego kłamstwa, oddając tym samym pole zabobonowi.

Zderzenie tych dwóch twierdzeń Kościoła – proroczej biskupa Kubiny i politycznej, oskar-

życielskiej prymasa Hlonda – doprowadziło wkrótce do wewnętrznego dyscyplinowania. Głos sumienia przegrał z racją instytucjonalną. Konferencja Episkopatu Polski ostatecznie zakneblowała usta takim hierarchom jak częstochowski ordynariusz. Nakazała biskupom powstrzymanie się od indywidualnych wystąpień, a odezwa biskupa Kubiny została zdezwuowana jako dokument, którego „treść i intencje inni ordynariusze diecezji uznali za niemożliwe do przyjęcia z zasadniczych założeń myślowych i kanonicznych Kościoła katolickiego”.

W ten sposób oficjalny, jawny dialog o odpowiedzialności moralnej za antysemityzm został w polskim Kościele brutalnie przerwany. Jednak to, co zachodni dziennikarze przeczytali w oświadczeniu Hlonda z 11 lipca, było zaledwie wyglądzoną na potrzeby opinii publicznej, dyplomatyczną fasadą. Prawdziwa walka o interpretację pogromu kieleckiego miała się dopiero rozegrać w ścisłej tajemnicy, w zaciszach watykańskich gabinetów.

O wszystkim tu decydują Żydzi!

Odpowiedź na pytanie, jak zbrodnia ta została przedstawiona papieżowi Piusowi XII, przynoszą nowo udostępnione archiwa. 10 sierpnia 1946 r., zaledwie miesiąc po kieleckiej zbrodni, kardynał Hlond wysłał do Domenica Tardiniego, papieskiego podsekretarza stanu, list, do którego dołączył dziewięciostronnicowy tajny raport w języku włoskim zatytułowany „Żydzi w Polsce i wydarzenia w Kielcach”. Uprowadzając pełne wyjaśnienia, już w liście przewodnim prymas usprawiedliwiał rzeź, z którą zmierzyło się ocalałe z Holocaustu żydostwo, odrzucając tezę o antysemityzmie:

„To nie jest rasizm, lecz zjawisko bardzo osobliwe, z drugiej zaś strony nie da się zaprzeczyć, że apodyktyczna postawa Żydów, wojujących komunistów w Polsce, wywołuje tu poważny niepokój wewnętrzny. Niestety, dochodzi do tego napływ Żydów rosyjskich, których polski rząd przyjmuje w liczbie półtora miliona. Stanowią oni pierwsze prawdziwe i bardzo aktywne ośrodki komunizmu w Polsce, z poważnym zagrożeniem dla ducha i wewnętrznego spokoju republiki”.

Aby zrozumieć ten dokument, trzeba podążać krok po kroku za jego wewnętrzną architekturą. Hlond rozpoczyna swój raport od zarysowania rzekomego tła demograficznego i politycznego. Pisze wprawdzie o 60 tysiącach Żydów, którzy przetrwali „przerazające masakry sił Hitlera” – zaznaczając przy tym, że „zostali prawie w całości uratowani przez Polaków, którzy robili to z narażeniem własnego życia” – ale natychmiast przeciwstawia tę grupę innej, wrogiej kategorii: Żydom powracającym ze Związku Radzieckiego. W narracji prymasa to ci uchodzący, którzy w czasie wojny „przeszli solidną edukację komunistyczną”, stanowią trzon nowej, opresyjnej władzy. Hlond pisze wprost, że we wszystkich ministerstwach (z wyjątkiem rolnictwa, gdzie „Mikolajczyk wciąż jest niemal panem”) rządzą dziś „wszechpotężne osobistości żydowskie”.

Według raportu kardynała te wpływy sięgają znacznie poza sferę polityki i uderzają bezpośrednio w religię. W tym miejscu dokument zamienia się w akt oskarżenia o upokarzanie Kościoła katolickiego przez żydowską biurokrację. Prymas skarży się Rzymowi:

„Całkowicie w rękach Żydów znajduje się rządowa prasa partyjna (...). Doszliśmy do punktu, w którym nawet w sprawach kościelnych decyzje są w rękach Żydów. Jeśli ktoś chce założyć pismo katolickie lub zwykły oficjalny organ Kurii Biskupiej, to Żyd jest arbitrem. Żydzi surowo cenzurują czasopisma katolickie, eliminując ich najbardziej żywe i istotne myśli. Żydzi decydują o tym, czy szkoła katolicka może zostać otwarta lub ponownie otwarta, czy może otrzymać prawa do zamieszczania reklam. Komisja Szkolna Episkopatu jest zmuszona układać się z Żydówką w sprawie programu nauczania religii w szkołach. Żydzi dekretują, czy zakonnice katolickie mogą otworzyć sierociniec, czy gminy mo-

Wiadomości z kraju i ze świata czytaj teraz na **wyborcza.pl**

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU i bądź na bieżąco przez cały weekend*

V4RXP91

1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod

2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”

3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp

4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 4-5.07.2026 r.

1 RP

eprasa.pl 22507901ed

gą tam umieszczać osierocone dzieci, czy księża mogą nieść religijną pociechę więźniom, czy mogą oni otrzymywać dotacje rządowe na odbudowę zniszczonych kościołów itp. To Żydzi decydują o tym, czy ksiądz-uchodźca może powrócić do Polski. Żyd przyznaje lub odmawia paszportów zakonnikom wyjeżdżającym za granicę na Kapitułę Generalną”.

Maskują się pod polskimi nazwiskami

Adam Michnik, analizując przed laty oskarżycielski memoriał kieleckiego biskupa Czesława Kaczmarka, pisał o jego fatalnym zakorzenieniu w absurdalnym i antysemickim stereotypie „żydokomuny”. Dokumenty watykańskie udowadniają, że ów stereotyp nie był jedynie lokalnym wybrykiem ordynariusza z Kielc, lecz konstytutywnym elementem myślenia samej głowy polskiego Kościoła. Dla prymasa złożona rzeczywistość powojennego zniewolenia redukowana się do wyznania i pochodzenia urzędnika. Polska rządził, jak ujął to Hlond, „z bolszewizowany Żyd, który często maskuje się pod pięknymi polskimi nazwiskami: Wolski, Modzelewski, Różański, Zabłudowski, Sawicki, Kamińska i tym podobnymi”. To oni mieli kontrolować aparat terroru (UB), w którym – jak czytamy w raporcie – „dobrzy obywatelowie są potajemnie mordowani”.

Co więcej, Hlond przedstawia ten stan rzeczy jako wynik apokaliptycznej inwazji. Twierdzi, że do Polski napływa fala „1,4 miliona osób” z „mentalnością i perwersjami bolszewizmu”. W kraju, w którym na skutek Zagłady wymordowano niemal całą, trzymilionową społeczność żydowską, posługiwanie się tezą o inwazji półtora miliona „rosyjskich Żydów” było ewidentnym kłamstwem – faktyczna liczba repatriantów oscylowała wokół kilkudziesięciu tysięcy. Miało to jednak jasny cel retoryczny: stworzyć w Watykanie obraz polskiego narodu i Kościoła jako bezbronnych ofiar potężnej, milionowej, ateistycznej siły, wśród której znajdują się „liczne zdegenerowane, zbrodnicze, ponure typy, zdolne do każdej zbrodni”.

Gdy prymas przechodził w raporcie do opisu samego pogromu z 4 lipca, morderczy tłum na ulicy Planty nagle zniknął. Zastąpiła go bezosobowa „ludność”, a zamordowani rozbitkowie z Holocaustu stali się anonimowymi „rosyjskimi Żydami”. Zamiast duszpasterskiego wstrząsu Watykan przeczytał chłodną, niemal policyjną relację oskarżającą ofiary i władze:

„Również w biskupim mieście Kielcach (...) w tajemniczych okolicznościach zniknęło troje dzieci. Próby ich odnalezienia nie przyniosły rezultatu, pomimo apeli do wiernych wygłaszanych z ambony w katedrze. Ludność stawiała się tym bardziej rozdrażniona, że władze cywilne bagatelizowały sprawę. Ciche podejrzenie padło na dużą rezydencję przy ulicy Planty, która została przeznaczona przez rząd na użytek rosyjskich Żydów”.

Powtórna śmierć ofiar z ulicy Planty

Jak prymas opisywał w tajnym raporcie sam przebieg pogromu? Nie znajdziemy w jego sprawozdaniu ani krztu chrześcijańskiej empatii dla ofiar, ani wstrząsu wobec dziczącego tłumy. Rzekomo porwany mały chłopiec (Henryk Błaszczyk) jest przez Hlonda opisany jako „błąd, wyczerpany, ze śladami ukuć na żyłach rąk”. W narracji prymasa to nie ocaleni z Holocaustu są bezbronnymi ofiarami rzezi, lecz... agresorami. Hlond pisze, że Żydzi odmówili milicji otwarcia bramy, obrzucili funkcjonariuszy obelgami, a po sforsowaniu wrót odpowiedzieli zmasowanym ogniem z pistoletów. W tej relacji jeden z milicjantów ginie na miejscu. Żydzi mają być uzbrojeni po zęby, a nawet używać granatów. Tłum, który chwilę później wtargnął do budynku i dokonał masakry, prymas określa mianem „robotników i plebsu”, do których dołączyli stacjonujący żołnierze zachęceni przez rosyjskiego dowódcę.

Dla Watykanu lektura tego raportu musiała być jednoznaczna. Zbrodnia kielecka została przez prymasa sprowadzona do formy fatalnego incydentu o charakterze politycznym,



• Kielce, 7 lipca 1946 roku, pogrzeb ofiar pogromu. Liczący około 10 tysięcy osób kondukt wyruszył sprzed szpitala miejskiego, szedł ulicami Kościuszki, Słowackiego i Marmurów, docierając na kirkut w dzielnicy Pakosz FOT. PAP/JERZY BARANOWSKI

wywołanego arogancją i zbrojnym oporem samych poszkodowanych, ukrywających rzekome porwania.

Hlond na tym nie poprzestaje. Kontynuując opowieść o pokłosiu pogromu, uderza w sprawiedliwość wymierzaną przez komunistyczne władze. Utrzymuje, że szybkie pokazowe procesy miały na celu ukrycie zaangażowania milicji. Sposób, w jaki opisuje te rozprawy, ponownie przesiąknięty jest etnicznym resentymentem:

„Trzej sędziowie, wszyscy trzej to Żydzi. Trzej prokuratorzy, z których dwóch to Żydzi. [...] Przewodniczący sądu od samego początku wykluczył jakąkolwiek wzmiankę o przyczynach i psychologicznych momentach wydarzeń. Sprawcom nie pozwolono na wezwanie świadków obrony [...]. Dziewięciu skazano na śmierć, szybko wykonano wyrok przez rozstrzelanie”.

W ten sposób ofiary pogromu, zgładzone na ulicach Kielc, w watykańskim raporcie pry-

masa zostają uśmiercone po raz drugi – tym razem moralnie. Hlond odziera je z ich cierpienia, zrzucając winę na komunistyczną, żydowską prowokację, z góry zaplanowane mordy i tendencyjne, żydowskie sądy. Polskie społeczeństwo i Kościół stają się w tym dokumencie jedynymi prawdziwymi ofiarami tego „koszmaru bolszewizowanego Żyda”.

Pogrom to robota ubecji

Następnie prymas przechodzi do opisu pogrzebu zamordowanych. Adam Michnik w swoim esej zacytował dramatyczne przemówienie rabina Dawida Kahanego, który nad trumnami ofiar pytał kapłanów z rozpaczą: „Czy możecie z czystym sumieniem [...] mówić: »Nasze ręce nie przelały tej niewinnej krwi?« [...] [czy] »Nie zabijaj« nie dotyczyło Żydów?”. Jednak w tajnym raporcie Hlonda dla Stolicy Apostolskiej to rozdzierające wołanie o litość zostaje sprowadzone do rangi antykatolickiego, wrogiego incydentu. Prymas informuje Watykan, że warszawski rabin Kahane – ubrany w wojskowy mundur – wygłosił na pogrzebie przemówienie, w którym rzekomo obraził papieża i katolickie duchowieństwo. Rzymska centrala dowiaduje się, że prasa skupiła się wyłącznie na kwestii rasizmu i zażądała, by episkopat wydał bezwarunkowe potępienie, co biskupi uznali za sprawę lokalną, załatwioną już przez kielecką kurię.

W raporcie Hlond relacjonuje także szczegółowo swoje własne działania podjęte w ciągu tragedii. Zanim spotkał się z zagraniczną prasą, 9 lipca udał się do Kielc, aby osobiście zbadać sytuację na miejscu, a następnie pojechał do Krakowa, by skonsultować się z kardynałem Adamem Stefanem Sapiehą. Dopiero po tych konsultacjach spotkał się ze wszystkimi osiemnastoma zagranicznymi dziennikarzami przebywającymi w Polsce. To właśnie im wręczył swoje słynne pisemne oświadczenie, w którym winił Żydów zajmujących kierownicze stanowiska w państwie za „psucie się dobrych stosunków”. W liście do Watykanu prymas nie występuje jednak jako moralny autoritet, lecz kreuje się na ofiarę globalnego, antykatolickiego spisku. Skarży się, że poprosił dziennikarzy o pełną, niezmienną publikację tekstu w prasie amerykańskiej, ale ci nie dotrzymali słowa.

„I oto następnego dnia amerykańskie gazety zależne od Żydów zamieściły moje słowa w większości okaleczone, zmienione, arbitralnie dostosowane i opatrzone komentarzami, które całkowicie fałszywie przedstawiały moje myśli” – pisał w raporcie.

Kardynał dodaje, że prasa komunistyczna zniekształciła jego słowa, czasopismom katolickim w ogóle zakazano ich publikacji, a rząd polski „obraża się na punkt 4.” oświadczenia, dążąc do wykreowania jego uwag na „wypowiedzenie wojny reżimowi”. W tej zmistyfikowanej opowieści to Hlond i naród polski – który „nie przestaje przysyłać mi adresów zdyscyplinowanej solidarności i religijnego poparcia” – stają się prawdziwymi męczennikami. Po ponad miesiącu od zbrodni prymas stawia ostateczną, retrospektywną diagnozę: pogrom został sprowokowany przez ubecję ze „zdradzieckim kunsztem” jako zemsta na Kielcach za poparcie opozycji w niedawnym referendum.

Wyrok na biskupa Kubinę

To właśnie w końcowej części tego raportu dokonuje się również zakulisowe zniszczenie proroczego głosu biskupa Teodora Kubiny, na którym opierał swoje moralne nadzieje Adam Michnik. Ordynariusz częstochowski jako jedyny hierarcha w kraju wydał 7 lipca bezkompromisową odezwę, potępiając zbrodnię i kategorycznie odrzucając kłamstwo o mordzie rytualnym.

Jak prymas Hlond wytłumaczył to ewangeliczne uniesienie przed papieżem i Sekretariatem Stanu? Aby złagodzić wrażenie podziału w polskim episkopacie, zdezwuował autorytet Kubiny w całości. Sprowadził jego apel do rangi żenującej pomyłki i manipulacji. Informował Rzym, że biskup Kubina złożył podpis pod tekstem, ponieważ „został wprowadzony w błąd przez władze Częstochowy, które wmówiły mu, że ma tam wybuchnąć powstanie przeciwko Żydom”. Hlond tłumaczył, że lokalny prefekt opublikował tekst bez naniesionych przez biskupa poprawek, przez co ostateczna wersja rzekomo fałszowała rzeczywistość. Wyrok, jaki Hlond wydał na Kubinę w oczach rzymskiej kurii, był bezlitosny:

„W narodzie ta proklamacja wywarła przynębiające wrażenie, ponieważ przedsta-



• Papież Pius XII po wojnie był oskarżany m.in. o brak jednoznacznego potępienia eksterminacji Żydów przez Trzecią Rzeszę. Dziś wiadomo, że wiedział bardzo dużo o zbrodniach nazistów FOT. PAP/PICTURE-ALLIANCE/DPA

Zbrodnia przy ulicy Planty

• 4 lipca 1946 r. po Kielcach rozeszła się plotka, że Żydzi w piwnicy domu przy ul. Planty 7/9 mordują polskie dzieci, aby utoczyć chrześcijańską krew na macę. Źródłem informacji był Walenty Błaszyk, który zgłosił na milicji zaginięcie swego ośmioletniego syna Henia. Kiedy chłopiec się odnalazł, zeznał, że został zamknięty w piwnicy przez Żydów i wskazał dom przy Planty. Mieścili się w nim Komitet Żydowski i inne żydowskie instytucje, czasowo mieszkało tam około 100 Żydów. Milicjanci na miejscu nie znaleźli śladów mordu, budynek nie był nawet podpiwniczony. Bo Henia nigdy tam nie było, gdyż pojechał do rodzinnej wsi niedaleko Korńskich, za którą tęsknił.

• Interwencja milicji i stugębna plotka o mordach rytualnych uruchomiły mechanizm zbrodni. Pod budynkiem pojawiły się tłum, oddziały wojska i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Żołnierze wtargnęli do budynku i zabili kilka osób. Innych wyprowadzili na zewnątrz, gdzie zaatakował ich tłum. W pogromie kieleckim zginęło 37 Żydów i trzech Polaków wziętych za Żydów. O zbrodnię obwiniono 12 osób, z których dziewięć zostało skazanych na śmierć i niezwłocznie rozstrzelanych.

wiała sprawę w fałszywym świetle, niezależnie od prawdziwej rzeczywistości. Było wiele protestów przeciwko podpisowi J.E. Arcybiskupa Kubiny pod tym ogłoszeniem, które zostało równieź źle przyjęte przez Kurię Biskupią w Kielcach. Naturalnie, prasa komunistyczna i żydowska świętowała J.E. Arcybiskupa Kubinę jako jedynego biskupa w Polsce, który nie podąży mrocznymi śladami obскурantyzmu”.

W ten oto sposób słowami najwyższego przedstawiciela polskiego Kościoła moralny ciężar odezw y biskupa częstochowskiego został ostatecznie zneutralizowany. Dla Watykanu, pozbawionego innych niezależnych źródeł, przekaz był jednoznaczny: wezwanie do miłości bliźniego i katerygiczne odrzucenie kłamstwa o mordzie rytualnym okłaskiwali wyłącznie wrogowie Kościoła, podczas gdy na „prawdziwym” polskim narodzie słowa te wywarły przysgnębiające wrażenie. Triumf instytucji i politycznej taktyki nad głosem sumienia dokonał się całkowicie. Kubina przestał być traktowany poważnie, a kielecka zbrodnia zyskała przed papieżem ramy wrogiej, żydowsko-komunistycznej manipulacji zwalniającej Kościół z obowiązku bicia się w piersi.

Sól sypana na świeże rany

Do Watykanu tymczasem płynęła szeroka fala listów i depesz zza oceanu. Środowiska żydowskie w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej były zszokowane nie tylko rzezią na ulicy Planty, ale przede wszystkim oświadczeniem, które polski prymas wydał 11 lipca dla zagranicznych dziennikarzy. Próbą zrzućenia odpowiedzialności za pogrom na rzekomą polityczną działalność samych Żydów wywołała powszechne oburzenie, a oczy ocalałych i obrońców praw człowieka zwrócili się ku papieżowi Piusowi XII.

Jako jeden z pierwszych zareagował Joseph Tenenbaum, prezes Amerykańskiej i Światowej Federacji Żydów Polskich. W swoim telegramie do Watykanu obnażył wprost absurdalność politycznej logiki prymasa. Szacując, że w powojennej Polsce zamordowano już ponad 1100 Żydów w ramach swoistego „polowania”, Tenenbaum pytał papieża retorycznie: „To tak, jakby usprawiedliwiać antykatolickie ekscesy tym, że większość polskiego rządu, łącznie z wicepremierem Mikołajczykiem, jest pochodzenia katolickiego”. Prezes Federacji bla-

gał w depeszy Piusa XII, by „w imię ludzkości i w imię naszego jedynego Boga” interweniował u polskiego kleru i pomógł wykorzenić „antysemickie barbarzyństwo w Polsce”. Inni, jak małżeństwo Godlichów z Filadelfii, pisali wprost, że słowa Hlonda obnażają „dorozumianą sympatię [...] dla wypaczonego myślenia i złośliwej emocjonalności leżących u podstaw dzisiejszej antysemitckiej przemocy w Polsce”.

Jednak najbardziej wstrząsającym, rozdzielającym dokumentem, który dotarł w tamtych dniach do Stolicy Apostolskiej, był list Seymoura Siegela, młodego studenta nowojorskiego seminarium rabinicznego. Siegel nie posługiwał się językiem dyplomacji. Jako jeden z nielicznych wprost połączył świeżą krew przelaną w Kielcach z dymami krematoriów, które dopiero co opadły nad Europą. W liście do papieża pisał:

„Nie ma potrzeby opowiadać Waszej Świątobliwości o nieludzkiej rzezi sześciu milionów Żydów, która kładzie się cieniem na historii ludzkości w ostatniej dekadzie. Wielu z tych bestialskich morderców narodu żydowskiego było tymi samymi ludźmi, którzy ofiarowują swoje modlitwy do Boga Miłości w kościołach katolickich na całym świecie. Jakby dla posypania ran solą, haniebne zachowanie waszych ludzi w Polsce w obecnym czasie przechodzi niemal ludzkie pojęcie”.

Następnie, odnosząc się bezpośrednio do słów prymasa Polski usprawiedliwiających agresję, młody student pytał papieża z bezbrzeżną rozpaczą:

„Czy to nie dość, że krew 95 procent narodu żydowskiego w Polsce zrasza teraz ziemię tego przekłętogo kraju, że wysoki urzędnik Kościoła »miłości« wygłasza tak zjadliwe, antysemitckie, prowokujące i podżegające do buntu oświadczenia, które mogą tylko posłużyć do dalszego podpalania namiętności nieludzkich, bestialskich i okrutnych polskich chuliganów, z których większość to katolicy?”.

Zignorujmy te śmieszne oskarżenia

Jak na ten krzyk bólu – na to rozpaczliwe wołanie o ewangeliczną sprawiedliwość po „czwartej fazie Zagłady” – zareagował Watykan? Dokumenty z rzymskich archiwów odsłaniają tu mechanizm całkowitego paraliżu empatii.

List Siegela został odesłany przez Stolicę Apostolską do delegata apostolskiego w Waszyngtonie Amlęta Cicognaniego z prośbą o zbadanie sprawy. Ten przekazał go do kardynała Samuela Stritcha, arcybiskupa Chicago, skąd pochodził Siegel. Wnioski, które amerykański kardynał przedstawił Watykanowi, stanowią mroczne świadectwo niezrozumienia i arogancji, na które potrafiła się zdobyć instytucja wobec ofiar Holokaustu. Kardynał Stritch pisał w swoim memorandum:

„Mamy dowody na to, że wśród Żydów w Chicago oświadczenia Jego Eminencji kard. Hlonda zostały źle zrozumiane. (...) Obszerne wyjaśnienia oświadczeń kard. Hlonda zostały opublikowane wszędzie w Stanach Zjednoczonych i każda uczciwa osoba była z nich zadowolona. W obecnym, podnieconym, a wręcz historycznym stanie umysłu, w jakim znajdują się niektórzy Żydzi, trudno pojąć, jak można ich przekonać o obiektywnych rzeczach i prawdach”.

Stritch dowodził, że zamiast być wdzięcznym papieżowi i hierarchii za pomoc okazywaną rzekomo w czasie wojny, „upierają się przy czynieniu z tych oświadczeń i wydarzeń podstawy do oskarżeń i oszczerstw”. Skonkludował swój wywód jasnym zaleceniem dla Rzymu: należy „zignorować całkowicie list pana Siegela i nie zwracać uwagi na jego śmieszne oskarżenia”.

W tych słowach „żydowski ból” po wymordowaniu narodu został po prostu zredukowany do „histerii” i „niewdzięczności”. Zdumiewające jest jednak to, co arcybiskup Chicago dołączył do swojego memorandum. Zamiast pochylić się nad teologicznym i moralnym ciężarem pytań Siegela, hierarchia kościelna zebrała na jego temat obszerne, niemal policyjne

dossier. Przekazano do Watykanu dane o dokładnym adresie młodego rabina, nazwiska jego rodziców i rodzeństwa, historię jego edukacji, oceny akademickie, raporty kredytowe, a nawet... „cechy fizyczne, takie jak kolor oczu, kolor włosów i odcień skóry”. Krzyk w imieniu ofiar potraktowano jak incydent, a człowieka proszącego o sprawiedliwość zbadano pod kątem fizjonomii. Sprawa została ostatecznie pogrzebana w watykańskich aktach, a Siegłowi nie odpowiedziano.

Druzgocąca diagnoza ambasadora

Głosy oburzenia docierające do Watykanu nie płynęły wyłącznie ze strony „rozemocjonowanych” żydowskich środowisk. Rzymska centrala otrzymała również całkowicie chłodną, zewnętrzną analizę dyplomatyczną, obnażającą rzekomą niewinność polskiego Kościoła. 7 września 1946 r. brytyjski przedstawiciel

Prymas poinformował Watykan, że warszawski rabin Kahane – ubrany w wojskowy mundur – wygłosił na pogrzebie ofiar pogromu przemówienie, w którym rzekomo obraził papieża i katolickie duchowieństwo

przy Stolicy Apostolskiej, sir D'Arcy Osborne przekazał Watykanowi poufną depeszę od ambasadora Jej Królewskiej Mości w Polsce. Brytyjski dyplomata opisywał w niej swoje próby naklonienia polskich biskupów (obradujących w Częstochowie na początku września) do tego, by w zapowiadanym liście pasterskim wprost potępiili antysemityzm. Relacjonował Rzymowi:

„Zrozumiałem, że zasugerowano włączenie jakiegś aluzji do antysemityzmu. Jednakże wszelkie tego typu aluzje będą miały formę bardzo ostrożną, tak aby nie mogły zostać zinterpretowane jako odrzucenie wywiadu udzielonego tutaj zagranicznym korespondentom prasowym przez kardynała Hlonda, który – jak się twierdzi – został źle zinterpretowany i przeinaczony”.

Następnie brytyjski ambasador sformułował druzgocącą diagnozę moralnego pęknięcia polskiego Kościoła, demaskując wymówki hierarchów:

„Co więcej, powiedziano mi, że wobec głębokich nastrojów antysemitckich w Polsce, biskupi obawiają się, że otwarte potępienie antysemityzmu mogłoby osłabić wpływ Kościoła. Nie wierzę w to i uważam to za wymówkę dla uniknięcia potępienia antysemityzmu w ostrych słowach. Obawiam się, że polskie duchowieństwo jest fundamentalnie antysemitckie”.

Co więcej, brytyjski dyplomata odniósł się również do demograficznego mitu, na którym prymas Hlond zbudował cały swój obronny, tajny raport dla Watykanu (który bardzo szybko i w okrojonej formie został rozesłany papieskim nuncjuszom w celu kontrofensywy dyplomatyczno-medialnej) – mitu o rzekomym zalewie kraju przez hordy żydowsko-bolszewickie. Ambasador skwitował to krótko i bezlitośnie: „Liczba pół miliona Żydów, podana przez Podsekretarza w Watykanie jako wysłana do Polski ze Związku Radzieckiego, jest znacznie przesadzona. Uważam, że od czerwca 1945 r. wjechało ze Związku Radzieckiego nie więcej niż sześćdziesiąt tysięcy Żydów...”.

„Przekaz dnia” Watykanu

Stolica Apostolska miała zatem przed sobą pełen obraz sytuacji: zmanipulowany raport Hlonda, proroczy (lecz wyciszany przez kler) głos biskupa Kubiny, dramatyczne listy

ocalałych z Zagłady oraz racjonalny, krytyczny osąd brytyjskiej dyplomacji, która prosiła o to, by Watykan wydał polskim biskupom instrukcję wymuszającą potępienie antysemityzmu. Jak zareagowała kuria rzymska?

Odpowiedzią był chłód i powrót do głębkich, ogólnikowych sformułowań. Instrukcja przygotowana przez urzędnika watykańskiego dla delegata apostolskiego w Waszyngtonie nakazywała unikać bezpośrednich odpowiedzi do żydowskich środowisk, by nie sprowokować lawiny kolejnych apeli. Watykańscy urzędnicy zalecali odpowiadać, że Stolica Apostolska „bronila i pomagała uciskanym i nieszczęśliwym, łagodząc ich nędzę oraz fizyczne i moralne cierpienia, bez jakiegokolwiek rozróżnienia rasy, narodowości czy religii”. Zastosowano tu dokładnie tę samą taktykę, po którą Watykan sięgał w latach 1942-1943 wobec najczarniejszych doniesień o Holokauście: abstrakcyjne stwierdzenia o ewangelicznym współczuciu miały zastąpić konieczność zmierzenia się z brutalnym, konkretnym faktem mordowania Żydów na ulicach polskich miast. Z kolei polskiemu episkopatowi, do którego adresowano dyplomatyczne sugestie uspokojenia nastrojów, wkrótce z pomocą miał przyjść sam prymas Hlond.

Rosnąca presja międzynarodowa stawała się dla Rzymu coraz bardziej uciążliwa. W odpowiedzi na naciski amerykańskich i brytyjskich dyptomatów, którzy wprost domagali się od Stolicy Apostolskiej wymuszenia na polskim episkopacie potępienia antysemityzmu, Watykan zaczął wysyłać do prymasa Hlonda dyskretne sugestie, by biskupi w Polsce wydali choćby ogólnikowe oświadczenie w tej sprawie. W październiku 1946 r. kardynał Hlond poprosił papieża o zgodę na osobisty przyjazd do Rzymu, aby zdać relację z sytuacji w kraju. Pod koniec listopada stanął w Watykanie, przywołując ze sobą drugi, obszerny raport, który miał ostatecznie ukształtować pogląd Piusa XII na pogrom kielecki.

Antysemityzmu nie potępimy!

Jeśli pierwszy, sierpniowy raport Hlonda uderzał chłodem i obarczał ofiary winą za prowokowanie przemocy, to drugi dokument wznosił tę narrację na poziom globalnej, antysemitckiej teorii spiskowej. Prymas, broniąc się przed sugestią wydania deklaracji potępiającej antysemityzm, przedstawił Watykanowi zbrodnię w Kielcach nie jako spontaniczny wybuch nienawiści, lecz jako wyrachowaną, cyniczną mistyfikację. Według kardynała masakra była zaledwie pierwszym etapem szerszego planu koordynowanego rzekomo przez sowiecki rząd, polski reżim komunistyczny oraz nieokreślone „międzynarodowe organizacje żydowskie”. Cel tej operacji w optyce prymasa był czysto polityczny. Pisał do Watykanu:

„Poświęcenie kilku istnień ludzkich w zorganizowanych w Polsce pogromach miało ułatwić przesiedlenie mas żydowskich mieszkających w Polsce, Rosji, Rumunii i na Węgrzech do krajów, które pozostały bogate lub dawały nadzieję na szybki rozwój gospodarczy”.

Hlond dowodził, że morderstwa miały wykreować na Zachodzie wrażenie, iż Żydzi nie mogą już bezpiecznie żyć w Europie Wschodniej, co z kolei miało zmusić rząd do otwarcia dla nich bram Palestyny i Stanów Zjednoczonych, dokąd w rzeczywistości mieli zmierzać jako emisariusze komunistycznej ideologii. W tym makabrycznym wywodzie ofiary pogromu kieleckiego zostały ostatecznie odarte z resztek człowieczeństwa – były już nawet nie ocalałymi z Zagłady, którym odebrano życie, lecz trybikami, które „poświęcono” (jak sugerował prymas: przy współudziale samych Żydów) na ołtarzu politycznej intrygi.

Odnosząc się w raporcie do nacisków, by episkopat wydał publiczne oświadczenie, Hlond stwierdził wprost: „Dla mnie od początku było jasne, że odpowiedzialność za te wydarzenia spada w dużej mierze na władze rządowe i że kryje się za tym wszystkim ponura tajemnica”. Kategorycznie odrzucił żądania po-

tepienia antysemityzmu. Tłumaczył w Rzymie, że naciski na Kościół płyną ze strony organizacji żydowskich, których celem jest potwierdzenie oskarżeń o polski antysemityzm, co z kolei miałyby służyć „światowej sprawie izraelskiej, potajemnie sprzymierzonej z Kremlm”. Według prymasa ewentualna deklaracja polskich biskupów byłaby „niesprawiedliwa, niezgodna z prawdą, przynosząca szkodę honorowi narodu, sprzeczna z prestiżem Kościoła”.

Dwie twarze tego samego kłamstwa

To w tym miejscu z całą siłą powraca i domyka się refleksja Adama Michnika, który w 2006 r. analizował postawę biskupa Kaczmarka. Michnik z przerażeniem badał wówczas poufny raport o pogromie, który hierarcha we wrześniu 1946 r. przekazał ambasadorowi USA Arturowi Blissowi-Lane'owi. Kaczmarek pisał w nim:

„Wskutek komunistycznej działalności Żydów wytworzyła się w stosunku do nich nienawiść szerokich mas w Polsce. Rzeczywiste wypadki ginięcia dzieci w Kielcach, przypisywane Żydom, nie wywołały jej, lecz powiększyły ją w wysokim stopniu. Z tego postanowiły skorzystać pewne komunistyczne czynniki żydowskie w porozumieniu z opanowanym przez siebie Urzędem Bezpieczeństwa, aby wywołać pogrom, który by dał się potem rozgłosić jako dowód potrzeby emigracji Żydów do własnego kraju, jako dowód opanowania społeczeństwa polskiego przez antysemityzm i faszystów i wreszcie jako dowód reakcyjności Kościoła...”.

Wtedy, w 2006 r., raport Kaczmarka wydawał się wstrząsającym, lecz być może odosobnionym wykwitem zdegenerowanej, antysemickiej wyobraźni lokalnego hierarchy. Dziś jednak, dysponując drugim raportem Augusta Hlonda, widzimy wyraźnie, że biskup Kaczmarek nie był anomalią. Podobieństwo między jego pismem do ambasadora USA a tajnym raportem prymasa dla Watykanu jest porażające. Oba dokumenty całkowicie odrzucały istnienie oddolnego, społecznego antysemityzmu w Polsce. Oba opierały się na tej samej spiskowej koncepcji „żydokomuny”. Oba sprowadzały kielecką rzeź do rangi politycznej prowokacji, w której żydowskie ofiary zostały cynicznie złożone w ofierze przez swoich pobratymców dla osiągnięcia korzyści geopolitycznych (emigracji do Palestyny).

Adam Michnik pisał, że usprawiedliwienie antysemityzmu jako formy antykomunizmu było niewątpliwym złem, którego nie dostrzegł pasterz kieleckiej owczarni. Dokumenty watykańskie idą jednak krok dalej: dowodzą, że tego zła nie dostrzegł – a wręcz aktywnie je konstruował i promował w Europie i na świecie – sam prymas Polski. Różnica między Hlondem a Kaczmarkiem polegała wyłącznie na adresacie i retorycznej taktyce. Biskup kielecki celował w zachodnią dyplomację, używając języka bezpośredniego oskarżenia; kardynał Hlond pisał do Watykanu, ubie-

rając te same teorie spiskowe w szaty obrony autorytetu Kościoła przed intrygami i „ponurą tajemnicą”.

Zbieżność tych narracji – powtarzanych niemal słowo w słowo jesienią 1946 r. – wskazuje, że mamy tu do czynienia nie z przypadkiem, lecz z przemyślaną strategią episkopatu. Strategią, w której obrona instytucjonalnego interesu Kościoła i wizerunku narodu wymagała całkowitego znieczulenia na dramat cudem ocalałych Żydów, a w konsekwencji – odwrócenia ról ofiary i oprawcy.

Dla Watykanu ta zbieżność i kateryczna postawa Hlonda były na rękę. Otrzymawszy tak sformułowany raport, rzymska kuria mogła ostatecznie zrezygnować z wymuszania na Polakach rachunku sumienia i poprzestać na zakulisowej dyplomacji, która, jak miało się wkrótce okazać, nie przyniosła ofiarom żadnego zadośćuczynienia.

Taktyka zamiast moralności

Watykan po zapoznaniu się z raportami prymasa Hlonda znalazł się więc w wygodnym z instytucjonalnego punktu widzenia położeniu. Posiadał już alibi, by nie naciskać na polski episkopat w sprawie jednoznacznego potępienia antysemityzmu. Jednocześnie jednak rzymska kuria nie mogła całkowicie zignorować faktu, że milczenie Kościoła w Polsce po pogromie kieleckim wywoływało coraz większe oburzenie na Zachodzie. Brytyjscy i amerykańscy dyplomaci, a także środowiska żydowskie nieustannie domagali się od Piusa XII reakcji. W odpowiedzi na tę presję Domenico Tardini przygotował rozwiązanie, które stanowiło kwintesencję dyplomatycznego uniku i wizerunkowej kalkulacji.

Zamiast żądać od episkopatu duszpasterskiego wstrząsu czy ewangelicznego rachunku sumienia, Tardini sformułował propozycję wygodzonego, bezpiecznego kompromisu. W liście do kardynała Hlonda instruował:

„Pragnę zaznaczyć, że nie jest konieczne, aby pożądana deklaracja episkopatu Polski odnosiła się do wydarzeń w Kielcach; będzie to jedynie ponowne potwierdzenie, że Kościół katolicki potępia i gani przemoc, a tym bardziej zabijanie, przez kogokolwiek i przeciwko komukolwiek by ono nie było skierowane”.

Tardini nie ukrywał przy tym prawdziwych intencji tego zabiegu. Otwarcie przyznał, że celem deklaracji jest wcale nie obrona Żydów, lecz ochrona wizerunku Kościoła. Wyjaśniał, że „oświadczenie to byłoby odpowiedzią na oskarżenia, które pod pretekstem zająć kieleckich zostały wysunięte przeciwko episkopatowi Polski w krajach anglosaskich”.

Watykan zaproponował więc klasyczny PR-owy manewr: wydać ogólnikowe oświadczenie bez słowa „Żydzi” i bez wspomnienia o Kielcach, byle tylko wytrącić argumen-

ty z rąk zachodniej prasy. Jednak nawet to absolutne, dyplomatyczne minimum okazało się dla polskiego episkopatu niemożliwe do przyjęcia. Jak wiemy, kardynał Hlond nigdy nie wydał sugerowanego przez Watykan oświadczenia. Zwyciężyła obłąkana twierdza i przekonanie, że każdy gest potępienia antysemityzmu byłby krokiem wstecz w walce z komunizmem.

Trzeci rachunek sumienia

Adam Michnik, analizując wstrząsający raport biskupa Czesława Kaczmarka i proroczą odezwę biskupa Kubiny, starał się zrozumieć, dlaczego polski Kościół odrzucił ewangeliczną drogę. Michnik zdiagnozował ten stan jako przejaw „egoizmu bólu”. Argumentował, że naród polski i jego pasterze, wykrwawieni wojną i zniewaleni właśnie przez sowiecki reżim, zamknęli się w twierdzy własnego cierpienia. W obronie przed totalitaryzmem, utożsamiając często nową władzę z „żydokomuną”, Kościół w Polsce wpadł w „diabelską alternatywę” – uznał, że musi bronić atakowanej ojczyzny, a potępienie pogromu odebrałby jako przyłączenie się do komunistycznej, antypolskiej nagonki.

Dziś dzięki archiwom watykańskim widzimy, że diagnoza Michnika – choć przenikliwa i głęboko empatyczna wobec uwarunkowań polskiego Kościoła – opisywała zaledwie wierzchołek góry lodowej. Dokumenty z Rzymu wymuszają przeprowadzenie „trzeciego rachunku sumienia”. Pokazują one bowiem, że postawa prymasa Hlonda czy biskupa Kaczmarka nie była tylko zrodzonym w powojennym chaosie odruchem obronnym przed na-

Dr Monika Stolarczyk-Bilardie

- historyczka i filolożka (absolwentka germanistyki i niderlandystyki UW). Ukończyła studia z zakresu Holocaust and Genocide Studies na Uniwersytecie Amsterdamskim, obroniła doktorat z historii na Katolickim Uniwersytecie w Leuven, gdzie była stypendystką FWO Flanders. Pracuje na KU Leuven w ramach grupy badawczej History of Modernity and Society. Specjalizuje się w badaniach nad Zagładą, ze szczególnym uwzględnieniem postawy Kościoła katolickiego. Autorka artykułów w wiodących czasopiśmie naukowych, m.in. „Zagłada Żydów. Studia i materiały” oraz „Revue d'Histoire de la Shoah”. Jako jedna z pierwszych przeprowadzała kwerendę w udostępnionych w 2020 r. zasobach Archiwów Watykańskich dotyczących pontyfikatu Piusa XII.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

rzucanym komunizmem. Była przede wszystkim głęboką, strukturalną kontynuacją.

Badania nad watykańskimi dokumentami ujawniają mechanizm, który można nazwać „ciągłością transgenocydą”. Zagłada trzech milionów polskich Żydów, która dokonała się na oczach Kościoła, nie wywołała w jego najwyższych strukturach zmiany teologicznej czy moralnego paradygmatu. Kiedy kardynał Hlond pisał w 1946 r. do papieża o żydowskim zagrożeniu moralnym, o wywrotowej inwazji i o żydowskich dążeniach do zniszczenia Polski, używał dokładnie tej samej matrycy pojęciowej, którą posługiwał się w swoim słynnym liście pasterskim z 1936 r. oraz w poufnej odpowiedzi dla rządu polskiego z 1938 r. Przed wojną Żydzi mieli zagrażać Kościołowi przez pornografię i masonerię; po wojnie – przez UB i stalinizm. Zmieniły się okoliczności polityczne, ale rola narzucona Żydom – rola systemowego, obcego wroga – pozostała w myśleniu hierarchii nienaruszona.

To właśnie owa ciągłość sprawiła, że krew ocalałych z Holocaustu rozlana na kieleckich Plantach nie wstrząsnęła rzymską centralą ani warszawskim pałacem prymasowskim. Zamiast pochylić się nad ofiarami rzezi, wołały widzieć w nich prowokatorów i uczestników międzynarodowego spisku politycznego. Co więcej, dyskurs ten był chroniony i autoryzowany na najwyższych szczeblach – to Watykan ostatecznie zaakceptował interpretację Hlonda, a zlekceważył wołanie żydowskich ocalałych.

Kończąc swój esej 20 lat temu, Adam Michnik pytał z nadzieją: „Czy nie nadszedł już czas, by sięgnąć do świadectwa biskupa Teodora Kubiny?”. Dzisiaj, 80 lat od pogromu kieleckiego, wiemy dokładnie, jak brutalnie ten głos z Częstochowy został uciszony – nie tylko w Polsce, ale i w samym Rzymie, gdzie prymas Hlond metodycznie zniszczył wiarygodność Kubiny, przedstawiając jego ewangeliczny apel jako wymuszony przez komunistyczny błąd.

Odkrycie tej prawdy, zapisanej na pożółkłych stronach watykańskich maszynopisów, nie służy prostemu potępieniu. Jest konieczne, by zrozumieć, dlaczego pojednanie i prawdziwy dialog są tak trudne. Ukazuje bowiem, że najczarniejsze demony nienawiści w powojennej Polsce karmiły się nie tylko strachem przed komunistyczną dyktaturą, ale i zatrutym, utrwalonym na dekady językiem, z którego Kościół nie potrafił – lub nie chciał – zrezygnować, nawet w cieniu dymiących krematoriów. Bez zmierznienia się z tą bolesną, instytucjonalną ciągłością rachunek sumienia nad kielecką tragedią na zawsze pozostanie niepełny. ●

Źródła: Archiwum Historyczne Sekretariatu Stanu, Sekcja ds. Stosunków z Państwami, August Hlond, „O katolickie zasady moralne”, Adam Michnik, „Pogrom kielecki. Dwa rachunki sumienia”, Ronald Modras, „Kościół katolicki i antysemityzm w Polsce w latach 1933-1939”. Tytuł i śródtytuły redakcji

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414015



KLUB KSIĄŻKI

Szukasz miejsca, gdzie można swobodnie porozmawiać o książkach?

ZAPISZ SIĘ NA
wyborcza.pl/klubksiazki

Pierwsze spotkanie już **22 lipca, o godz. 19.00.**

Porozmawiamy o książce Petera Pomerantseva, „Propagandysta, który przechrztył Hitlera. Jak wygrać wojnę informacyjną”

SPONSOR






Zamach

Nie warto tej historii ośmieszać, należy raczej potraktować ją poważnie, to znaczy zapytać, co robi.



Marcin Matczak

Ponad rok po kampanii prezydenckiej dowiadujemy się, że w połowie maja 2025 roku na trasie między Ząbkowicami Śląskimi a Dzierżoniowem Karol Nawrocki miał paść ofiarą zamachu. Nie dowiadujemy się tego od policji, z karty pacjenta ani z komunikatu służb, ale z rozmowy z historykiem, prof. Andrzejem Nowakiem. Wtedy, w maju, nikt nikogo nie zawiadomił o zdarzeniu: ani lekarza, ani toksykologa, ani prokuratora. Garnitur, jak wynika z relacji, wyczyszczono, autokar umyto. Została tylko opowieść.

Strzelba Czechowa działa

Nie zamierzam orzekać, co tam się stało. Może był to zamach, a może zasłabnięcie po ciężkim dniu? Odwodnienie, spadek ciśnienia, zatrucie pokarmowe? Takie rzeczy przytrafiają się ludziom zdrowym i nie potrzebują żadnej kryminalnej przyczyny. Ale gdyby prezydent powiedział tylko, że zrobiło mu się słabo, nie byłoby o czym pisać.

Zaciekawia mnie szczególnie jedna rzecz. Wiele opowieści to opowieści rozrzutne, z elementami zbędnymi, przypadkowymi. W opowieści prezydenta jednak nic się nie marnuje. Każda strzelba Czechowa ma ostatecznie wypalać. I to właśnie jest najbardziej frapujące.

Po pierwsze, ta opowieść zamienia słabość w siłę. „Jakby nagle ktoś wyłączył mi organizm”, „jakbym dostał konkretny cios w szczękę” – to jeszcze mógłby być opis omdlenia. Ale nagle pojawia się trucizna, która zmienia wagę i gatunek zdarzenia. Człowiek, któremu zrobiło się niedobrze, jest słaby. Za to człowiek, którego chciano otruć, jest ważny.

Po drugie, opowieść prezydenta między wierszami identyfikuje sprawcę, bo otrucie jest dziś znakiem rozpoznawczym jednego mocarstwa. Każdy pamięta zniszczoną dioksyną twarz Wiktora Juszczenzi z jego kampanii prezydenckiej na Ukrainie. Poza tym polon Litwini i nowiczok, którym truto Nawalnego. Wpisanie się w ten szereg robi z kandydata natchmiaszt czołowego przeciwnika Kremla. Co więcej, także Smoleńsk w mitologii prawicy jest przecież zamachem Rosji na polskiego prezydenta. Także i tu mamy więc jakąś kontynuację.

Po trzecie, ta opowieść wskazuje metodę. Prezydent sugeruje, że trucizna mogła trafić do jego ciała, bo całował kobiety w rękę. To ukazuje Karola Nawrockiego jako depozytariusza staropolskiej, rycerskiej grzeczności, a więc przeciwieństwo liberalnego upadku obyczajów. Ale też czyni go męczennikiem świadomym, bo ochrona przecież ostrzegała, że właśnie tak można go zaatakować. „Ale ja i tak to robiłem”. Wiedział i nie przestał. Czy dotyk dłoni przy pocałunku może kogoś powalić pięćdziesiąt metrów dalej?

Za to doprowadzenie do zguby przez pocałunek niesie jednocześnie element Maty Hari i Judasza. To dwa potężne toposy. Ale czy nie dwa gryzby w barszczu?

Mit inicjacyjny

Po czwarte, opowieść ma świadków: trzech lojalnych towarzyszy. To oni byli bladzi, to oni

„nie mogli na to patrzeć”, to jeden z nich powiedział potem: „byłem przekonany, że ty nie żyjesz”. Bohater więc jakby umiera, ale jednak wraca, a ci trzej wierni uczniowie stoją nad nim, nie mogąc w to uwierzyć. Nie trzeba nazywać tej sceny po imieniu, jest wystarczająco biblijna. To jądro każdego mitu inicjacyjnego i – jak u Eliadego – próba, która jest konsekracją.

To dużo, ale wciąż za mało. Prezydenta leżącego na podłodze autokaru i wymiotującego „gejzerami” współpracownicy porównują do postaci z „Egzorcysty”. I nagle to, co obrzydliwe, przemienia się w symbol walki duchowej, a zbrukane ciało staje się polem starcia dobra ze złem. Jest i element teologii politycznej: przeciwnik już nie jest zwykłym adwersarzem, jest siłą demoniczną. Ta opowieść przenosi spór polityczny w rejestr duchowy, w którym przywódca stoi po stronie Boga, a przeciwnik – wiadomo gdzie.

To opowieść kompletna, a nawet nadmiarowa. Inne historie mają w sobie detale, które do niczego nie prowadzą, nic nie znaczą i nikomu się nie przydają. Opowieść z trasy do Dzierżoniowa takich resztek nie ma. Trucizna tłumaczy słabość, Rosja tłumaczy truciznę, pocałunek tłumaczy sposób, umiłowanie tradycji tłumaczy pocałunek, „Egzorcysta” tłumaczy wymioty, a przyjaciele, którzy jakby przybiegli do grobu, dostarczają godnego finału.

Za czarnymi zasłonami

Jest jeszcze szczegół. Jeśli to był zamach w czasie kampanii, to naturalnie kojarzy się z zamachem na Donalda Trumpa w Butler w lipcu 2024 roku. Tylko że tam były tysiące świadków i dziesiątki kamer, a zdjęcie z uniesioną pięścią obiegiło świat w kilka sekund. Wszystko było widzialne i sprawdzalne.

W Ząbkowicach wszystko było niewidzialne: zaciągnięte czarne zasłony, zatrzymany autokar, trzej tylko swoi. Ale to wzorowanie się na Trumpie pozwala przejść od niego kilka użytecznych elementów. Oto silny przywódca, który przeżył zamach, jest chroniony przez opatrność, bo jest wybrany i przeznaczony do specjalnych celów. A czarne zasłony tego nie utrudniają.

Wprost przeciwnie: dzięki nim tam mogło się zdarzyć wszystko.

Nie warto tej historii ośmieszać, należy raczej potraktować ją poważnie, to znaczy zapytać, co robi. Zamienia krytyczne wobec prezydenta media i jego politycznych rywali w ludzi niemal zamieszanych w usiłowanie zabójstwa. Telewizje „kontrkandydata”, które „dziwnie się zachowywały”, dziennikarze, którzy „dziwnie” dopytywali o pociąg – wszyscy oni zostają wpisani w scenariusz zamachu. To kreuje wizję świata, w której jeden walczy ze wszystkimi i wygrywa, oczywiście dla Polski.

Być może opowieść prezydenta jest działaniem wyprzedzającym ujawnienie jakichś kompromitujących informacji, które to omdlenie i wymioty przedstawiają w mniej przychylnym świetle. Nie wiem. Ale niezależnie od faktów jest opowieścią założycielską, a więc opowieścią organizującą sens. Wprawdzie nieudolną, bo przedawkowaną, wprawdzie scenariuszowo słabą, jak film o Smoleńsku, ale jest.

I nie ma tu co sprawdzać. Mit polityczny nie jest opisem faktów do zweryfikowania, jest obrazem, który mobilizuje. Jego siła jest całkowicie niezależna od prawdziwości. A na mityczność wskazuje tu przede wszystkim jedno: o zamachu opowiada się policji, ale o swojej zwycięskiej walce z wszechogarniającym złem tylko wyznawcom. ●

Gniazdo orderów

Jednym cytowanym zdaniem, Zbigniew Bogucki, szef Kancelarii Prezydenta RP – zapewne niechęć – uderzył we własnego szefa, który nieustannie domaga się wdzięczności od Ukrainy.



Michał Rusinek

Wypowiedzi polityków mają głównie konsekwencje polityczne i poddawane są przede wszystkim analizom politologicznym. Miewają jednak, by tak rzec, efekty uboczne, które takim analizom się wymykają, a warto im się przyglądać.

Na przykład Zbigniew Bogucki, szef Kancelarii Prezydenta RP, umieścił na platformie X następujący wpis: „Przedstawiciele ukraińskiej władzy odznaczenia polskie odają lekką ręką zapominając, że te same ręce były wyciągnięte po pomoc i ta pomoc przyszła z polskich rąk: od rządu polskiego, samorządów, organizacji pozarządowych i milionów Polaków. PS. »Stąd się to utworzyła niewdzięczność przekłeta./ Że ten, co wziął – zapomniał, ten, co dał – pamięta./ Oba wielkie przed Bogiem mieliby zasługi./ Gdyby pierwszy pamiętał, a zapomniał drugi«. – Ludwik Kropiński, »O niewdzięczności«”.

W pierwszej części mamy do czynienia z metaforą ręki, która niegdyś sięgała po pomoc, a teraz zwraca odznaczenia, co – zdaniem Boguckiego – jest formą niewdzięczności. Cóż, niewdzięcznością byłoby niedoceniecie pomocy i ewentualnie jej zwrot, chyba że za pomoc uznać odznaczenia. Krótko mówiąc, ręce się tajemniczo mnożą, wizja ta nie jest całkiem klarowna, z czego chyba zdawał sobie sprawę szef Kancelarii Prezydenta RP, bo postanowił wesprzeć ją cytatem.

Tu pojawia się efekt uboczny jego wpisu, którego polonista nie może nie dostrzec, a tym bardziej – nie docenić. Jest to mianowicie efekt edukacyjny. Któż bowiem jeszcze pamięta Ludwika Kropińskiego (1767-1844), poetę, dramatopisarza, autora powieści, bibliofila i generała armii Księstwa Warszawskiego? W podręcznikach do literatury polskiej wzmianek o nim jest niewiele, bo i on sam – jak pisała prof. Alina Witkowska – „twórczość literacką traktował, jak się zdaje, jako rozrywkę i przeznaczał dla towarzyskiego kręgu odbiorców [...] W historii literatury pozostał jako przedstawiciel sentymentalizmu, pionier prozy »czulej«”. Kajetan Koźmian, poeta klasycystyczny, pisał o nim z lekkim przekąsem: „zaczyn człowiek, gorący patriota [...], więcej literat jak żołnierz, pisarz gładki i poprawny, poeta łatwy”. Kropiński drobne utwory publikował między innymi w „Kurjerze Warszawskim”, „Zbieraczu Literackim i Politycznym” oraz „Pszczółce Polskiej”.

Udało mu się wywołać kilka awantur literackich i na przykład spotkało go coś w rodzaju hejtu ze strony krytyków za tragedię „Ludgarda”. Skomentował to wierszem: „Ileż po pamiętnikach narobiono wrzawy/ O większość albo mniejszość biednej mojej sławy!/ Tu mnie strzygą, tam golą; tu żarcik, tam przytyk./ Na jednego autora sto ty-

sięcy krytyk./ Przyszło w końcu do wojny; o co? o te słowa:/ Czy Ludgarda wzorowa, albo niewzorowa [...] Jam milczał (niechaj będzie najwyższemu chwała!) / Może przez to, żem milczał, i wojna ustała”. Jak widać, już w XIX wieku najlepszym sposobem na ukroczenie hejtu na swój temat było zamilknięcie.

Kropiński, jak na żołnierza, miał bardzo pokojowe nastawienie do rzeczywistości, cenił tkliwość, czułość i prostotę. Pisał: „Straci Achilles, jeśli nie gromi, nie pała;/ Lecz lubię w nim łzę, którą zniewaga wylała [...] / Takim chcę Achillesa, tak go małym wszędzie”. Postulował, by zakończyć najgorętszy polsko-polski spór tamtych czasów: „Czas, niech już wojna ustanie/ Klasyków z romantykami,/ Niechaj w wiecznej żyją zgodzie/ W jednym żyjący narodzie”. Sugerował, by zachować skromność i autokrytycyzm: „maż wiele, pisz mało” – radził innemu poecie. Czytelników zaś prosił, by jego wierszyki traktowali jako „żarty między poufałymi przyjaciółmi”, a nie jako sądy o innych autorach i ich dziełach lub o świecie.

Zbigniew Bogucki jest, owszem, propagatorem zapomnianego poety, ale i zarazem czytelnikiem zbuntowanym wobec jego postulatów. Fraszkę Kropińskiego potraktował bowiem jako komentarz do politycznych decyzji prezydentów Ukrainy i Polski oraz wykorzystał do uzasadnienia słuszności niszczącego zgody między naszymi krajami, ku uciechu Rosji. Można też domniemywać, że swojego Achillesa wołałby Bogucki malować nie ze łzą w oku, ale gromiącego i palącego. Słowem, Kropiński się w grobie cytowana.

Przeczytajmy jednak uważnie przewracając fraszkę. Poeta mówi w niej, że byłoby lepiej, gdyby ten, który dostał pomoc, o niej nie zapominał. Nic nie wskazuje na to, że Ukraińcy zapomnieli o pomocy, jakiej im udzieliliśmy, ale nazwanie jednostki wojskowej imieniem bohaterów UPA oraz zwrot Orderu Orła Białego może być postrzegany jak wyraz niewdzięczności i braku szacunku dla naszej pamięci historycznej – i tu rzeczywiście Kropiński się przydaje jako dostarciciel literackiego argumentu. Mówi on jednak także coś innego: że lepiej by było, gdyby ten, kto dał – zapomniał, a nie wypominał temu, kto dostał, że dostał i nie kazał sobie za swoją pomoc nieustająco dziękować. Tym cytowanym zdaniem Bogucki – zapewne niechęć – uderza we własnego szefa, który przecież nieustannie domaga się wdzięczności od Ukrainy.

Sam Bogucki zresztą powiedział później na antenie radia RMF, że „nam się to oczywiście należy” – to, czyli udział polskich firm w odbudowie Ukrainy. Na tym jednak nie poprzestał, bo postanowił, zapewne pod wpływem nieuważnej lektury Kropińskiego (który przecież piętnował „nałóg małpiarstwa”), spróbować swoich sił w poezji i – komentując decyzję Ukraińców, którzy zwrócili przyznane im polskie odznaczenia – dodał: „Te ordery jak orły wracają do swojego gniazda i tutaj będą bezpieczne”. Jest to czysta grafomania, a choć zawarta w niej wizja jest wysoce symboliczna, to i tak nic nie przebijie komicznej symboliczności gestu Jarosława Kaczyńskiego, który postanowił zwrócić Ukraińcom przyznany mu niegdyś order Jarosława Mądrego. W dodatku nie zauważył wieloznaczności słowa „dość”, gdy mówił: „Ja też zwrócę order, bo mam dość wysokiej rangi”.

Wygląda na to, że nawet zapomniana XIX-wieczna literatura okazuje się mądrzejsza od polityków, którzy – zamiast ją beztępo cytować – mogliby najpierw spróbować ją zrozumieć. Dla dobra tejże literatury, ale przede wszystkim – dobrych relacji z krajem, który toczy wojnę z zagrażającą nam wszystkim Rosją. ●

250 LAT USA

STANY *teoretycznie* ZJEDNOCZONE

Mateusz Mazzini

Demokracja w Stanach Zjednoczonych nie skończy się wraz z Donaldem Trumpem – nawet jeśli każde kolejne wybory prezydenckie będą miały charakter całkowitej zmiany ustroju.

Wraz z obchodami 250. rocznicy powstania USA kończy się bardzo ważny etap amerykańskiej państwowości. Obecna administracja dąży – nie tylko działaniami samego prezydenta – do napisania od nowa zasad funkcjonowania państwa na ogólnym poziomie zdefiniowanych właśnie w 1776 roku. U podstaw tego ruchu politycznego i legislacyjnego leży radykalna reinterpretacja tego, co wydarzyło się w czasach ojców założycieli Republiki i z czego w ogóle wzięła się amerykańska suwerenność.

Przez większość czasu od rewolucji amerykańskiej dominowało przekonanie, później głęboko zakotwiczone także w popkulturze, że trzynaście kolonii Wschodniego Wybrzeża zdecydowało się na niepodległość w ramach rewolty przeciwko brytyjskiemu królowi. Stąd potem wziął się mit o niechęci Amerykanów do jednoladztwa oraz o genezie słynnej zasady *checks and balances*, czyli wzajemnych ograniczeń pomiędzy władzą ustawodawczą, wykonawczą i sędziowską. Zwłaszcza po drugiej wojnie światowej, kiedy rozpoczął się okres amerykańskiej politycznej dominacji, najpierw nad Zachodem, potem przez chwilę nad większością globu te relacje instytucjonalne uznawano za idealny model ustrojowy, właściwie odporny na wszelkie perturbacje wewnętrzne i zewnętrzne.

Ludzie skupieni wokół obecnej władzy patrzą jednak na swoją demokrację zupełnie inaczej. Dla najważniejszych, najbardziej wpływowych głosów opinii na amerykańskiej prawicy rewolucja była aktem sprzeciwu nie wobec brytyjskiego króla, tylko wobec brytyjskiego parlamentu. To parlamentaryzm był źródłem niedoli kolonii, gdyż nie dawał im szans na uczciwą reprezentację w Londynie.

Kiedy kolonie szykowały się do walki o niepodległość, brytyjski monarcha miał już ograniczone prerogatywy, nie był władcą absolutnym, bo parlament na drodze ewolucji i poszerzania swoich praw nakładał na jego sprawczość kolejne ograniczenia. W książce „The Royalist Revolution: Monarchy and the American Founding” Eric Nelson, historyk z Harvardu, wyjaśnia, że nawet gdyby kolonie uzyskały reprezentację w Westminsterze, na nic by się ona nie zdała, bo interesy przyszłych Amerykanów były inne niż metropolii, więc przedstawiciele zza oceanu zawsze byłiby przegłosowani. Dlatego część z nich pokładała nadzieję właśnie w osobie i instytucji króla, który mógłby jako monarcha panujący jednakowo nad wszystkimi stanąć w ich obronie i wyrównać dysproporcję w reprezentacji.

Nelson tłumaczy, że właśnie w tej dość zapomnianej do teraz perspektywie ma źródła teoria unitarnej egzekutywy, czyli projekt polityczny, który rozsądza właśnie amerykański konstytucjonalizm od środka.

Na poziomie propagandy, internetowego szumu, a nawet pseudointelektualnego trollingu głównym jej promotorem jest Curtis Yarvin. Swego czasu lewicowy aktywista internetowy, blogger, miłośnik nowych technologii z cza-

sem stał się najbardziej wpływowym głosem nihilistycznej, reakcyjnej prawicy za oceanem.

Yarvin uważa, że w obecnym kształcie amerykańska demokracja jest dysfunkcyjna, bo rząd federalny rozrósł się do niewyobrażalnych rozmiarów, nakładając kolejne ograniczenia na władzę wykonawczą, która w efekcie nie może sama z siebie zrobić nic. W dodatku rząd obudowany jest „katedrą” – ekosystemem instytucji, które nie są nominalnie częścią administracji, ale działają jako jej przedłużenie, amplifikując przekaz i legalistyczny imposybilizm. Uniwersytety, media, think tanki, instytucje kultury – to wszystko elementy „katedry”, którą Yarvin chciałby całkowicie zburzyć.

Ponieważ jednocześnie jest zafascynowany rewolucją technologiczną i przyjaźni się z gwiazdami Doliny Krzemowej, kocha sektor prywatny. Uważa, że państwo powinno się stać korporacją, bo korporacje są wydajne, generują innowacje i odpowiadają za dobrobyt Amerykanów.

To oczywiście pogląd tak uproszczony, że wręcz głupi – zdecydowana większość użytecznych innowacji w historii USA powstała za publiczne pieniądze, w wojsku lub dla celów rządowych – ale Yarvin tak bardzo nienawidzi wszystkiego, co państwowe, że marzy mu się totalna destrukcja. W jego idealnej wizji obywatele są akcjonariuszami, a prezydent to prezes spółki technologicznej. Nieodpowiedzaną konsekwencją tej logiki jest wieczna władza takiego prezydenta-prezesa. W końcu możliwość odwołania go teoretycznie istnieje, jak w każdej firmie. Tyle tylko, że musiałaby nastąpić w wyniku rebelii akcjonariuszy, co jednak w świecie wielkich korporacji nie zdarza się prawie nigdy. A już na pewno nie wtedy, kiedy wskazniki giełdowe idą w górę.

Inspiracja płynie z Doliny Krzemowej, gdzie Sam Altman, Elon Musk czy Mark Zuckerberg tak napisali zasady działania ich firm, że będą w nich wiecznymi imperatorami, praktycznie nieusuwalnymi. Raczej nie istnieje scenariusz, w którym Musk przestaje być

prezesem Tesli czy Twittera/X, chyba że mu się to znudzi. Yarvin chce, żeby tak samo było z prezydentem USA.

Jeszcze rok temu ten internetowy filozof siał postrach w liberalnych mediach i na kampusach, bo wydawało się, że rzeczywiście znalazł się w forpoczcie rewolucji konstytucyjnej. „The New York Times” zrobił z nim obszerny wywiad, „The Atlantic” rozpisywał się o jego bliskiej relacji i wpływie na wiceprezydenta J.D. Vance’a. Dzisiaj jego sława ucichła, nadal szaleje w internecie, debatuje z młodymi na uczelniach, ale mało kto poświęca mu uwagę – także dlatego, że prawicowa kontrrewolucja w USA zdeżyła się ze ścianą rzeczywistości i polityki. Kryzys w stosunkach transatlantyckich, bezsensowna wojna w Iranie, rosnące koszty życia, widmo klęski w wyborach połowkowych – to wszystko zajmuje administrację bardziej niż debaty na temat genezy amerykańskiej niepodległości.

Lecz teoria unitarnej egzekutywy to nie jest tylko wymysł Yarvina. Jako jej wyznawca ujawnił się John Roberts, czyli obecny przewodniczący składu Sądu Najwyższego. W zeszłorocznym sprawozdaniu z działalności federalnego wymiaru sprawiedliwości sugerował w tym samym duchu co Yarvin, że egzekutywa w amerykańskim ustroju musi zostać wzmocniona.

Wpływowy sędzia też na nowo interpretuje amerykańską rewolucję. Roberts argumentuje, że w USA to właśnie

Problem z tym, co mówią ludzie MAGA w Waszyngtonie o stanie Ameryki po 250 latach jest taki, że pod bardzo wieloma względami mają rację

• Diabelski młyn Freedom 250 na wystawie Great American State Fair, zorganizowanej przez Trumpa pod Kapitołem z okazji 250. rocznicy niepodległości USA

FOT: REUTERS/TOM BRENNER



w osobie prezydenta skupia się największa i najrówniejsza reprezentacja polityczna. Bo jeśli w danym systemie dominuje parlament, jednostka z definicji jest słabiej reprezentowana, gdyż legitymizacja do rządzenia pojedynczego posła czy senatora jest mniejsza niż prezydenta. Na prezydenta w końcu głosują wszyscy, jeśli więc wygrywa wybory, uosabia wolę milionów, podczas gdy deputowanego do kongresu wybierają jedynie mieszkańcy relatywnie małych, pojedynczych okręgów.

Idąc tym tropem, prezydent powinien mieć większe uprawnienia od parlamentu, bo realizuje misję powierzoną mu przez większą część elektoratu. Z punktu widzenia legislacji czy teorii polityki chodzi więc o wielkość mandatu i o prawną legitymizację do rządzenia. Z perspektywy ideologii chodzi o wywindowanie do władzy najwyższego przywódcy, nad którym nikt nie sprawowałby kontroli.

Teoria unitarnej egzekutywy, którą regularnie stosuje się jako formalnoprawną, elokwentną podkładkę dla nadużywania kompetencji przez prezydenta, nie jest oczywiście współczesnym amerykańskim wynalazkiem. Tak samo faszystowskie państwo skonstruował we Włoszech Benito Mussolini uważający się za człowieka, który skupia w sobie i reprezentuje cały włoski naród, w założeniu jednolity, bez żadnej różnorodności.

Nie trzeba być historykiem, politologiem czy znawcą ustrojów państwowych, żeby wiedzieć, że tyrady Yarvina, prawnie ubezpieczone przez Roberta w Sądzie Najwyższym, są apelem o zniszczenie amerykańskiego parlamentaryzmu i wprowadzenie rządów dyktatorskich.

Póki co plan reformy ustrojowej nie idzie zgodnie z planem, administracja napotyka opór sądownictwa, gubernatorów i legislatur stanowych. Okazuje się, że zmienić państwo federacyjne jest znacznie trudniej niż kraj unitarny. Nie znaczy to jednak, że ruch MAGA i jego polityczni emisariusze zmienili zdanie. Nadal chcą zmiany konstytucyjnej, bo są przekonani, że amerykańska demokracja po prostu nie działa. Problem w tym, że pod bardzo wieloma względami mają rację.

Zacznijmy od zbliżających się, zaplanowanych na listopad wyborów połówkowych do Kongresu. Wybierana w nich będzie cała Izba Reprezentantów – 435 kongresmanów – oraz jedna trzecia spośród 100 senatorów. W tym roku wyjątkowo głosowanie przeprowadzi się w 35 okręgach senackich wskutek pojedynczych rezygnacji i zgonów w trakcie kadencji.

Jak podaje pracownia Gallupa, Generic Congressional Ballot, czyli ogólna intencja głosowania w najbliższych wyborach w skali całego kraju, daje Demokratom przewagę 50 do 36 proc. Ten sondaż jest mało przydatny, więcej zaciemnia, niż odsłania, bo odnosi się do ogólnych nastrojów w całym społeczeństwie, podczas gdy wybory w USA nie mają charakteru krajowego. Przeciwnie, to nie jedna elekcja, ale 470 głosowań w 470 bardzo zróżnicowanych okręgach. Ich porównywanie, zwłaszcza w wyborach do senatu, jest bezproduktywne, bo jeden mandat senacki przypada na bardzo różną, czasami szokującą niewielką liczbę mieszkańców – wielu popierających Demokratów mieszkańców Kalifornii da zatem tyle samo co znacznie mniej zwolenników Republikanów w Kansas. Sondaż to wychwyci, ale na wyniki nie będzie miało przełożenia.

Co nie zmienia faktu, że takiego trendu nie można ignorować. Republikanie są w oczywisty sposób w defensywie. Administracja jest szalenie niepopularna, polityka Trumpa nie poprawia warunków bytowych Amerykanów ani nie rozwiązuje problemów, które obiecała rozwiązać, jak ogromny deficyt publiczny czy deindustrializacja i trudna sytuacja na rynku pracy. Według średniej sondażowej ze wszystkich największych pracowni w USA – dane te agreguje znany statystyk polityczny Nate Silver na swoim blogu The Silver Bulletin – pozytywne zdanie o prezydenturze Trumpa ma w tej chwili 39,4 proc. wyborców. To nieco więcej niż w najniższym punkcie kilka tygodni temu – po prawie trzech miesiącach nieustannego spadku notowań z powodu wojny w Iranie teraz nastąpiło lekkie odbicie sondażowe. Nie zmienia to faktu, że przez prezydenta traci jego partia.

Nawet jeśli sam Trump może liczyć na jedną trzecią elektoratu bez względu na konsekwencje jego polityki, do wygrania kontroli nad Kongresem to stanowczo za mało. Tradycyjne sondaże niewiele mówią o całościowym obrazie sytuacji, ale już rynki predykcyjne – kontrowersyjne, bo sprowadzający się do zakładów na spore kwoty, ale często miarodajny sposób oceny nastrojów politycznych w społeczeństwie – pozwalają wyciągnąć pierwsze wnioski. Według ostatniego odczytu na platformie Kalshi, jednym z dwóch najpopularniejszych rynków predykcyj-

nych w USA, użytkownicy oceniają szanse Demokratów na przejście kontroli nad Izbą Reprezentantów na 80 proc.

Z Senatem sytuacja jest bardziej skomplikowana, bo nie wszędzie zakończono proces praw wyborów i niektórzy kandydaci nie są jeszcze znani. W tej chwili użytkownicy Kalshi stoją po stronie Republikanów – 58 do 42 proc. – ale tu wahania są ogromne. W październiku Republikanie wygrywali 2:1, wiosną, po rozpoczęciu wojny z Iranem, Demokraci doszli do 55 proc. szans na senacką większość. Jednym słowem: elektorat jest niezdecydowany, ludzie oceniają politykę pod wpływem impulsów i bieżącej sytuacji, ważne są trendy i sekwencja sukcesów bądź porażek jednej i drugiej partii. Ale choć w kwestii senatu wiele się może do listopada zmienić, przejście Izby Reprezentantów przez opozycję zdaje się prawie przesądzone.

Te wybory unaoczniają jednak inną patologię amerykańskiej demokracji, czyli praktyczne zniknięcie realnej wyborczej rywalizacji.

Poza Ameryką panuje przekonanie, że katastrofalne, dewastujące działania Trumpa doprowadzą do wielkiej klęski Republikanów i wywindują Demokratów do władzy niemal totalnej. To myślenie życzeniowe i nieznanostwo realiów amerykańskiego ustroju. Z powodu tak zwanego gerrymanderingu, nieustannego przerysowywania map okręgów wyborczych pod potrzeby jednej czy drugiej partii, zdecydowana większość obszarów elektoralnych w USA jest całkowicie zabetonowana. Do tego stopnia, że zmiana władzy byłaby tam możliwa wyłącznie przy wymianie populacji.

Lee Drutman, ekspert do spraw ordynacji wyborczej z think tanku New America, w najnowszej analizie szacuje, że w najbliższych wyborach za cztery miesiące spośród 435 okręgów do Izby Reprezentantów zaledwie w 15 rywalizacja jest otwarta. Innymi słowy, w 420 pozostałych wynik jest niemal przesądzony właśnie z powodu granic okręgów i map wyborczych.

Nie oznacza to, że nigdzie indziej nie dojdzie do zmiany władzy, bo to oczywiście możliwe, ale realna konkurencja zdaniem Drutmana zaistnieć może jedynie w 15 okręgach, czyli w niecałych 4 proc. całości kraju. To już nie jest demokracja w klasycznym tego słowa znaczeniu, tylko walidacja status quo za pomocą wyborów. Dodatkowo ten proces postępuje – Drutman pokazuje na danych, że jeszcze 20 lat temu konkurencyjnych okręgów było prawie 50.

W tej chwili większość Amerykanów funkcjonuje w polityce jak na platformach społecznościowych – znajdują się w bańce, która wzmacnia ich własne, ograniczone pojmowanie rzeczywistości. Najdobitniej podsumowuje to Hélène Landemore, francuska politolożka z Yale, która w książce „Politics Without Politicians” stwierdza, że „w dzisiejszej Ameryce to nie wyborcy wybierają sobie polityków, tylko politycy wyborców”. Nie trzeba być reakcyjnym pravicowcem, żeby zauważyć, że obecny system rzeczywiście daleki jest od otwartej rywalizacji demokratycznej. To jednak niejedyny obszar, w którym Amerykanie mają problem ustrojowy.

Innym jest coraz bardziej napięta relacja pomiędzy władzami federalnymi a stanowymi.

Zgodnie z konstytucją stany mają bardzo szerokie kompetencje, a ich ustawy zasadnicze dają gubernatorom duże prawa. A najważniejsze uprawnienia dotyczą wyborów, bo to właśnie stany je organizują i ustalają ich zasady. To one decydują o kształcie kart do głosowania, dlatego to od władz stanowych zależałaby na przykład trzecia kadencja Trumpa. Na poziomie politycznym łatwo sobie wyobrazić, że prezydent naprawdę chciałby rządzić kolejne cztery lata. W bezpośredniej elekcji byłoby to niemożliwe, bo, jak zauważa filozof polityki Yascha Mounk, wszystkie stany musiałyby wydrukować karty z jego nazwiskiem, a te, w których rządzą Demokraci, na pewno tego nie zrobią.

Pozostaje sztuczka z wystartowaniem jako wiceprezydent i zmuszeniem republikan-

Tylko 39,4 proc.

• wyborców ma obecnie pozytywne zdanie o prezydenturze Trumpa

Jedynie w 15

• z 435 okręgów wyborczych do Izby Reprezentantów rywalizacja jest otwarta. W 420 pozostałych wynik jest niemal przesądzony z powodu gerrymanderingu – manipulowania granicami okręgów i mapami wyborczymi

skiego zwycięzcy do ustąpienia z urzędu, co ma bardzo wątpliwe podstawy prawne, ale akurat takie wątpliwości Trumpa nigdy przed nim nie powstrzymywały. Co prawda prezydent ostatnio przestał mówić o trzeciej kadencji – może dlatego, że w widoczny sposób pogarsza się jego stan zdrowia – niemniej chciałby wyrwać stanom wyborcze prerogatywy.

A stany nie pozostają dłużne krytykującemu ich niezależność Trumpowi, wykorzystując swoje prerogatywy do walki z rządem federalnym. Demokraci uczynili z tego ostatnią linię oporu, przoduje w tym zwłaszcza gubernator Kalifornii Gavin Newsom. Wiele rzeczy udało się w ten sposób obronić – federalne finansowanie na projekty infrastrukturalne, ochronę danych osobowych, które przejść chciała de-

wiedzi na analogiczne działania Republikanów w innych stanach, odbierające Demokratom kolejne miejsca w Izbie Reprezentantów – ale choć dla Partii Demokratycznej i liberalnych wartości to dobrze, dla amerykańskiej demokracji bardzo źle.

Tego pociągu nie da się zatrzymać. Adam Smith, historyk Ameryki z Oksfordu, zauważył, że eskalacja ze strony Demokratów spowoduje sprzężenie zwrotne. Jeśli w 2028 r. do Białego Domu wprowadzi się polityk Partii Demokratycznej, pewne jest, że wówczas gubernatorzy ze stanów głęboko republikańskich, jak Teksas, spróbują tej samej taktyki co Newsom. Z tą różnicą, że eskalowaliby konflikt jeszcze mocniej, w dodatku mając po swojej stronie konserwatywną większość w Sądzie Najwyższym.

jeśli Republikanie przegrają za dwa lata wybory prezydenckie, to Gwardia Narodowa będzie na miejscu, żeby nie powtórzyć wtopy z insurekcji 6 stycznia po wygranej Bidena. Trump wyciągnął wnioski ze szturmu na Kapitol. Wtedy swój przewrót oparł na bojówkach, białych radykałach z Proud Boys i innych grupach, ale okazali się chaotyczni, nieorganizowani

montująca rozbuchane zdaniem trumpistów państwo ekipa Elona Muska z komisji DOGE, unieważnienie dekretu prezydenckiego o odebraniu prawa do obywatelstwa przez urodzenie na terenie USA – ale nie ma wątpliwości, że także w Partii Demokratycznej przeprowadza się kreatywną analizę legislacyjną i nie wszystko robione jest w duchu konstytucji i równości praw.

Wystarczy wspomnieć o ubiegłorocznym kalifornijskim referendum właśnie w sprawie nowego wytyczenia okręgów wyborczych. Owszem, Newsom rozpisal je wyłącznie w odpo-

Łatwo więc sobie wyobrazić, że nawet potrójne zwycięstwo Demokratów w 2028 r., z pełną kontrolą nad obiema izbami Kongresu i nad Białym Domem, nie spowoduje, że Ameryka będzie „jak dawniej”. Przeciwnie, znacząco może zwiększyć szanse na całkowitą paraliż administracyjny amerykańskiego państwa. Rząd z prezydentem będą wiosłować w jedną stronę, część stanów w przeciwną, a Sąd Najwyższy w najlepszym razie schowa kolejne akty prawne w zamrażarce, w najgorszym po prostu zablokuje jakiekolwiek reformy.

Jeśli władzę utrzymają Republikanie, rewolucja ustrojowa znacznie przyspieszy. Ktośkolwiek zastąpi Trumpa w Białym Domu, będzie znacznie bardziej zdyscyplinowany, mniej chaotyczny i bardziej bezwzględny. J.D. Vance, Marco Rubio czy jeden z synów obecnego prezydenta popchną do końca konsolidację władzy w rękach egzekutywy, czyli po prostu głowy państwa. Wówczas Demokraci jeszcze mocniej okopią się w stanowych bastionach, ale ich pole manewru znacznie się skurczy, bo Republikanie będą bardziej spójni w działaniach.

W takich scenariuszach pytanie o secesję lub wojnę domową nasuwa się samo. Tym łatwiej, że co rusz bezrefleksyjnie rzucają te pojęcia w eter publicyści i podsuwa je popkultura – ostatnio dobry, choć po dwóch latach drugiej kadencji Trumpa mało realistyczny film Alexa Garlanda „Civil War” z 2024 roku.

Dywagacje o rozpadzie unii i bratobójczym konflikcie wracają nieustannie także dlatego, że pojęcia „wojna domowa” i „USA” skleiły się na dobre za sprawą wojny secesyjnej. I komentatorom, i zwykłym ludziom wydaje się, że Amerykanie są ponadprzeciętnie skłonni do wojny domowej, bo już jedną przeprowadzili.

Tyle że to rozumowanie ma istotną słabość – wszak wojny domowe prowadzili też Hiszpa-

nie czy Brytyjczycy i jakoś nikt nie przewiduje, że rozpętają nowe w niedalekiej przyszłości. A zakorzenienie się wojny secesyjnej w globalnym imaginariu wynika z tego, że – po amerykańsku – była pod wieloma względami pierwsza lub „naj”: pierwsza tak uprzemysłowiona, pierwsza z masowym użyciem nowoczesnej techniki, pierwsza z użyciem taniej broni palnej i maszynowej oraz nowoczesnej logistyki, od kolei poczynając.

Tymczasem wojna domowa w USA jest dzisiaj mało prawdopodobna, tłumaczy profesor Smith, z kilku powodów. Po pierwsze, obecnie rządzą Republikanie, którzy funkcjonują w symbiotycznej relacji z Doliną Krzemową i gigantami technologicznymi. W ciągu 18 miesięcy rządów Trumpa zdążyli stworzyć załóżki cyfrowego państwa nadzoru, które inwigiluje obywateli na masową skalę. Przekazanie danych z systemu ubezpieczeń społecznych do firm prywatnych, zaciągnięcie Palantira do współpracy z policją imigracyjną ICE, używanie oprogramowania rozpoznającego twarze do identyfikacji obywateli i migrantów czy legistacja definiująca w luźny sposób każdą lewicową organizację jako terrorystyczną – to wszystko zebrane do kupy znacząco podnosi koszty sprzeciwu społecznego i oddolnej samoorganizacji opozycji.

Po drugie, mówi Adam Smith, wbrew pozorom w Stanach Zjednoczonych nie ma aż tyle przemocy, żeby myśleć o wojnie domowej. A dokładniej – konkretnego typu przemocy. Bo o ile istnieje sporo agresji pomiędzy obywatelami a innymi obywatelami, opresyjne wobec obywateli bywa państwo, to brakuje przemocy, która do wybuchu wojny domowej jest niezbędna, czyli obywateli wobec państwa. Bez ataków na funkcjonariuszy, instytucje państwowe, na przedstawicieli władzy o wojnie domowej raczej nie może być mowy.

Realna jest natomiast perspektywa konfliktu podprogowego, kilka stopni poniżej granicy wojny. Epizodyczne akty agresji, morderstwa polityczne – to wszystko już się dzieje i prawdopodobnie nasili się w związku z rosnącą polaryzacją społeczną. Niewykluczone zresztą, że państwo pod dowództwem Trumpa samo włączy się do walki, na przykład przy okazji przegranych przez Republikanów wyborów prezydenckich w 2028 roku.

Jeden z byłych amerykańskich podsekretarzy w administracji Obamy uważa, że taki właśnie jest cel utrzymywania Gwardii Narodowej na ulicach Waszyngtonu. – Oni nic nie robią, nie mają żadnych zadań. Jesienią grabią liście, latem włóczą się po ulicach i stacjach metra. I tak to ma wyglądać przez kolejne lata.

W ten sposób wszyscy się przyzwyczajamy do ich obecności w mieście. Znormalizujemy to – tłumaczy mi. – A jeśli Republikanie przegrają za dwa lata, to Gwardia będzie na miejscu, żeby nie powtórzyć wtopy z insurekcji 6 stycznia po wygranej Bidena. Myślę, że Trump wyciągnął wnioski ze szturmu na Kapitol. Wtedy swój przewrót oparł na bojówkach, białych radykałach z Proud Boys i innych grupach, ale okazali się chaotyczni, nieorganizowani. Państwo takie operacje przeprowadza lepiej. Ma regularnych żołnierzy, lepszą broń, mundur cieszący się szacunkiem. Do zablokowania zaprzysiężenia prezydenta Demokracji lepiej wysłać służby państwowe, wtedy może się uda.

Innym realnym scenariuszem jest miękka secesja, o której często pisze profesor Fiona Hill. Była doradczyni Trumpa zajmująca się Rosją, dzisiaj wykładowczyni Durham University i ekspertka The Brookings Institution, w ubiegłym roku na konferencji w londyńskim King's College przedstawiła, jak może to wyglądać: formalnie z Republiki nikt nie wyjdzie, ale powstaną koalicje stanów, które będą zupełnie odmiennie regulować życie mieszkańców.

Jako możliwy przykład Hill podała reżimy sanitarne i regulacje szczepionkowe – łatwo sobie wyobrazić przyszłość, w której w USA żadne szczepienia nie są już obowiązkowe na szczeblu federalnym, ale wymaga ich na przykład blok zachodnich stanów, od Kalifornii, przez Oregon, po Waszyngton.

Nie happy, ale też nie end

• Piotr Cieśliński sprawdza, czy amerykańska nauka i wynalazczość zdąży być great again

• 250 dolarów na 250-lecie. Aleksander Gurgul sprawdza, czego boją się rangersi z parków narodowych

• Wnuczka Chruszczowa opowiada Mazziniemu, jak i czemu USA upodobiła się do Rosji

• Wszystko o urodzinach Stanów Zjednoczonych na Wyborcza.pl/magazyn



To wszystko jednak symulacje najbliższej przyszłości – miesiące, maksymalnie lat.

Można przyszłość Stanów Zjednoczonych opisywać właśnie tak: za pomocą sondaży czy notowań potencjalnych kandydatów na prezydenta w 2028 roku. Można się skupić na wskaźnikach makroekonomicznych, wzroście gospodarczym przy jednoczesnych najgorszych od 1945 roku nastrojach konsumenckich, rosnącym bezrobociu i nierównościach. Można rozważać przyszłość w kategoriach narastającej katastrofy klimatycznej, braku wody i sprzeciwu wobec rozwoju sztucznej inteligencji. Natomiast trzeba spojrzeć dalej i szerzej, stawiając pytanie, czy amerykańskie państwo ma w ogóle szansę przetrwać.

Po polskich wyborach prezydenckich profesor Timothy Garton Ash, znany brytyjski historyk z Oksfordu, w rozmowie z „Wyborczą” wyraził bardzo ciekawą obserwację. Stwierdził, że przez cały okres powojenny Ameryka była dla nas wszystkich wizją naszej przyszłości, punktem odniesienia dla tego, kim chcieliśmy się stać. Teraz sytuacja się zmieniła: zakochana w niedookreślonej, wyidealizowanej, konserwatywnej przeszłości amerykańska prawica odgrywa nam naszą własną historię od tyłu. Może więc klucz do zrozumienia przyszłości Stanów Zjednoczonych leży w zrozumieniu przeszłości Europy?

Jeśli wyrzec poza ramy polityki krajowej, makroekonomii i kwestii ustrojowych, widać, że obecna administracja realizuje – mniej lub bardziej świadomie – jeden projekt o randze globalnej i cywilizacyjnej zarazem. David Runciman, znany brytyjski historyk idei, były dziekan wydziału politologii Uniwersytetu w Cambridge, określa ten projekt mianem „wielkiego unieważnienia 1945 roku”. Chodzi o ostateczne zniszczenie wszystkich zasad, kodów etycznych i instytucji, które pozwoliły na stworzenie i płynne funkcjonowanie porządku powojennego, często nazywanego liberalnym.

Regulacje dotyczące wolnego handlu, system walutowy z Bretton Woods, prawa człowieka, Karta Narodów Zjednoczonych, dominacja liberalnej demokracji i wspieranie inicjatyw demokratycznych na całym świecie, wstrzymanie rozprzestrzeniania broni jądrowej, ochrona środowiska naturalnego, prawo do azylu – wszystko to świat zawdzięcza powyższemu konsensusowi. Wszystko to amerykańska reakcyjna prawica chce całkowicie zniszczyć.

W niektórych obszarach pierwsze poważne kroki już podjęto. Trump swoimi clamni przestawia globalną gospodarkę z otwartości na protekcyjnizm. Wycofanie wsparcia finansowego dla instytucji z ekosystemu ONZ może doprowadzić je do całkowitego paraliżu. No i Waszyngton nie promuje już ani demokracji, ani walki o prawa człowieka.

Owszem, ten system nigdy nie był idealny, wiele jego aspektów wymagało i nadal wymaga-

ga gruntownych reform, a samym Amerykanom zdarzało się nieraz we własnym interesie obalać rządy demokratycznie wybrane i kierujące się wartościami zbliżonymi do amerykańskiej konstytucji. Ale destrukcja tego systemu przyniesie katastrofalne skutki nie tylko dla Ameryki, ale dla całego świata, dlatego że jedną z jej konsekwencji będzie ponowna normalizacja antysemityzmu.

Jednym z fundamentów powojennego świata była świadomość tragedii Holokaustu, który stał się po prostu synonimem zła – zła w czystej postaci, do jakiego nie wolno już nigdy dopuścić. Dlatego normy demokratycznego Zachodu oparto między innymi na bezwarunkowym odrzuceniu antysemityzmu. Na poziomie politycznym i dyplomatycznym było to poparcie dla istnienia i suwerenności państwa Izrael, ale na poziomie społecznym po prostu wykluczenie antysemitów z debaty. Jeśli ktoś nim był, nie miał prawa istnieć publicznie. W polityce, w samorządzie, w mediach, w literaturze, w kulturze nie można było nienawidzić Żydów tylko za to, że są Żydami.

Ten konsensus właśnie pęka, a w Stanach Zjednoczonych może pękł już na dobre.

Najbardziej radykalna amerykańska prawica pod znaku internetowego celebryty Nicka Fuentes a i jego ruchu Groyperów – nazwanego tak na cześć żaby z popularnego internetowego mema – z antysemityzmu zrobiła już swój pro-

dukt flagowy. Fuentes ma na koncie choćby porównanie Żydów mordowanych w Auschwitz do „ciastek w piecu”. A jego próbie normalizacji antysemityzmu sprzyja to, że zbiega się to z coraz większym społecznym gniewem na Izrael pod rządami Beniamina Netanjahu z powodu wojny w Strefie Gazy. Po raz pierwszy w historii badań opinii więcej Amerykanów opowiada się w bliskowschodnim konflikcie po stronie Palestyny niż Izraela.

Wokół poparcia – lub też jego wycofania – dla Tel Awiwu wybuchła nawet ideologiczna wojna domowa wewnątrz ruchu MAGA. Pierwszym neofita sprawy palestyńskiej okazał się Tucker Carlson, była gwiazda CNN i Fox News, dzisiaj YouTuber z prawdopodobnie największą internetową publiką w Stanach. W ostatnich latach był zawsze zwolennikiem Trumpa, w kampanii z 2024 roku przemawiał na jego wiecach. Teraz stał się pierwszym krytykiem administracji, MAGA uważa za „ruch skończony”, a Trumpa za „zdrajcę”. Cała admi-

nistrację oskarża o bezprawną wojnę w Iranie i wspieranie ludobójstwa w Gazie.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzy, że multimilioner Carlson naprawdę opłakuje straszny los palestyńskich dzieci. Robi to wyłącznie z powodów atencyjnych. Opłakuje je, bo pragnie uwagi, gdyż na uwadze zarabia. Stąd zaproszenie do programu Fuentes'a i różnych apologetów Hitlera. Ale świadomość, że to cyniczna gra, nie zmienia jej efektów: wykrzystując nastroje antyizraelskie, ludzie tacy jak Carlson jednocześnie je napędzają, bo algorytmy premiują treści radykalne i kontrowersyjne.

oczywiście krytyka Izraela jest uprawniona, dziesiątki organizacji międzynarodowych prezentowały dowody zbrodni wojennych izraelskich żołnierzy w Gazie, ale jest różnica między atakowaniem Netanjahu a rehabilitowaniem Hitlera. Skutkiem działalności Carlsona i Fuentesas jest normalizacja czystego zła w światowej debacie publicznej, istotne wsparcie procesu „wielkiego unieważnienia roku 1945” oraz otwarcie drzwi mainstreamu dla innych obyczajowych i światopoglądowych radykalizmów.

Nie jest przesądzone, że Carlson czy Fuentes będą chcieli wejść do tradycyjnej partyjnej polityki. Możliwe, że pozostaną w internecie, wszak bycie celebrytą w sieci daje podobną siłę oddziaływania na rzeczywistość przy zerowej odpowiedzialności za swoje słowa, na przykład przed wyborcami. Ale obaj już przyczynili się do tego, że pod istotnymi względami nasze

poczucie tego, co wypada, a co nie wypada i do czego nie można się posuwać w dyskusji, cofa się do czasów sprzed drugiej wojny światowej.

Pora wrócić do przyszłości samej Ameryki jako państwa. Czy raczej – braku jej przyszłości. Bo wśród wielu możliwych scenariuszy jest i ten, w którym Ameryka po prostu imploduje. Targana nierównościami materialnymi, kryzysem klimatycznym, polityczną przemocą i polaryzacją wybuchnie do środka. To wariant bardziej prawdopodobny niż wojna domowa, bo implodacja może nastąpić z kilku powodów.

Najbardziej realnym, bo typowo amerykańskim, byłby przedłużony shutdown, zamknięcie rządu federalnego. Kongres wchodzi w konflikt z władzą wykonawczą, odmawia finansowania rządu, a polaryzacja na Kapitolu posuwa się tak daleko, że nie na parę miesięcy, ale na rok albo dwa. Ludzie nie dostaną żadnych świadczeń, ci bezpośrednio lub pośrednio pra-

cujący dla rządu federalnego także wynagrodzeń. Nietrudno wyobrazić sobie zamieszki, fałę przemocy, grabieże, napaści na urzędników i policjantów.

Inną możliwością jest odmowa przez USA obsługi swojego zadłużenia, które już teraz wynosi 39 bilionów dolarów. Gdy Waszyngton przestanie to robić, wywoła kryzys gospodarczy o skali dotąd nieznanej, a kraj zawali się pod naporem własnych zobowiązań, krajowych i międzynarodowych.

Dzisiaj w USA są ludzie, którzy pomagają ten scenariusz zrealizować. Skutecznie, bo mają pieniądze, wpływy i możliwości większe niż ktokolwiek w politycznej historii świata. Upadek amerykańskiego państwa to wymarzony scenariusz dla szefów spółek technologicznych. Alex Karp z Palantira, Sam Altman z OpenAI, Elon Musk czy Jeff Bezos ze swoimi licznymi spółkami tylko czekają, żeby wejść w buty państwa. Zastąpić to, co publiczne, tym, co prywatne. Prezydenta prezesem, obywateli radą nadzorczą. Świadczenia usługami, być może z dodatkiem minimalnego dochodu podstawowego, żeby ograniczyć ryzyko rewolty zubożających mas.

To nie przypadek, że Palantir, Google, Amazon czy Microsoft już wchodzą z impetem na obszary, w których dotychczas monopol miało państwo: edukację, ochronę zdrowia i obronność. Nie tylko w samej Ameryce. Palantir obsługuje analizę danych pacjentów w brytyjskim systemie NHS. Google w wielu krajach wciska uczniom szkół publicznych swoje oprogramowanie i sprzęt, pozyskując tym sposobem za darmo całą masę wartościowych danych. W obronność, także w kontraktach z polskim wojskiem, inwestuje spółka Karpa, fundamentalna dla całego NATO. Palantir stworzył oprogramowanie pozwalające analizować pole bitwy w czasie rzeczywistym, przetwarzać i syntetyzować ogromne ilości różnych rodzajów danych. Korzystają z niego armie krajów członkowskich, a admirał Pierre Vandier, jeden z głównych dowódców Sojuszu, powiedział nawet, że produkt Palantira, Maven Smart System, jest dla NATO „niezbędny”, bo „nie ma dla niego alternatyw”.

Oczywiście państwo administracyjne wciąż istnieje. Szarpie się, walczy, broni swoich prerogatyw. Ale kto wie, czy właśnie nie oglądamy jego schyłku, a Stany Zjednoczone ery posttrumpowej będą laboratorium tego procesu. Pewnie nie wydarzy się to jeszcze w tym roku ani w następnym, ale właśnie dlatego, że mamy tendencję do skupiania się na najbliższych wyborach i kolejnych rządach, czyli na krótkim horyzoncie czasowym, trzeba zrozumieć, kto w tej grze jest prawdziwym śmiertelnym wrogiem demokracji. I że nie jest to wcale, przy zasłużonej odrazie, jaką budzi, Donald Trump.

Demokracja w Stanach Zjednoczonych nie skończy się wraz z Trumpem. Skończą ją ci, którym Trump utoruje drogę do władzy. 250 lat później Ameryka znów przeżywa rewolucję. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34440497

Olsztyn
green*
festival

NA WARMII I MAZURACH

14-15-16.08

VITO BAMBINO KACPERCZYK KAYAH PEZET ARTUR ROJEK

SISTARS SOKÓŁ GRZEGORZ TURNAU ZALEWSKI

BASS ASTRAL HUBERT. IGO RALPH KAMINSKI KASIA LINS JOHN PORTER KASIA SIENKIEWICZ MERY SPOLSKY VOO VOO

MISIA FURTAK · HELA · BARTEK KRÓLIK · OFELIA · PRZEBIŚNIEGI · RUNFORREST · SONBIRD · THE CASSINO · ZABŁOCKI/MOZIL · PIOTR ZIOŁA

A → Z

3 SCENY, 30 KONCERTÓW, TEATRY I STAND-UPY NAD JEZIOREM UKIEL

POCZUJ LATO! 😊

ORGANIZATOR: wyborecza.pl	WSPÓŁORGANIZATOR: olsztyn Olsztyn	PARTNER GŁÓWNY: #gen Warmii i Mazur	PARTNER STRATEGICZNY: LOTTO	SPONSORZY STRATEGICZNI: ING Energa GRUPA ORLEN Kinder bueno Casablanca CATERING LECH	PARTNER TECHNOLOGICZNY: NASK	PARTNER EKO: dobra energia by allernorm	PATRONI MEDIALNI: ZET chillizet GAZETA.PL ams 4HELIOS helios media
PARTNERZY EDUKACYJNI: UNIWERSYTET WARMIIŃSKI KORTO SFERA Centrum Popularyzacji Nauki i Edukacji	PARTNER TERENU: DSIR Biedronka Coccolino essence instax JORDAN* ALCON MICHELIN SERWIS NOSOWICZ NOSOWICZ.PL MPEC Olsztyn zook GALERIA WARMINSKA Aura KOOKSTERN WARMIA MAZURY REKOPOL REMONDIS WORKING FOR THE FUTURE	SPONSORZY:					

Robert Stefanicki

Rewolucja amerykańska nie była skazana na sukces. Gdyby 250 lat temu Brytyjczycy popełnili mniej błędów, żylibyśmy w zupełnie innym świecie.

Mieli duże szanse zdusić amerykańską rebelię w zarodku, mimo to przegrali, popełniwszy błędy logistyczne i polityczne. Co mogło pójść inaczej?

W lecie 1776 roku brytyjski generał William Howe pokonał Jerzego Waszyngtona w bitwie na Long Island. Armia Kontynentalna była zdemoralizowana i bliska rozsypania. Lecz Howe, zamiast pójść za ciosem, zniszczyć wycofujących się rebeliantów i uwięzić Waszyngtona, wstrzymał pościg, dając przeciwnikom czas na ewakuację na Manhattan pod osłoną mgły.

Punktem zwrotnym wojny była wygrana przez Amerykanów bitwa pod Saratogą – właśnie tam wielce zasłużył się generał Tadeusz Kościuszko, który jako armijny inżynier odpowiadał za rozpoznanie terenu i umocnienia – w 1777 roku. Brytyjczycy zamierzali w tym miejscu odciąć radykalną Nową Anglię będącą sercem rewolucji od reszty kolonii. Oddziały generała Johna Burgoyne’a wymaszerowały z Kanady na południe, a generał Howe miał ruszyć z Nowego Jorku na północ, by spotkać się z nim nad rzeką Hudson. Jednak wykonany w Londynie plan nie był wystarczająco wiążący. Howe wierzył, iż zajęcie Filadelfii, stolicy rewolucji, zada jej śmiertelny cios. Zamiast na północ popłynął na południe. Burgoyne został sam, utknął w trudnym terenie i skapitulował pod Saratogą.

Ta klęska przekonała Francję do oficjalnego przyłączenia się do wojny i zawarcia z Waszyngtonem sojuszu militarnego w 1778 roku. Gdyby brytyjscy dowódcy połączyli siły, Nowa Anglia zostałaby odizolowana, rebelia straciłaby zaplecze przemysłowe i finansowe, a Paryż, uznawszy Amerykanów za przegranych, nie wysłałby im pieniędzy ani floty.

Najprostszym sposobem na utrzymanie kolonii po drugiej stronie Atlantyku było niedopuszczenie do wojny.

Większość Amerykanów jeszcze w 1775 roku nie chciała niepodległości – domagali się jedynie takich samych praw, jakie mieli obywatele w Anglii. Król Jerzy III i premier Lord North zlekceważyli petycje kolonistów i uznali ich za zdrajców, co skłoniło umiarkowanych Amerykanów do poparcia radykałów. Gdyby brytyjski parlament zgodził się na powołanie w Filadelfii parlamentu amerykańskiego, który miałby prawo decydować o lokalnych podatkach dla 13 kolonii w zamian za lojalność wobec Korony, nie byłoby powodu do buntu. Bez traumy wojennej rozwój amerykańskiego nacjonalizmu byłby wolniejszy. W tamtym czasie wielu polityków w Londynie – jak William Pitt Starszy, architekt brytyjskiego imperializmu – było otwartych na takie rozwiązanie. Zabrakło woli politycznej po stronie Jerzego III.

Nawet po zwycięstwie nad Brytyjczykami istnienie Stanów Zjednoczonych nie było przesądzone. Okres pomiędzy zakończeniem wojny o niepodległość a uchwaleniem nowej konstytucji, czyli lata 1783–87, nazywany jest „krytycznym”. Rząd centralny był doszczętnie zadłużony, Kongres nie miał prawa nakładać cel ani podatków, w efekcie stany zaczęły toczyć ze sobą wojny handlowe i drukować własną walutę. Doszło do sytuacji, w której milicje stanowe były gotowe strzelać do siebie na granicach z powodu sporów o opłaty celne. Istniało realne ryzyko, że Ameryka Północna rozpadnie się na 13 skłóconych republik-państw, z których każde będzie prowa-



USA250 lat
STANY JESZCZE ZJEDNOCZONE?

KOŚCIUSZKO WYBRAŁ ŹŁE

Gdyby Anglicy wygrali, Adolf Hitler spędziłby życie jako niespełniony artysta na marginesie monachijskiej lub wiedeńskiej bohemy



2025, parada w Schuylerville w stanie Nowy Jork w 248 rocznicę bitwy pod Saratogą, która odmieniła losy wojny o niepodległość

FOOTPRINTS/REUTERS/ALAMY, TIMES UNION VIA GETTY IMAGES

dzic własną politykę zagraniczną i wchodzić w sojusze z europejskimi mocarstwami: Nowy Jork z Anglią, Wirginia z Francją. Przypominałoby to Amerykę Południową.

Co oznaczałoby utrzymanie kolonii pod brytyjską administracją? Rozpatrzmy dwa alternatywne scenariusze.

Pierwszy to balkanizacja. Londyn tłumi bunt siłą i traktuje Amerykę jak podbitą kolonię. Dochodzi do kolejnych chaotycznych rewolucji i wojen secesyjnych, które trwale rozbijają kontynent na kilka rywalizujących państw.

W drugim scenariuszu – realnie rozpatrywanym w XIX wieku – **Londyn, zamiast uciskać Amerykę, pokojowo integruje ją z resztą imperium** w jedno transatlantyczne superpaństwo. Powstaje Zjednoczone Imperium Anglosaskie łączące Wielką Brytanię, Amerykę Północną, Australię, Nową Zelandię i Afrykę Południową, ze wspólnym parlamen-

tem, walutą i armią. Z czasem amerykańskie stany ze względu na demografię i potencjał gospodarczy miałyby tam najwięcej do powiedzenia.

Imperialna Federacja jest hegemonem handlowym i militarnym. W idealnej synergii brytyjski kapitał z londyńskiego City łączy się z amerykańskimi zasobami surowców i przestrzenią produkcyjną. Żadne inne państwo nie jest w stanie rzucić wyzwania flocie, która kontroluje jednocześnie Atlantyk, Pacyfik i Ocean Indyjski. Terytoria podbite – Indie, Nigeria, Egipt – pozostają własnością Federacji, która byłaby zdolna tłumić lokalne powstania skuteczniej i dłużej.

Ryzyko wybuchu pierwszej wojny światowej maleje, bo Niemcy musiałyby liczyć się z potęgą Federacji. Cesarstwo Niemieckie w 1914 roku było państwem autorytarnym, ale rządzone przez racjonalnych dyplomatów i wojskowych, którzy wiedzieli, że są zależni od importu żywności i surowców. Prac do wojny, liczyli na to, że Wielka Brytania po-

zostanie neutralna, a USA utrzymają politykę izolacjonizmu. Prawdopodobnie nie odważyliby się rzucić wyzwania Imperium Brytyjskiemu, wiedząc, że Londyn dysponuje ludźmi i surowcowymi rezerwami z Ameryki. Gdyby jednak to zrobili, Federacja zmobilizowałaby amerykańskich żołnierzy i wysłała ich do Europy natychmiast, a nie dopiero w 1917 roku. Blokada morską Niemiec byłaby szczelna od pierwszego tygodnia. Wojna na froncie zachodnim prawdopodobnie skończyłaby się w kilkanaście miesięcy kapitulacją Berlina, zanim Europa zdążyłaby się wykrwawić. W trakcie konferencji pokojowej Federacja, chcąc trwale osłabić Niemcy i stworzyć stabilny bufor przeciwko Rosji, utworzyłaby niepodległą Polskę najpóźniej w 1916 roku.

Bez pierwszej wojny światowej Europa w latach 30. i 40. XX wieku wyglądałaby inaczej. Konserwatywne monarchie Niemiec, Austro-Węgier i Rosji mimo wewnętrznych tarć przetrwałyby w jakiejś formie dłużej, co zablokowałoby narodziny nowoczesnych to-

Gdyby Ameryka była podporządkowana Londynowi, Brytyjczycy, dbając o równowagę sił, mogliby zostawić ziemie polskie w rękach białej lub czerwonej Rosji albo okrojonych Niemiec

talitaryzmów: faszyzmu i nazizmu. Konflikty pomiędzy imperiami byłyby ograniczone, nie doszłoby do wybuchu drugiej wojny światowej, a Adolf Hitler spędziłby resztę życia jako niespełniony artysta amator żyjący na marginesie monachijskiej lub wiedeńskiej bohemy. Jego dojście do władzy było wynikiem potężnej traumy po katastrofie Wielkiej Wojny. Upokorzenie warunkami pokojowymi traktatu wersalskiego, utrata terytoriów, gigantyczne reparacje finansowe i demilitaryzacja – to było paliwo polityczne NSDAP, którą poparła zubożała klasa średnia.

Zalóżmy jednak, że i bez tego w Niemczech rodzi się jakiś radykalny, rewanżystowski reżim, który w latach 30. chce rzucić wyzwanie światu. Imperialna Federacja nie byłaby tak zrujnowana finansowo, jak Wielka Brytania po klęsce Trzeciej Rzeszy. Żeby kupić z USA broń, amunicję i jedzenie, Londyn musiał upłynnić rezerwy złota i udziały w zagranicznych firmach. Dług z 1945 roku wobec Ameryki Brytyjczycy skończyli spłacać dopiero w 2006 roku.

Gdyby fabryki w Detroit, stocznie w Nowym Jorku i kopalnie w Pensylwanii należały do tego samego państwa, co Londyn, Federacja sfinansowałaby wojnę z własnego budżetu. Nawet jeśli Wyspy Brytyjskie byłyby bombardowane czy blokowane, serce przemysłowe antyniemieckiej koalicji bije bezpiecznie za Atlantykiem.

Drugi front w Europie mógł zostać otwarty wcześniej niż w 1944 roku. Opóźniało się to z powodu tarć między Churchillem, który wołał uderzać przez Balkany, a Amerykanami chcącymi iść najkrótszą drogą przez Francję. W świecie Federacji te dylematy znikają: decyzja zapadałaby w jednym sztabie generalnym.

ZSRR przetrwał ofensywę wojsk Hitlera w dużej mierze dzięki amerykańskiemu programowi Lend-Lease: masowe dostawy ciężarówek, paliwa lotniczego, konserw, szyn kolejowych. W świecie Federacji Imperialnej podejście do Rosji byłoby bardziej wyrachowane: Stalin dostaje surowce i sprzęt, ale w ilościach ściśle porcjowanych, tak aby nie pozwolić Hitlerowi wygrać na wschodzie, ale też nie pozwolić ZSRR urosnąć w siłę. Londyn mógłby w zamian żądać zobowiązania, że po wojnie wschodnia Europa wejdzie do zachodniej strefy wolnego handlu.

Zresztą front zachodni mógłby przełamać opór Trzeciej Rzeszy, zanim Sowieci zdążyliby przekroczyć przedwojenne granice Polski. Wtedy całe Niemcy, Polska, Praga i Budapeszt zostają wyzwolone przez wojska anglo-amerykańskiej Federacji. Europa Środkowo-Wschodnia nie trafia pod but Moskwy. W latach 40. stajemy się normalną, zachodnią demokracją parlamentarną, beneficjentem wolnego handlu, bez dekad komunistycznej cenzury i zacofania gospodarczego. Związek Radziecki jest wyniszczony i zadłużony. Zimnej wojny w znanej nam formie w ogóle nie ma, bo Moskwa nie ma sił, by rzucić wyzwanie zjednoczonemu imperium anglosaskiemu.

W scenariuszu balkanizacji Ameryki byłoby zupełnie inaczej. Państwa amerykańskie są zbyt zajęte własnymi konfliktami granicznymi i rywalizacją o surowce, by mieszać się



• „Waszyngton forsuje rzekę Delaware”, obraz Emanuela Leutzego z połowy XIX wieku FOT. DOMENA PUBLICZNA

w sprawy Europy. Bez zaangażowania amerykańskich konwojów niemieckie łodzie podwodne odcinają Wyspy Brytyjskie od zaopatrzenia. Społeczeństwo zaczyna głodować, fabryki nie mają z czego produkować amunicji. W 1918 roku wycieńczone strony podpisują „pokój z rozsądku”. Niemcy zachowują dominację w Europie Środkowej, a Francja i Brytania, skrajnie zadłużone i na skraju rewolucji społecznych, wycofują się na własne podwórka.

Rosja carska mogła upaść nawet bez pierwszej wojny światowej. Państwo polskie powstałoby, ale jako satelita Berlina – okrojone terytorialnie i całkowicie zdominowane przez niemiecką gospodarkę i armię.

Druga wojna wybuchłaby jako próba odwetu na Niemcach. Skrajna bieda, bezrobocie i poczucie narodowej hańby doprowadzają do upadku demokracji w Paryżu i Londynie.

Miejsce dotychczasowych rządów zajmują radykalne faszystowskie lub ultranacjonalistyczne reżimy budujące swoją popularność na rewanżyzmie. Także Rosja – czy to komunistyczna pod wodzą Stalina, czy biała, rządzona przez wojskowego dyktatora – nie chce się pogodzić z hegemonią Niemiec i prze na zachód, aby odzyskać dawne strefy wpływów. Paryż i Londyn atakują ze swojej flanki, chcąc odzyskać pozycję mocarstwową i zniszczyć niemiecką flotę oraz przemysł.

Ponieważ Ameryka Północna nie przysyła wsparcia, ofensywa francusko-brytyjska szybko utyka i zamienia się w krwawą wojnę pozycyjną.

Rosji idzie lepiej: zajmuje kontrolowaną przez Niemców Ukrainę i Białoruś, a głównym polem bitwy są ziemie polskie, które zostają kompletnie zniszczone.

Wojna kończy się porażką Berlina, ale stro na zachodnia wychodzi z niej słabsza, niż była realnie w 1945 roku, za to strefa kontroli Moskwy rozciąga się dalej na zachód. Bez amerykańskiego nacisku i wobec słabości zrujnowanego Zachodu, Polska zostaje wchłonięta jako kolejna republika ZSRR, tracąc szansę na podmiotowość.

Po drugiej wojnie światowej Wielka Brytania stała się graczem drugiej ligi, a na scenę wkroczyły dwa nowe supermocarstwa – USA i ZSRR – nominalnie przeciwne kolonializmowi. Moskwa karmiła ruchy niepodległościowe w Trzecim Świecie, Waszyngton w zamian za

pomoc finansową żądał od Londynu otwarcia rynków kolonialnych dla amerykańskich towarów.

W scenariuszu wszechpotężnej Federacji Imperialnej kolonie byłyby wspólnym dobrem i wspólnym rynkiem zbytu dla brytyjskich i amerykańskich fabryk. Nikt nie zmuszałby Federacji do oddawania Indii czy Afryki. Dekolonizacja by się opóźniła.

Ale nawet z potężnym zapleczem w Ameryce Północnej Imperium Brytyjskie, „nad którym słońce nie zachodzi”, nie miało szans przetrwać do dzisiaj. Dekolonizacja była procesem nieuchronnym, napędzanym przez czynniki, których Londyn nie mógł kontrolować na dłuższą metę.

Utrzymanie armii i administracji w Indiach, Afryce i Ameryce wymagało gigantycznych nakładów finansowych. W XX wieku, wraz z upowszechnieniem nowoczesnej komunikacji, tłumienie lokalnych ruchów oporu było zbyt kosztowne. Edukacja lokalnych elit, które Brytyjczycy sami musieli kształcić do pomocy w administracji, nieuchronnie prowadziła do żądań samostanowienia. Lecz Federacja przeprowadziłaby dekolonizację na własnych warunkach. Nie byłoby tam miejsca na wpływy komunistyczne – nowo powstałe państwa afrykańskie i azjatyckie byłyby całkowicie uzależnione ekonomicznie od anglosaskiego bloku. Federacja utrwaliliby hierarchiczny porządek rasowy, który w realnej hi-

storii został podważony dopiero po 1945 roku. Nie byłoby Holokaustu, za to instytucje międzynarodowe, na czele z ONZ, albo by nie powstały, albo byłyby jedynie teatrem marionetek sterowanych z Londynu i Waszyngtonu.

Zauważmy, że do takiego porządku rzeczy zmierza polityka Donalda Trumpa, sprzedawana pod hasłem powrotu do „wielkiej Ameryki”. To podwójny paradoks, bo to świat bez niepodległych Stanów Zjednoczonych byłby bardziej konserwatywny i prawdopodobnie znacznie mniej demokratyczny. Precedensowy sukces rewolucji z 1776 roku dowiódł, że obywatela mogą sami decydować o swoim losie bez króla czy cesarza.

Amerykańska Deklaracja Niepodległości była ideologicznym paliwem dla ruchów republikańskich na całym świecie. Bez tego monarchie europejskie czułyby się pewnie, a idee oświeceniowe byłyby traktowane jako utopia. Francja Ludwika XVI wydała astronomiczne sumy na finansowanie amerykańskich rebeliantów, co popchnęło kraj ku bankructwu i rewolucji z 1789 roku. Bez wojny w Ameryce francuska monarchia zyskałaby czas na reformy. Jeśli rewolucja w ogóle by wybuchła, to później i miałaby łagodniejszy przebieg.

Sukces buntu przeciwko Londynowi był też inspiracją dla kreolskich elit w Ameryce Łacińskiej. Bez niego, zamiast ogłaszać niepodległość, prawdopodobnie pozostałyby lojalne wobec Madrytu. Imperium Hiszpańskie w Ameryce mogło przetrwać całe XIX stulecie. Albo – w scenariuszu bałkanizacji na północy – stać się polem bitwy dla innych europejskich potęg, które traktowałyby ten region tak jak Afrykę po podziale z 1884 roku. Zamiast niepodległych państw mielibyśmy niemieckie, francuskie i brytyjskie protektoraty lub kolonie górnicze.

W 1823 roku USA ogłosiły, że jakakolwiek interwencja europejska w obu Amerykach będzie traktowana jako akt agresji wobec Waszyngtonu. Ta tak zwana doktryna Monroe jest przedstawiana jako przykład amerykańskiego imperializmu, jednak uratowała młode republiki latynoamerykańskie przed rekonkwistą z Europy.

USA stoczyły w latach 1846-48 wojnę z Meksykiem, w wyniku której odebrały mu połowę terytorium. To dzisiejszy Teksas, Kalifornia, Arizona, Nevada, Utah i Nowy Mek-

syk. Jeśli 13 kolonii pozostałoby brytyjskich, Londyn pewnie przestrzegłby ustaleń z Indianami i blokował osadnictwo na Zachodzie – zgodnie z brytyjską proklamacją z 1763 roku, która zakazywała kolonistom osiedlania się na zachód od Appalachów. Londyn chciał zachować monopol na handel futrami i uniknąć kosztownych wojen z tubylcami. Był to jeden z głównych powodów wybuchu rewolucji.

W efekcie Meksyk mógłby wyrosnąć na największą potęgę Ameryki Północnej. Choć wewnętrznie niestabilny, stałby się naturalną przeciwwagą dla brytyjskich posiadłości na północy i ważnym partnerem handlowym dla Europy kontynentalnej. Dla Londynu byłby przydatnym buforem oddzielającym brytyjską Amerykę od wpływów francuskich i hiszpańskich. Dopóki Meksyk sprzedawałby Brytyjczykom srebro, surowce i pozwalał na wolny handel, Londyn nie miał powodu, by go niszczyć.

Brytyjczycy w XIX wieku doszli do wniosku, że podboje militarne są nieopłacalne. Imperialna Federacja postępowałaby w zgodzie z tą logiką. Lepiej pozwolić Hiszpanii czy Portugalii formalnie rządzić swoimi koloniami, a jednocześnie całkowicie uzależnić je od brytyjskich kredytów, technologii i handlu. Pozostawienie zachodu kontynentu Meksyko- wi, a południa hiszpańskim i lokalnym elitom – przy jednoczesnym kontrolowaniu ich finansów i handlu morskiego – było najtańszym i najsukursowniejszym sposobem na rządzenie światem.

Gdyby jednak w Ameryce Południowej doszło do rewolucji lub gdyby inne mocarstwo próbowało założyć tam twardą kolonię, potężna brytyjska marynarka wojenna natychmiast zablokowałaby tamtejsze porty. Kraje takie jak Argentyna, Chile czy Kolumbia mogłyby formalnie uzyskać niepodległość w sytuacji uwięzienia imperium hiszpańskiego, ale ich gospodarki byłyby sterowane z Londynu.

O wyobrażenie sobie konsekwencji dla porzecznej Polski poprosiliśmy Macieja Górnegor z Instytutu Historii PAN.

– Za najważniejsze efekty zepchnięcia historii USA z jej torów uważam zmiany w wyobraźni politycznej. Fakty są pochodną nieskończonej liczby okoliczności, królowie i politycy umierają bezpotomnie, dławią się pestkami czereśni albo dożywają późnej staro-

Głównym problemem brytyjsko-amerykańskiego superpaństwa nie jest obrona przed wrogiem, ale logistyka i biurokracja. Federacja Imperialna nie potrzebuje miniaturowych procesorów do rakiet, a potężnych maszyn do przetwarzania rządowych danych. Przeciętny obywatel w latach 80. XX wieku wciąż używa analogowej maszyny do pisania

ści, za każdym razem uruchamiając nowe warianty przyszłości. Żeby jednak realizować jakąś politykę, ludzie muszą najpierw umieć ją sobie wyobrazić. Rewolucja amerykańska, która pali na panewce, znacząco zubaża zasób idei, na których oparła się półtora wieku później niepodległość Polski – tłumaczy laureat Nagrody Klio, autor książki „Matka wynalazków. Jak Wielka Wojna urządza nam życie”.

Jakie byłyby reperkusje w wariancie anglosaskiej Federacji?

– Jeśli rewolucja w Paryżu nie wybucha wcale bądź przyjmuje znacznie łagodniejszą formę, z mapy Europy znika najważniejszy punkt krystalizacyjny polskiej emigracji. Owszem, uchodźcy z ziem polskich dalej znajdą schronienie we Francji – a także w Saksonii, pierwszym centrum emigracji politycznej po upadku Rzeczypospolitej – ale umiarkowana polityka francuskiej monarchii konstytucyjnej nie dopuszcza do powstania jednostek wojskowych złożonych z poddanych obcych państw – mówi historyk.

Nie ma Legionów, nie ma też ich pieśni; słowa „póki my żyjemy” nie stają się inspiracją dla XIX-wiecznych nacjonalizmów, które właśnie z Polaków czerpały wzór. Czy w takiej sytuacji „sprawa polska” miałaby w ogóle szansę przetrwać?

– W jakiejś formie zapewne tak, skoro niepodległości dorobiły się Litwa, Łotwa czy Estonia. Prawdopodobnie jednak charakter ruchu narodowego uległby zmianie: mniej powstań, więcej „pracy organicznej”, być może stopniowa utrata elit na rzecz mocarstw rozbiorowych – rozważa badacz. – Tym bardziej że bez rewolucji francuskiej restauracja nie nabrałaby tak represyjnego charakteru. Bojownicy Wiosny Ludów i ich spadkobiercy utraciliby szansę na zmobilizowanie społecznego poparcia. Mieliby przeciw sobie oświeconych monarchów, a nie reakcyjnych tyranów.

Ta zmiana miałaby wpływ na cały nasz region.

– Skoro nacjonalizmy Europy Środkowo-Wschodniej nie stałyby się tak wcześniej przedmiotem rozgrywki międzynarodowej, hasło samostanowienia narodów nie znalazłoby zbyt wielu odbiorców. Być może rozgrywki mocarstw toczące się w Europie sięgnęłyby po takie narzędzie mobilizacji, mogłyby się jednak również bez niego obyć – sądzi Górny.

– Pewną rolę w tej decyzji mogłaby odegrać polska diaspora w dawnych brytyjskich koloniach, przede wszystkim w Ameryce. Jednak zasada legitymizmu i tradycja dla Londynu polityka równowagi kontynentalnej sprawiłyby, że jakakolwiek zasadnicza przebudowa Europy Środkowo-Wschodniej mogłaby nastąpić dopiero w sytuacji nadzwyczajnej – na przykład jakiejś rewolucji, powiedzmy w Rosji. Polska odrodzona w wyniku interwencji mocarstw otrzymałaby zapewne granice etnograficzne, czyli na wschodzie niewiele dalej niż obecnie, a na zachodzie do Wielkopolski włącznie.

Bez niepodległej Ameryki nasza walka o wolność miałaby słabsze podstawy również dlatego, że polscy reformatorzy byli zafascynowani amerykańską wojną o suwerenność – Kościuszko wrócił zza oceanu jako bohater. Polska odzyskała niepodległość po pierwszej wojnie światowej między innymi dzięki stanowisku prezydenta USA Woodrowa Wilsona. Gdyby Ameryka była podporządkowana Londynowi, Brytyjczycy, dbając o równowagę sił, mogliby zostawić ziemie polskie w rękach białej lub czerwonej Rosji albo okrojonych Niemiec.

Na przełomie XIX i XX wieku miliony Polaków uciekli przed biedą z Galicji i Kongresówki do Stanów Zjednoczonych. Gdyby Ameryka pozostała zbiorem brytyjskich prowincji z restrykcyjnym prawem imigracyjnym, nie byłoby emigracji za ocean w tak masowej skali. To potęgowałoby napięcia społeczne w Europie. Skutkiem byłoby przelud-

nienie polskich wsi, jeszcze większa nędza i podatność na radykalne ideologie, jak komunizm czy anarchizm. Nie byłoby też pomocy materialnej od Polonii amerykańskiej ani od rządu USA po wojnach światowych.

Rozpatrzmy teraz wariant bałkanizacji Ameryki.

Maciej Górny uważa, że nie wyklucza on istnienia silnej polskiej diaspory tamże, jeśli założymy, że państwa na terenie dzisiejszych USA rozwijają się w różnym tempie, uzależnionym od położenia, bogactw naturalnych i typu gospodarki.

– Nowa Anglia staje się potęgą przemysłową przyciągającą migrację z całego świata. Kalifornia to drugie centrum przemysłu i handlu. Południe pozostaje przy systemie latyfundiwnym, powoli odchodząc od niewolnictwa, mniej więcej tak, jak to się stało w Brazylii. Ze względu na swój rozmiar każde z tych państw staje się bardziej podatne na przejściową dominację jednej lub kilku konkretnych grup migrantów. Melting pot – tygiel kulturowy – działa, ale dużo wolniej niż w rzeczywistych Stanach – mówi historyk. – W takich warunkach rośnie prawdopodobieństwo, że któreś z niepodległych amerykańskich państw staje się niemal drugą Polską.

Ewentualnie – uwzględniając historyczne wzorce migracji z ziem polskich – Niemco-Polską, bo przybyłoby z ziem polskich zazwy-

Gdyby Ameryka pozostała zbiorem brytyjskich prowincji, nie byłoby masowej emigracji za ocean. Skutki: przeludnienie polskich wsi, jeszcze większa nędza i podatność na radykalne ideologie, jak komunizm czy anarchizm. Nie byłoby też pomocy materialnej od rządu USA po wojnach światowych

czaj osiedlali się w tych samych okolicach, co Niemcy, trochę jak Kargul z Pawlakiem.

– Takie państwo, w miarę swoich skromnych możliwości, ingeruje w sprawę polską na starym kontynencie, funduje przedsięwzięcia naukowe i kulturalne, oferuje refugium dla działaczy politycznych prześladowanych przez zaborcze rządy. To istotny potencjał, możliwy do wykorzystania w sprzyjających warunkach, kiedy na przykład międzynarodowe kongresy rozstrzygać będą kwestie graniczne i ochrony mniejszości po jakiejś wielkiej wojnie w Europie – dodaje Górny.

Jego zdaniem wobec przewagi technologicznej i ludnościowej nad resztą kontynentu Niemcy mogłyby stać się w Europie hegemonem z kompleksem niższości – bo odgrywałyby mniejszą rolę w polityce niż w gospodarce i nauce – co prowadziłoby do wybuchu Wielkiej Wojny, lecz bez udziału USA. – Tu nie potrzeba budować scenariuszy, wystarczy przypomnieć fakty: Niemcy w 1918 roku wygrały wojnę na wschodzie Europy, podpisały pokój brzeski z bolszewicką Rosją, uznały niepodległą Ukrainę, a wcześniej jesienią 1918 roku szkowały się do utworzenia szeregu podporządkowanych sobie, monarchicznych państewek od Finlandii po Rumunię – wylicza Górny.

– Bez udziału Stanów w walkach na froncie zachodnim nie dochodzi do załamania, a pokój zostaje zawarty na niemieckich warunkach. Istniejące od 1916 roku państwo polskie to jeden z elementów Pax Germanica, nowego systemu obejmującego całą Europę Środkowo-Wschodnią – kontynuuje historyk.

– Jego sytuację komplikuje liczna mniejszość polska na terytorium Rzeszy. Rosnący w siłę niemiecki nacjonalizm straszy Polakami, którzy rzekomo mnożą się jak króliki i stanowią nieustanne zagrożenie. Ich pozycja coraz bardziej przypomina sytuację mniejszości ukraińskiej w Drugiej Rzeczypospoli-

tej, nie zatem dziwnego, że w kraju powstają organizacje terrorystyczne, zresztą korzystające z funduszy jednego z amerykańskich państw. Spirala przemocy rozkręca się, angażując międzynarodową opinię publiczną. W końcu dochodzi do porozumienia, zgodnego z którym Wielkopolska zyskuje autonomię, a polscy Ślązacy prawo do polskiej szkoły. To kruchy kompromis, ale pozwala ludziom zaznać chociaż trochę spokoju. Efekt uboczny: mieszkańcy ziem polskich są z reguły co najmniej dwujęzyczni.

Gdyby Stany nie były zjednoczone, technologia rozwijałaby się wolniej z powodu braku efektu skali i braku jednolitego rynku.

Linie kolejowe w Teksasie mogłyby mieć inny rozstaw szyn niż w brytyjskiej Wirginii, inne napięcie sieci elektrycznej. Brak standaryzacji drastycznie podnosi koszty produkcji i spowalnia wdrażanie innowacji na masową skalę. Ponadto żadne z małych państw amerykańskich nie udźwignęłoby samodzielnie kosztów kolei transkontynentalnej, budowy autostrad międzystanowych, programów kosmicznych czy wojskowego projektu ARPANET, który był przodkiem Internetu. Brytyjskie Imperium wolałoby inwestować w infrastrukturę bliżej Londynu lub w Indiach.

Natomiast w świecie Federacji Imperialnej rozwój technologiczny nie tylko by nie zwolnił, ale mógłby wyprzedzić nasze czasy. Federacja wprowadziłaby jednolite standardy.

Nie byłoby barier patentowych i celnych: wynalazca z Bostonu natychmiast wdraża swój pomysł w fabrykach w Manchesterze. Kapitał z londyńskiego City finansuje laboratoria badawcze i produkcję w Chicago czy Toronto bez ryzyka kursowego. Układanie kabli telegraficznych, a później telefonicznych na dnach oceanów jest priorytetem państwowym, co skutkuje rewolucją komunikacyjną. Automatyzacja, komputery, internet, podbój kosmosu – wszystko to mogłoby powstać wcześniej.

Albo przeciwnie. Część futurologów uważa, że gdybyśmy usunęli z historii zimną wojnę, rozwój technologiczny poszedłby w innym kierunku. Federacja Imperialna kontrolowałaby ćwierć świata, setki milionów ludzi, tysiące fabryk i linii kolejowych na kilku kontynentach. Głównym problemem takiego superpaństwa nie byłaby obrona przed wrogiem, ale logistyka i biurokracja. Federacja potrzebowałaby potężnych maszyn do przetwarzania danych w rządowych i bankowych centrach w Londynie, Nowym Jorku czy Melbourne. Przeciętny obywatel w latach 80. XX wieku wciąż używałby analogowej maszyny do pisania.

Dzisiejszy świat technologii informatycznych i wiele innych wynalazków technicznych powstało w USA dzięki zamówieniom z Pentagonu. Najlepszym przykładem są mikroprocesory i układy scalone. Na początku lat 60. komercyjny biznes nie potrzebował małych komputerów, zadowalały go szafy stojące w piwnicach biurowców. To wojsko potrzebowało miniaturyzacji. Aby wsadzić system naprowadzania do rakiety balistycznej albo do kapsuły programu „Apollo”, komputer musiał ważyć kilogramy, a nie tony. Koszt nie grał roli.

Również logika stojąca za komutacją pakietów – podziałem danych na małe paczki, które same szukają drogi w sieci – była militarna. Internet w znanej nam formie – otwarty, zde-

centralizowany – mógłby w ogóle nie powstać, a świat polegałby na zamkniętych, centralnie sterowanych sieciach telekomunikacyjnych należących do państwowych monopolii. Dolina Krzemowa bez kontraktów z Pentagonem pewnie pozostałaby tym, czym była na początku XX wieku – doliną sadów owocowych.

– Moglibyśmy przegapić nie tylko wojny napoleońskie, ale także wojny światowe. Z drugiej strony przegapilibyśmy również kopniaka w tyłek, jakiego wojny dają technologii i medycynie. Moglibyśmy stracić tyle samo żyć uratowanych w realnym świecie dzięki postępowi medycyny, ile straciliśmy w naszych wielkich wojnach – zauważył w wywiadzie dla „The Atlantic” Harry Turtledove. Ten historyk z Kalifornii jest autorem książek opisujących dwie alternatywne historie Ameryki: przy „dwóch Jerzych” rewolucja nigdy nie wybuchła, ponieważ Waszyngton i król Jerzy III dogadali się i stworzyli wspólne imperium, zaś w „Niezjednoczonych Stanach” rewolucja była, ale nie stworzono spójnego państwa.

Gdyby Stany Zjednoczone nie powstały w 1776 roku i nie zostały wchłonięte przez Federację Imperialną, mogły powstać przy innych, późniejszych okazjach.

Pierwszą były wojny napoleońskie. Na początku XIX wieku Wielka Brytania rzuciła na ten odcinek wszystkie siły. Podobnie jak kolonie hiszpańskie w Ameryce Południowej wykorzystywały słabość Madrytu do ogłaszania niepodległości (1810-25), kolonie amerykańskie mogły podnieść bunt, wiedząc, że Londyn nie ma wolnych żołnierzy, których mógłby wysłać za Atlantyk.

Drugim takim momentem była rewolucja przemysłowa i konflikt celny (około 1840-50). Brytyjski parlament zdominowany przez interesy rodzimych przemysłowców i landlordów narzucał koloniom niekorzystne cła, traktując Amerykę jako tanie zaplecze surowcowe i rynek zbytu dla brytyjskich fabryk. Bogacąca się burżuazja z Nowego Jorku, Bostonu i Filadelfii w pewnym momencie mogłaby wzniecić bunt o podłożu czysto ekonomicznym. W połowie XIX wieku Ameryka miała już własne huty, linie kolejowe i miliony mieszkańców – Brytyjczycy, usiłując opanować rewolucję, byłiby w trudniejszej sytuacji niż w czasach Jerzego Waszyngtona.

Wrażliwym momentem mogło być też zniesienie niewolnictwa przez Wielką Brytanię, co nastąpiło w roku 1833. Gdyby kolonie amerykańskie pozostały pod władzą Londynu, plantatorzy z Południa zostaliby zmuszeni do uwolnienia niewolników w tym samym czasie. Choć wywołałoby to ogromny opór i lokalne rebelie, brytyjska armia spacyfikowałaby je z pomocą milicji z kolonii północnych. Jednak w scenariuszu bałkanizacji jest możliwe, że Południe ogłosiłoby niepodległość, podczas gdy stany północne miałyby wynegocjowaną z Londynem autonomię. Kontynent pękłby na pół.

Z książek i filmów o podróżach do przeszłości, jak również z teorii chaosu, wiemy, że nawet najmniejsza i z pozoru nieistotna zmiana w warunkach początkowych jakiegoś układu może z czasem wywołać lawinę ogromnych, nieprzewidywalnych konsekwencji. Nie da się z dużą pewnością przewidzieć, jak wyglądałby świat bez Deklaracji Niepodległości i bez separacji Ameryki od Brytanii. Oprócz przedstawionych scenariuszy każdy może wyśnić nieskończoną liczbę alternatyw.

Niemniej należy przyjąć, że kontynent tak ogromny i bogaty w surowce jak Ameryka Północna, oddzielony od Europy wielkim oceanem, nie mógł wiecznie pozostać prowincją europejskiej wyspy. Nawet jeśli Jerzy Waszyngton zostałby schwytany i ścięty w 1776 roku, trzydziści lub pięćdziesiąt lat później pojawiłby się inny lider, który dokończyłby jego dzieło.

Stany Zjednoczone były skazane na powstanie – zmieniłyby się tylko data, granice i okoliczności. ●

Radosław Korzycki*

John F. Kennedy zostaje zaprzysiężony na prezydenta i powołuje Korpus Pokoju [agencję pomagającą słabiej rozwiniętym krajom]. Zimna wojna zaraz wejdzie w jeden z najostrzejszych wiry.

Powstaje pierwsza wersja muru berlińskiego. 11 kwietnia zaczyna się proces Adolfa Eichmanna, a Hannah Arendt jedzie do Jerozolimy relacjonować wydarzenie jako korespondentka „New Yorkera”. Owocem tej podróży będzie książka, która zmieni spojrzenie na Shoah, wprowadzając koncepcję „banalności zła” i pokazując, że za systemową zagładą kryli się nie tylko demoniczni fanatycy, lecz także posłuszni biurokraci.

12 kwietnia Jurij Gagarin na statku Wostok 1 odbywa pierwszy w historii ludzkości lot na orbitę okołozemską. Ameryka odpowie programem Apollo.

W październiku policja paryska dokonuje masakry protestujących Algierczyków. Gine co najmniej 50 osób, a rok później Algieria, po 132 latach kolonizacji, uzyska niepodległość. U nas lipiec przynosi narodziny 30-milionowego obywatela Polski, żywy dowód mozolnego odradzania się kraju po wojennej hekatombie. „Matka Joanna od Aniołów” Kawalerowicza dostaje nagrodę w Cannes.

Jest rok 1961.

Talent dozwolony, sparaliżowany

Tymczasem w West Barnstable w Massachusetts, na półwyspie Cape Cod, odnoszący od dekady skromne sukcesy literackie były piarowiec General Electric, 39-letni Kurt Vonnegut, publikuje opowiadanie „Harrison Bergeron”.

I tu przenosimy się o 120 lat później. Ameryka osiągnęła pełną równość. „Był rok 2081 i wszyscy wreszcie stali się równi. Nie tylko wobec Boga i prawa. Byli równi we wszystkim. Nikt nie był mądrzejszy od innych. Nikt nie wyglądał lepiej. Nikt nie był silniejszy ani szybszy. Równość ta była zasługą 211., 212. i 213. poprawki do konstytucji, a także niesłabnącej czujności agentów Ministerstwa Równości Stanów Zjednoczonych” - zaczyna narrator.

W niedawnej książce-rozmowie „Równość. Dlaczego jest ważniejsza niż myślisz” francuski ekonomista Thomas Piketty z EHESS [Szkoła Zaawansowanych Badań w Naukach Społecznych w Paryżu] i filozof z Harvardu Michael J. Sandel dają nam najszlachetniejsze współczesne definicje równości, jakie możemy sobie wyobrazić. Ta cnota jest fundamentem ludzkiej godności, sprawczości oraz przetrwania demokracji; wykracza daleko poza sam stan posiadania. Do tego dla Piketty’ego równość realizuje się na poziomie strukturalnym, poprzez sprawiedliwą dystrybucję dóbr, progresywne podatki oraz powszechny dostęp do edukacji i ochrony zdrowia.

Sandel upatruje esencji równości w odrzuceniu pychy meritokratycznych elit, w odbudowie godności pracy oraz w dzieleniu wspólnych przestrzeni społecznych przez obywateli z różnych klas. Sprawiedliwe społeczeństwo to nie utopijny system pełnego egalitaryzmu, lecz taka wspólnota, która każdemu gwarantuje poczucie równego startu, szacunku i politycznego głosu.

Tymczasem w Ameryce z „Harrisona Bergerona” równość obejmuje inteligencję, urodę, sprawność fizyczną. Ludzie wybitni noszą ciężarki utrudniające ruch. Piękne baletnice zakrywają twarze maskami. Inteligentni obywatele mają w uszach urządzenia emitujące przeźrliwe dźwięki, aby nie mogli myśleć zbyt długo i głęboko. Talent pozostaje formalnie dozwolony, ale praktycznie sparaliżowany.

Wyczulony na absurd życia

Przez lata czytano to opowiadanie jako libertariańską satyrę na egalitaryzm. Dziś to wyda-

Adam Michnik poleca

CI OKROPNI EKSPERCI

W amerykańskiej demokracji człowiek nie musi być formalnie cenzurowany, żeby nauczył się milczeć, upraszczać język, ukrywać ambicje



• Fastfood w Białym Domu - tak stołował się prezydent pod nieobecność personelu kuchennego podczas shutdownu, czyli zawieszenia pracy instytucji i służb federalnych wskutek impasu budżetowego w Kongresie FOT. JOYCE N. BOGHOSIAN/OFFICIAL WHITE HOUSE

je się zbyt proste. Vonnegut nie atakuje nowoczesnej socjaldemokracji ani samej idei politycznej równości. Nie szydzi z państwa opiekuńczego, związków zawodowych czy progresywnego opodatkowania. Píše o czymś bardziej niepokojącym: o społeczeństwie, które coraz gorzej znosi asymetrię.

Pisarz nie był konserwatystą ani libertarianinem, choć próbowała go sobie przywłaszczyć prawica. Cechowała go głęboka podejrzliwość wobec wszelkich wielkich ideologii, a jednocześnie był wyczulony na upokorzenie, samotność i absurd nowoczesnego życia.

Walczyl w II wojnie światowej, przeżył bombardowanie Drezn jako jeńiec wojenny i do końca życia pozostał sceptyczny wobec państwa, technokracji oraz języka postępu.

Fascynowała go amerykańska kultura masowa, ale jednocześnie budziła w nim lęk: przed infantylizacją społeczeństwa, zanikiem refleksji i światem, w którym ludzie coraz bardziej przypominają odbiorców bodźców niż obywateli.

To dlatego opowiadanie napisane ponad 60 lat temu brzmi dziś zaskakująco współcześnie.

Intelektualiści, gorszy sort

Szczególnie wyraźnie widać to w stosunku do wiedzy eksperckiej. U Vonneguta inteligencja staje się czymś podejrzanym, a wyróżnianie się ponad przeciętność wymaga kontroli. Trump od lat buduje część politycznej narracji na nieufności wobec ekspertów: klimatologów, epidemiologów, profesorów, służby cywilnej, z której profesjonalizmu i niezależno-

ści Ameryka przez ostatnich sto lat była niezwykle dumna, czy mediów głównego nurtu.

Jego słynne „The experts are terrible” (eksperci są straszni/fatalni) mogłoby posłużyć za ilustrację tez Richarda Hofstadtera z nagrodzonego Pulitzerem eseju „Anti-Intellectualism in American Life” z 1963 r., opisującego głęboko zakorzenioną w kulturze USA podejrzliwość wobec intelektualistów i specjalistów.

Stawką nie są konkretne spory dotyczące klimatu, zdrowia publicznego czy gospodarki. W tle pulsuje trumpowska doktryna, że sama ekspercka wiedza jest formą elitarności oddzielającą jej posiadaczy od reszty społeczeństwa i szkodzącą równości z wyobraźni Trumpa.

Podobna logika pojawia się w sporach wokół uniwersytetów. Jeszcze niedawno najważniejsze amerykańskie uczelnie uchodziły za źródło narodowej dumy i symbol przewagi cywilizacyjnej. W ostatnich latach przedstawiane są jako ideologiczne bastiony przeciwnika.

Rząd obecnego prezydenta prowadzi działania wymierzone w programy promujące intelektualną różnorodność, ogranicza granty badawcze i wywiera presję na środowiska akademickie. W tej opowieści problemem nie jest wyłącznie treść prowadzonych badań czy poglądy części wykładowców. Podejrzane stają się same instytucje produkujące i pielęgnujące wiedzę, ponieważ należą do świata kosmopolitycznych i przez to nieamerykańskich elit.

Jeszcze ciekawsze wydaje się podobieństwo dotyczące koncentracji i uwagi. George Bergeron, oglądający przedstawienie baletowe w telewizji ojciec tytułowego bohatera - niezwykle uzdolnionego 14-latkę, który jakiś czas temu po prostu zniknął - nie potrafi utrzymać jednej myśli dłużej niż kilka sekund. Każda próba sku-

pienia zostaje przerwana przez kolejny ogłuszający sygnał.

Dziś podobny efekt osiąga nie aparat państwa, lecz cały, sprywatyzowany dzięki serwisom społecznościowym ekosystem medialny. Trump okazał się politykiem wyjątkowo sprawnie poruszającym się w logice algorytmu.

Skandale, gwałtowne zwroty akcji, nowe konflikty, prowokacyjne wypowiedzi i niekończący się strumień komunikatów tworzą środowisko, w którym uwaga społeczna zostaje rozbita na tysiące krótkotrwałych impulsów i bodźców. Refleksja ustępuje miejsca reakcji, a dłuższe skupienie staje się coraz trudniejsze.

Prawdy, półprawdy, szum

Temu procesowi towarzyszy uproszczenie języka polityki. W wypowiedziach Trumpa ludzie nie są skomplikowani. Są geniuszami albo idiotami, zwycięzcami albo przegranymi, patriotami albo zdrajcami. Podejście prezydenta do dobra i zła jest wręcz gnostyckie.

Przeciwnicy polityczni stają się „evil” (złem), „human garbage” (ludzkimi śmieciami), „traitors” (zdrajcami) lub „the enemy within” (wewnętrzny wrogami). Taki język redukuje wielowymiarową rzeczywistość do zestawu emocjonalnych etykiet. U Vonneguta podobne uproszczenie stanowi jeden z fundamentów dystopii. Świat staje się łatwiejszy do zarządzania, kiedy znika z niego złożoność.

Z tej perspektywy znaczenia nabiera epoka „alternative facts”. U Vonneguta obywatelom fizycznie utrudnia się myślenie. W realnej polityce ten efekt może pojawić się wtedy, gdy przestrzeń publiczną zalewają sprzeczne narracje, teorie spiskowe, półprawdy. Człowiek nie traci zdolności rozumowania, lecz coraz trudniej przychodzi mu oddzielenie faktów od hałasu.

Zbyt inteligentny, nie lubimy go

W tle tych zjawisk znajduje się nieufność wobec wybitności. W wielu środowiskach związanych z ruchem MAGA sceptycyzm budzą instytucje Ivy League, eksperci, dziennikarze, artyści i przedstawiciele świata kultury. Ich pozycja bywa traktowana jako dowód odezwania od „prawdziwej Ameryki”.

Alexis de Tocqueville dostrzegał podobne napięcie już w XIX w. Demokracja, pisał, rodzi silne przywiązanie do równości, ale jednocześnie może prowadzić do niechęci wobec tych, którzy wybijają się ponad przeciętność. U Vonneguta intuicja ta przybiera formę groteski. W Ameryce Trumpa można dostrzec niektóre z tych samych odruchów.

W tym sensie najbardziej vonnegutowską postacią nie jest 47. prezydent USA, lecz obywatel zanurzony w nieustannym strumieniu bodźców, coraz mniej zdolny do odróżniania wiedzy od opinii, refleksji od reakcji i rzeczywistości od hałasu. Vonnegut uchwycił napięcie, które dużo wcześniej opisywał de Tocqueville.

Francuski myśliciel uważał, że demokracje nie mają wyłącznie problemu z koncentracją władzy. Prawdziwym zagrożeniem może stać się miękki konformizm większości. Społeczeństwo egalitarne zaczyna podejrzliwie patrzeć na ludzi odstających od normy: zbyt inteligentnych, zbyt wykształconych, zbyt ekscentrycznych, zbyt wpływowych.

Tocqueville nie obawiał się tylko państwa. Interesowała go presja opinii publicznej. W demokracji masowej człowiek nie musi być for-



Milioner nie musi być obiektem powszechnej niechęci, bo w mitologii USA każdy może być milionerem. Znacznie większy dyskomfort wywołuje ktoś, kto sprawia wrażenie, że jest mądrzejszy od innych

malnie cenzurowany, żeby nauczył się milczeć, upraszczać własny język albo ukrywać ambicję. Dlatego „Harrison Bergeron” nie przypomina klasycznej dystopii totalitarnej. To opowieść o społeczeństwie, które samo zaczyna bać się różnicy.

Hierarchia? To podejrzane

Lecz pokusa zrównywania wszystkiego ze wszystkim nie jest domeną trumpizmu. Pojawia się i po drugiej stronie wojny kulturowej.

Przez ostatnie dekady wiele środowisk akademickich i kulturalnych podjęło wysiłek poszerzania kanonu. Trudno kwestionować sens przywracania pamięci o autorach wypchniętych poza główny nurt ze względu na pochodzenie, rasę, płeć czy klasę. Problem zaczyna się, gdy troska o reprezentację przechodzi w nieufność wobec samego pojęcia wybitności.

W takiej atmosferze łatwo pojawia się przekonanie, że hierarchia jest podejrzana z definicji, a różnica prestiżu wymaga moralnego usprawiedliwienia. Szekspir przestaje być wielkim pisarzem, którego warto czytać dlatego, że zmienił język literatury. Zaczyna funkcjonować jako reprezentant uprzywilejowanej tradycji, którego obecność należy nieustannie równoważyć. A debiutujący poeta może uzyskać szczególną ochronę nie ze względu na siłę własnego głosu, ile dlatego, że jego biografia wpisuje się w katalog doświadczeń historycznie marginalizowanych.

Nie chodzi o wybór między jednym a drugim. Zdrowa kultura potrafi odkrywać nowych twórców i zachowywać zdolność rozpoznawania wielkości. Kłopot pojawia się, gdy samo wskazanie różnicy jakości zaczyna być odbierane jako akt symbolicznej przemocy.

Unieważnić różnice?

Tutaj wraca Vonnegut. Jego „ciężarki” można rozumieć nie tylko jako narzędzia państwowego przymusu. Czasami przybierają postać subtelniejszej presji kulturowej. Talent nie zostaje zakazany. Oczekuje się jednak, że będzie stale tłumaczył się ze swojej pozycji. Autorytet nie jest likwidowany, ale musi nieustannie dowodzić własnej moralnej niewinności.

Paradoks polega na tym, że taka postawa ostatecznie osłabia tych, którzy chcieliby skutecznie przeciwstawić się trumpizmowi. Jeśli liberalna demokracja ma bronić znaczenia wiedzy, instytucji, nauki, kultury i profesjonalizmu, nie może tracić języka pozwalającego uzasadnić ich wartość. Trudno przekonywać obywateli do uniwersytetów, jeżeli samemu traktuje się kanon i kompetencję z podejrzliwością. Trudno bronić ekspertów przed populistycznym resentymentem, gdy każda forma prestiżu wydaje się moralnie kłopotliwa.

Demokratyczna wspólnota nie może istnieć bez przekonania, że wszyscy ludzie mają równą godność i zasługują na taki sam szacunek. Problem zaczyna się, gdy równość moralna zostaje pomyłona z przekonaniem, że wszystkie różnice powinny zostać unieważnione albo ukryte. Wtedy kultura traci zdolność odróżniania autorytetu od dominacji, kompetencji od przywileju, a wybitności od opresji.

Społeczeństwo z „Harrisona Bergerona” nie nienawidzi ludzi utalentowanych. Ono przestaje wierzyć, że talent może służyć wspólnocie. Każda przewaga zaczyna wyglądać jak zagrożenie. Każda asymetria budzi podejrzenie. W rezultacie demokracja, która miała chronić ludzką różnorodność, stopniowo traci zdolność do rozpoznawania tego, co wyjątkowe.

A wtedy wygrywają ci, którzy oferują najprostsze odpowiedzi.

Mądryemu biada

Być może najbardziej amerykański aspekt całej tej historii znajduje się jeszcze gdzie indziej. Europejczycy, jak Piketty, przyzwyczajeni są myśleć o nierówności w kategoriach ekonomicznych. Nasze spory dotyczą majątku, własności, klas i zasobów. Ameryka od początku miała z tym bardziej skomplikowaną relację. Nierówność materialna budziła mniejsze emocje niż symboliczna.

Milioner nie musi być obiektem powszechnej niechęci, bo w mitologii Stanów Zjednoczonych każdy jest milionerem w procesie dochodzenia do majątku i pozycji, nawet górnik z Wirginii Zachodniej. Znacznie większy dyskomfort wywołuje ktoś, kto sprawia wrażenie, że uważa się za mądrzejszego od innych.

To dlatego kraj, który stworzył Harvard, MIT, Princeton i największe centra badawcze świata, regularnie doświadczają fal nieufności wobec intelektualistów. Profesor, ekspert albo publiczny intelektualista łatwo staje się figurą podejrzaną. Nie dlatego, że reprezentuje bogactwo. Reprezentuje coś trudniejszego do zaakceptowania: symboliczną przewagę. W tym sensie wojna kulturowa w Ameryce często nie dotyczy samych poglądów, ale prestiżu i odpowiedzi na pytanie, kto ma prawo definiować rzeczywistość, ustalać znaczenie słów i decydować, co jest wadłą, a co przesadą.

Nic dziwnego, że spory o język budzą dziś tyle emocji. Stawką rzadko bywa samo słowo. Chodzi o to, kto ma prawo wyznaczać normy dobrego smaku, kompetencji czy wrażliwości. Sposób mówienia zdradza pochodzenie, wykształcenie, środowisko, a czasem również polityczne sympatie. W wielu sytuacjach wystarczy kilka zdań, by rozmówca został przypisany do określonego plemienia. Dyskusja o słowach szybko zamienia się więc w spór o status.

Brak miejsca dla wielkich umysłów

Trump wyczuł ten rodzaj napięcia. Jego sukces wyrastał nie tylko ze sprzeciwu wobec konkretnych decyzji Waszyngtonu. Czerpał energię z poczucia upokorzenia, które narastało w części klasy średniej i ludowej. Wielu

70. ROCZNICA CZERWCA '56

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Kazimiera Iłłakowiczówna*

Rozstrzelano moje serce

*Chciałam o kulturze napisać
naprawdę inteligentnie,
lecz zaczęły kule świstać
i szyby dygotać i pękać.
„Pochyliłam się” – jak każe przepis –
nad dziejami dwudziestolecia,
ale z pióra kleks czerwony zleciał
i kartki ktoś krwią pozlepiął.*

*Rym się na gromadę zwałół;
jest go dosyć... Tyle pokoleń...
Lecz zbryzgano mózgiem bruk
i bruk się wzdyma powoli.
Myśleć zaczął, choć ledwo się dźwiga
i do zapytań ośmiela –
– „Czemu zawsze rządzi inteligent,
a do robotników się strzela?”*

*Niemy dotąd warknął koci leb,
splunęła granitowa kostka:
„Znowuśmy się dali wziąć na lep,
położono nas – jak zawsze – mostem”.
A ja na tym moście jak kiep
do essayu oczy przyslaniam,
krew nie płynie już, już tylko skrzep...
Rozstrzelano moje serce w Poznaniu.*

*O kulturze... Próba wzniosłych syntez,
artystycznych intuicji zgranie...
Ja nie mogę... Ani kwarty, ani kwinty.
Rozstrzelano moje serce w Poznaniu.*

*Ni gorące ono, ni zimne.
Szkoda kul. Szkoda leków na nie.
Moje serce – wszak to tylko rymy...
Rozstrzelano moje serce w Poznaniu.*

4 LIPCA 1956 R.

***Kazimiera Iłłakowiczówna** - ur. w 1892 r. w Wilnie, zm. w 1983. Poetka, tłumaczka, osobista sekretarka Piłsudskiego. Wojnę przeżyła w Rumunii, wróciła do Poznania, gdzie zamieszkała w dzielnicy Jeżyce - w jej okolicy rozgrywały się najkrwawsze akty Czerwca '56. Wiersz za: Iłłakowiczówna, „**Poezje zebrane**”, t. 3, Alga, Toruń 1998.



FOT. NAC

wyborców miało wrażenie, że są oceniani nie za czyny, lecz za akcent, gust, wykształcenie albo brak znajomości kodów obowiązujących w świecie mediów i uniwersytetów. Karta do głosowania stała się okazją do odwetu.

Vonnegut pisał o czymś pokrewnym na długo przed erą internetu. Niepokoi to, jak niewiele przymusu potrzeba w świecie „Harrisona Bergerona”. Bohaterowie nie są stale zastraszeni. Pogodzili się z narzuconym porządkiem. Sami pilnują granic, a z czasem zaczynają pilnować własnych reakcji. Jakby przyjęli za pewnik, że każda wybijająca się jednostka prędkiej czy później zagrozi równowadze grupy.

Pod powierzchnią dzisiejszych sporów kryje się problem znacznie starszy od Trumpa, polityki tożsamości czy serwisów społecznościowych. Tocqueville dostrzegł go

już niemal dwa stulecia temu. Demokratyczne społeczeństwa źle znoszą przywileje, ale równie trudno przychodzi im oswojenie się z faktem, że ludzie nie są tacy sami. Jedni mają większy talent, inni większą wiedzę. Niektórzy widzą dalej od innych. Tak było zawsze.

Kłopot zaczyna się wtedy, gdy każda różnica budzi podejrzenia. Profesor, sędzia czy pisarz przestają być kimś, komu warto się przysłuchać. Stają się przedstawicielami grupy, która ma pretensje do wyższości. W takim klimacie łatwo pomylić autorytet z dominacją, a doświadczenie z przywilejem. Tocqueville obawiał się tego odruchu. Nie tyranii państwa, lecz społecznej presji, która skłania ludzi do nieufności wobec wszystkiego, co wyraźnie odstaje od przeciętności. Nie chodziło mu o obronę arystokracji. Zastanawiał się, czy społeczeństwo zbudowane na idei równości potrafi zostawić miejsce dla wielkich umysłów, silnych charakterów i niepopularnych prawd.

Zmieniły się technologie, język i polityczne szylidy. Problem pozostał podobny.

Syn mi zginął? Nie pamiętam

W finale opowiadania Vonneguta na ekranie telewizora, na który patrzy małżeństwo Bergeronów, pojawia się policyjna fotografia ich syna. Zdjęcie przedstawia całą postać na tle miarki wyskalowanej w stopach i calach. Nastolatek ma ponad siedem stóp wzrostu, czyli około dwóch metrów i piętnastu centymetrów.

Jest najbardziej „wyrównanym” człowiekiem w Ameryce. Przez całe życie wyrastał z kolejnych ograniczeń szybciej, niż państwo było w stanie wymyślać nowe. Zwykle zagłuszały go myśli już na niego nie działające, dlatego nosi ogromne słuchawki. Faliste soczewki okularów czynią go niemal półślepym i nieustannie wywołują ból głowy. Do jego ciała przymocowano dziesiątki metalowych obciążeń. Dźwiga ich blisko 150 kilogramów. Wygląda bardziej jak chodzący złom niż człowiek.

Nagle Harrison wdziera się do studia. Zrywa z siebie ciężary, wybiera jedną z baletnic i ogłasza ją cesarzową. Razem zaczyna tańczyć. Podskakują coraz wyżej, aż wydaje się, że za chwilę dotkną sufitu. Wtedy do studia wkracza Diana Moon Glampers, Naczelna Wyrównywaczka. Oddaje dwa strzały - Harrison i jego wybranka giną, zanim zdążą opaść na ziemię. Następnie ładuje broń i kieruje ją w stronę orkiestry. Muzycy otrzymują dziesięć sekund na założenie aparatów wyrównawczych.

W tej samej chwili u Bergeronów przepala się kineskop telewizora. Matka płacze, ojciec pyta ją, co się stało. „Już nie pamiętam - odpowiada. - W telewizji pokazywali coś bardzo smutnego”. A Vonnegut zadaje ostatni cios. „Wszystko mi się pomieszało” - mówi pani Bergeronowa. „Nie warto pamiętać smutnych rzeczy” - odpowiada George.

Ojciec, którego urządzenie co kilkanaście sekund rozbija każdy bardziej złożony proces myślowy, nie jest już zdolny zapamiętać śmierci własnego syna.

Świat przyszłości nie tylko zniszczył talent, piękno i wybitność. Odebrał ludziom także pamięć. Świat Trumpa, zanurzony w codziennym hałasie sociali, zagłuszanu przez odwracającą uwagę rolki z uroczymi zwierzakami, przemierzany z deep fake'ami, utrudnia bardzo mobilizację do działania i kontrewolucji. ●

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Radostaw Korzycki



• dziennikarz, publicysta, zajmuje się polityką zagraniczną. Współpracował m.in. z „Polityką” i „Tygodnikiem Powszechnym”, był korespondentem w USA. Tytuł i źródły tekstu - „Wyborcza”.

Dzień dobry, nazywam się Jędrzej Słodkowski, mam 41 lat i od 20 lat pracuję w „Gazecie Wyborczej”. Ostatni rok spędziłem na stypendium dziennikarskim na University of Michigan. Miesiąc temu wróciłem i próbuję opowiadać znajomym, jaka fajna jest ta Ameryka.

Moich znajomych to jednak nie obchodzi. Redaktorów, którzy zamówili ten tekst, też nie. Interesuje ich wyłącznie, co takiego straszniego przytrafiło mi się w USA.

Nie mam powodów sądzić, że z wami, drodzy czytelnicy i drogie czytelniczki, będzie inaczej. Bez ceregieli przechodzę więc do sekcji FAQ, czyli najczęściej zadawanych pytań:

1. Czy zatrzymało mnie ICE?
2. Czy bałem się, że ICE mnie zatrzyma?
3. Dlaczego zniknąłem z serwisów społecznościowych?

4. Czy bałem się, że deportują mnie za mema z Trumpem na telefonie?

Gdy patrzę na tę listę, przypomina mi się taksówkarz, który wiozł mnie wiosną przez Detroit.

– Jesteście z Polski? – zapytał. I rzucił z przekąsem: – Ładną reputację musi mieć nasz kraj, prawda?

Piękną! Taką, że człowiek wraca z najpotężniejszego państwa świata do ojczyzny, zawsze przecież tak w Ameryce rozkochanej, a witany jest tak, jakby przetrwał rok w basenie z piraniami.

A teraz odpowiem na pytania:

1. ICE mnie nie zatrzymało.

2. Nie bałem się, że ICE mnie zatrzyma, bo jestem biały. Ale bałem się, że innych zatrzyma i starałem się pomóc w uwolnieniu już zatrzymanych. Do tego jeszcze wrócę.

3. Wyłączyłem Fejsa i Insta, żeby zresetować mózg...

4....a nie dlatego, że bałem się jakiejś „deportacji za mema”...

Stop!

Perfidia systemów autorytarnych polega na tym, że wciskasz kit i innym, i samemu sobie.

Odpowiem jeszcze raz. Uczciwie.

Owszem, planowałem przerwę od social mediów. Ale to prawda, że bałem się, że jakiś amerykański służbista odeśle mnie do domu za nieprawomyślny wpis. Nie po to dostałem się na jedno z najlepszych stypendiów w naszym zawodzie, by je teraz frajersko zmarnować.

Czy to była autocenzura? Uważałem, że tak się właśnie przed nią ratuję. Nie musiałem za każdym razem myśleć, czy mogę napisać to albo wrzucić owo, by nie narazić się Wielkiemu Bratu. To była dodatkowa motywacja, by „wylogować się do życia”.

W ten sposób nie dałem się zainfekować wirusem, który milionom mieszkańców USA szepcze ze środka głowy: „Ale czy to na pewno jest dobry pomysł?”.

I chociaż chodziłem na demonstracje przeciwko ICE, podpisywałem wszelkie możliwe petycje, słałem poszkodowanym kasę, to tak sobie myślę, że mimo wszystko może jednak stchórzyłem z tymi social mediami? Już sam nie wiem...

Stop!

Dosyć już tych rozkmin. Przecież na tym polega pułapka Kafkowskiej paranoi: człowiek zaczyna przesłuchiwać sam siebie, choć nie wie, kto go oskarżył i o co.

Piosenka o 2025

„It’s 1969, okay / All across the USA” – śpiewa mi w słuchawkach Iggy Pop, za chwilę dorzucając, że nie ma nic roboty. Ale to nie rok 1969, a sierpień 2025 r. I też nie mam nic do roboty. Jeszcze.

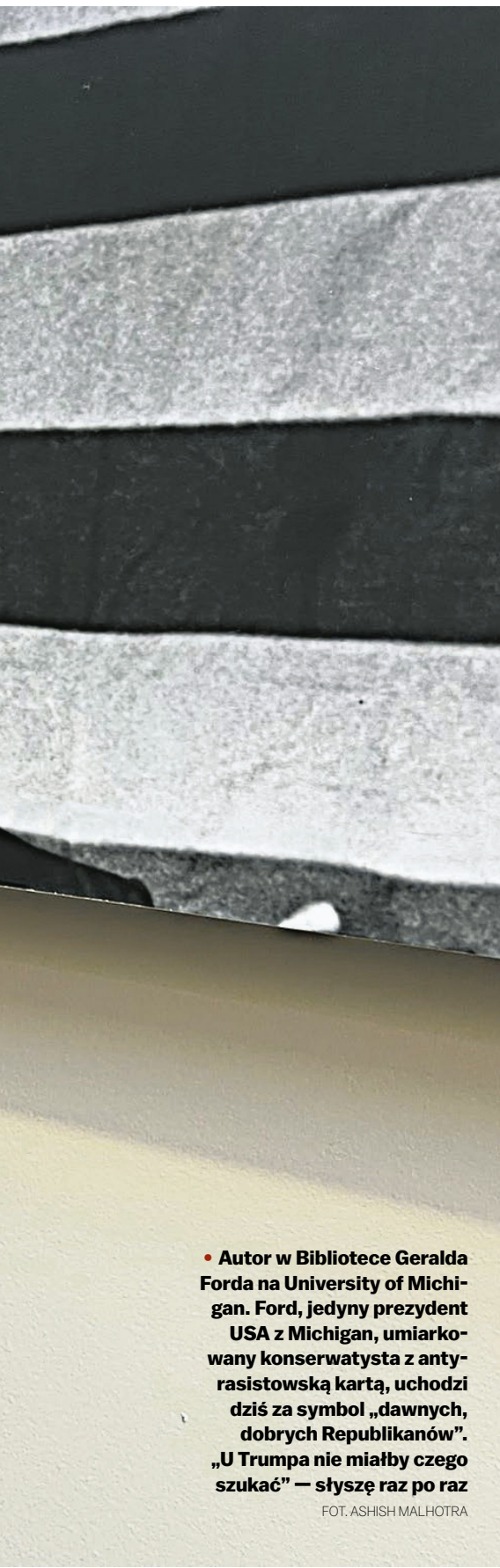
Idę przez Ann Arbor, wzorcowe kampusowe miasteczko „jak z filmów” o amerykańskich studentach, na pierwsze zajęcia na uniwersytecie.



CO STRASZNEGO PRZYTRAFIŁO MI SIĘ W USA

Przez chwilę próbowałem sobie wyobrazić,
jak brzmiałaby piosenka Iggy’ego Popa o burzliwym roku 2025
– tym, w którym Donald Trump rozpoczął drugą kadencję.

Jędrzej Słodkowski



• **Autor w Bibliotece Geralda Forda na University of Michigan. Ford, jedyny prezydent USA z Michigan, umiarkowany konserwatysta z antyrasistowską kartą, uchodzi dziś za symbol „dawnych, dobrych Republikanów”. „U Trumpa nie miałby czego szukać” — słyszę raz po raz**

FOT. ASHISH MALHOTRA

Mijam chałupkę, w której Iggy z trójką kolegów grał pierwsze próby jako The Stooges. Czasem przerywała je policja, wzywana przez ogłuszonych sąsiadów. Po chwili dochodzę do pstrokatych willi, gdzie mieściła się komuna artystów i aktywistów ewakuowana z pobliskiego Detroit z obawy przed policją. To tam jesienią 1968 r. The Stooges oraz mający wówczas status michigańskich gwiazd MC5 wstępnie dogadali się w sprawie kontraktów płytowych z nowojorską wytwórnią Elektra. Ten moment można uznać za jedną z najwcześniejszych dat narodzin punk rocka.

Piosenka „1969” stworzyła debiutanci album The Stooges, który był niczym cios w serce hipisowskiej kontrykultury. „Pobudka! Pokój nie nastał, ludzie dalej giną w Wietnamie i na ulicach amerykańskich miast. Po- ra kończyć Lato Miłości” – zdawali się mówić The Stooges. Ta ciężka, przesterowana muzyka to już nie była ścieżka dźwiękowa do wkładania kwiatów we włosy, lecz raczej do nakładania barw wojennych.

Przez chwilę próbowałem sobie wyobrazić, jak brzmiałaby piosenka Iggy’ego Po- pa o burzliwym roku 2025 — tym, w którym

Donald Trump rozpoczął drugą kadencję. A potem schowałem słuchawki i ruszyłem, by sprawdzić, jak naprawdę brzmi ten kraj.

Po jakimś czasie usłyszałem nie brzmiennie, a raczej rytm, jakby tętent kopyt. Zrozumiałem, że to Ameryka galopująca ku autorytaryzmowi.

A że wróciłem na uczelnię, to właśnie uniwersytet stał się dla mnie areną tej galopady.

Niemoralne preferencje

Pamiętacie krucjatę Trumpa przeciw najlepszym amerykańskim uczelniom z początku 2025 r.? Harvardowi zamroził 2,2 mld dol. grantów. UCLA – prawie 600 mln, które uczelnia w większości odzyskała potem w sądzie. Columbii wstrzymał 400 mln, aż ta u(po)korzyła się przed administracją i za cenę odmrożenia funduszy zgodziła się zapłacić rządowi 200 mln dol.

Najlepszą miarą zmian na gorsze w nauce w USA jest to, że naukowcy z amerykańskich instytucji zaczęli aplikować o pracę w Polsce

Oficjalnie chodziło o dwie kwestie: tolerowanie antysemityzmu i zbyt miękkie traktowanie propalestyńskich protestów oraz ociąganie się z kasowaniem programów DEI (Diversity, Equity and Inclusion – różnorodność, równość i włączanie). Albowiem zaraz po tym, jak Trump zepsuł mi dzień 40. urodzin złożeniem przysięgi prezydenckiej, złapał za pióro i zarządził koniec DEI, czyli – w jego języku – „niebezpiecznych, poniżających i niemoralnych preferencji opartych na rasie i płci”.

W agencjach federalnych czy armii łatwo było to przepchnąć. Z uczelniami trudniej, bo – stanowe czy prywatne – rząd nie ma nad nimi bezpośredniej kontroli.

Ma za to kontrolę nad federalnymi grantami, z których finansowana jest lwia część badań w USA. Szantaż był banalny: róbcie, co każę, albo was finansowo uduszę.

Słynne uczelnie skradły show i powstało wrażenie, że Trump pastwi się nad gigantami jako symbolami wrogich mu elit, a reszta może spać spokojnie. To po dwakroć nieprawda.

Zdrajca i frajer

Po pierwsze, administracja karała z przyczyn politycznych także wiele innych znanych uczelni: za DEI, protesty antyizraelskie, a nawet za regulacje dotyczące osób trans.

Jak było na moim Uniwersytecie Michigańskim, który w ostatnim Rankingu Lejdejskim pod względem dorobku naukowego był w USA drugi po Harvardzie, a na świecie – 20? Przypowieść o upadku rektora Sany Ono to pouczająca opowieść o stanie Ameryki AD 2025.

Można by pomyśleć, że tak potężny i renomowany uniwersytet stanowy – położony w stanie rządzonym przez Demokratów – postawi się prezydentowi.

Tak się jednak nie stało. Jeśli chodzi o demonstracje przeciwko Izraelowi, to z największym dla niego problemem rektor Ono uporał się jeszcze za Bidena, likwidując rozbity miesiąc wcześniej na środku kampusu obóz propalestyńskich studentów.

Biuro DEI też zamknął niedługo po otrzymaniu listownego szantażu od Trumpa: albo lewackie wymysły, albo pieniądze. Miał argumenty. U-M, jeden z największych kombinatów naukowych w USA, ponad połowę bu-

dżetu naukowego (ok. 1,25 mld dol.) dostaje od rządu.

Tylko że w wieloetnicznym mieście, w którym Trump przegrał z Kamalą Harris 13:85, czapkowanie prezydentowi nie mogło się spodobać. Krytycy Ono wskazywali, że można było iść na zwarcie, jak choćby wspomniany kalifornijski UCLA, który potem w sądzie odzyskał zamrożone granty. Przypominali, że przez poprzednie dwa lata piał z zachwyty nad michigańskim programem DEI, uznawanym za wzorcowy w kraju.

Prawdziwy szok miał dopiero nadejść, gdy rektor Ono jednego dnia uroczystie zamknął rok akademicki, a następnego wysłał niespodziewanego maila do całej społeczności U-M. Ogłosił, że ustępuje ze stanowiska, bo ma zamiar pokierować University of Florida. Teoretycznie sprawa nie była pewna, bo na razie dostał się do finału. Praktycznie wydawała się przesądzona, bo był jedynym finalistą.

W Michigan nie mogli w to uwierzyć: jakim prawem facet, który przed chwilą dostał podwyżkę i kontrakt do 2032 r., porzuca nas na rzecz uniwerku, cóż, może i dobrego, ale prestiżem nawet do nas niepodskakującego? I jak on może woleć uczelnię kontrolowaną przez trumpistów od najbardziej liberalnego zakątka Środkowego Zachodu?

Jedna z potencjalnych odpowiedzi na te pytania zapewne was nie zaskoczy. Na Florydzie mógł zarobić 3 mln dol. rocznie, a w Michigan nie wyciągał nawet 2 mln.

Były rektor już witał się z gąską w nowym rektoracie, gdy podczas rozmowy kwalifikacyjnej stanowa rada zaczęła męczyć go o to samo, o co męczył był w Michiganie, tylko z odwrotną pretencją. Dlaczego od razu nie rozpędził antyizraelskich protestów? Jakież to objawienie sprawiło, że po latach wspierania DEI nagle został niby jego przeciwnikiem? Florydyczycy nie uwierzyli w jego nawrócenie i uwalili jego kandydaturę.

Znaczące, że ludzie, którzy opowiadali mi o nim, jak jeden mąż unikali wymawiania jego nazwiska – jakby chcieli go w ten sposób zamilczeć. Bo nie dość, że zdrajca, to jeszcze frajer.

Ssący efekt domina

Po drugiej, obok represji wobec buntujących się uczelni mamy też do czynienia z systemowym niszczeniem amerykańskiej nauki. W budżecie na 2026 r. Trump chciał obciąć federalne wydatki na badania i rozwój o 22 proc. (44 mld dol.). Kongres złagodził część tych cięć, ale administracja i tak odcięła uczelnie od miliardów dolarów federalnego finansowania.

Dokładnych wylczeń brak, bo system jest skomplikowany. Wróćmy do Michigan. Władze stanu mówią o ponad 200 mln dol. utraconych grantów dla trzech stanowych uczelni, w tym U-M..

A to dopiero początek. Eksperci ostrzegają, że w ciągu kilku lat sam jeden U-M może stracić 300–400 mln dol. strat dla samego U-M. Skończą się granty przyznane jeszcze przed cięciami. Część trwających projektów

może zostać anulowana, a zdobycie nowych będzie znacznie trudniejsze. Odływ federalnych pieniędzy może wywołać efekt domina i pozbawić uczelnie kolejnych milionów od firm i organizacji pozarządowych, które wcześniej współfinansowały projekty z państwowym partnerem.

Bo gdy nie ma kasy z rządu, w wielu przypadkach do projektów badawczych nie dorzucą się też NGO-sy ani firmy.

Choć czasem będzie odwrotnie i amerykańskie badania staną się jeszcze bardziej zależne od kasy z biznesu, czyli ich komercyjnego potencjału.

Piszę o tym tyle, bo za nudnym terminem „anulowanie grantów” kryją się ludzkie dramaty. W amerykańskim systemie, w którym ogromna część badań i zatrudnienia zależy od grantów, oznacza to po prostu zwolnienia z pracy. Chodzi o tysiące realnych ludzi, których wojna tej administracji z nauką

będzie spychać do gorszego życia, zmuszać do porzucania badań i wypychać poza akademię.

Smutne uśmiechy doktorów

Można by się spodziewać, że władza skupi się na nieprawomyślnej humanistyce. No dobrze, na humanistyce i szczepionkach. Reszcie da względny spokój.

Ale nie. Do zwykłej logiki autorytarnej – „dajemy swoim, reszta niech nie szczeka” – oraz logiki orwellowskiej, w której ograniczanie wolności słowa sprzedaje się jako jej obronę, doszła jeszcze logika Kafki.

Jej ofiara traci godziny, dni, tygodnie, próbując zrozumieć, co właściwie się stało. Dlaczego padło akurat na nią? Komu podpadła? Co powinna teraz zrobić? Do kogo się odwołać? Efekt: zszargane nerwy, stracony czas i zero klarownych odpowiedzi.

Tak się złożyło, że byłem świadkiem okaleczenia Instytutu Międzynarodowego na U-M. To taka czapa nad ośrodkami, które zajmują się różnymi częściami świata. Prężnie działa tam też polskie centrum.

Do Instytutu zaprowadzono nas na samym początku, gdy poznawaliśmy uczelnię. Naukowcy z Centrum Studiów Bliskowschodnich i Północnoamerykańskich i Centrum Studiów Latynoamerykańskich i Karaibskich opowiadali nam o swoich projektach i zachęcali do współpracy. Uśmiechali się, ale jakoś tak smutno. Bo już wtedy wisiał nad nimi trumpowski topór.

Administracja ucięła finansowanie z federalnego programu Title VI, z którego utrzymywane były m.in. takie centra. Uczelnia złożyła odwołanie. Podczas naszej wizyty naukowcy czekali już tylko na odpowiedź z Waszyngtonu.

Przyszła w drugiej połowie września. Topór opadł.

Rządowe finansowanie straciły m.in. centra studiów nad Afryką, Ameryką Łacińską i Karaibami, Bliskim Wschodem i Afryką Północną, Azją Południową, Azją Południowo-Wschodnią oraz Chinami, Japonią i Koreą.



STANY JESZCZE ZJEDNOCZONE?

Ośrodek prowadzący studia nad Rosją, Europą Wschodnią i Eurazją stracił program stypendialny. Podobne cięcia uderzyły w inne uczelnie.

Za Chiny ludowe nie mogłem pojąć, jak ta sama administracja, która w kółko powtarza, że Chiny są największym zagrożeniem dla USA, może machać ręką na kształcenie sino-logów. Jak Stany, tak aktywne w tej kadencji w Ameryce Południowej, mogą nie potrzebować specjalistów od tego regionu?

Jak mogą kompletnie odpuszczać Afrykę, gdzie panoszą się Chiny i Rosja? I czy Rosją oraz Bliskim Wschodem mają się już po wsze czasy zajmować wyłącznie deweloper Steve Witkoff i zięć prezydenta Jared Kushner?

Program Title VI ustanowiono w 1958 r., po wystrzeleniu przez ZSRR Sputnika. Waszyngton uznał wtedy, że skoro komuniści wygrywają wyścig technologiczny, coś w amerykańskiej edukacji nie działa. Uczelnie dostały więc pieniądze na studia regionalne i językowe. Ameryka odkryła rewolucyjną prawdę: jeśli chce rządzić światem, musi najpierw czegoś się o nim dowiedzieć.

Dzięki temu założeniu Amerykanie przez 60 lat wykształcili zastępy dyplomatów, analityków, naukowców, biznesmenów i dziennikarzy. Ostatnio program działał w 27 stanach i Dystrykcie Kolumbii.

Jedną z wiodących sił był właśnie U-M, szczególnie mocny w studiach nad Europą Wschodnią. Już w latach 60. studenci z Michigan latali na wymiany do Leningradu. Jedną z absolwentek jest Jill Dougherty, gwiazda CNN, relacjonująca wydarzenia z Rosji i ponad 50 krajów.

Tyle że dziś źle wyedukowanej, niekompetentnej Ameryki życzy sobie na świecie znacznie więcej państw niż Rosja.

O co więc chodzi w tych cięciach? Cytując Kazika: „to jeszcze jest głupota, czy już zdrada?”. A może jestem za głupi, by to zrozumieć? Chodziłem po uniwersytecie i zadawałem to pytanie mądrzejszym od siebie. Rozkładali ręce. Kręcili głowami. Nie wiedzą. Nie rozumieją.

– Może ty masz pomysł, o co w tym chodzi? – zapytał mnie ktoś.

„Przecież nic złego nie zrobiliśmy”

Podobne kałkowskie pytanie usłyszałem w tamtym czasie podczas wykładu m.in. o rzezi i bałaganie, jakie w federalnych agencjach robił wówczas Elon Musk ze swoim Departamentem Efektywności Rządowej, czyli DOGE. W imię walki z marnotrawstwem setki tysięcy pracowników straciły pracę, zostały wypchnięte na wcześniejsze emerytury, zmuszone do odejścia. Paraliż wywołany cięciami powodował, że czasami trzeba było prosić zwolnionych o powrót do pracy.

Po wykładzie pewna kobieta wstała, podniosła mikrofon i na oczach 150 osób się rozplakała.

– Jutro jest ostatni dzień mojej pracy w jednej z agencji federalnych – mówiła przez łzy. I opowiadała, jak przez poprzednie tygodnie, jako pracownica działu HR, zwalniała przez telefon kolegów i koleżanki, których DOGE kazało zredukować.

– Nie jestem psycholożką, ale musiałam się na ten czas kimś takim stać. Dla wielu koszmar nie polegał tylko na tym, że zostali zwolnieni, ale też na tym, że nie wiedzą dlaczego. „Przecież my nic złego nie zrobiliśmy. Jesteśmy tylko informatykami” – powtarzał jeden z moich kolegów.

W ogrodzie, którym miał miejsce wykład, panowała taka cisza, jakby wszyscy przestali oddychać. – Ja też tego nie rozumiem. Byliśmy dumni, że pracujemy dla USA. Tak realizowaliśmy nasz patriotyzm. A teraz rząd mówi o nas jak o złodziejach i darmozjadach?

Z USA do Kijowa i Moskwy

Jakie będą długofalowe konsekwencje cięć w nauce?

– Nauka w Stanach popada w RU-I-NĘ! – emocjonuje się profesor jednego z polskich

uniwersytetów medycznych, z którym rozmawiam już po powrocie do Polski.

Opowiada o szoku, jaki przeżył na niedawnej konferencji naukowej w USA.

– Tam były PU-CHY! Stawiła się może jedna trzecia, co dawniej. Pytam organizatorów: „Kiedy przyjedzie X?”. „Nie przyjedzie. Obiecali mu finansowanie”. „A Y?”. „Zwolnili go”. „A co z Z?”. „Jeszcze pracuje, ale po cięciach nie stać go na samolot”. Amerykańskiego naukowca nie stać dziś na przelot tanią linią z miasta do miasta!

PU-CHY były też efektem tego, że wielu naukowców spoza USA przyłot odwołało.

– Nie dziwię się im. Wykosztujesz się na bilet, a potem cię nie wpuszczą przez mema z Trumpem. Mnie to się nie przydarzyło, ale strażnik na lotnisku egzaminował mnie tak, jakbym miał zamiar popełnić w USA jakieś przestępstwo.

Profesor uważa jednak, że najdobitniejszym symptomem zmian na gorsze w nauce w USA jest coś innego: naukowcy z amerykańskich instytucji zaczęli aplikować o pracę w Polsce.

– Naprawdę, zacząłem ostatnio dostawać takie maile! – przekonuje mnie, choć wcale nie kwestionuję tego, co mówi. – Wciąż trudno mi to zmieścić w głowie. Przecież my wszyscy, z całego świata, zawsze marzyliśmy o pracy w USA. W tej naukowej potędze, którą jest... przepraszam: była Ameryka.

Połączenie krucjaty antynaukowej z antymigrancą musi skończyć się rejteradą z USA części zagranicznych naukowców.

Widziałem, jakie poruszenie wywołały już same głośnie przypadki francuskiego naukowca zawróconego z granicy po kontroli telefonu oraz libańskiej lekarki i badaczki z Brown University deportowanej po tym, jak służby znalazły w jej telefonie materia-

a zjeżdżiliśmy kawał kraju, spotykały mnie tam wyłącznie dobre rzeczy. Podczas poprzednich wizyt zresztą też.

Ale wiem, że ta bez troska była możliwa z jednego powodu: koloru mojej skóry. Nie czarny. Nie brązowy, jak mówią o sobie m.in. Meksykanie czy Hindusi. Nie słyszałem, by ICE zgarniało białych na chybił traf. Tak jak zgarnęło mojego brązowego kolegę. Wyśmiał agentów i pokazał im amerykański paszport. Urodził się już w USA.

Brązowi znajomi mojej koleżanki – ojciec i syn – obywatelstwa nie mieli. Przyjechali do USA 25 lat wcześniej. Młodszy miał trzy lata, przeżył w USA całe świadome życie. Starszy pracował jako mechanik samochodowy. ICE zatrzymało ich w aucie. Jak mówi moja koleżanka, są spokojnymi, dobrymi ludźmi.

Współorganizowałem dla nich błyskawiczną pomoc prawną. Choć społem udało nam się zaangażować pro bono topowego adwokata, nic to nie dało. Tata i syn zostali rozdzieleni. Młodszy, wtrącony do ośrodka na Południu, załamał się. Pisaliśmy do niego kartki, żeby wiedział, ilu ludzi o nim myśli.

W ich mieście, zamieszkanym w większości przez migrantów z Ameryki Łacińskiej, nowych, ale też w drugim i trzecim pokoleniu, padło mnóstwo biznesów. Ludzie boją się wyjść do pracy, po zakupy, na obiad. W tym mieście lokalne media, z siecią kontaktów opłatających ulice, mają dziś jedną funkcję: ocalić kolejnych przed zatrzymaniem.

W Ann Arbor taka nerwowa utrzymuje się w styczniu. Na początku roku agenci zatrzymują w mieście matkę odwożącą córkę do gimnazjum. Cztery miesiące wcześniej to samo przytrafia się Rodrigowi Osorio, ojcu

zdrowieniem: „Trzymaj się w tym faszystowskim reżimie!”, uznałem, że trochę przesadza. Ona potem przyznała, że żartowała. Trochę.

Pewnego dnia przeczytałem pismo, w którym Departament Edukacji informował uczelnię o cięciach w Instytucie Międzynarodowym. I to był najbardziej przynębiający moment mojego pobytu w USA.

Szczęka mi opadła. Pismo było niechlujne, beczelne i – jak na standardy zachodniego świata akademickiego – szokująco szczere.

Duch listu był mniej więcej taki: przestajemy wam dawać kasę na te fanaberie, bo są niezgodne z naszymi priorytetami i – tu dokładny cytat – „nie służą amerykańskim interesom ani wartościom”. Tak, możecie se ślać odwołania. Ale uprzedzamy: to i tak nic nie zmieni.

Pomyślałem wtedy o przesympatycznych naukowcach od Bliskiego Wschodu i Ameryki Łacińskiej, którzy mieli zaraz stracić pracę. I mechanicznie skojarzyło mi się to – przepraszam, Szanowny Amerykański Urzędniku, nic na to nie poradzę – ze scenami z filmów rozgrywających się w 1933 r., gdy wykładowcy w Niemczech też niemal z dnia na dzień tracili pracę z powodu absurdalnej ideologii.

Wtedy też likwidowano kierunki.

I jeszcze palono książki pod murami szacownych uniwersytetów. Oczywiście, nikt w Stanach dziś książek nie pali. Nieprawomyślne książki są nie palone, tylko usuwane. Nie z bibliotek uniwersyteckich, tylko szkolnych. I nie w nazistowskich Niemczech, tylko w trumpistowskiej Ameryce, to znaczy w miejscach zdominowanych przez miłośników prezydenta USA.

Orwell i Kafka – oto duchowi patroni Stanów Zjednoczonych w roku ich 250. urodzin

ły uznane za sympatyzujące z Hezbollahem. Widziałem też efekt mrozący przepis, który kazałby firmie zatrudniającej specjalistę z zagranicy zapłacić za jego wizę 100 tys. dol. Sąd uznał tę opłatę za bezprawną, ale strach i tak zdążył zrobić swoje.

W międzynarodowym towarzystwie ludzi związanych z uniwersytetem, w którym się obracałem, z miesiąca na miesiąc topniało grono tych, którzy na pytanie: „A co dalej?”, odpowiadali: „Chciałbym zostać w Stanach”.

Kolega z Indonezji planował ściągnąć żonę do USA, ale ostatecznie wybrał Włochy. Kolega z Oceanii początkowo nastawiał się na pracę w Stanach, ale w końcu zaaplikował do RPA. Koledze z Azji Centralnej wszystko oklapło, gdy zobaczył, że jego profil na LinkedInie lustrował ktoś z oficjalnego konta amerykańskiego Departamentu Stanu.

Znajoma z Ukrainy postanowiła wrócić do bombardowanego Kijowa, znajoma z Rosji – do opresyjnej Moskwy. Obie wyjechały z powodów rodzinnych i obie mogłyby wrócić do USA, ale jakoś nie potrafiły zapuścić tu korzeni.

Pobyt w Stanach postanowił przedłużyć chyba tylko uchodźca z pewnego totalitarnego państwa. Wcale nie musiał, bo może mieszkać w Skandynawii. Rozmawialiśmy czasem pół żartem, pół serio, że mimo wszystko czujemy się w USA dobrze, bo w odróżnieniu od wielu Amerykanów, dzięki historycznym doświadczeniom naszych narodów, wiemy, jak obchodzić cenzurę. I rozumiemy, do jakiego mentalnego spustoszenia prowadzi poddanie się autocenzurze.

Gorący ludzie topią ICE

Nie żartuję. Przez ten rok bardzo polubiłem Stany i Amerykanów. Przez cały mój pobyt,

ośmiolatka. – Moje dziecko jest tym naprawdę strauatyzowane – mówi Osorio „Ann Arbor News”, gdy ICE po ośmiu godzinach przyzna się do błędu i go wypuści. – On pyta: „Czy oni znowu przyjdą cię zabrać?”.

Pod koniec stycznia, gdy w kraju gotuje się po zabójstwach Renée Good i Alexa Pretiego w Minneapolis, ICE wraca do Ann Arbor i okolic. W sąsiednim mieście Ypsilanti ICE zatrzymuje na przystanku autobusu szkolnego tym razem nie jednego rodzica, ale całą grupę. Szkoły natychmiast zdejmują z internetu rozkłady jazdy autobusów.

W piątek 30 stycznia, który jak niesie wieść, ma być kulminacyjnym momentem operacji ICE w okolicy, szkoły solidarnie się zamykają. Na uniwersytecie też luźniejszy dzień. Wicerektorzy wysyłają maila, w którym informują, że funkcjonariusze bez nakazu nie mogą nam nic zrobić np. w klasie.

Ludziom się ulewa. Mimo mrozu w okolicach -15 st., skrzyknięta wyłącznie w serwisach społecznościowych demonstracja gromadzi wielotysięczne tłumy. Maszerujemy przed dwie godziny, rozgrzewając się okrzykami i zaśmiewając z fantazyjnych hasel na transparentach. Wszystkim najbardziej podobają się: „Hot People Melt ICE” (czyli „Gorący ludzie topią lód/ICE”)

Nastroje są bojowe, ale, znów, trudno nie zauważyć, że tłum jest znacznie bielszy od „średniej” w tym mieście. Widać, kto w USA naprawdę się boi, a kto wciąż ma przywilej protestowania.

List

Mimo to, gdy kilka dni później koleżanka z Polski wysłała mi maila zakończonego po-

Broń Boże, nie porównuję teraz Donalda Trumpa do Adolfa Hitlera. Przecież jedyne, co ich łączy, to to, że zostali demokratycznie wybrani i dokonali nieudanego puczu.

A jednak muszę przyznać, że właśnie po przeczytaniu tamtego listu pomyślałem: tak właśnie wygląda początek faszyzmu.

Któregoś dnia spotkałem szefa Międzynarodowego Instytutu U-M. Powiedziałem, że strasznie mi przykro. I że ten list – użyję kaliki z angielskiego – brzmi dla mnie jak początek faszyzmu.

Szef instytutu nic nie powiedział. Uniósł brwi. Głęboko westchnął.

Dopiero wtedy uprzytomniłem sobie, że przecież jest Niemcem. Wybitnym badaczem faszyzmu.

To tekst o Ameryce, a Amerykanie kochają happy endy. Czy w Ameryce jest możliwy happy end?

Jest! Zawsze! Tylko że nie mam pojęcia, jak miałby on wyglądać i dlaczego miałby się on zdarzyć.

Jedyne, co mi przychodzi do głowy: Iggy Pop. Na niego zawsze można liczyć.

Rok po pesymistycznym „1969”, The Stooges nagrali piosenkę „1970”, najbardziej energetyczny kawałek na ich drugiej płycie „Fun House”.

„I feel alright, I feel alright!” („Czuję się dobrze!”) – krzyczy w niej Iggy w najradośniejszym z refrenów.

Skoro mu się aż tak odmieniło, to może i Ameryce się odmieni? ●

Szczegóły dotyczące niektórych osób zostały zmienione, aby chronić ich tożsamość.

KRAJ



Idę jak walec, już się nie zatrzymam

Dziadek, weteran września 1939,
uczył mnie wierszy o pułkowniku
Janie Kozietułskim. Może stąd to wojsko?

Z WŁADYSŁAWEM KOSINIAKIEM-KAMYSZEM ROZMAWIAJĄ
AGATA KONDZIŃSKA I IWONA SZPALA
ZDJECIE: SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

AGATA KONDZIŃSKA, IWONA SZPALA: Dlaczego garnitur, a nie lekarski kitel?

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ: – Przez dom rodzinny, w którym mieszały się medycyna i polityka. Obie są wciąż we mnie, choć polityka trochę dłużej, bo już od piętnastu lat.

W pandemii byłem wolontariuszem w szpitalu, ostatnio, na dwudziestolecie ukończenia studiów za medycyną zatęskniłem mocniej.

Mógł pan ratować, pomagać, zamiast iść w politykę, która bywa brzydka, czasami odrażająca.

– Gdy tu wchodziłem, akurat przyszedł SMS z zaproszeniem od rodziców dzieci chorych na SMA, czyli rdzeniowy zanik mięśni. Pamiętam taki gigantyczny impuls, bo to zostaje w pamięci – gdy w poprzednim Sejmie z Darkiem Klimczakiem z ław opozycji mocno walczyliśmy o refundowany dostęp do najnowocześniejszej terapii SMA. I dziś rodzice dzieciaków, które przeszły leczenie zapraszają mnie na pierwszy turnus do Mielna, bym ich odwiedził i zobaczył, co udało się zdziałać.

Więc i w polityce, która bywa brutalna, udaje się nieść pomoc. Może nie w ten najpiękniejszy sposób, gdy lekarz ratuje życie pacjenta, ale jednak da się skutecznie pomagać.

Przychodzi mi na myśl jeszcze jeden moment. Tuż przed wyborami 2023 roku miałem w Rykach spotkanie z bliskimi dziećmi z achondroplazją [niskorosłość]. Po półtora roku naszych rządów weszła refundacja nowoczesnej terapii. Spotkałem się potem z rodzicami chorych dzieci w Lublinie. To były zupełnie inne twarze, już bez tamtej rozpacz.

To są dla mnie chwile szalenie ważne. Ta ostatnia też, gdy pilnie wysłaliśmy samolot do Chin, po pacjentkę, młodą dziewczynę, która w ciężkim stanie nie miałaby właściwie szans na powrót.

Nie straciłem powołania ani misji, ale dziś inaczej się realizuję, szukam ich w sprawach małych i wielkich. Także tych, które wiążą się z obroną Polski, by stała się najbezpieczniejszym i najszcześliwszym krajem na świecie. A zresztą – myślę, że kiedyś przyjdzie czas, że do zawodu lekarza wrócę.

To czym jest dla pana patriotyzm? Często pan o nim publicznie mówi.

– To też mój dom, wychowanie, bezwarunkowa miłość do ojczyzny. Budowanie takiego miejsca, w którym wszyscy chcielibyśmy żyć, a nie tylko pięknie umierać za jej wolność. Wiem, brzmi górnolotnie. Ale tak bywa, gdy człowiek zaczyna wchodzić w te tematy. Mówię dużo o patriotyzmie, bo tak właśnie czuję.

Mówi pan: dom?

– Mój dziadek – prosty chłop, który skończył kilka klas. Sierota, taka historia trudu dorastania w małym galicyjskim gospodarstwie. Człowiek, który uczył mnie najważniejszych prawd. Uczył mnie wierszy.

Jakie to wiersze?

– O pułkowniku Janie Koziętulskim, ten wiersz Marii Konopnickiej.

Może stąd to wojsko?

– Może stąd, że dziadek w sierpniu 1939 roku kończył dwuletnią służbę wojskową, już szykował się w po-

dróż do domu i nie wrócił. Walczył w kampanii wrześniowej, służył w 13. Pułku Ułanów Wileńskich w Nowej Wilejce, przeszedł cały szlak do rozmowy z jednostki. Powrót do domu zajął wiele, wiele dni. Ukrywali się za dnia, szli nocami, orientując się po gwiazdach.

Dziadek przeżył obóz jeniecki, z którego jakimś cudem wyciągnęła go babcia. Potem, by nie dać się złapać, jego miejscem życia staje się ziemianka wykopana przy domowym palenisku. Jest leśna partyzantka, Bataliony Chłopskie, ucieczki z niemieckich obław. O tym słuchałem i myślę, że to dziadek mnie ukształtował. Mam po nim imię...

I podwójne nazwisko

– To z sieroctwa. Dziadek tracił matkę rok po swoim urodzeniu, w 1915 roku. Gdy ma sześć lat, umiera mu tata. Najstarsza siostra, wtedy już na wydaniu, wychodzi za mąż za człowieka o nazwisku Kamysz. Adoptują chłopca, do rodzowego nazwiska Kosiniak dodają Kamysza. Smutna opowieść rodzinna, część rzeczywistości dwudziestolecia międzywojennego polskiej wsi. Doświadczenie trudne i brutalne, los najmłodszego dziecka w wielodzietnej, kil-

– Bieniaszowice, ujęcie Dunajca do Wisły, powiat Dąbrowa Tarnowska. Dom wciąż stoi, skromna chatynka, altanka raczej. Jest tam miejsce, gdzie spotykamy się rodzinie co jakiś czas – figura Serca Pana Jezusa, którą postawił przy domu pradziadek.

Kiedy przyszła polityka?

– Ja w niej dorastałem. Miałem osiem lat, gdy ojciec został ministrem w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, 12 września 1989 roku.

Pamięta pan?

– Mamę zestresowaną pamiętam, strasznie przeżywała, że tata idzie do rządu. Pamiętam, jak pewnego dnia przejął się krytycznym artykułem w „Gazecie Wyborczej”. Wtedy jeden tekst mógł zmienić wszystko, a premier Tadeusz Mazowiecki powiedział ojcu krótko: „Albo pan będziesz się tym artykułem przejmował i nie będziesz pan pracował, albo będziesz pan pracował i się nie przejmował”. Pracowali razem do końca.

Był pan w wojsku? Kiedy wchodził pan w pełnoletniość, jeszcze była obowiązkowa służba.

– Nie, bo byłem na medycynie.

To, co zrobił Karol Nawrocki, było dla mnie niezrozumiałe. Wręcz wrogie. Przecież nasze rozmowy, uzgodnienia, tłumaczenia każdego budzącego wątpliwości fragmentu zajęły szmat czasu. SAFE był z nimi omawiany od listopada, mogli zadać dowolne pytanie. Nie wierzę im. Straciłem złudzenia, że w Pałacu mają dobre intencje

kunastoosobowej rodzinie. I jedyne-go chłopaka.

Choć tyle przeżył, był niezwykle uroczą osobą. Nigdy nie miał ani nie nawiązywał do tych, którzy nam krzywdę wyrządzali, ani nie nosił w sercu jakiejś zady. Mówił o tym jako o doświadczeniu, a nie o przekleństwie.

Odszedł w 2003 roku. Myślę, że w jego życiowym rachunku największym powodem do dumy, było wykształcenie czwórki własnych dzieci. Taką drogą, drogą edukacji, szedł mój ojciec, jego siostra, moi stryjowie. Jeden profesor, rektor Uniwersytetu Rolniczego, drugi dyplomata, tata lekarz, siostra nauczycielka – wszyscy kończą studia wyższe, wszyscy wyszli z kolumorgowego gospodarstwa.

A co najlepsze, ich historia mogła się skończyć zupełnie inaczej.

Jak?

– Mieli bilety do Stanów, zaproszenie przyszło od jednej z siostr dziadka. To było coś wielkiego w tamtych czasach. Jej powiodło się finansowo, żyła z farmy i plantacji pomarańczy, dziadkowie byli prawie spakowani, ale nie pojechali. Przeważała chęć wykształcenia dzieci. Może zwyciężyło myślenie, że w Ameryce byłoby lepsze życie, ale mogą być problemy z dostępem do dobrej edukacji?

A gdzie dokładnie rozgrywają się te wszystkie rodzinne historie?

Cywil...

– Mamy cywilny nadzór nad armią. My stawiamy zadania, a żołnierze wydają rozkazy. To jest bardzo duża różnica, ale nie ma mieszania porządków. Polityka nie powinna dowodzić armią. Oczywiście są państwa, które mają na to inny sposób, ale nie należą do krajów zbyt demokratycznych.

A co do wojska, wszystko, co dobre, jeszcze przede mną.

Prawda. Pan miał 19 lat, jak przystąpił do PSL-u?

– Dziewiętnaście – dwadzieścia, jakoś tak. Na początku studiów.

A dlaczego medycyna i dlaczego PSL?

– Znowu wracamy do mojego domu – mama stomatolog, ojciec lekarz. Siostra poszła na prawo, nie było już wyjścia – medycyna była mi pisana od samego początku.

Dziadek był w PSL Mikołajczyka, które próbowało uratować demokrację tuż po wojnie. W późnych latach 40., gdy krzepł stalinizm, do faktycznego zniszczenia partii.

– Nie, dziadek nie działał, ojciec bardziej.

Ale on to już chyba czasy ZSL. Czyli „chłopów koncesjonowanych”,

w istocie przybudówki przy rządzącej PZPR.

– A potem, w wolnej Polsce, w PSL. Warto dopowiedzieć, czemu w tym ZSL chciał działać, bo ono trochę do brego robiło. Obrona przed kolektywizacją, elektryfikacja, opieka zdrowotna na wsiach... Takie momenty też były w tych bardzo trudnych latach.

Ojciec ze środowiskiem ludowców jest związany od lat, zawsze mocno przeżywał politykę, ja dorastałem wśród tych ludzi. Byli znajomymi, bawilem się z ich dziećmi.

Myślę, że wielką rolę w moim życiu odegrał telewizyjny program w TVP „Młodzież kontra”. Na antenie jest zresztą do dzisiaj, z tą różnicą, że za moich młodych lat nie było internetu. Nie każdy mógł wrzucić na Twitterka pytanie.

Ale co się zadziało w tym programie „Młodzież kontra”?

– Przychodziły partyjne młodzieżówki, spotykaliśmy czołówkę polskich polityków, ostro ich odpytywaliśmy.

Pan był jako młodzieżówka?

– Tak! Jako młodzieżówka, a potem już jako gość, wszystkie role, jesz-

A na razie w tej opowieści jesteśmy na początku lat dwutysięcznych. Tamten Kraków dla pokolenia lat osiemdziesiątych był pełen szans, jeśli ktoś chciał zaangażować się w życie publiczne. Biografie wielu radnych czy posłów są podobne: nowa perspektywa, przygotowania do akcesji... Samo wejście do Unii Europejskiej prowokuje młodych do zainteresowania się polityką.

Trafiam na ten dobry moment. I na ludzi, którzy potrafią mnie dostrzec.

Kto pana dostrzega?

– Waldemar Pawlak [lider PSL w latach 90. i dwutysięcznych, premier w roku 1992 i latach 1993-95, wciąż szara eminencja ludowców], który odgrywa kluczową rolę, bo trzykrotnie proponuje mi wejście do rządu.

Za pierwszym razem mam dwadzieścia sześć lat i powstaje koalicja PO-PSL w roku 2007. Waldemar Pawlak dzwoni raz, drugi, trzeci, zaprasza na rozmowę, proponuje funkcję ministra pracy i polityki społecznej. Odmawiam. Uważam, że muszę zrobić doktorat. Później wojewoda małopolski Jerzy Miller zaprasza mnie do współpracy na stanowisku wicewojewody. Odpowiadam podob-

nie jak Waldemarowi Pawlakowi.

Taki pan popularny i wciąż odmawia?

– Bo chcę dokończyć studia medyczne. Zdaję lekarski egzamin państwowo- wy, zaczynam specjalizację, robię doktorat. Dlaczego? By mieć w życiu niezależność. I choć bardzo dobrze czuję się w obecnej roli, to mogę powiedzieć: nie jestem całkowicie zależny od polityki, nie jestem zależny od polityków.

W 2011 roku został pan tym ministrem pracy i polityki społecznej u Donalda Tuska, jako trzydziestolatek.

– Po miesiącu zostałem też szefem komisji trójstronnej [ciało konsultacyjne w polityce społecznej i gospodarczej złożone z przedstawicieli rządu, przedsiębiorców i związków]. Ryszard Kalisz powiedział, że wyłączałem na politycznym krześle elektrycznym i nie wróży to długiej bytności. Więc wszyscy ci, którzy tak mówili, mocno się mylili.

Ministrem byłem całą kadencję, udała się masa rzeczy: urlopy macierzyńskie, „kosiniakowe”, czyli tysiąc złotych na każde dziecko, program budowy żłobków, przedszkola za złotówkę, polityka senioralna...

Było tak świetnie, że potem przez osiem lat rządził potem PiS.

– Były też błędy, z których wyciągnęliśmy wnioski. Na przykład z podniesieniem wieku emerytalnego chcieliśmy dobrze, chcieliśmy podniesienia wysokości samych emerytur. Ale to nie był moment, by powiedzieć ludziom: macie pracować dłużej. Sprobowaliśmy sprzeciw społeczny, daliśmy argument opozycji, w finale był to jeden z powodów przegranej.

Lubi pan publikę? Bo ponoć najlepiej czuje się pan na mównicy sejmowej?

– To prawda, bo to arena, na której rozgrywa się prawdziwa polityka, ta rozumiana jako debata, spór, ostra wymiana poglądów. Uważam, że to jest coś najlepszego, co mnie spotkało w tej pracy.

Naprawdę po tylu latach sprawia panu jeszcze przyjemność debata w Sejmie?

– Często jest agresywna i obrzydliwa, to wycie, ten nienawistny krzyk, który się niesie po sejmowej sali. Ale doceniam, gdy ktoś ma kunszt, ma spryt, a nawet potrafi wbić szpilę, ale inteligentnie. Jeżeli zlikwidujemy wymianę myśli, spory, debatę parlamentarną czy nieparlamentarną, to polityka przestanie mieć w ogóle znaczenie.

Jest granica, której pan by nie przekroczył w polityce?

– Tak. Lojalność. Gdy się na coś umawiam, to dotrzymuję słowa. Nawet jeżeli mi się to nie opłaca. Lubię taką triadę: dyskusja, decyzja, działanie. I tego się mocno trzymam.

Dla pana, ludowca o poglądach chadeckich, koalicja z liberalną KO i lewicą jest trudna?

– Opisałbym ją innym słowem: złożona. To też doświadczenie dla PSL, dotąd nie byliśmy w tak szerokim układzie politycznym, ale też światopoglądowym. Przed 2023 rokiem nasza strona testowała porozumienia dwupartyjne. Ale wbrew pozorom partie, które zbudowały większość, nie są aż tak bardzo odległe. Myślę o wartościach, celach, na które się umówiliśmy. Osiem lat rządów PiS zbliżyło różne środowiska, niezależnie od światopoglądu.

Ale to pan ma etykietę hamulcowego w tym rządzie.

– Ciekawe, bo to PSL przeprowadza pierwszy raz ustawę o związkach partnerskich. Po wcześniejszych dwunastu nieudanych próbach firmowanych przez inne środowiska polityczne. Nikt tego nie zrobił przez dwadzieścia lat.

Ale to nie są prawdziwe związki partnerskie, na które liczyła lewica i ludzie zmianą zainteresowani

– Można wszystko obrzydzać i deprecjonować. Tylko dlatego nikt nawet tego minimum nie zrobił przez dwadzieścia lat? A jeżeli to jest nie niewarte, tak jak mówicie, to z jakiego powodu prezydent nie chce podpisać ustawy? Wspólne rozliczanie podatkowe, dostęp do informacji medycznych i wiele innych rzeczy umożliwiających lepsze życie i większy szacunek dla par żyjących w związkach nieformalnych. To jest coś złego czy dobrego?

I w dodatku nikt nie potrafił tego zrobić do czasu, gdy tematem nie zajęli się politycy PSL. Bez naszej zgody żadnej ustawy by nie było.

No właśnie. Bardzo długo, miesiącami nie chcieliście się zgodzić.

– Bo świat ma swój rytm. Świat przyspiesza.

Wokół tego tematu chodziła głównie lewica

– My też chodzimy w wielu sprawach i nie wszystkie się udaje od razu osiągnąć.

PSL nie podobała się nawet nazwa projektu ustawy. Związki partnerskie zastąpił status osoby najbliższej

– Ta nazwa jest na tyle dobra, że dziś w badaniach ponad 60 procent obywateli mówi, by prezydent podpisał ustawę, jedynie 15 procent jest przeciwko niej. Gdyby nazwa była inna, to nie wiem, czy też byłoby takie zaangażowanie.

Z tego, co mówili nam politycy z otoczenia premiera, to Donald Tusk mediował i zabiegał, byście się z Włodzimierzem Czarzastym wreszcie dogadali. Pan i lider lewicy, osobiście.

– To, że my rozmawiamy ze sobą w koalicji, nie jest chyba czymś nadzwyczajnym.

Czyli to nie Tusk was zmobilizował?

– Myślę, że przede wszystkim zmieniający się świat. Do niedawna większość Polaków mówiła: „spokojnie, nie tak szybko”, nie było więc większości w Sejmie. Dziś badania pokazują, że jest duża akceptacja nawet dla związków partnerskich.

Ludzie, którzy nas wybierają, też ewoluują w określonym tempie. Ruch ludowy wcale nie jest hamulcowym. Jest postępowy, ale nie progresywny. Postęp ma swój rytm i czas. I my w tym czasie się odnajdujemy. Bez nas nie ma tej zmiany.

To też moje osobiste doświadczenie, że spotkań, rozmów. Taką właśnie ważną rozmowę miałem na dwudziestopięciolecie matury z moimi szkolnymi kolegami. Może jest tak, że gdy zna się kogoś od wielu lat i widzi, jak złożone i skomplikowane bywa czyjeś życie, to inaczej się na to zaczyna patrzeć. To nie tak, że nie wiedziałem, bo nie jestem oderwany od rzeczywistości, ale pewnie im więcej takich rozmów, tym większa we mnie chęć stworzenia warunków do godnego życia. Jeśli ma się na to wpływ, to takie warunki trzeba tworzyć. Będę wnioskował do prezydenta, żeby podpisał ustawę o statusie osoby najbliższej.

W PSL jej nie odpuścimy. Choć nie spełnia oczekiwań skrajnej lewicy, oprotętuje ją radykalna prawica, to dla większości Polaków właśnie wersja, która przeszła przez Sejm, jest godna podpisania przez prezydenta.

Tak uważa też wasz konserwatywny elektorat?

– Elektorat PSL jest inny, niż był kiedyś, dwadzieścia lat temu, więc jest zupełnie inna.

Ale ksiądz może coś powiedzieć z ambony

– Kościół, religia w Polsce, wiara w Boga nie idzie tylko i wyłącznie z przekazem: jestem praktykujący, to muszę być skrajnie na prawo w poglądach. Od hierarchii kościelnej głosów krytycznych nie słyszałem. Rozmowy o ustawie o statusie osoby najbliższej nigdy nie było. Znam też po-

dejście niektórych biskupów, że to są regulacje państwowe, a Kościół wskazuje, jak mają żyć i funkcjonować wierni.

Rozumiem głos Kościoła w sprawie na przykład ochrony życia i on jest zawsze silny. Pamiętam też debatę wokół lekcji religii w komisji wspólnej Episkopatu i rządu, ale przy statusie osoby najbliższej protestów nie widziałem. Przypomnę wypowiedź kardynała Kazimierza Nycza sprzed kilku miesięcy o potrzebie tej regulacji. Ważny głos, głos mi bliski.

A co z Funduszem Kościelnym?

Czy panu w ogóle zależy, by uregulować sprawę? O tym też dużo mówił wasz lewicowy koalicjant. Pan stoi na czele międzyresortowego zespołu, który od stycznia spotkał się dwa razy.

– Nie chodzi o ilość tych spotkań, tylko o uzgodnienie stanowiska.

Andrzej rysuje



Jak tu ma się pana triada: dyskusja, decyzja, działanie?

– W rządzie mamy różne zdania na ten temat. Jestem zwolennikiem odpisu podatkowego, nad którym lata temu pracowaliśmy z Michałem Bonim [na początku lat 90. – w pierwszych latach przechodzenia od gospodarki centralnie sterowanej do wolnego rynku minister pracy i polityki socjalnej, w rządzie KO-PSL minister administracji i cyfryzacji, wieloletni doradca Donalda Tuska]. Uważam, że byłoby to najbardziej jasne wobec wyborców.

Zaraz pada argument, że na tym stracą mniejsze związki wyznaniowe, które mają nielicznych wiernych.

– Jest też inne pytanie: co byłoby korzystniejsze dla państwa? We Włoszech odpis podatkowy jest na poziomie 0,8 procent. Jeśli wprowadzilibyśmy taki próg w Polsce, to te 250 milionów złotych Funduszu Kościelnego byłoby niczym w porównaniu z tym, co wierni mogliby przekazać z podatków.

I owszem, małe związki wyznaniowe nie byłby w stanie normalnie funkcjonować. A poza tym przecież 90 procent Funduszu Kościelnego idzie na zabezpieczenie społeczne

tych, którzy nie mieli tytułu do ubezpieczenia.

Czyli na zakonników i zakonnice.

– Czyli na przykład na siostry z Piskowic, które się opiekują dziećmi, często bez rąk, bez nóg. I co? Mamy te siostry pozbawić prawa do emerytury?

Daje pan drastyczne przykłady tak specjalnie?

– Takie daję, bo to nie są pieniądze, które idą na ojca Tadeusza Rydzyka.

Dlaczego pan mówi o Rydzyku?

– Bo to częsty zarzut w mediach. A Fundusz działa tak: jest katecheta i ma tytuł do ubezpieczenia, ma składki płacone w szkole. Proboszcz też ma płacone składki. Ale są zwykli księża, zakonnicy, siostry zakonne.

Fundusz sięga roku 1950, powstał po tym, jak władza ludowa odebrała Kościołowi ziemie.

Pytamy o Fundusz, bo pan tematem zarządza. Nic się w sprawie nie dzieje. Jednocześnie mówi pan, że koalicja wcale nie jest taka trudna.

– Koalicja to nie jest zgadzanie się w każdym temacie, koalicja to nie jest rezygnacja ze swoich poglądów czy programu, to jest szukanie wspólnych zdań. I kompromisów, i wspólnych działań.

Mamy wojnę za granicą, mamy ataki hybrydowe, mamy coraz bardziej agresywną Federację Rosyjską, mamy na szczęście sojusze, które musimy wzmacniać. Jest gospodarka, tak naprawdę najważniejsza dla ludzi. Mamy wielkie wyzwania z ochroną zdrowia. Mamy sprawy demografii, która jest w tragicznej sytuacji.

Reset w ministerstwie zdrowia

– czyli dymisja Izabeli Leszczyny i wiceministrów z partii koalicyjnych i oddanie resortu Jolancie Sobierańskiej-Grendzie, osobie spoza polityki – udał się Tuskowi?

– Tu sprawa jest jasna. Premier wziął pełną odpowiedzialność, miał swój pomysł, my to szanujemy. Dziś największą trudnością, przed jaką staje pani minister Sobierańska-Grenda, są zarobki w służbie zdrowia.

PiS-owska ustawa o minimalnym wynagrodzeniu w ochronie zdrowia miała głęboki sens w czasach, gdy dysproporcje pomiędzy zarobkami w Polsce a za granicą były znaczące. Poprzednia ekipa chciała zatrzymać ryzyko wyjazdów pielęgniarek i lekarzy. Ale minęło kilka lat i przepisy nie przystają do rzeczywistości. Skoro wyrównaliśmy zarobki, a nawet przewyższyliśmy średnią europejską, zmiana w systemie jest niezbędna. Bo trudno wytłumaczyć, że wzrost płacy lekarza to 14 procent, a nauczycielki – 3 procent.

To kto będzie tym politykiem, który powie lekarzom: zatrzymujemy was pensję?

– Nie chodzi o zatrzymanie, ale o to, by nie rosły cztery razy szybciej niż inne w budżetówce. Myślę, że w samym środowisku nie ma woli, by dokręcać rządowi śrubę. Jeżeli system ochrony zdrowia pogrąży się w jeszcze większych kłopotach, to też lekarzom nie będzie lepiej.

I na marginesie – nie ma chyba kraju, który sprostałby wszystkim oczekiwaniom w ochronie zdrowia. Zdarza się, że Polacy, na przykład w Wielkiej Brytanii, gdy się źle czują, mają problem zdrowotny, wsiadają w samolot i lecą do Polski.

Pójdźmy pod inny adres. Jak tam pana współpraca z prezydentem? Pan się uśmiecha. Tego nie będzie widać w gazecie, ale to miało wyglądać na bardzo szczery uśmiech. Tak zapiszemy.

– W szacunku do pana prezydenta nikt mnie nie wyprzedzi.

W rządzie mówili nam, że Władysław Kosiniak-Kamysz dostał nieformalną rolę pośrednika między małym i dużym pałacem. Ma być przeciwieństwem koalicyjnych jastrzębi. Prawda to?

– Ta rola była naturalna. Wynika trochę z moich cech charakteru i z miejsca na politycznej scenie. Jako szef MON mam najwięcej kontaktów z prezydentem. Dla nas w koalicji bezpieczeństwo jest sprawą klu-

czową. Jesteśmy w stanie poświęcić bardzo dużo własnych emocji, ambicji, również strategii politycznej.

Ale już pan taki miły dla Karola Nawrockiego nie jest. Mówi pan, że ma dość zachowań Kancelarii Prezydenta, która ma się za pępek świata. Dyscyplinuje prezydenta, by nie wychodził poza swoją konstytucyjną rolę. A jest tego rozpychania się i jątżenia więcej. Co się stało?

– Może ja taki zawsze byłem, tylko nie zawsze to pokazywałem.

Są granice poświęcenia i cierpliwości. Granice otwartości, granice dla wyciągniętej ręki. Karol Nawrocki przekroczył je w momencie zawetowania ustawy o SAFE. Prezydent wypowiedział tę niepisaną umowę między nami, między Pałacem i rządem o współdziałaniu na rzecz bezpieczeństwa. Odrzucenie tego projektu jest zdradą munduru.

Ale wcześniej, właściwie od początku kadencji były przecież incydenty, z których dało się odczytać, że będzie konkurencja, kto lepiej zadba o bezpieczeństwo Polaków. Choćby ta historia z grudnia z generałem Krzysztofem Nolibertem – naszym attaché obrony w USA. Delegacja Biura Bezpieczeństwa Narodowego nie chciała generała na spotkaniu w Pentagonie, które sam aranżował. Cekał w samochodzie. To chyba było pana pierwsze publiczne spięcie z Pałacem.

– Nigdy pozwolę na upokarzanie generała, oficera Wojska Polskiego. W armii to był głośny skandal. Powiedziałem to, co należało jasno i wyraźnie powiedzieć. Jeżeli nie wpuszcza się dwugwiazdkowego generała, naszego attaché w Stanach Zjednoczonych na spotkanie, które przygotowywał, to ja się na to nie zgadzam.

Akurat tę sprawę wyjaśniliśmy sobie z prezydentem. Myślę, że już nigdy do takiej sytuacji nie dojdzie.

Bo zmienił się szef BBN? Odszedł Sławomir Cenckiewicz?

– To z pewnością. Z tego, co widzę, były szef BBN jest nadal mocno aktywny, teraz robi politykę.

Uważa pana za narzędzie Tuska, działacie wspólnie przeciw konstytucji, demontujecie państwo. Życzy PSL porażki wyborczej. I jest pan największym szkodnikiem w MON. Taki mamy cytat: „Pan nie umie i tak jak legitymuje się pan zakupami ministra Błaszczaka, tak dziś wymachuje Pan kartką napisaną przez prezydenta Nawrockiego, udając, że to Pana”. To o poprawnym przez PSL projekcie ustawy prezydent. Nawrocki chciał finansować zbrojenia z zysków NBP, których nie było.

– Nie przejmuję się takimi opiniami. MON naprawdę mnie wzmocniło. Idę jak walec, już się nie zatrzymam. Wiem, że dla wielu po tamtej stronie stałem się wrogiem publicznym. Może jeszcze nie numer jeden, w rankingu prawicy jednak nie wyprzedzę premiera Tuska. Ale dostałem się na podium

Brzmi pan trochę, jakby poczytywał to sobie za zaszczyt.

– Nie chodzi o zaszczyty, ale realną ocenę. I druga strona dobrze ocenia sytuację. Wie, że gdyby nie moja

Trzecia Droga, czyli projekt z Szymonem Hołownią, pewnie PiS z Konfederacją rządziłby dzisiaj w najlepsze.

A co pan sobie pomyślał o prezydencie, gdy stał obok, nie reagował na gwizdy, okrzyki „Precz z komuną”, „Zejdź ze sceny”, „Zdrajca”. To miało zagłuszyć pana wystąpienie podczas uroczystego przejmowania zwierzchnictwa nad armią? Nawrocki właśnie zaczynał urzędowanie. A powtórka była 11 listopada.

– Mnie żadne nienawistne krzyki nie przestraszą. Tu bym aż tak samego prezydenta Karola Nawrockiego nie obciążał. Niczego nie oczekiwałem, w takich sytuacjach radzę sobie sam.

Tamta atmosfera była tylko potwierdzeniem tego, co już o Polakach wiem. Jak między dwoma obozami politycznymi grają emocje, jak bardzo jesteśmy podzieleni, jak nie chcemy już siebie słuchać. Nie ma przemysłanych, chłodnych ocen, że rząd robi coś dobrze, albo źle. Tylko głucha wrogość jako dogmat.

Czyli pan naprawdę się zdziwił, że Karol Nawrocki zawetował SAFE?

– Zdziwiłem się, bo jako rząd zrobiliśmy wszystko, żeby nie było tego wetu. To, co zrobił Karol Nawrocki, było dla mnie niezrozumiałe. Wręcz wro-

poparcie SAFE było zbyt trudne politycznie.

Bo przecież PiS stanął w opozycji nie dlatego, że program jest zły, nie dlatego, że podobno niemieckie firmy będą zarabiać. Wszystko, co mówili, było bzdurą i kłamstwem. Od początku znali wartość strategiczną programu. Że nie tylko będzie dobry dla wojska, że da miejsca pracy w przemyśle, ale że stanie się też sukcesem tego rządu. No i tego już PiS nie mógł znieść.

Tym, czego nie mogę ścierpieć, zrozumieć i w jakimś sensie wybaczyć – jest zachowanie prezydenckich urzędników. Ludzie, którzy od grudnia mieli dostęp do pełnej listy zakupów, zaczęli powtarzać PiS-owskie kłamstwa. Szukali wielkich afer, wielkich kontraktów z niemieckim Rheinmetallem, choć niczego takiego nie ma. Później mówili: „no może nie Rheinmetall Niemcy, ale Rheinmetall Polska”. Choć od początku mówiliśmy, że chodzi o polskie firmy. To było jedno brutalne, chamskie kłamstwo.

Czyli co? Nie ma już współpracy z prezydentem?

– Będzie, bo do tego jestem zobowiązany konstytucją. Ale decyzja, którą podjął prezydent, ma swoje konsekwencje.

PSL jest dla wyborców, którzy nie okazują sympatii w trakcie kadencji, ale za to wskazują nas przy urnie. Wtedy słyszę: „wy stabilizujecie sytuację, jak rządzicie, to jest stabilnie, to jest bezpieczniej”. To jest wartość, która dzisiaj nie objawi się w żadnym sondażu. Bo nie jest jaskrawa, raczej pastelowa

gie. Przecież nasze rozmowy, uzgodnienia, tłumaczenia każdego budzącego wątpliwości fragmentu zajęły szmat czasu. SAFE był z nimi omawiany od listopada, mogli zadać dowolne pytanie. Na koniec wszystko poszło jak krew w piach.

Nie wierzę im. Straciłem złudzenia, że w Pałacu mają dobre intencje. Za wolą stał za tym wyłącznie interes partyni. Kiedy nastawienie Pałacu się zmienia? Gdy Jarosław Kaczyński wydaje posłom rozkaz głosowania przeciw ustawie. Nieważne, że wcześniej Mariusz Błaszczak mówił, jak doskonale wykorzystaliby SAFE, gdyby rządzili, bo my tego nie umiemy, znamujemy cały program, a to taka wielka szansa przed Polską.

Jak pan widzi w tym układzie prezydenta?

– Karol Nawrocki doskonale wszystko rozumiał, w jak trudnej sytuacji postawił go Jarosław Kaczyński.

Prezydent uznał podpis pod ustawą za zbyt niewygodną konfrontację z PiS. Lecz dla prezydenta, zwierzchnika sił zbrojnych roztropniej byłoby stanąć po stronie bezpieczeństwa państwa, a nie po stronie bliskiej mu partii.

Karol Nawrocki popełnił błąd polityczny. Ludzie mają inne oczekiwania wobec głowy państwa. Jarosław Kaczyński jest szefem partii. Robi politykę, jego usprawiedliwia łatwiej. Wyborcy rozumieją, że dla PiS

miliardów dolarów, co przeczy opowieściom PiS o fatalnych relacjach rządu z amerykańską administracją. Jeśli sekretarz Thomas DiNanno [podsekretarz stanu do spraw kontroli zbrojeń i bezpieczeństwa międzynarodowego] przyjeżdża do Polski, cytuję Lecha Wałęsę, mówi, że Tarcza Wschód jest „super” i dalej jeszcze cztery miliardy dolarów z amerykańskiego SAFE, o czym to świadczy? Raczej nie daje się gwarancji rządowym państwom, których się nie lubi i rządowi, których się nie lubi.

Europejski SAFE idzie na ścianę wschodnią, czyli wyborczych bastionów PiS, do polskich firm.

– Na przykład do hut w Stalowej Woli. Tam płyną pokaźne pieniądze na nasze Kraby i Raki. Albo do Dezamet w Nowej Dębie. To Podkarpackie, zakład upadający za rządów PiS, dzisiaj będzie produkował kluczową amunicję 155 milimetrów.

Posłowie PiS są bardzo czujni. Na przykład byli z interwencją w bydgoskich zakładach Belma. Mówili o oszustwie SAFE, że nie ma kontraktów, program nic zbrojeniówce nie da i tak dalej. Tyle że wizyta odbyła się przed podpisaniem umowy z rządem.

– Niech teraz pójdą do pracowników Belmy, z którymi rozmawiałem, zapewne w przeciwieństwie do posłów PiS. Dostałem podziękowania za otrzymaną wraz z SAFE stabilność. Belma zyskała ją wraz z rządowymi zamówieniami.

W szpicie krytyki był Mariusz Błaszczak, ale niedawno rączkę sobie podaliście, bo prezydent was zmusił na uroczystym przyjęciu F-35 do polskiej armii.

– Podanie ręki nie jest niczym wyjątkowym. Karol Nawrocki zapytał, czy z Błaszczakiem podamy sobie rękę. Ja na to: „rękę mogę zawsze podać”. Doceniam, że Mariusz Błaszczak podpisał umowę na F-35, ale też mówienie, że to zasługa jednej osoby czy jednego środowiska, jest po prostu wielką bzdurą. Powiedziałem Karolowi Nawrockiemu publicznie, gdy blokował SAFE: nie byłoby żadnych F-35, gdyby nie uzbrojenie do tych maszyn, które kupujemy w Stanach. Nie byłoby F-35 bez baz, które rozbudowaliśmy.

A teraz zamówimy samoloty tankowania w powietrzu. Polska ich nie ma, bo Antoni Macierewicz za swoich MON-owskich czasów zablokował te plany. Z niejasnych powodów wycofał Polskę z tego europejskiego programu.

Prokuratura prowadzi w tej sprawie śledztwo. Już ponad półtora

roku. Ale wracając do baz – eksperci podkreślają, że potrzebne są wyrafinowane systemy ochrony. Inaczej te F-35 są wystawione na prosty strzał.

– Oczywiście. Bo co jest pierwszym obiektem ataku? W bazy inwestujemy dziesiątki miliardów, ale trzeba zrozumieć, że dla tak potężnej modernizacji armii jedna kadencja to za mało. Dostawy śmigłowców Apache zaczną się w 2028 roku, to będzie już kolejny parlament, kolejny rząd. A to jest największy historycznie kontrakt, który podpisaliśmy. I ciekawe kto kogo będzie wtedy zapraszał.

Wierzę, że nadal my, a szacunek będzie oddany wszystkim. Bo ja Mariusza Błaszczaka na uroczystość przyjęcia F-35 zaprosiłem. Wbrew temu, co twierdzi pan prezydent. Może zaprosił ministra Błaszczaka do samochodu i przywiózł, ale zaproszenie wysłaliśmy z MON. Byliśmy gospodarzem i organizatorem wydarzenia.

Jeśli już o uroczystości mowa, dlaczego pana żona została matką chrzestną F-35? Nie udziela się politycznie, nie jest związana z wojskiem, pozostaje osobą prywatną.

– Taki wniosek wystosowali polscy lotnicy.

A skąd ci lotnicy znają pana żonę?

– Znają, bo moja żona akurat z lotnictwem ma trochę wspólnego.

Co?

– Po pierwsze, wychowywała się w rodzinie, w której lotnictwo jest obecne. Brat jest pilotem. Wiele godzin spędzała w klubach z lotnikami, skakała ze spadochronem.

Żona ma licencję pilota?

– Latała, ale nie samodzielnie, nie jest pilotem.

Wniosek wypływa z tradycji, która jest obecna w Wojsku Polskim od drugiej Rzeczypospolitej. Żony generałów, ministrów, pułkowników, prezydentów są matkami chrzestnymi różnego rodzaju sprzętu.

Nie żałuje pan? Zebrał pan ostre baty od opozycji.

– Nie, od nich zbieram za wszystko, nawet za najlepsze rzeczy. Z SAFE już wydaliśmy 120 miliardów złotych w polskich zakładach zbrojeniowych, a oni uważają to za największą tragedię i największe zło tego świata. Mówią, że wsadzą nas za to do więzienia.

Jakie są pana relacje z sekretarzem wojny Petem Hegsethem?

– Są bardzo w porządku.

PiS i prezydent mówią podobnie, ale Amerykanie wstrzymali rota-

cję swoich żołnierzy. Gwałtownie, akurat, gdy kolejna zmiana szykowała się do podróży do Polski. – W Europie, a na pewno w NATO nie ma ministra, który miałby tak częste spotkania z sekretarzem Pe-tem Hegsethem. Pierwsza wizyta za-graniczna zaraz po zaprzysiężeniu, już 14 lutego zeszłego roku był tu w Warszawie. W maju moja rewizyta w Pentagonie, spotkania w Brukseli podczas konferencji ministrów kra-jów NATO, rozmowy jesienią zeszle-go roku. I ta ostatnia, po której Pen-tagon wydaje pierwszy komunikat w sprawie rotacji. Nie tylko dla Pol-ski, ale dla innych państw. Z rotacją sprawdziło się to, co mówiłem od po-czątku, choć nikt mi nie wierzył. Że finalnie nie będzie dotyczyła Polski. Amerykanie generalnie ograni-czają swą obecność w Europie. Rzecz dotyczyła wycofania pięciu tysięcy wojsk z Niemiec. Prezydent Donald Trump podjął decyzję, ale tam są ro-dziny, dzieci chodzą do szkoły, nie da się tego przeprowadzić natychmiast. Więc najprostsza ścieżka to zatrzy-mać wojsko, które jechało do Europy, w części do niemieckich baz. To, że sprawa dotknęła też Polski, nie było celem ani zamiarem Amerykanów. Prezydent Donald Trump definityw-nie to zdementował.

Jednak zaskoczenie wśród pol-skich polityków było potężne. Mówiąc, że sprawa nie dotyczy Polski, nie miał pan w ręku wszyst-kich kart – Przecież nie wypowiadałem się bez wcześniejszych rozmów z do-wódcą wojsk amerykańskich w Eu-ropie. Miałem zapewnienie gene-rała Alexusa Grynkewicha, które-mu nie mam prawa nie wierzyć, bo mnie nigdy nie oszukał. To praw-da, że w pierwszych godzinach moje oświadczenie nie miało ewidentnych potwierdzeń ze strony Waszyngto-nu. One przysłyż później.

Ile będzie amerykańskich żołnie-rzy, 15 czy 11 tysięcy? – Ważniejsza niż liczby jest zmiana rodzaju obecności w Polsce na stałą. Teraz jest etap planowania, po któ-rym Amerykanie ogłoszą decyzje. Wzmacniamy nasze starania spe-cjalną uchwałą rządu.

Ale czy pan ma przeświadczenie, że Amerykanie rozumieją nasz interes – nie tylko kraju natow-skiego, ale flanki wschodniej i państwa, które ma za swoją granicą wojnę. Tu istotne są kulisy wstrzymania rotacji. Pan mówi: pomyłka, rykoszetem dostała Polska. Czy pan o tym rozmawia z sekretarzem Hegsethem, z ludź-mi w Pentagonie? – Amerykanie na pewno rozumie-ją miejsce, w którym się znajdujemy i co robimy. Polska spełnia wszyst-kie wymagania stawiane przez Sta-ny Zjednoczone swoim NATO-wskim sojusznikiem. Trudno znaleźć drugie takie państwo, które inwestuje 5 pro-cent w zbrojenia, kupuje amerykań-ski sprzęt, współfinansuje obecność amerykańskich żołnierzy i podejmuje działania sojusznicze wszędzie tam, gdzie trzeba. Bierze odpowiedzial-ność za całą wschodnią flankę NATO. Po tym zamieszanui wychodzimy silniejsi. Oczywiście, że to jest bru-talna gra interesów. Każdy sojusz to nie są tylko i wyłącznie ciepłe i dobre słowa, to jest spełnianie wzajemnych

oczekiwań. My zobowiązania wypeł-niamy, dlatego mamy prawo oczeki-wać od Stanów Zjednoczonych dzia-łania w drugą stronę.

Czy pan dziś powtórzyłby za generałem Grynkewichem, że w 2027 roku Rosja uderzy na jeden z krajów natowskich? – Robimy wszystko, żeby taki scena-riusz się nie ziścił. Trzeba być na tyle silnym, by żadnemu państwu nie opłacało zaatakować NATO. Ale to, że strategia Federacji Rosyjskiej, ich neoimperialna prowokacyjna polity-ka prowokuje napięcia, jest faktem. Rosjanie zwiększają napięcia, przedstawili gospodarkę na tryb wo-jenny. Proszę spojrzeć, co dzieje się w przestrzeni informacyjnej, na pró-bę ingerowania w systemy demo-kratyczne, w wybory, co wszyscy wi-dzieliśmy w Rumunii czy na Wę-grzech. Mamy dronowe prowokacje nad państwami natowskimi, przeci-nanie kabli GPS na Bałtyku. Niestety to, co się dzieje na linii Kijów-Warszawa, to jest największa satysfakcja dla Moskwy.

Pan poprosił: wycofajcie się z uho-norowania swojej jednostki woj-skowej tytułem „Bohaterów UPA”, tłumacząc w liście do Ukraińców polskie emocje i deklarując zrozu-mienie dla ukraińskiej. Nie posłu-chali. Teraz prezydent odebrał Zelenskiemu Orła Białego. Współ-pracownicy prezydenta Ukrainy zaczęli odsyłać odznaczenia, które dostali w Polsce. – Podkreślam, że ta sytuacja zmierza w bardzo niedobrym kierunku, ale przypominam, że to nie my stworzy-liśmy ten problem.

Wracamy do krajowej polityki. Czy rok 2027 może być końcem kordonu sanitarnego dla PiS? Czy na przykład PSL mógłby być w ko-alicji z taką partią? – Jak wiecie, nigdy nie byliśmy z PiS w koalicji.

Dziś ludzie Kaczyńskiego życzą ludowcom, by wypadli z Sejmu, ale był taki moment, kiedy byliście dla PiS super partią, a Władysław Kosiniak-Kosiniak „ciekawym” politykiem. – Wodzenie na pokuszenie było. Pa-miętam pierwsze dni po wyborach 2023 roku, gdy z Pałacu Prezyden-ckiego, od prezydenta Andrzeja Dudy szły różne sugestie.

Prezydent do pana zadzwonił? – Nie, nie, bez przesady. Przecież mi-sja PiS od początku była skazana na porażkę. Wcześniej pytałyście o gr-a-nice, których nie przekraczam i wła-snie sobie je panie narysowaliście. Umówiliśmy się z Donaldem Tu-skiem, Włodzimierzem Czarzastym i Szymonem Hołownią na wspólne rządy, wyborcy dali mandat, ja zob-o-wiązań dochowuję. Nawet jeśli wi-dzę w zamian złote góry.

Ale w 2027, po wyborach, może te umowy będą już skasowane. – W 2027 trzeba zrobić taki wy-nik, żeby nasz rząd mógł kontynu-ować misję.

A dopuszcza pan rząd z Konfede-racją, jeśli naprzeciwko staną Ka-czyński z Grzegorzem Braunem? – Uważam, że gdybyśmy utrzyma-li obecny skład – a naprawdę docie-

ramy się w tej szerokiej koalicji – do-staniemy szansę na drugą kadencję.

Tyle że nie ma już Trzeciej Drogi, o której pan powiedział, że jej opozycja demokratyczna zawdzię-czała 14 procent dające zwycię-stwo i pozwalające odsunąć PiS od władzy. – Ten projekt polityczny wyczerpał się, z różnych powodów. Zakończy-ły go wybory prezydenckie. I na ty-le umawialiśmy się z Szymonem Ho-lownią. Trzeciej Drogi już nie będzie.

Może zakończył się tak oficjalnie na papierze, ale w wyborach prezydenckich PSL Hołowni nie za bardzo pomagał. – Bez przesady. Kto, jak kto, ale ja z Szymonem Hołownią byłem do ostatniego momentu. A że mu w wy-borach prezydenckich nie poszło? Polityka jest sinusoidą. Też mam w swoich doświadczeniach momen-ty, kiedy było dobrze i takie, w któ-rych było mi bardzo trudno.

Dlaczego Hołownia, którego nazwa pan przyjacielem, tak roz-trwonil kapitał polityczny? – Mam do niego wielki szacunek za to, co udało się nam wspólnie zrobić. Lubię go. Uważam, że jest bardzo przyzwoity i może nawet zbyt ufny w tym wszystkim, co się wydarzyło.

Ufał Kaczyńskiemu i jego naj-chytrzejszemu spin-doktorowi, Adamowi Bielanowi, gdy szedł na wspólną kolację? – Nie sądzę. Myślałem raczej o losach jego kampanii prezydenckiej. Że za-ufał jakiejś wizji, strategii, która dzia-łała w roku 2020, gdy startował na prezydenta pierwszy raz. W 2025 ro-ku próbował to powtórzyć, tyle, że nie było już tamtych emocji. Ale też budowanie nowej par-tii, środowiska politycznego jest bar-dzo trudne. Jeszcze trudniej wszyst-ko to utrzymać. Po 2021 roku wszyst-kie ruchy polityczne budowane są wokół silnego lidera – Ruch Paliko-ta, Kukiz'15, projekt Ryszarda Petru. Ale nie potrafiły utrzymać politycz-nej pozycji.

Bo dopiero starały się o władzę, i to w trudnych warunkach, gdy opozycyjne emocje zagospoda-rowywała KO i PSL. A projekt Hołowni skończył się, gdy był częścią układu władzy, w samym środku kadencji. – Będę go bronił, robię to z tej mo-jej zasady lojalności i będę robił na-dał, z sympatii. Uważam, że jeszcze wciąż ma szansę. Jeśli tylko weźmie sprawy w swoje ręce.

Co to znaczy? – Mówię o większej odpowiedzial-ności za Polskę 2050. Nie ma sytuacji, w które nie da się odbić. Uważam, że Szymon Hołownia powinien jesz-cze powalczyć.

Ale jak? Odebrać rolę liderki Kata-rzynie Pełczyńskiej-Nałęcz? – To są ich sprawy, jak sobie układa-ją partię.

Pan od dekady szefuje partii, o której nigdy nie wiadomo, czy w kolejnych wyborach przekroczy próg. Jak się pan z tym czuje? – Jestem ministrem obrony w cza-sach wojny za naszą wschodnią gra-nicą. I jeśli nie śpię po nocach, to

bardziej przez konflikt na Ukrainie niż przez to, czy PSL przekroczy, czy nie przekroczy progu. Bo wiem, że wejdziemy do Sejmu. Bo z każdymi wyborami idę z partią do góry.

Jakoś nie pokazują tego sondaże – Mówię o ostatecznych decyzjach wyborów. Kiedy zostają szefem PSL, zaczynamy od poziomu 5,1 pro-cent W kolejnych wyborach jest 8,5, a później – 14.

Ostatni wynik to nie było popar-cie dla PSL, ale dla Trzeciej Drogi z Hołownią – Nie wiem, panie mówicie, że ja idę w dół, a jak wam pokazuję, że idę w górę, to zaprzeczacie. Ale z pro-centami niech wam będzie. To weź-my klub PSL, z którym zaczynam na granicy piętnastu posłów, później jest ich 26, a dzisiaj wspólnie z sena-torami około 40. Jesteśmy drugim co do wielkości klubem w koalicji, trze-cim co do wielkości w parlamencie, a jak do tego dodamy samorządow-ców, to autentycznie jesteśmy trzecią co do wielkości partią w Polsce. Nie wiem, czy wiecie, z jakim wy-nikiem wygrał kandydat PSL na bur-mistrza miasta i gminy Koźmin Wielkopolski.

Pan to pisał na Twitterze. – A kto miał napisać jak nie szef PSL o kandydacie PSL? „Wyborcza” nie napisała. Nakręcamy się referendum w Krakowie, ale jak gdzieś wygry-wa PSL 94 procentami do 6 procent kandydata z PiS, to się nie przebija.

A wcześniej w Koźminie Wielko-polskim wygrywał PiS? – Nie wiem, kto wcześniej wygrywał, wiem, kto wygrał dziś. Zobaczcie na proporcje poparcia. Gdybym wierzył w sondaże, to taka wygrana, nawet w wyborach uzupełniających, byłaby niemożliwa.

To jaki pan ma plan na 2027 rok, skoro Trzecia Droga to zamknięty projekt? – Będzie partia, która jest skuteczna, dowozi tematy.

Pan wybaczy, ale to są ogólniki i komunały. Dla jakiego wyborcy ma być PSL? – Dla wyborców, którzy nie okazu-ją swoich sympatii w trakcie kaden-cji, ale za to wskazują na nas przy ur-nie. Dla wyborcy bardzo pragma-tycznego.

Pomiędzy kadencjami na pew-no nam jest trudniej o wsparcie tych, którzy mają wyraziste poglądy i pu-blicznie stoją za swoją partią. Jeżeli jest się partią umiarkowaną, loku-jącą się w centrum, gdzie od fajerwer-ków bardziej ceni się skuteczność, to w trakcie kadencji trudniej o utrzy-manie emocji, co przekłada się na sondaże. Emocje przychodzą przed gło-sowaniem. Od głosujących na PSL wte-dy słyszę: „wy stabilizujecie sytuację, jak rządzić, jest stabilnie, jest bez-pieczniej”. Myślę, że to jest wartość, która dzisiaj nie objawi się w ża-dnym sondażu. Bo nie jest jaskrawa, raczej pastelowa, gdybyśmy porów-nywali ją do kolorów. Tym, czego doświadczyłem prawie w każdych wyborach za mojej kadencji, jest racjonalność, której na końcu drogi szuka w polityce nasz elektorat. I na takiego wyborcę sta-wiamy. Na takiego wyborcę liczymy.

Wciąż macie etykietę partii wsi. Chociaż próbujecie z nią nieco zerwać, to nie jest łatwe – Jak sprawdzimy wykształcenie par-lamentarzystów, to w PSL mamy najlepszą średnią. U nas naprawdę mnóstwo się zmieniło. Gdy jest się starą, doświad-czoną partią, demografia też ma zna-czenie. COVID przetrzebił nam bar-dzo szereg, odebrał osoby w dostoj-nym wieku, to było dramatyczne do-świadczenie. Ale teraz do PSL zaczy-na przychodzić dużo młodych ludzi. Pamiętam taką scenkę z progra-mu redaktora Radomira Wita, gdzie też młodzież zadaje pytania.

Pan jest chyba fanem tego typu programów... – Po prostu lubię, gdy występu-ją młodzi, aktywni ludzie. Wtedy w TVN był premier Donald Tusk, a pierwszą osobą, która zadała mu pytanie, był ktoś z naszej młodzie-zówki. Redaktor mówi: „nie wiem, jak to robią, ale oni w każdym pro-gramie zawsze zadają pytanie i za-wsze są. Nie wszystkim się to udaje, a im – zawsze się udaje”. Premier na to: „znam ich od dwudziestu pięciu lat, wiem, dlaczego tak się dzieje”. To pokazuje naszą skuteczność.

Uchodźcie też za symbol nepoty-zmu. – Stereotyp. A inne partie nie ma-ją swoich przedstawicieli w pań-stwowych spółkach? Chcecie po-wiedzieć, że KO czy lewica są od te-go wolne? Łatka jest przypinana jest głównie nam, wbrew faktom. Dzie-je się tak, bo po 1989 roku inni zdą-żyli po dziesięć razy pozmieniac par-tyjne nazwy, a PSL nie zrobił tego ni-gdy. Dlatego można go historycznie rozliczać.

Pan mówi, że do wyborów PSL pójdzie samodzielnie. Tu cytat z pana: „Będziemy sobą. Będziemy szukać przyjaciół, bo iść samodzielnie, nie znaczy iść samotnie. Będzie-my zapraszać na nasze listy tych, z którymi jesteśmy od lat”. Zaprosi pan na listy Szymona Hołownię? Czy może całą Polskę 2050? – W Szymonie Hołowni widzę po-tencjał, PSL będzie zapraszał na li-sty różnych polityków. Uważam, że dziś wartością w polityce są osobiste marki, czyli dobre, rozpoznawalne nazwiska, które są w stanie zbud-o-wać dużo lepszy wynik niż nawet ja-kikolwiek partyjny szyld. W Polsce zmienia się wyborca, jest bardziej wymagający, bardziej świadomy, ślepe głosowanie na je-dynkę listy się skończyło. Sukces bę-dzie miał ten, kto ma własne doko-nania, własną siłę, skuteczność i roz-poznawalność.

Gdy pan myśli o przyszłorocznych wyborach, to co panu podpowiada polityczna intuicja? – Że linia podziałów politycznych bę-dzie najsilniejsza od upadku PRL w 1989 roku. Bo dla prezesa Jarosła-wa Kaczyńskiego może to być ostat-nie starcie w roli lidera prawej stro-ny sceny politycznej. Chyba że to przywództwo już w pełni przejmie Karol Nawroc-ki. Nie wykluczałbym scenariusza, w którym PiS schowa logo, powsta-je komitet wyborczy, któremu będzie patronował prezydent. Szeroka for-muła, w której obok PiS zmieści się pół Konfederacji. ●

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

Orzegorz Panek, dyrektor Samodzielnego Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Sanoku, wymienia oddziały, na których zatrudnia lekarzy z Ukrainy: „Oddział Obserwacyjno-Zakaźny – dwóch lekarzy, Oddział Chorób Wewnętrznych – jeden, Oddział Neurologiczny z Pododdziałem Udarowym – dwóch, Oddział Chirurgii Ogólnej i Naczyniowej – jeden, Oddział Urazowo-Ortopedyczny – jeden, Oddział Kardiologiczny z Pododdziałem Intensywnego Nadzoru Kardiologicznego – jeden, Oddział Intensywnej Terapii – dwóch, Szpitalny Oddział Ratunkowy – jeden, Oddział Otolaryngologiczny – dwóch”. Potem podkreśla: „Są to oddziały kluczowe z punktu widzenia zabezpieczenia całodobowego funkcjonowania szpitala”.

Piotr Gołaszewski, dyrektor Szpitala Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Wołominie, mówi nieco ostrożniej. „Gdyby ci ludzie odeszli z dnia na dzień, nasze plany rozwojowe byłyby trudniejsze”. I dodaje, jakby nie chciał, żeby go źle zrozumiano: „Nie jest tak, że szpital się przewróci. Radziliśmy sobie bez tych osób i jakoś funkcjonowaliśmy. To nie jest tak, że polska medycyna zaczęła działać dopiero po ich przyjeździe”.

Sanok i Wołomin pokazują tę samą prawidłowość, choć kontekst jest różny.

Powiat sanocki liczy niespełna sto tysięcy mieszkańców. To peryferie – młodzi wyjeżdżają, populacja się starzeje, jednocześnie szpital ma trzeci stopień referencyjności i pełne akredytacje do prowadzenia specjalizacji.

Powiat wołomiński to ponad 305 tysięcy mieszkańców – jeden z największych w Polsce. Leży w obwarzanku Warszawy. Suburbanizacja sprawia, że choć porodów jest mniej, to osiedlają się tu rodziny z dziećmi, a do tego dochodzi dobra komunikacja ze stolicą. Z drugiej strony w powiecie wołomińskim następuje szybkie starzenie się części populacji i rośnie zapotrzebowanie na opiekę. Tamtejszy szpital ma drugi stopień referencyjności, ale – jak mówi Gołaszewski – jest placówką wysoko specjalistyczną, z trzema klinikami Uczelni Łazarskiego: ginekologii i położnictwa, chirurgii ogólnej oraz chirurgii urazowo-ortopedycznej, gdzie kształcą się przyszli medycy.

W obu przypadkach pojawiały się problemy kadrowe. Panek podsumowuje to: „Coraz mniej młodych lekarzy chce pracować w szpitalach powiatowych, szczególnie poza dużymi miastami akademickimi. Dlatego lekarze z Ukrainy w wielu miejscach nie są już jedynie uzupełnieniem kadry, ale realnym elementem zapewniającym stabilność funkcjonowania systemu ochrony zdrowia”.

Dr hab. Łukasz Rypicz, dziekan Wydziału Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, zwraca uwagę na mechanizm, który pozwala dyrektorom domykać grafiki. „Lekarze coraz częściej świadczą pracę w oparciu o umowy cywilnoprawne, w przypadku których nie znajdują zastosowania niektóre ograniczenia dotyczące czasu pracy i obowiązkowego odpoczynku przewidziane dla pracowników zatrudnionych na podstawie Kodeksu pracy. Zakres godzinowy dyżurów jest wówczas określany przez warunki zawartej umowy”.

Najwyższa Izba Kontroli sprawdziła, jak to wygląda w praktyce. Udokumentowała 134 przypadki lekarzy, którzy dyżurowali bez przerwy powyżej 40 godzin, a najdłuższy dyżur trwał 124 godziny. Rypicz pyta retorycznie: „Jaka jest wydolność osoby, która przez 100 godzin non-stop odpowiada za życie ludzi?”.

WSZYSTYCY CZEKAJĄ TYLKO, KIEDY POPEŁNIĘ BŁĄD

„Polski chirurg ogólny to dzisiaj jak ostatni Mohikanin”.

Nie przeżyjemy bez ukraińskich lekarzy



A dlaczego medycy jeżdżą między kilkoma miejscami pracy? Zdaniem obserwatorów polskiego lecznictwa główny powód to zwielokrotnianie zarobków. Lekarze – zwłaszcza w deficytowych specjalizacjach – łączą kontrakty, bo większość pracuje na umowach cywilnoprawnych, które pozwalają na wiele miejsc zatrudnienia. W realiach podwarszawskich, jak mówi Gołaszewski, stawki godzinowe wahają się w granicach 150 do 250 złotych brutto, choć bardziej doświadczony personel może liczyć na więcej. A kwoty dla węższych specjalizacji są rzecz jasna znacznie wyższe. Przy czym, o ile lekarz sam nie opowie, ile wyciąga, obecnie gromadzone dane o zarobkach „są niepełne – nie odzwierciedlają rzeczywistych przychodów. Dotyczą bowiem tylko jednego miejsca pracy, tymczasem większość lekarzy pracuje naraz w kilku miejscach” – pisze Judyta Watola, czołowa specjalistka „Wyborczej” od służby zdrowia.

Natomiast Rypicz patrzy na to nie tylko z perspektywy menedżera w medycznym szkolnictwie wyższym, ale też specjalisty od jakości w opiece zdrowotnej: „W środowisku medycznym wciąż działa mechanizm wzajemnego wsparcia. Zdarza się, że lekarze odpowiadają na prośby dyrektorów i podejmują się dodatkowej pracy, aby choć częściowo zabezpieczyć potrzeby pacjentów. To rozwiązanie pomaga utrzymać dostępność świadczeń, ale wiąże się również z ryzykiem przeciążenia personelu, kosztem ich zdrowia fizycznego i psychicznego”.

Skalę problemu widać wyraźnie w Sanoku. Szpital ma 40 akredytowanych miejsc specjalizacyjnych, czyli rezydentur dla absolwentów kierunków lekarskich. Zajętych jest ledwie dziesięć. Panek znów wylicza: „chirurgia ogólna – cztery miejsca, z czego zajęte dwa; chirurgia naczyniowa – dwa miejsca, zajęte jedno; kardiologia – sześć miejsc, zajęte dwa; choroby wewnętrzne – sześć miejsc, zajęte jedno; choroby zakaźne – dwa miejsca, obecnie niezajęte; anestezjologia i intensywna terapia – trzy miejsca, obecnie niezajęte; medycyna ratunkowa – trzy miejsca, obecnie niezajęte; neurologia – trzy miejsca, obecnie niezajęte; otolaryngologia – trzy miejsca, zajęte dwa; ortopedia – dwa miejsca, zajęte jedno; pediatria – sześć miejsc, zajęte jedno”. I pointuje: „Polski chirurg ogólny to dzisiaj jak ostatni Mohikanin”.

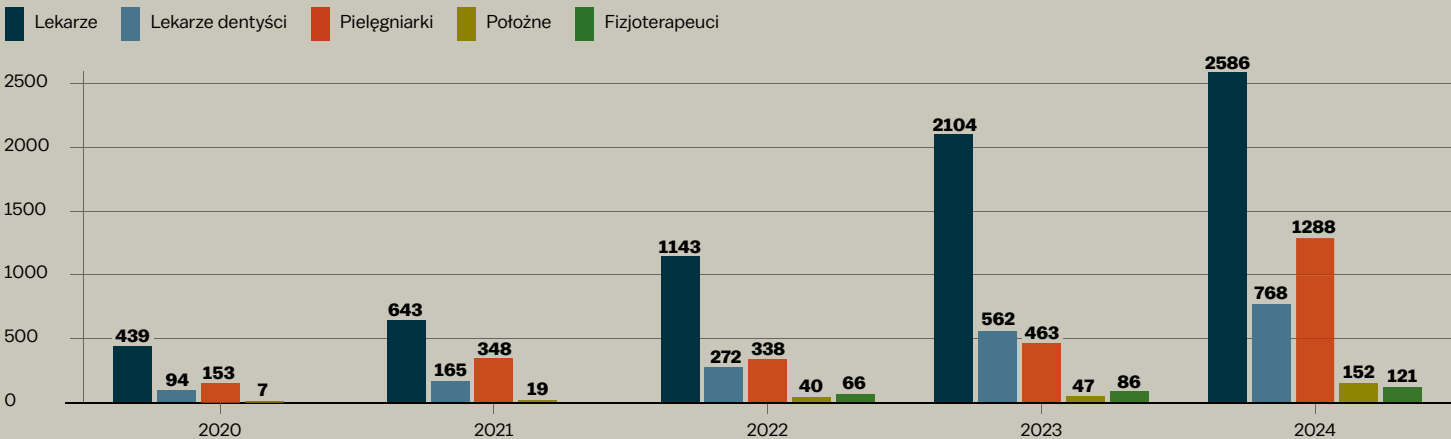
Rypicz zwraca uwagę, że trudności kadrowe utrzymują się nie tylko w szpitalach, również w podstawowej opiece zdrowotnej. W wielu mniejszych miejscowościach regularnie nie udaje się obsadzić wszystkich miejsc pracy dla lekarzy rodzinnych. Mimo dodatkowych zachęt – w tym mieszkań służbowych – zainteresowanie pracą poza dużymi miastami jest zdecydowanie mniejsze. – Co w dłuższej perspektywie może negatywnie wpływać na dostępność świadczeń dla mieszkańców tych obszarów – mówią eksperci.

Mamy więc sytuację, w której wytworzyły się niedobory kadry w najtrudniejszych miejscach, a jednocześnie trudno jest zatrzymać tych, którzy już tam pracują. Do tego dochodzi starzenie się personelu – średnia wieku lekarzy i pielęgniarek rośnie. Za dziesięć lat setki specjalistów odejdą na emeryturę, zwłaszcza w takich specjalizacjach jak choroby wewnętrzne i chirurgia ogólna.

Wyczerpanie Głównego Urzędu Statystycznego pokazuje, że problem widoczny w Sanoku i Wołominie to norma. Według raportu „Zdrowie i ochrona zdrowia w 2024 roku” (raport za 2025 będzie jesienią) w Polsce prawo wykonywania zawodu miało 2715 lekarzy z obywatelstwem ukraińskim, a bezpośrednio z pacjentem pracowało 2586. Dla porównania: ogółem w kraju uprawnionych do wykonywania zawodu było w 2024 roku 166 515 lekarzy, a pracujących bezpośrednio z pacjentem – 141 193. W 2020 roku liczby ukraińskich lekarzy wynosiły odpowiednio 514 i 439.

Liczba obywateli Ukrainy pracujących z pacjentem w wybranych zawodach medycznych

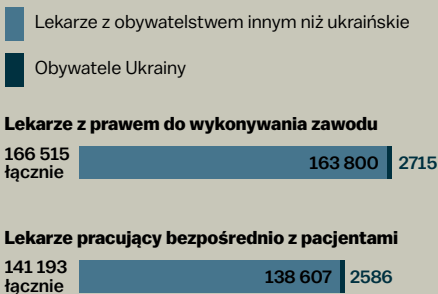
Stan na 31 grudnia 2024 r.



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: RAPORT GUS „ZDROWIE I OCHRONA ZDROWIA W 2024 R.”, WARSZAWA, KRAKÓW 2025

Lekarze w Polsce w 2024 r.: obywatele Ukrainy na tle ogółu



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: RAPORT GUS „ZDROWIE I OCHRONA ZDROWIA W 2024 R.”, WARSZAWA, KRAKÓW 2025

Wśród pielęgniarek wzrost był równie wyraźny: ze 153 w 2020 roku do 1288 w 2024, podczas gdy wszystkich pielęgniarek pracujących z pacjentem było dwa lata temu 219 881.

Ukraińcy stanowią więc 1,8 proc. wszystkich lekarzy pracujących z pacjentem w Polsce i 0,6 proc. pielęgniarek. To niewielki odsetek, ale jego znaczenie nie wynika z samej liczby, tylko z miejsca, w którym ci medycy są zatrudnieni.

To nie pierwszy raz, gdy w polskiej medycynie pojawia się personel z zagranicy. W naszym Bielsku Podlaskim w latach 80. pracował lekarz pochodzący z Syrii, w bliskim nam Białymstoku można było spotkać medyków z Afryki. Nie budziło to większych emocji, bo ich obecność była rozproszona i rozkładała się równomiernie po kraju.

Dziś sytuacja wygląda inaczej: medycy z Ukrainy są przede wszystkim tam, gdzie szpitale najtrudniej obsadzić. W tym sensie ich obecność nie jest „ciekawostką”, ale odpowiedzią na lukę kadrową. A że występują najliczniej – czyli rzucają się w oczy – w tych miejscach, gdzie publiczna służba zdrowia szwankuje, przepis na napięcia społeczne gotowy.

Znamienne, że autorzy raportu GUS po raz pierwszy uwzględnili obywateli Ukrainy wprost, wyróżniając ich jako osobną kategorię, w przedmowie do opracowania. „W bieżącej edycji rozszerzono zakres analizy o nowe zagadnienia – uwzględniono w niej dane dotyczące lekarzy i pielęgniarek w krajach OECD oraz obywateli Ukrainy zatrudnionych w wybranych zawodach medycznych w Polsce”. To dowód, jak widoczny stał się ukraiński personel medyczny i znak, że napływ lekarzy z wschodniej granicy to już trwały element bilansu kadrowego ochrony zdrowia.

Zapotrzebowanie na Ukraińców zwiększa także sytuacja epidemiologiczna. Co odrochu kojarzy się z pandemią, ale wcale nie chodzi o covidowe lata, tylko o niepokojącą codzienność. Porównując lata 2023 i 2024, raport GUS odnotowuje gwałtowny wzrost zachorowań na wybrane choroby zakaź-

Dyrektor SPOZ w Sanoku: Lekarze z Ukrainy w wielu miejscach nie są już uzupełnieniem kadry, ale realnym elementem zapewniającym stabilność funkcjonowania systemu ochrony zdrowia

ne: krztusiec ponad trzydziestokrotnie, do 32,8 tys. przypadków, borelioza o 18 proc., do 29,9 tys., a szkarlatyna – trzeci rok z rzędu – do 48,5 tys. To właśnie oddziały ratunkowe i całodobowe odczuwają tę presję najmocniej – zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, które nie są w stanie zaoferować rodzimym lekarzom oczekiwanych stawek – a więc te, na których ukraińscy lekarze pracują najczęściej. To jeszcze, dla poszerzenia kontekstu, ulubiony motyw prawicowej propagandy, czyli – kolportowane na początku przez kolejkowo-bazarową wieść gminną i szybko podchwycone i podsycane przez rosyjskie trolle, sympatyków Grzegorza Brauna oraz Konfederatów – obciążenie służby zdrowia przez ukraińskich pacjentów. W 2024 roku ze świadczeń szpitalnych skorzystało 40 795 obywateli Ukrainy, z ambulatoryjnej opieki specjalistycznej 186 962, a z podstawowej opieki zdrowotnej 256 182 osoby. W skali całego kraju to wciąż margines wszystkich hospitalizacji, bo około 0,5 proc.

Z twardej danych nie wynika więc, że Ukraińcy „zjadają” środki z Narodowego Funduszu Zdrowia. Przeciwnie, wkład lekarzy z Ukrainy w funkcjonowanie polskiej ochrony zdrowia jest większy niż obciążenie systemu wynikające z leczenia ukraińskich pacjentów.

Między 2023 a 2024 rokiem liczba ukraińskich lekarzy pracujących z pacjentem wzrosła o 23 proc., czyli o blisko 500 osób. W tym samym czasie liczba hospitalizacji obywateli Ukrainy zwiększyła się o 25 proc., czyli łącznie o ponad 8 tysięcy przyjęć. Te liczby są podobnego rzędu, ale ich znaczenie nie jest symetryczne: kilkuset dodatkowych lekarzy realnie domyka dyżury, a kilka tysięcy dodatkowych hospitalizacji rozprasa się po systemie.

Z danych GUS wynika również, że koncentracja ukraińskich pacjentów jest największa w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Łodzi i Poznaniu. Tam pracuje również wielu ukraińskich lekarzy. Ale najważniejsze jest co innego: ich obecność jest niezbędna w mniejszych ośrodkach. Właśnie tam dyrektorzy szpitali deklarują: „bez ukraińskich kolegów

grafiki na najtrudniejszych oddziałach po prostu by się nie spinały”.

Dysponując tymi liczbami, można już zmierzyć się z trzema obiegowymi tezami, które okazują się nieprawdą albo – chcąc być dokładniejszym – półprawdami, zasłaniającymi faktyczne trudności.

Pierwsza: ukraińscy lekarze zabierają miejsca polskim. Panek odpowiada na to swoim sanockim przypadkiem: „Problemem systemowym nie jest brak możliwości szkolenia lekarzy, ale coraz mniejsze zainteresowanie młodych lekarzy pracą i specjalizowaniem się w szpitalach powiatowych”. W jego placówce 30 z 40 miejsc specjalizacyjnych stoi pustych. I nikt ich nie zabiera.

Druga: przybyło tyle uchodźców z Ukrainy, że nawet ci liczni napływowi lekarze nie zapełniają dziur, bo Ukraińcy tak się leczą. I jeszcze wszystko mają za darmo. Cóż, dane mówią co innego. Dodatkowe kilka tysięcy hospitalizacji rozkłada się na cały kraj. A ponad dwa tysiące dodatkowych lekarzy realnie wypełnia luki tam, gdzie polscy absolwenci najrzadziej podejmują pracę. Co więcej, ukraiński personel wnosi do systemu nie tylko stabilizację, ale i może poprawiać bilans operacyjny wybranych jednostek. Choć pełnych statystyk nie ma, a ogólnopolskie dane o średnich kontraktach lekarzy z Ukrainy są fragmentaryczne, pewien obraz wylania się z wypowiedzi dyrektorów szpitali i dostępnych analiz.

Gołaszewski przyznaje, że stawki lekarzy z wschodniej granicy – bo także Białorusinów – są „zbliżone, nieznacznie niższe, gdy doświadczenie w Polsce jest krótsze”. Zaznacza jednak istotny niuans: część lekarzy z Ukrainy jest zatrudniona przez firmy pośredniczące, co przekłada się na nieco niższą stawkę dla lekarza.

Ale to realia dużych miast i obszarów metropolitalnych. Na prowincji ukraiński lekarz oznacza dla kierownika istotny oddech. Według danych Agencji Oceny Technologii Me-

dycznych i Taryfikacji mediana zarobków polskiego lekarza specjalisty na kontrakcie w jednej placówce wynosi około 24,6-25,6 tys. brutto, a przy łączeniu kilku miejsc pracy realne dochody mogą sięgać 30-40 tys. netto miesięcznie. Tymczasem widelki dla ukraińskiego internisty czy pediatry w mniejszym ośrodku często mieszczą się w zakresie 10-20 tys. netto przy standardowym obciążeniu dyżurami. Im większy ośrodek, tym bardziej różnica się zmniejsza.

Zastrzeżenie jest oczywiste: ilu lekarzy i placówek, tyle przypadków – wszystko zależy od specjalizacji, stażu w polskim systemie, formy zatrudnienia (bezpośrednio czy przez agencję) i liczby godzin. Lecz ogólnie ukraiński personel bywa dla szpitali opcją bardziej elastyczną niż wypełnianie wakacji polskimi lekarzami za wysokie stawki, którzy w każdej chwili mogą porzucić dyżur na rzecz lepszej oferty.

Ale i w wielkich miastach jest przypadek, w którym Ukrainiec równie drogi, co Polak, opłaca się stricte finansowo – pod warunkiem, że ma stopień naukowy lub jest gotów otworzyć przewód doktorski. Jak wyjaśnia nam były główny księgowy medycznego instytutu badawczego, w jednostkach, które leczą, a jednocześnie mogą statutowo prowadzić badania naukowe, obecność takich osób zwiększa potencjał do pozyskiwania środków z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz – jeśli wykażą się aktywnością – może ułatwiać zdobywanie naprawde dużych grantów z programów międzynarodowych i konsorcjalnych, w tym z udziałem partnerów z Ukrainy. W takich przypadkach część kosztów pośrednich z realizowanych projektów trafia do budżetu instytucji. – Mechanizm ten dotyczy jednak tylko instytutów badawczych i szpitali klinicznych – zaznacza nasz rozmówca.

Bilans jest więc jasny: nawet jeśli – czysto hipotetycznie, choć ekonomiści to kwestionują – przyjąć, że ukraińscy uchodźcy obciążają polską ochronę zdrowia, to ukraiński personel nie tylko realnie ją stabilizuje, ale wręcz zapewnia taką czy inną nadwyżkę. Jeśli nie w postaci niższych stawek kontraktowych niż te, które otrzymują ich polscy koledzy, to dodatkowych funduszy z innych źródeł. Albo w postaci zmniejszenia się w budżecie, bo placówka nie musi windować wynagrodzeń, by ściągnąć specjalistów z dużych miast. Ostateczny rachunek pozostanie więc dodatni.

Trzecia teza – że ukraińscy lekarze są potrzebni głównie pacjentom z Ukrainy – jest tylko częściowo prawdziwa.

I tu do głosu dochodzi Mariia Sawczyna. Jej historia nie tyle obala tę tezę, co ją uzupełnia i pokazuje w innym świetle. Mariia przyjechała do Polski w marcu 2022 roku, gdy Rosjanie weszli do jej wsi pod Kijowem. Dziś jest doktorantką, która bada stres pourazowy u uchodźców, i stypendystką projektu EDU-UREF, analizującego dostęp Ukraińców do polskiego systemu ochrony zdrowia. Mówi i jako badaczka, i jako pacjentka. Swoją zespół stresu pourazowego leczyła zdalnie u ukraińskiego psychoterapeuty, za własne pieniądze, bo w pierwszych miesiącach w Polsce nie potrafiła odnaleźć się w naszych realiach. „Każda wizyta w urzędzie czy u lekarza była przeprawą – nie wiedziałam, gdzie się zgłosić i co mi przysłuży” – wspomina. Dziś zna polski, używa go w pracy, ale w sprawach medycznych język wciąż bywa wyzwaniem: „Muszę przed wizytą przygotować się lingwistycznie, poszukać, jak jest po polsku. Dlatego, gdy mam konkretny problem zdrowotny, najchętniej idę do lekarza, który posługuje się ukraińskim, żeby nie dokładać sobie kolejnej bariery”.

To perspektywa pacjentki, a Mariia nakłada na nią systemowe wnioski badaczki: „Możliwość skorzystania z pomocy lekarza, który mówi w moim języku i rozumie moją kulturę, moje tło, bywa prawdziwym mostem do polskiego systemu ochrony zdrowia, a czasem



Tam nas bronią, tu leczą

30

• z 40 miejsc specjalizacyjnych w sanockim SPOZ czeka na lekarzy

10-20 tys.

• zł netto wynosi kontrakt ukraińskiego lekarza w mniejszym ośrodku. Polskiego – 24,6-25,6 tys. brutto

124 godziny

• trwał najdłuższy dyżur lekarza udokumentowany przez NIK

208

• lekarzy spoza UE do maja 2026 utraciło prawo wykonywania zawodu z powodu niezajomości polskiego na poziomie B1

1/4

• populacji będą w 2030 r. stanowiły osoby po 65. roku życia. A polskich lekarzy geriatrów brakuje

wręcz warunkiem realnego uzyskania pomocy”.

Innymi słowy, obecność ukraińskich medyków nie prowadzi do gettoizacji. Przeciwnie – ułatwia Ukraińcom odnalezienie się w Polsce. To właśnie odpowiedź na trzecią antyukraińską tezę. Ukraińscy lekarze są potrzebni całemu systemowi, bo pomagają części uchodźców i migrantów skuteczniej z niego korzystać – a to oznacza sprawniejsze wtopienie się w społeczeństwo i mniej zaniedbanych chorób, mniej interwencji w stanach nagłych, czyli niższe koszty dla wszystkich podatników.

Ale jeśli wszystko wydaje się takie oczywiste, to skąd tyle głosów przeciw ukraińskim lekarzom?

Golaszewski, który wcześniej pracował w Szpitalu Bródnowskim, dobrze pamięta tamten czas: Ukraińcy „byli witani jako osoby, które doznały głębokiej krzywdy. Bardzo ich wspierano, starano się stworzyć warunki większej serdeczności”. Potem coś się zmieniło: – Odnoszę wrażenie, że wraz z ogólnie trudniejszymi nastrojami społecznymi pojawiły się też trudniejsze nastroje w tych relacjach. Ci ludzie są momentami traktowani gorzej niż kilka miesięcy temu. A może po prostu zaczyna się od nich wymagać: jesteś tutaj tyle miesięcy, już powinienes to znać, staraj się mówić absolutnie po naszemu, ten akcent nie jest dobry, pacjenci się niepokoją.

**Dyrektor szpitala w Wołominie:
Zaczyna się od nich wymagać:
jesteś tutaj tyle miesięcy, już
powinienes to znać, staraj się
mówić absolutnie po naszemu,
ten akcent nie jest dobry,
pacjenci się niepokoją**

W 2024 roku polskie władze zakończyły uproszczone procedury licencyjne dla ukraińskich lekarzy i dentystów z dyplomami spoza Unii Europejskiej. W raporcie Europejskiej Sieci Migracyjnej „Azyl i migracja w Polsce 2024” czytamy: „Od 24 października 2024 roku nowe wnioski o warunkowe licencje nie są już przyjmowane. Wprowadzono obowiązek udokumentowania znajomości polskiego na poziomie co najmniej B1”. Do maja 2026 roku część lekarzy pracujących w uproszczonym trybie utraciła prawo wykonywania zawodu – według doniesień prasowych dotyczy to już 208 osób spoza Unii.

Panek w Sanoku nie miał takich trudności – wszyscy jego ukraińscy lekarze zdali egzamin. Ale zna rzeczywistość innych placówek: „Dla niektórych szpitali w Polsce nowe regulacje oznaczały realne ryzyko utraty personelu medycznego i konieczność reorganizacji grafików dyżurowych praktycznie z dnia na dzień. Problem dotyczy szczególnie szpitali powiatowych, które od lat mają największe trudności kadrowe”.

Golaszewski podaje przykład lekarki ze swojego SOR, która nie spełniła nowych wymogów językowych i utraciła możliwość pracy. „Wczoraj dobrze leczyła, sprawdziła się, pracuje dobrze. Jest kulturalną osobą, bardzo się stara. Jaka to strata dla pacjentów, którzy z zaufaniem do niej wracają. Owszem, lekko ciąga, ma specyficzny sposób wyrażania się. Ale język profesjonalny, medyczny, oparty na łacinie – w nim jesteśmy w stanie się porozumieć”.

Bo bariera językowa jest niższa, niż mogłoby się здаwać. Studenci zza wschodniej granicy potrzebują około czterech miesięcy, żeby nieźle radzić sobie z polskim. „Z lekarzami jest podobnie – to ludzie wykształceni, posługują się zwrotami opartymi o łacinę, więc szybko łapiemy kontakt. Najlepsza nauka języka jest przez doświadczenie” – mówi Golaszewski. I dodaje, że w jego szpitalu w ciągu ostatniego półtora roku odnotowano tylko dwie sytuacje, w których pojawiły się uwagi na tle pochodzenia lekarzy. „Nie mam formalnych skarg” – podkreśla.

Zapytaliśmy o ukraińskich medyków na targowisku w niewielkiej miejscowości na

północnym Mazowszu. Emerytka: „Jeśli ktoś przez cztery lata nie nauczył się polskiego, to ja się pytam, czy on w ogóle jest lekarzem”. Mężczyzna około pięćdziesięciu pięciu lat, sprzedający truskawki: „Mówią, że dyplomy kupują na targu w Kijowie. Jak człowiek słyży takie rzeczy, to mu się robi nieswojo”. Kobieta pracująca w sklepie przy targu: „Mnie jeden leczył i mówił całkiem dobrze, ale słyszałam, że inni ledwo się dogadują”. Emerytowany nauczyciel: „Wiadomo, że brakuje lekarzy na prowincji, ale jak ktoś nie potrafi przeprowadzić normalnej rozmowy z pacjentem, to ja się zastanawiam, czy my przypadkiem nie zaniżamy wymagań”.

Czy mądrości ludowe znajdują pokrycie w rzeczywistości? Profesor Mirosław Czuczwar, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Anestezjologii i Intensywnej Terapii, relacjonuje w „Wyborczej” konkretny przypadek. „Do izby przyjęć zgłosił się pacjent z objawami wskazującymi na zawał serca i dostał lek na ból kręgosłupa. Na szczęście ratownik medyczny, który go przypadkiem zobaczył przy wyjściu ze szpitala, okazał się na tyle kompetentny, że samodzielnie zebrał wywiad, zrobił EKG i przetransportował tego pacjenta na oddział kardiologii. Tam potwierdzono ostry zespół wieńcowy” – mówi Judycie Watole w wywiadzie pod tytułem „Apel do Ministerstwa Zdrowia: »Lekarz na SOR, który nie zna polskiego, jest niebezpieczny dla pacjentów«”. „Lekarz, który w tym wypadku zawinił, został wezwany celem złożenia wyjaśnień. Niestety, nie rozumiał pytań rzecznika odpowiedzialności zawodowej”.

Profesor wspomina inny przypadek: „Dostałem do analizy dokumentację medyczną, która była całkowicie niezrozumiała. I nie chodziło o błędy ortograficzne ani literówki. To był kompletnie niezrozumiały tekst, najprawdopodobniej sporządzony za pomocą internetowego narzędzia do tłumaczenia”. Konkluzja: „W całym cywilizowanym świecie, żeby uprawiać medycynę, trzeba móc porozumieć się z pacjentem, jego rodziną oraz pozostałymi członkami personelu medycznego. Trzeba także umieć sporządzić dokumentację w języku obowiązującym w danym kraju. Inaczej robi się niebezpiecznie dla pacjenta”.

Siedemdziesięcioletnia pani Halinka, była kierowniczka laboratorium analitycznego w szpitalu w Bielsku Podlaskim, wskazuje na pomijany fakt. Na wsiaach wschodniego i południowego Podlasia, gdzie większość to ludzie w wieku emerytalnym, jest wiele osób, które wciąż mówią „po swajomiu”, mieszaną białoruskiego i polskiego. „Byli tacy, którzy nie mogli się porozumieć z młodymi laborantkami, bo te nie rozumiały, co dziadek czy babcia chcą” – wspomina. „Kadra, która zna białoruski czy ukraiński, jest u nas na wagę złota”.

Zgadza się, że nieznamość polszczyzny w stopniu uniemożliwiającym wypełnienie dokumentacji medycznej jest dyskwalifikująca, ale zaznacza też, że „niemożność dogadania się z pacjentem to nie jest jedna standardowa sytuacja, a wiele różnych”. I żartuje, że decydenci z Warszawy nie zrozumieliby, co mówi do nich babula ze Szczytów-Nowodworów pod Bielskiem Podlaskim.

Profesor Filip Raciborski, prodziekan Wydziału Nauk o Zdrowiu Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, patrzy na to z perspektywy specjalisty zdrowia publicznego. „Przeżyliśmy pandemię. Wyszliśmy z niej z bardzo dużym długiem zdrowotnym, czyli przeszliśmy od jednego kryzysu do drugiego kryzysu. Kryzys jest stale. Rząd próbuje w ten czy w inny sposób problem rozwiązać, ale on jest, zdaje się, niestety nierozwiązywalny”. I wskazuje na demografię: „Sytuację na rynku pracy ratuje nam migracja. Zmiany nie są równomierne – mamy obszary, które się bardzo szybko wyludniają. Zostają tam osoby starsze, a młodzi migrują do dużych ośrodków. Nie dość, że spada liczba ludności, to jeszcze średni wiek w takich miejscach gwałtownie rośnie”.

Ukraińscy lekarze są w tym systemie elementem niezwykle ważnym – ale doraźnym. Raciborski, który na co dzień styka się z ukraińskimi studentami i współpracownikami, nie ma wątpliwości co do ich poziomu. „Dla mnie narodowość studenta nie ma żadnego znaczenia, jeżeli bierze udział w zajęciach i się angażuje”. A o jednej ze swoich współpracownic z Ukrainy mówi: „Jest nieprawdopodobnie kompetentna. Umiejętność posługiwania się wieloma językami, sprawność poruszania w różnych systemach – to są przewagi”.

Podobnie oceniają ich dyrektorzy. Gołaszewski: „To nie są osoby z przypadku. To ludzie, którzy w swoim kraju wybrali tę ścież-

kę bardzo świadomie, skończyli wartościowe studia i mają bogate doświadczenie”. Panek: „Prawie 90 proc. lekarzy, którzy przyjechali do Sanoka po lutym 2022, nadal tam pracuje”.

A przydałoby się ich jeszcze więcej. Według prognoz GUS w 2030 roku osoby po 65. roku życia będą stanowić prawie jedną czwartą populacji, a w 2050 – blisko jedną trzecią. To oznacza lawinowy wzrost chorób przewlekłych, wielochorobowości i zapotrzebowania na opiekę długoterminową. Tymczasem geriatrów, pielęgniarek, miejsc w DPS-ach i ZOL-ach – zakładach opiekuńczo-leczniczych – brakuje już teraz. Raciborski rysuje obraz możliwej katastrofy: „Bez odpowiedniej profilaktyki osoby w wieku 60-65 lat będą tak schorowane, że nawet gdyby chciały kontynuować pracę, będzie to trudne. Jeżeli nie zaczniemy działać odpowiednio wcześniej – doprowadzimy do załamania całej gospodarki”.

Problem w tym, że skoro starzeje się społeczeństwo, starzeje również kadra medyczna. A nim się zestarzeje, to się wypala. Dr hab. Rypicz: „Coraz więcej medyków na nie cierpi, także przez agresję ze strony pacjentów. To push-factor”. Czyli istotny czynnik zachęcający do zwolnienia czy odejścia z zawodu. Skala jest niepokojąca. Jak wynika z rapor-

i czasu dla pacjenta więcej. A są i tacy, co całkowicie rezygnują z pracy klinicznej, by zarobić mniej, ale wciąż godnie, w koncernie farmaceutycznym.

Tymczasem ukraińscy lekarze, którzy zasilały polskie szpitale, są bardzo często młodszy od polskich kolegów. Co wynika nie tylko z faktu, że ukraińskie społeczeństwo dopiero zaczyna doświadczać „zachodnich” procesów społecznych, które w polskim toczą się już pełną parą – w tym właśnie „silver tsunami”.

Duże znaczenie ma inny model kształcenia. Ukraińskie studia medyczne trwają sześć lat, podobnie jak w Polsce, ale system specjalizacji jest krótszy. Tak zwana internatura trwa zwykle od jednego do trzech lat, podczas gdy w Polsce szkolenie specjalizacyjne najczęściej cztery do sześciu. Zresztą to właśnie ta różnica – jak zaznacza osoba związana z ministerstwem zdrowia – jest jedną z przyczyn napięcia między polskimi a ukraińskimi lekarzami.

Z tej perspektywy ukraiński personel jest jak plaster na niegojącą się ranę. „Gdyby pomniejszyć zespół, to jesteśmy przy absolutnym minimum bezpieczeństwa. Gdyby ci ludzie odeszli z dnia na dzień, nasze plany rozwojowe byłyby trudniejsze” – mówi w kontekście swojej placówki Gołaszewski, gdy pytamy

Serhij przeprasza nas, że odpowiada na pytania z opóźnieniem, bo „musiał pracować bez przerwy w szpitalu – 8 dni pod rząd, bo polscy lekarze nie chcieli pracować w długi weekend”

tu „Ostatni zgasi światło. Nastroje polskich lekarzy w postpandemicznej rzeczywistości” z 2021 roku autorstwa Beaty Buchelt, Iwony Kowalskiej-Bobko i Tomasza Masłyka, przygotowanego we współpracy z Naczelną Izbą Lekarską, prawie połowa lekarzy – 49,8 proc. – zetknęła się w czasie pandemii z hejtem lub agresywnymi zachowaniami. Po covidzie zrobiło się nieco spokojniej, ale nie na linii pierwszego kontaktu z zestresowanym lub wkurzonym pacjentem, czyli na SOR-ach czy w przychodniach.

Tacy sfrustrowani lekarze zmniejszają liczbę dyżurów, bo wreszcie, po latach walki o godne zarobki, medyk może przyzwolnić związać koniec z końcem, pracując na jednym etacie. Inni przechodzą do sektora prywatnego lub emigrują – na Zachodzie pieniądze już nie są lepsze, ale praca spokojniejsza

o czarny scenariusz. „Naturalnie, damy sobie radę, poproszę pozostałych lekarzy o więcej dyżurów, to da czas na szukanie kolejnych osób. Ale to nie tylko strata »egzemplarza«. To konkretny człowiek, konkretna historia, która wpisała się już w Wołomin. Nie odchodzi »lekarz numer 8«, tylko odchodzi Władysław, doktor Władysław, ze swoimi doświadczeniami, lękami, nadziejami, szansami, obawami”.

W Bielsku Podlaskim ukraiński lekarz mówiący ze wschodnim akcentem nie jest egzotyką. Czterdziestoletnia Larysa, pediatra z Ukrainy, przez pierwszy rok po przyjeździe uczyła się polskiego i nostryfikowała dyplom. Dziś ma dwie specjalizacje i od trzech lat pracuje w lokalnym szpitalu. W Bielsku ży-

ją obok siebie różne narodowości, oprócz polskich Białorusinów także polscy Ukraińcy. Poza tym są katolicy i prawosławni. Więc obecność Larysy nie budzi emocji. Pacjenci po prostu wiedzą, że dobrze leczy ich dzieci.

Ale mamy też casus czterdziestoczteroletniego Serhija Pody. Historia pediatry, który od lipca 2022 roku pracuje w Lublinie, pokazuje, że nie tylko polski system ma problem z Ukraińcami – oni też mają się na co skarżyć.

Serhij przeprasza nas, że odpowiada na pytania z opóźnieniem, bo „musiał pracować bez przerwy w szpitalu – 8 dni z rzędu, bo polscy lekarze nie chcieli pracować w »długi weekend«”. Dyżuruje w dwóch szpitalach, gdzie za ponad trzysta godzin miesięcznie otrzymuje około 48 tysięcy złotych netto. Dorabia też w przychodni, gdzie spędza kolejne kilkadziesiąt godzin i zarabia dodatkowe 6 tysięcy złotych. Przed wojną w Ukrainie zarabiał łącznie równowartość około 4 tysięcy dolarów miesięcznie – tysiąc w państwowym szpitalu i resztę w ramach prywatnej praktyki.

W Polsce koszt nostryfikacji dyplomu i wszystkich wymaganych dokumentów wyniósł go 18 tysięcy złotych – 4650 złotych za sam proces i 13 tysięcy za tłumaczenia, sporządzenie dokumentów oraz ich autoryzację, tak zwane apostille. Miał trzy podejścia, a cały proces zajął półtora roku. Zdał też egzamin ze znajomości języka polskiego na poziomie B1 i otrzymał polskie obywatelstwo.

Na pieniądze nie narzeka, ale... „Osobiście odczuwam, że traktują mnie jak dodatkową siłę do wypełniania luk kadrowych. Przedłużają mi kontrakt ciągle tylko na trzy miesiące, choć pracuję w szpitalu już 4 lata”. Lecz najbardziej go męczy ciągle napięcie. „Co piąty pacjent jawnie lub ukrycie negatywnie reaguje na moje ukraińskie pochodzenie. Ciągłe pisały na mnie skargi do kierownictwa.

Wszystkie związane wyłącznie z tym, że pacjentom nie podobało się, jak zachowywał się ukraiński lekarz. Ale najtrudniej wytrzymać negatywne nastawienie polskich kolegów. Na początku ciągle próbowali deprecjonować moją wiedzę lekarską i kompetencje. Wciąż nie czuję żadnego wsparcia, odczuwam ciągłą presję. Wszyscy czekają tylko, kiedy popełnię błąd”.

Choć przyznaje: „będę dalej pracować w Polsce przez 2-3 lata, bo tutaj wyższy poziom”.

Ten artykuł powstał dzięki wsparciu międzynarodowej organizacji dziennikarskiej Pulitzer Center.

REKLAMA

Kraj/34423010

Opowieść o najbardziej magicznym miejscu na Dolnym Śląsku.

Dla tych, którzy chcą poznać losy Zamku Książ nie przez pryzmat dat i suchych faktów, ale oczami świadków jego historii z lat 1888 – 1946.

ZAMEK KSIĄŻ
AGNIESZKA DOBKIEWICZ
HISTORIA
OPOWIEDZIANA
GŁOSAMI
ŚLEZKICH

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**
www.wydawnictwoagora.pl

PARTNERZY:



**Wydawnictwo
Agora**

Tokarczuk VS Ned Ludd

Entuzjaści i przeciwnicy nowych technologii zapominają,
że przedmiotem sporu nigdy nie są wyłącznie maszyny.

Radosław Korzycki

Przez pewien czas drukarze robili wszystko, żeby ich książki nie wyglądały jak wydrukowane. Zostawiali miejsce na ręcznie malowane inicjały, naśladowali charakter pisma skrybów, ukrywali ślady nowej technologii. Klient miał mieć poczucie, że kupuje coś znajomego.

Pięćset lat później pisarze, dziennikarze i wykładowcy coraz częściej słyszą podobne pytanie: czy przy tym tekście pomaga sztuczna inteligencja? Od czasów Gutenberga każda technologia, która obiecuje szybsze wytwarzanie wiedzy, wywołuje ten sam niepokój: że się nie będzie już niezastąpionym.

To musiało być miasto kupców

W połowie XV wieku, po stuleciu złych plonów, głodu, dżumy, wojnach i kryzysach, które zdziesiątkowały ludność kontynentu, Europa była światem niedoboru. Ale także niedoboru informacji, książek, wiedzy i kontaktów, które dziś nazwalibyśmy networkingiem.

Wiadomość podróżowała mniej więcej z prędkością konia, statku albo ludzkich nóg. Większość mieszkańców kontynentu nigdy nie oddalała się od miejsca urodzenia bardziej niż o kilkadziesiąt kilometrów. Dla chłopą granicą świata była sąsiednia wieś. Dla mieszczanina najbliższy jarmark. Nawet uczeni żyli w rzeczywistości, w której zdobycie książki mogło wymagać podróży przez pół Europy albo wielomiesięcznej korespondencji.

Był to także, co bardzo dla nas dzisiaj ważne, świat pośredników. Prawdy religijnej strzegli Kościół i duchowni, wiedzy – uniwersytety i profesorowie. A pamięci – skrybowie. Niewiele rzeczy trafiało do człowieka bezpośrednio. Niemal wszystko przechodziło przez czyjeś ręce, usta lub pióro.

W takim świecie, świecie średniowiecznych skryptoriów, książka była przedmiotem luksusowym, niemal zsakralizowanym. Ale w tym, który właśnie się rodził, zaczęła się stawać towarem.

Rzemieślnik i złotnik z całkiem zamożnej rodziny, niejaki Johannes Gutenberg, pojawił się dokładnie w momencie, gdy te dwa porządki przez krótką chwilę nakładały się na siebie. Połączył kilka istniejących technologii w jeden wydajny proces produkcji tekstu i tak narodziła się ruchoma czcionka.

Do przełomu musiało dojść w mieście kupców. Moguncja nie była centrum świata ani nawet jednym z największych miast Europy. Liczyła kilkanaście tysięcy mieszkańców, ale leżała nad Renem, najważniejszą handlową arterią Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Właśnie takie miasta stawały się laboratoriami nowej epoki. Krzyżowały się w nich szlaki handlowe, przepływały pieniądze, pracowali złotnicy, kupcy, rzemieślnicy i bankierzy.

Nie od razu dało się dostrzec skalę zmiany. Pierwsze drukowane książki były drogie i trafiały głównie do tych samych ludzi, którzy wcześniej kupowali rękopisy.

Co więcej, jak wspomniałem, drukarze przez długi czas starali się ukryć wyjątkowość, moc przerobową i wydajność swojego wynalazku. Wiele wczesnych druków wygląda dziś zaskakująco znajomo dla każdego, kto widział średniowieczny rękopis. Zdarzało się nawet, że nabywca nie od razu się orientował, iż książka nie została przepisana ręcznie.

Za dużo książek?

Zmiana przyszła powoli, ale okazała się nieubłagana. Najszybciej odczuli ją ludzie, którzy przez stulecia żyli z kopiowania tekstów. W XV wieku przepisywanie książek stanowiło ważną część gospodarki klasztornej. Niektóre zgromadzenia zakonne utrzymywały skryptoria zatrudniające całe zespoły kopistów. Praca nad jedną Biblią mogła zająć ponad rok.

Pojawienie się drukarni nie pozbawiło ich zajęcia z dnia na dzień, ale w ciągu kilku pokoleń zapotrzebowanie na ręczne kopiowanie gwałtownie spadło. Paradoksalnie wielu dawnych skrybów znalazło później zatrudnienie przy nowej technologii. Zostawali korektorami, redaktorami, tłumaczami albo zecerami.

Najbardziej nieoczekiwanym skutkiem druku był jednak nie upadek dawnych zawodów, lecz eksplozja informacji. Przez większą część średniowiecza problemem był niedostatek książek. W XVI wieku coraz częściej narzekano na coś odwrotnego. Szwajcarski uczyony Conrad Gessner, publikując w 1545 roku monumentalną „Bibliotheca Universalis”, próbował skatalogować wszystkie znane mu książki świata. Już wtedy uważał, że liczba publikacji przekracza możliwości pojedynczego człowieka. Pisał o przytłaczającej obfitości tekstów. Uчени zaczęli zadawać nowe pytanie: nie o to, gdzie zdobyć książkę, lecz jak odnaleźć wartościową pośród tysięcy innych.

Prawdziwe znaczenie druku ujawniło się jednak dopiero wtedy, gdy książki zaczęły przenosić idee. W 1517 roku Marcin Luter przybił swoje tezy w Wittenberdze. Wcześniej podobne spory teologiczne toczyły się latami w murach uniwersytetów. Tym razem wydarzenia potoczyły się inaczej. Pisma Lutra drukowano w tysiącach egzemplarzy i rozsyłano po całych Niemczech. Historycy reformacji od dawna podkreślają, że bez prasy drukarskiej ruch ten prawdopodobnie nigdy nie osiągnąłby podobnej skali. Kościół katolicki szybko zrozumiał, że nie ma sensu walczyć z samą technologią. Znacznie ważniejsze stawało się kontrolowanie jej skutków. Tak narodziły się rozbudowane systemy cenzury, przywileje drukarskie i indeksy książek zakazanych.

Kto się boi słowa pisanego

Coraz większy niepokój budziło także coś jeszcze. Druk sprawiał, że wiedza wymykała się spod kontroli tradycyjnych pośredników. W średniowieczu większość ludzi poznawała świat za pośrednictwem księży, profesorów, urzędników i kaznodziejów. Teraz coraz więcej osób mogło samodzielnie czytać teksty religijne, prawne czy filozoficzne. Dla jednych oznaczało to wyzwolenie, dla innych groźbę chaosu.

Niektórzy uczeni obawiali się nawet skutków psychologicznych. Angielski humanista Roger Ascham



■
*Jeśli w miejsce prasy drukarskiej
wstawimy dziś sztuczną
inteligencję, a skrybów zastąpimy
twórcami treści, to otrzymamy
gotowy zapis współczesnej debaty
publicznej i wszystkich obaw wobec
nowej technologii.
Choć dyskusja o AI toczy się
w zwielokrotnionym tempie
i przy otwartej kurtynie serwisów
społecznościowych, jej emocjonalne
i logiczne etapy są kalką epoki
rewolucji Gutenberga*



• **Johannes Gutenberg, moguncki złotnik i rzemieślnik, wynalazca druku**

FOT. PRISMA/UG/
GETTY IMAGES

skarżył się w XVI wieku, że nadmiar książek prowadzi do powierzchowności i rozproszenia uwagi. Inni się zastanawiali, czy łatwy dostęp do tekstów nie osłabi pamięci. Skoro wszystko można znaleźć w książce, po co przechowywać wiedzę we własnej głowie? Nie był to zresztą nowy argument. Już dwa tysiące lat wcześniej Platon wkładał w usta Sokratesa podobne obawy dotyczące samego pisma.

Jeśli się spojrzy z perspektywy kilku stuleci, trudno nie zauważyć pewnego paradoksu. Większość lęków związanych z drukiem okazała się częściowo uzasadniona. Rzeczywiście zniknęły całe zawody. Pojawił się też chaos informacyjny. Łatwiej było rozpowszechniać błędy, plotki, propagandę i herezje. Jednocześnie ta sama technologia stworzyła warunki dla ewolucji nowoczesnej nauki, masowej edukacji, rynku książki i rozwoju debaty publicznej. Rewolucja Gutenberga okazała się jednocześnie bardziej niebezpieczna i bardziej twórcza, niż potrafili wyobrazić sobie jej pierwsi świadkowie.

Ale najważniejsze, co nam z tego doświadczenia zostaje, to ambiwalencja. Przełomowe technologie bardzo rzadko okazują się wyłącznie zbawieniem albo wyłącznie katastrofą. Dlatego są tak wdzięcznym punktem odniesienia do rozmowy o sztucznej inteligencji.

Brzmi znajomo? Powinno. Bo jeśli w miejsce prasy drukarskiej wstawimy dziś sztuczną inteligencję, a skrybów zastąpimy twórcami treści, to otrzymamy gotowy zapis współczesnej debaty publicznej i wszystkich obaw wobec nowej technologii. Choć dyskusja o AI dotyczy się w zwielokrotnionym tempie i przy otwartej kurtynie serwisów społecznościowych, jej emocjonalne i logiczne etapy są kalką epoki rewolucji Gutenberga. Ponownie przechodzimy przez te same fazy: od lęku przed powierzchownością ludzkiego umysłu, przez przerażenie nadmiarem halucynacji i fake newsów (jak ponad 500 lat temu błędów w druku), aż po strach przed utratą monopolu na wiedzę. Gutenberg nie tylko dał nam książkę, ale też utrwalił uniwersalną matrycę tego, jak ludzkość reaguje na narodziny nowego.

Śledztwo w sprawie Tokarczuk

Przypomnijmy teraz niedawną, zakończoną gradobiciem burzę wokół Olgi Tokarczuk, która przyznała się w rozmowie ze Sławomirem Sierakowskim do korzystania z ChataGPT. Obrzucono ją obelgami, a internet zalały złośliwe memy.

Na łamach „Pisma”, jeszcze przed aferą, Łukasz Kruckowski pisał: „Przez tysiąclecia, jeśli człowiek z kimś

rozmawiał, to z drugą rozumną osobą. Nie powinno nas zatem zdziwić, że ekstremalna ingerencja w ten fundament rzeczywistości społecznej – taka jak stworzenie i rozpowszechnienie maszyn replikujących wypowiedzi, za którymi nie stoi żadna intencja i zrozumienie ani umysł innej osoby – ma różnego rodzaju drastyczne skutki”.

W obronie Tokarczuk warto powiedzieć jedną rzecz: czym innym jest filozoficzna krytyka sztucznej inteligencji, a czym innym moralna panika. Argument Kruckowskiego zasługuje na poważne potraktowanie, dotyczy bowiem nie rynku pracy ani wygody twórców, lecz samej natury języka. Przez tysiące lat człowiek zakładał, że po drugiej stronie wypowiedzi znajduje się inny człowiek: jego doświadczenie, intencja, świadomość i pamięć. Modele językowe po raz pierwszy zachwiały tym przekonaniem. To pytanie poważne i trudno je zbyć wzruszeniem ramion.

Jednak obok tej debaty bardzo szybko pojawiła się druga. Znacznie mniej intelektualna, za to dużo bardziej emocjonalna. Czytając część komentarzy po wypowiedzi naszej noblistki można było odnieść wrażenie, że polskie życie literackie składa się z ludzi, którzy nigdy nie zadali żadnego pytania ChatowiGPT, ni-

gdy nie poprosili o streszczenie artykułu, nie sprawdzili bibliografii, nie użyli żadnego modelu do researchu czy porządkowania materiału. Trudno dać wiarę tak naglej epidemii technologicznej niewinności.

Spór szybko zszedł z poziomu argumentów na poziom śledztwa. Pojawili się ontologiczni absolutyści przekonani, że obecność sztucznej inteligencji można wykryć niemal tak samo pewnie jak odcisk palca. Jedni tropią charakterystyczne pauzy, inni dywizy, jeszcze inni konstrukcje przeczeń albo rytm zdań. Wystarczy kilka akapitów, aby ogłosić werdykt. Ten tekst napisał człowiek, tamten napisała maszyna. Mnie się na przykład dostało za użycie konstrukcji „architekt masowej wyobraźni”, której akurat nie wymyślił robot, zrobił to Paweł Demirski dobrych kilkanaście lat temu w „Był sobie Andrzej, Andrzej, Andrzej i Andrzej”, albo za „między Main Street a Wall Street”, które w swoich tekstach i seminariach używam od z górą lat 20. W tle po-brzmiewa bardzo stare marzenie: że istnieje jakaś czysta, niepodrabialna esencja autorstwa, którą wprawne oko potrafi rozpoznać natychmiast.

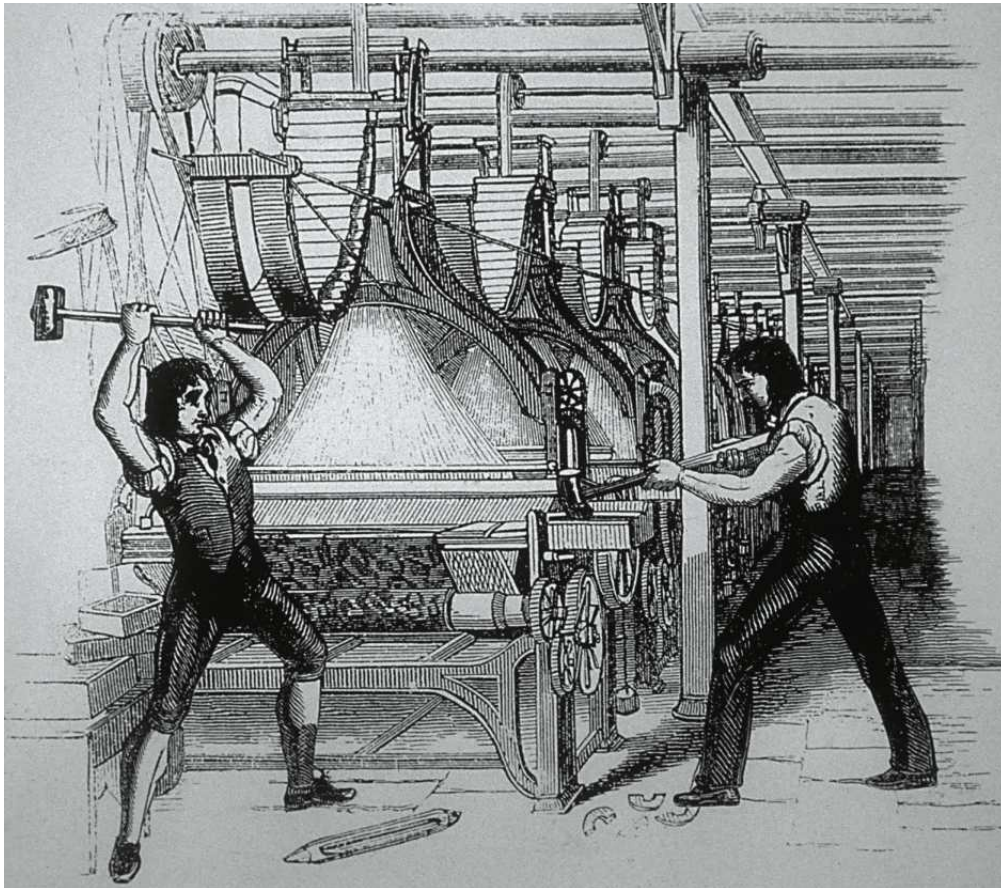
Już to znamy

Tymczasem historia literatury jest znacznie bardziej skomplikowana. Od dziesięcioleci pisarze korzystają z redaktorów, konsultantów, archiwistów, sekretarzy i researcherów. Wokół zmarłego w 2002 roku hiszpańskiego noblisty Camila Joségo Celi przez lata krążyły plotki o rozbudowanym zapleczu pomocników i współpracowników. Nigdy nie zostały jednoznacznie potwierdzone, ale sam fakt ich pojawienia się wywoływał regularne oburzenie. Nie dlatego, że ktoś udowodnił oszustwo, ale że pod znakiem zapytania stawiano romantyczny obraz pisarza samotnie wydobywającego arcydzieło z głębi własnego umysłu.

Co właściwie budziło wówczas niepokój? Czy problemem było to, że ktoś wykonywał za Celę część pracy? A może bardziej niepokoiła możliwość, że cudza praca intelektualna mogła się okazać równie wartościowa jak jego własna?

No i gdzie przebiega granica autorstwa? Jeżeli historyk korzysta z archiwisty, redaktora, bibliografii, wyszukiwarki, OCR-u, korektora, tłumacza i edytora, to czy jego książka jest mniej jego? Jeżeli pisarz rozmawia z przyjaciелеm, redaktorem i konsultantem historycznym, to czy powieść przestaje być jego? A jak rozmawia z żoną, to mamy scenariusz filmu „The Wife” Björna L. Rungego, w którym bohaterowie grani przez Jonathana Pryce’a i Glenn Close pisali wspólnie, ale podpisywał się tylko on i on też odbierał Nobla, co twórcy słusznie wskazują jako nadużycie.

A co, jeśli twórca rozmawia z modelem językowym? To pytanie wywołuje co chwilę trzęsienie ziemi, tymczasem, umówmy się, większość tekstów, które codziennie produkujemy, nie jest ani „Rajem utraconym”, ani „W poszukiwaniu straconego czasu”, ani świętą księgą. To artykuły ściśle informacyjne, notatki, prezentacje i maile. Trudno nie zauważyć pewnej dawki narcyzmu w przekonaniu, że każda ludzka wypowiedź stanowi wydarzenie onto-



• **Angielscy robotnicy niszczą mechaniczne krosna w obawie, że te odbiorą im pracę (ok. 1812)**

FOT. API/GAMMA-
-RAPHO VIA GETTY
IMAGES

logicznie tak wyjątkowe, iż już sama myśl o wsparciu technologicznym urasta do rangi zagrożenia dla cywilizacji.

W tym sensie spór o Tokarczuk przypomina wcześniejsze momenty historii bardziej, niż chcieliby przyznać jego uczestnicy. Nie dlatego, że sztuczna inteligencja jest tym samym co druk. Nie jest. Chodzi raczej o mechanizm szoku poznawczego. W XV i XVI wieku ludzie stopniowo oswajali się z myślą, że tekst może zostać oddzielony od ręki skryby. Dziś próbują ośwoić się z myślą, że część pracy wykonywanej dotąd przez człowieka może zostać oddzielona od ludzkiego umysłu. Tamta debata trwała całe pokolenia. Nasza rozgrywa się w czasie rzeczywistym, na oczach milionów ludzi i przy akompaniamencie serwisów społecznościowych. Emocje są jednak zaskakująco podobne.

Problem polega na tym, że awantura o Tokarczuk odwraca uwagę od sprawy znacznie ważniejszej. W gruncie rzeczy nie spieramy się dziś o to, czy noblistka może rozmawiać z chatbotem, tylko o to, co dzieje się ze społeczeństwem, kiedy nowa technologia zaczyna wykonywać pracę, która jeszcze wczoraj wydawała się wyłącznie ludzka.

To nie pierwszy taki moment.

Luddyci na barykadach

Na początku XIX wieku w środkowej Anglii pojawił się tajemniczy człowiek o nazwisku Ned Ludd. Prawdopodobnie nigdy nie istniał. Być może był ludową legendą, może pseudonimem. Gdy jednak robotnicy zaczęli nocami rozbijać mechaniczne krosna, listy z pogróżkami podpisywali właśnie jego imie-

niem. W krótkim czasie Ned Ludd urosł do rangi niewidzialnego generała rewolty.

W szkolnych podręcznikach luddyci występują zwykle jako statysci w marszu postępu. Rozbijają maszyny, bo boją się nowoczesności. Potem przegrywają, a historia idzie dalej. To wygodna opowieść dla zwycięzców.

W rzeczywistości bunt wybuchł w szczególnym momencie. Wielka Brytania uczestniczyła w wojnach napoleońskich, ceny żywności rosły, a płace spadały. Właściciele manufaktur odkrywali, że nowe maszyny pozwalają zatrudniać mniej wykwalifikowanych pracowników, naturalnie za mniejsze pieniądze. Dla tkaczy i pończoszników nie była to abstrakcyjna dyskusja o przyszłości technologii. Chodziło o bardzo konkretne pytanie: czy człowiek, który przez kilkanaście lat uczył się zawodu, nadal będzie potrzebny.

Dlatego luddyci nie atakowali wszystkich maszyn. Niszczili należące do konkretnych właścicieli. Często tych samych, którzy łamali wcześniejsze ustalenia płacowe albo pogarszali warunki pracy. W ich oczach problemem nie było żelazo ani drewno. Problemem był nowy układ sił gospodarczych.

Rząd odpowiedział z niezwykłą brutalnością. W 1812 r. brytyjski parlament uchwalił Frame Breaking Act. Rozbijanie maszyn stało się przestępstwem zagrożonym karą śmierci. Do walki z luddystami wysłano tysiące żołnierzy. Według niektórych szacunków więcej niż w tym samym czasie służyło Wellingtonowi na Półwyspie Iberyjskim przeciw armii Napoleona. Kilkunastu przywódców powieszono, in-

nych zesłano do Australii. Bunt został złamany.

Historia zapamiętała zwycięzców, czyli silniejszych. Fabryki rosły, produkcja przyspieszała, a towary taniały. Wielka Brytania stała się warsztatem świata. O luddystach zaczęto mówić z pobłażliwym uśmiechem.

Jest jednak pewien szczegół, o którym rzadko się pamięta. Oni mylili się co do możliwości zatrzymania postępu. Mieli jednak rację co do kosztów, tego, że ten postęp będzie miał swoich zwycięzców i swoich przegranych. Doskonale rozumieli, że technologia nie jest siłą natury. Ktoś ją posiada i czerpie z niej zyski. A kto inny płaci za nią utratą pozycji, dochodów albo całego stylu życia.

To teraz o pieniądzech

Duch Neda Ludda wraca dziś częściej, niż chcieliby przyznać zarówno entuzjaści, jak i przeciwnicy sztucznej inteligencji. Po dwóch stuleciach wracamy do tego samego pytania: kto będzie właścicielem produktywności wytwarzanej przez AI, a kto dostanie rachunek za jej sukces? O odpowiedź na pierwszą część nie jest szczególnie trudno. Pierwszymi beneficjentami są oczywiście kalifornijscy giganci technologiczni. Kto straci najwięcej, dopiero zobaczymy.

Historia nie była dla luddystów łaskawa, ale nie dlatego, że zadawali niewłaściwe pytania. Ich problem polegał raczej na tym, że wybrali niewłaściwą metodę odpowiedzi. Rozbijanie maszyn nie zatrzymało industrializacji. Tak samo jak palenie lokomotyw nie zatrzymało kolei, a niszczenie serwerów nie zatrzyma dziś rozwoju sztucznej inteligencji.

W tym sensie współczesny luddyzm przybiera zupełnie inne formy. Rządziej polega na próbie zablokowania technologii, częściej na próbie jej oswajania. Modele językowe istnieją i nic tego nie zmieni. Najprawdopodobniej będą coraz lepsze. Znacznie ciekawsze jest to, jakie instytucje społeczne zbudujemy wokół nich.

To nie jest wyłącznie problem twórców, tłumaczy czy dziennikarzy. Chodzi o znacznie szerszą kwestię. Jak chronić pracowników w okresie przejściowym? Jak zachować elementarne standardy wiarygodności informacji? Jak nie dopuścić do sytuacji, w której kilka korporacji kontroluje najważniejsze narzędzia produkcji wiedzy? Innymi słowy: jak patrzeć na ręce big techom, nie popadając jednocześnie w technologiczną histerię.

Nasza dyskusja prowadzi oczywiście do pieniędzy. Przez większą część nowoczesnej historii państwa utrzymywały się przede wszystkim z opodatkowania ludzkiej pracy. Z wynagrodzeń finansowano szkoły, szpitale, emerytury i drogi. Jeżeli coraz większa część wartości będzie powstawać przy znacznie mniejszym udziale ludzi, pojawi się pytanie nie tylko o miejsca pracy, lecz także o fundamenty państwa dobrobytu. Kto będzie utrzymywał wspólne instytucje?

Stanowcze prognozy się nie sprawdzają

Stąd powracające pomysły opodatkowania automatyzacji lub nadwyzczajnych zysków osiąganych dzięki sztucznej inteligencji. Nie po to, żeby karać za innowacje. Chodzi raczej o to, jak podzielić korzyści płynące ze wzrostu produktywności, jeśli coraz mniejsza liczba ludzi będzie uczestniczyć w samym procesie wytwarzania.

W tym samym kontekście wraca idea dochodu podstawowego. Jeszcze niedawno była traktowana jako intelektualna ciekawostka. Dziś coraz częściej pojawia się jako jedna z odpowiedzi na niepewność. Nie dlatego, że ktoś potrafi przewidzieć przyszłość rynku pracy. Właśnie dlatego, że nikt tego nie potrafi. Dochód podstawowy jest mniej prognozą niż polisą ubezpieczeniową wykupioną na wypadek świata, którego kształtu jeszcze nie znamy.

Być może większość tych obaw okaże się przesadzona, a sztuczna inteligencja stworzy więcej miejsc pracy, niż zlikwiduje. Historia uczy jednak pokory wobec technologicznych rewolucji. Rzadko spełniają one zarówno katastroficzne wizje przeciwników, jak i utopijne obietnice entuzjastów. Zwykle przynoszą świat bardziej złożony, niż przewidywała którakolwiek ze stron.

Gutenberg nie przewidział reformacji, a luddyci państwa dobrobytu. My też prawdopodobnie nie rozumiemy jeszcze świata, który powstanie wokół sztucznej inteligencji, bo zbyt wiele rzeczy dzieje się naraz. Jedni widzą koniec pracy, inni nowy złoty wiek produktywności. Jedni straszą masowym bezrobociem, drudzy obiecują powszechny dobrobyt. Historia nie jest szczególnie łaskawa dla tak stanowczych prognoz.

Warto natomiast pamiętać o czymś, o czym często zapominają zarówno entuzjaści, jak i przeciwnicy nowych technologii. Przedmiotem sporu nigdy nie są wyłącznie maszyny. Stawką są dochody, prestiż, pozycja społeczna, poczucie przydatności i wpływu na własny los. Dlatego historie z Moguncji Gutenberga i Anglii Neda Ludda brzmią dziś tak znajomo. ●

Spór szybko zszedł z poziomu argumentów na poziom śledztwa. Pojawili się ontologiczni absolutyści przekonani, że obecność sztucznej inteligencji można wykryć niemal tak samo pewnie, jak odcisk palca

Jedni mówią, że wolnością
jest życie bez alkoholu.
Drudzy, że wolnością
jest możliwość zdecydowania,
czy mogę się napić czy nie

Z **DOROTĄ PERETIAKOWICZ***,
SOCJOLOŻKĄ, WSPÓŁORGANIZATORKĄ
SOBER FESTIVALU PROMUJĄCEGO
STYL ŻYCIA BEZ ALKOHOLU I INNYCH
SUBSTANCJI ODURZAJĄCYCH
ROZMAWIA **DOMINIKA TWOREK**

Z TOBĄ SIĘ NIE NAPIJĘ

Alkohol, który przez ostatnie dekady traktowany był w Polsce jako element kultury, dziś stał się elementem wojny kulturowej. Lewicowa strona demonizuje każde spożywanie. Z kolei prawica zaciekle walczy o zachowanie status quo.

– Ta dyskusja wbrew pozorom wcale nie dotyczy alkoholu. Substancja występuje tutaj tylko jako zastępnik prawdziwego problemu – ogromnego konfliktu narracji.

Jako społeczeństwo tkwimy dziś w anomii. Obserwujemy rozpad powszechnie przyjętych norm i wartości. Pojawiają się więc grupy, które chciałyby zredefiniować to, co się dzieje, i narzucić innym swoje pojmowanie świata.

Już Michela Foucault pytał: kto definiuje normalność? Jeśli chodzi o alkohol, mamy dziś prawdziwe starcie tytanów. Jedna strona mówi: „normalnością jest nieużywanie alkoholu”, a druga: „normalnością jest używanie alkoholu”. Rozmawiamy więc o pewnym porządku społecznym, a nie stricte o samym alkoholu.

Trwa walka o to, kto przejmie narrację?

– Dokładnie tak. Warto zauważyć, że w Polsce ta zmiana narracji odbywa się – i to po obu stronach barykady – przez zawstydzanie. Tamci powinni się wstydzić, bo piją, a ci drudzy powinni się wstydzić, bo przesadzają z krytyką.

Dziś znajdujemy się na granicy tych dwóch narracji – obie strony ostro walczą o to, która z nich ostatecznie zwycięży. Takie konflikty są zresztą charakterystyczne dla stanu anomii, gdzie nie ma już jasnego punktu odniesienia. Nie ma nikogo, kto przyjdzie i jednoznacznie powie: „ten ma rację, a tamten jej nie ma”.

Można wyobrazić sobie jakiegokolwiek konsensus?

– Klasyk socjologii Émile Durkheim pisał, że tym, co spaja społeczeństwo są: wspólna perspektywa, wspólne normy i wspólne wartości. A w tym momencie my właściwie nie wiemy, co jest naszą wspólną wartością.

Czy jest nią tradycyjny obrządek picia alkoholu przy okazji różnych uroczystości, bo tak było od zawsze? Czy znajdujemy się jednak w porządku, w którym alkohol jest toksyną, nie przynosi absolutnie żadnych korzyści, a jedynie skutki uboczne? I nawet jeśli po jego spożyciu czujemy się lepiej, jest to wyłącznie pożyczanie czasu – na koniec dnia i tak będziemy przegrani, bo alkohol, nawet w małych dawkach, jest przecież depresantem.

To lewica rozpoczęła tę antyalkoholową krucjatę.

– W lewicowym świecie różne nowoczesne, progresywne narracje przyjmowane są jako jedyne słuszne. Dlatego osobom o lewicowych poglądach często trudno porozumieć się z ludźmi spoza własnej bańki. Dziś widzimy, że to właśnie ta grupa bardzo chciałaby przededefiniować sposób mówienia o wielu sprawach i coraz mocniej radykalizuje swoje poglądy.

Takie wyostrome stanowiska służą właśnie zmienianiu narracji. Nawet jeśli zgadzam się z czymś w 80 procentach, będę mówiła, że w 100 – żeby nie rozmywać granicy tego, czy jestem po „właściwej stronie”. To generuje silny konflikt, na którym buduje się swój społeczny kapitał. Bo im większy konflikt, tym więcej osób usłyszysz, co mamy w tej sprawie do powiedzenia.

A druga strona naturalnie oporuje.

– Z kolei druga strona, bardziej przywiązana do tradycyjnego porządku – gdzie, jak wiemy, jest też więcej mężczyzn niż kobiet – mówi: „zaraz zabierzecie nam wszystko”. Dostrzega, że ta nowa narracja zmienia słownictwo, hierarchię wartości i normy społeczne, więc odpowiada: „nie życzymy sobie, żebyście to wy definiowali normalność, bo to, co mówicie, jest bardzo radykalne, niezgodne z naszą tra-

dycją i nie chcemy, żebyście to wy nadawali temu wyraz normalności”.

Można odnieść wrażenie, jakby spożywanie procenty stanowiły dla tej grupy wręcz podstawę narodowej tożsamości.

– Gdy jedna strona się radykalizuje, druga również zaczyna się radykalizować. Przez tę tradycyjną grupę alkohol często traktowany jest jako swoisty test lojalności: albo pijesz i „jesteś z nami”, albo nie pijesz i zostajesz poza grupą.

Tak więc moje niepicie to już nie jest tylko kwestia tego, że po prostu nie napiję się na jakiejś imprezie. Ono stało się kwestią deklaracji, do której z narracji przynależę. Problem polega na tym, że w pewnym momencie wszyscy – i ci pijący, i ci niepijący – czują się stale oceniani.

A jeśli traktują swoje picie czy niepicie w kategoriach tożsamościowych, naturalnie będą tego bronić.

– Ostatnio psycholożka Julia Izmalkowa, znana jako Psychomama, publicznie mówiła o tym, że są chwile kiedy pije, bo sprawia jej to radość. Jednocześnie twierdziła, że badania dotyczące szkodliwości alkoholu są nieprawdą. Można to odczytywać jako próbę zaostrenia dyskusji – tym razem ze strony opowiadającej się za bardziej tradycyjnym porządkiem.

Ta próba zakończyła się jednak całkowitą demolką Julii Izmalkowej. To, co powiedziała, było częścią większej dyskusji z zaproszonymi gośćmi, ale warto zwrócić tutaj uwagę na krytyków tej wypowiedzi. Ostrość reakcji pokazała: „to my wiemy lepiej, jak mówić o alkoholu”.

Demonizowanie alkoholu nie pomaga lewicy w walce o sprawę? Skądinąd słuszną – alkoholizm jest w naszym kraju ogromnym problemem.

– Największy zonk, jeżeli chodzi o tę lewicową narrację, opiera się na tym, że ona właściwie nie daje ludziom prawa wyboru. Przez metody zawstydzania wysyłany jest komunikat: „człowiek jest za głupi, żeby samodzielnie podejmować decyzje”.

Owszem, obowiązkiem tej strony mogłoby być informowanie o szkodliwości alkoholu. Tu właściwie nie ma sporu. Alkohol po prostu jest szkodliwą substancją, podobnie jak cukier czy tytoń. Jednocześnie ludzie chcą mieć prawo do decydowania o sobie, a lewicowa bańka próbuje im tego zabraniać, wykorzystując różne mechanizmy nacisku, głównie te oparte na wstydzie.

Czyli mamy konflikt o wolność?

– Tak – o zdefiniowanie tego, czym właściwie jest wolność. Jedni mówią, że wolnością jest życie bez alkoholu. Drudzy, że wolnością jest możliwość zdecydowania, czy mogą się napić czy nie. Dla dużej części Polaków wolność to bardzo istotna wartość, między innymi dlatego ten konflikt jest dziś tak ostry.

Lewicowa strona chce zmienić sposób naszego biesiadowania, zachęcając ludzi do organizowania trzeźwych wesel. Pojawia się figura upodlonego wódka, leżącego pod stołem wujka.

– Ten pijany wujek jest właśnie idealnym narzędziem zawstydzania.

Zawstydzanie jest o tyle silnym mechanizmem, że dotyka naszej tożsamości. Mówimy też o uderzeniu w rytuały. Osoby, dla których te rytuały są ważne i spajające, odbierają to jako atak na swoją rodzinę, przyjaciół czy grupę znajomych. Po prostu mają już dosyć słyszenia, że są jacyś gorsi.

Dlaczego lewica wzięła na tapet akurat alkohol?

– Jeśli chodzi o szkodliwość alkoholu, to rzeczywiście w ostatnich latach naukowo udowodniono, że nawet niewielkie ilości mogą nam szkodzić. Pojawiły się badania dotyczące miniudarów, które mogą występować po każdorazowym wypiciu alkoholu. Mamy więc podwalinę naukową. Oczywiście nasze mózgi jakoś sobie z tym radzą, podobnie jak radzą sobie choćby z zanieczyszczeniem powietrza.

Z drugiej strony w pewnym momencie zauważyliśmy, że młodzi piją mniej. To również jest dość charakterystyczne dla środowisk lewicowych, które chcą być postrzegane jako młode w swoich poglądach. Jeśli więc wśród młodych pojawiają się jakieś zmiany, natych-

stę, ale poza tym nic wielkiego im się nie stanie.

Czy nie słysząc tu też opowieści klasowej? Osoby z niższych klas urządzają grille, na których upijają się wódką i tanim browarem, podczas gdy my – ci wyżej – oddajemy się degustacji bezalkoholowych win?

– Oczywiście, to wszystko można też odczytywać jako wielkomiejską narrację osób o dużym kapitale – zarówno społecznym, jak i ekonomicznym. Bo jeśli stać cię na inne formy zabawy, częściej wybierasz używki, które mają bardziej kontrolowany efekt i nie zaburzają tak silnie codziennego funkcjonowania.

Dziś alkohol zaczyna być definiowany jako coś w rodzaju rozrywki klasy niższej, podczas gdy klasa średnia i średnia plus bawi się już w inny sposób. Co oczywiście jest tajemnicą poliszynela – nikt o tym głośno nie mówi.

Modnymi używkami klasy średniej są dziś psychodeliki, marihuana, a przede wszystkim różne leki, które są „eleganckie”, bo przeciw przepisuje je lekarz.

Młodzi zamiast alkoholu mają swoją somę – potrzebują innych rzeczy i z łatwością je znajdują

miast podchwytyją je także 40-50-latkowie w trampkach. To dobrze czy źle? Nie mnie to oceniać. Po prostu osoby o poglądach lewicowych często czują większą bliskość z młodszyimi pokoleniami.

Nowy purytanizm? Dziś mamy się samoograniczać. Nie latać samolotem, bo to złe dla planety. Nie pić, bo to złe dla zdrowia.

– To nie ma wiele wspólnego z klasycznym purytanizmem, który zakładał ciężką pracę nad sobą i dążenie do wyznaczanych sobie celów. Bazował też na wewnętrznym poczuciu winy. A współcześnie żyjemy jednak raczej w kulturze wstydu. Gdybyśmy opierali swoje funkcjonowanie bardziej na poczuciu winy, dużo silniej wybrzmiewałby argumenty dotyczące doświadczeń poprzednich pokoleń – traumy alkoholizmu. Tymczasem u nas zawstydza się wujka z wesela.

Moim zdaniem samoograniczanie, o którym mówisz, jest już reliktem przeszłości. Zauważmy, że to tradycyjna kultura była kulturą mocnych wartości, mocnych ograniczeń i mocnych kar za przekroczenie norm. A dzisiejsze deklaracje często mają się nijak do realnych zachowań. Większość osób, które tego próbują, opowiadają jedno, a robią coś zupełnie innego.

Słowem: są w tym kompletnie niespójni. Zauważmy, że wcale nie ma społecznej kontroli i kary za takie zachowanie. No, może czasami dostanie się jakąś internetową chło-

– To mocno wpisuje się w opowieść o dobrostanie psychicznym i życiowej równowadze. Klasa średnia bez większego wahania łyknęła dyskurs terapeutów wraz z ich leżankami. Liberalno-lewicowe media są przecież pełne wywiadów z wszelkiej maści psychologami. Ta opowieść tak dobrze się sprawdziła, bo jest wewnętrznie spójna.

W związku z tym przestaliśmy odnosić się do języka dążenia do celów. Wartością nie jest już także przekonanie, że „trzeba być twardym, a nie miękkim”. Odrzucamy też alkohol jako rytuał wspólnoty, bo chcemy budować wspólnotę w inny sposób.

Przy tym stale mówi się o samokontroli: ciała, emocji, agresji, seksualności, języka i tak dalej. Wtedy pojawia się głos strony tradycyjnej: „ej, a gdzie ja właściwie znajduję w tym wszystkim element zabawy?”. Chodzi tutaj stricte o funkcję ludyczną, której dziś bardzo brakuje w społeczeństwie. Jeśli wszystko ma być zdrowe, piękne i uporządkowane, to gdzie jest przestrzeń na ludyczną radość – spotkanie, emocje, bardziej otwarte mówienie o sobie?

Równocześnie lewicowa strona bardzo podkreśla problem społecznej atomizacji czy nawet „pandemii samotności”.

– Sęk w tym, że ona nie proponuje niczego, co mogłoby zastąpić dotychczasowe formy budowania wspólnoty. Owszem, Polki i Polacy budowali wspólnotę wokół alkoholu, a w praktyce często każda celebrowana była na upijaniu się.

Istniało też duże przyzwolenie na pewne zachowania po alkoholu, a dodatkowo pokutowało przeświadczenie, że nie wpływają one na ogólną ocenę danej osoby. Co również pełniło funkcję swoistego wentyla bezpieczeństwa.

Ale trudno oczekiwać, że joga zastąpi wszystkim relacje przy grillu. Szczególnie że w jodze często musimy się koncentrować na samych sobie.

Zresztą większość Polaków i tak dalej grille.

– No właśnie. W ostatnich latach konsumpcja alkoholu trochę spadła, ale wcale nie są to jakieś wyraźne spadki. Według danych World Health Organization rocznie na przeciętnego Polaka – badano osoby powyżej 15. roku życia – przypada około 12 litrów spirytusu. Ta statystyka pozostaje właściwie niezmienna od 2007 roku.

Uczciwie rzecz biorąc, nawet do końca nie wiemy, dlaczego te spadki nastąpiły.

Z raportu YouGov, międzynarodowej firmy zajmującej się badaniami rynku, wynika, że w ciągu ostatniego roku ponad 300 tys. gospodarstw domowych w Polsce całkowicie przestało kupować mocne alkohole.

– To się zgadza – wódka przeżywa dziś kompletną recesję. W tym momencie warto jednak zadać pytanie: co bardziej opłaca się przemysłowi alkoholowemu: sprzedać flaszkę wódki za 20 zł czy kilka słodkich drinków z niewielką ilością alkoholu po 20 zł za puszczykę? Dopóki siły marketingowe będą widziały w tym potencjał, będą popierały ten nowoczesny porządek. Wbrew pozorom jest im to bardzo na rękę.

Niedawno walkę z alkoholem zapowiedział właściciel hoteli Arche. Klienci mają dostawać 20 proc. rabatu za organizację bezalkoholowego wesela.

– Na tych weselnych stołach i tak stoi wino, tylko że bezalkoholowe. Ono niejako musi tam stać, bo czym innym ludzie mają wznosić toasty, czyli celebrować ten wyjątkowy moment? Takie wino oczywiście też swoje kosztuje.

Nie jest też tak, że klasa średnia nagle przestała pić.

– Dokładnie tak. Z jednej strony mówimy, że nie pijemy, ale równocześnie klasa średnia forsuje pewne alkohole jako te „dla inteligentów”. Chwalimy się, że jeździmy po winnicach, że znamy się na alkoholach, że potrafimy odróżnić whisky single malt od innych typów. Panie ochoczo – o różnych porach dnia i nocy – popijają „proseczuno” w knajpach. Panowie degustują kraftowe piwo.

Mamy więc „picie obciachowe” – do tego worka wrzucimy wódkę i tanie piwo – oraz picie akceptowalne, pokazujące nasz status. Jeden alkohol jest przyzwolony w środowisku, a drugi nie. Upicie się na weselu to, jak wiadomo, pijany wujek, ale koktajle w modnym barze już nie są obciachowe.

Klasy wyższe nie odrzucają alkoholu jako takiego, tylko odróżniają picie kulturalne od patologicznego. Dobrze opisał to francuski socjolog Pierre Bourdieu: wszystko, co robisz, ma świadczyć o tym, kim jesteś i z jakiej klasy pochodzisz.

Teraz wyobraźmy sobie, że jakaś zaśluzona dla budowania nowej kultury psycholożka pójdzie na imprezę i się nawali. Przecież to jest w ogóle niemożliwe! Wszyscy jej znajomi napisaliby w mediach społecznościowych, że już nigdy w życiu nie będą się z nią kolegować. Zostałaby wyklęta.

Dlaczego młodzież mniej dziś pije?

– W dzisiejszym świecie młodzi ludzie nie mają kontroli nad większością rzeczy, które ich otaczają. Za wszelką cenę próbują tę kontrolę odzyskać, a potem jakoś ją utrzymać. Picie jest obciachem, dlatego że tracisz kontrolę. Oni odchodzą od alkoholu, ale nie dlatego, że to wstyd, tylko dlatego, że w ich świecie utrata kontroli wcale nie jest bonusem.

Dorośli tego nie kumają?

– Kompletnie nie znają ich potrzeb. Młodzi potrzebują dziś przede wszystkim większego pobudzenia. Ostatnio chodzi o rapowe koncerty i tam rzeczywiście alkoholu się nie pije. Wręcz czują się dziwnie, stojąc z butelką piwa. Natomiast oni są bardzo pobudzeni, potrafią skakać bez przerwy przez wiele godzin. No umówmy

się – na trzeźwo tego nie robią. Mefedron wjeżdża tam na pełnej.

Narkotyki pozwalają lepiej kontrolować rzeczywistość?

– Tak, narkotyki – szczególnie nowoczesne narkotyki i nowoczesne leki – są o kontroli. Dziś duża część młodzieży ma różne diagnozy psychiatryczne i przyjmuje najróżniejsze leki, niekoniecznie zawsze zgodnie ze wskazaniem lekarza.

Pamiętajmy o tym, że leki psychotropowe również są formą kontrolowanego poprawiania nastroju. Oczywiście one pomagają w pewnych schorzeniach, ale jeśli schorzenie jest zdiagnozowane, a w rzeczywistości wcale go nie ma, mówimy o zwykłej „tabletce szczęścia”.

Dzisiejsza rzeczywistość przypomina „No wy wspaniały świat” Huxleya – młodzi mają już swoją somę. Mają inne substancje, które wprowadzają ich w dobrostan. Po prostu potrzebują innych rzeczy i z łatwością je znajdują. Dzięki internetowi dostępność leków jest właściwie nieograniczona. Część z nich jest wręcz kupowana przez rodziców, którzy kompletnie pogubili się w tym, co się teraz dzieje. Młodzi ludzie sięgają też po różne leki bez recepty. Szybko się zorientowali, że zwykły lek z apteki w większej dawce może działać pobudzająco.

Ostatnio popularny raper Taco Hemingway zaśpiewał o Solpadeinie – leku przeciwbólowym zawierającym paracetamol, kofeinę i kodeinę. Dzień po premierze utworu media rozpisywały się o młodzieżowym szturmie na apteki. Interweniował nawet główny inspektor farmaceutyczny, wzywając do zaprzestania używania nazwy leku w treści piosenki.

– Ciekawa była reakcja dorosłych na całą tę sprawę. Pojawiła się duża wrzawa: „olaboga, on promuje narkotyki”. Tymczasem Taco zaśpiewał o czymś, o czym wielu młodych ludzi już wie i co duża część z nich robi od dawna.

To pokazało, jak ogromnie nie rozumiemy świata młodzieży i jak bardzo jesteśmy wobec tego bezradni. Nam się wydaje, że dyskusje, które my prowadzimy, prowadzą też młodzi i że my im teraz tutaj dajemy jakieś kursory.

Bo jak parę razy wejdziemy na TikToka, to jesteśmy tacy nowocześni. Tymczasem dla młodych taki 50-latek to jest właściwie człowiek nad trumną – zawsze tak było. Oni mają swoje życie, swoich idoli, swój sposób prze-

kazywania wiadomości. I prowadzą kompletne inne dyskusje.

Zauważyłam też, że w środowiskach, które tak krytykują picie alkoholu, przyjmowanie leków psychiatrycznych jest właściwie na porządku dziennym. Demonizujemy jedną substancję po to, by normalizować inne?

– To prawda, dziś mamy całkowite normalizowanie psychotropów. Często normalizowane jest też branie leków bardzo silnych, na przykład benzodiazepin. Choć powszechnie wiadomo, że ich stosowanie jest ogromnie wyniszczające. Nawet w psychiatrykach ludzie dzielą się na tych, którzy byli na benzo, i tych, którzy nie byli. Szczególnie w młodocianych psychiatrykach.

A czym właściwie różni się nieumiejętność życia bez tabletki od nieumiejętności życia bez alkoholu? Ale o tym się nie mówi, bo przyjmujemy założenie, że ta tabletka jest dla nas dobra.

Równocześnie do mainstreamu bardzo mocno weszła dziś marihuana. Mamy przecież całą debatę o jej legalizacji. Mimo że obecnie zioło medyczne można kupić całkowicie legalnie w aptece. Dziś już nikt nie bawi się w dzwonienie do dilerów – wystarczy wykupić konsultację medyczną online i powiedzieć, że boli cię brzuch albo że ma się zły nastrój, a od ręki dostaniesz bardzo dobrej jakości produkt. Za moich czasów, żeby zdobyć dobre zioło, to była naprawdę ciężka tyrańka na ugorze.

Dwa lata po częściowej legalizacji marihuany w Niemczech lekarze alarmują o rosnącej liczbie uzależnień i psychoz. Niemieckie badanie – które objęło ponad 6 tysięcy pacjentów hospitalizowanych w pięciu placówkach – pokazało, że w ciągu trzech miesięcy liczba przypadków zaburzeń związanych z używaniem konopi wzrosła z 763 do 1047, a psychoz o blisko 40 proc.

– Badań nad używaniem narkotyków jest relatywnie mało, bo trudno badać nielegalne substancje. Natomiast w kwietniu ukazała się bardzo ciekawa publikacja – badacze z University of California San Diego przeanalizowali dane od ponad 11 tys. osób. Śledzili dzieci od 9. roku życia aż do późnej adolescencji.

Okazało się, że palenie marihuany hamuje naturalny rozwój poznawczy nastolatka. W normalnych warunkach jego mózg z roku na rok staje się sprawniejszy w zapamiętywa-

niu informacji i przetwarzaniu danych. Natomiast u młodych ludzi regularnie sięgających po traw naukowcy zaobserwowali ograniczony przyrost tych umiejętności. Choć jako dzieci często wypadali w testach równie dobrze (lub nawet lepiej) niż rówieśnicy, po rozpoczęciu używania konopi ich wykres rozwoju się wyplaszczał, podczas gdy reszta grupy dalej pięła się w górę.

Czy my jakkolwiek o tym dyskutujemy? Nie. Sami palimy, więc bardzo byśmy chcieli tej legalizacji.

Właściwie po co klasie średniej ta legalizacja, skoro mamy już cichą legalizację – w rzeczywistości nikt nie trafia za kraty za posiadanie zioła?

– Tu wracamy do Foucault: kto decyduje o tym, co jest normą, a co nią nie jest. Chcemy, żeby to było legalne, bo chcemy definiować, co jest dobre, a co złe. Z kolei środowiska konserwatywne mówią, że wódka jest okej, ale narkotyki już nie. Jak mówiłam, dziś na własne oczy obserwujemy to starcie tytanów.

Pytanie, kto je wygra.

– Jeśli nie zaczniemy ze sobą rozmawiać, wszyscy przegramy.

Jak to robić?

– Przede wszystkim musimy zrozumieć, o czym tak naprawdę dyskutujemy. To są rozmowy o pryncypiach, a nie wyłącznie o samym alkoholu. Co nie jest żadnym wielkim odkryciem – to zjawisko opisywali już powojenni filozofowie i socjologowie.

Dlatego musimy przestać rozmawiać o alkoholu, a zacząć rozmawiać o niezawstydzaniu i nieupokarzaniu siebie nawzajem. Rozmawiać ze sobą jak partnerzy, a nie z pozycji wyższości i pogardy, narzucając innym własny sposób myślenia.

Procesy społeczne i tak będą się toczyć – upadki, wzloty, konflikty i zgody są przecież niezbędne dla rozwoju społeczeństwa. Natomiast my możemy te procesy dostrzegać albo ich nie dostrzegać. Możemy próbować coś z nimi zrobić albo nie robić nic.

Jeśli nic z tym nie zrobimy, to zaraz z konfliktu o alkohol przeniesiemy się na następny?

– To jest tylko kwestia zapalników, które pojawiają się w debacie publicznej. Raz będzie to alkohol, innym razem słowo „socjolożka”, bo rozmawiamy o wolno-

ści używania feminatywów w kontrze do tradycyjnego porządku. Jeśli jakiś prawowiec powie „socjolożka”, dla jego środowiska oznacza to, że stał się „zdrajcą narodu”. Takich zapalników jest cała masa. Zawsze coś się znajdzie.

Współorganizujesz wrześniowy Sober Festival – imprezę celebrującą życie w trzeźwości. Czy nie wpisuje się ona jednak w kulturę polaryzacji, którą dziś krytykujesz?

– Sober Festival odbywa się właśnie w kontrze do tej nowoczesnej, agresywnej, zawstydzającej wszystkich wokół narracji.

Chcemy promować nowy sposób podejścia, łącząc elementy zabawy z edukacją i kulturą niepicia. Dla nas ważne będzie budowanie społeczności i bycie razem. Chcemy pokazać, że można się spotkać na koncercie, prowadzić głębokie rozmowy, a jednocześnie – jeśli ktoś ma problemy z piciem – wspólnie się zastanawiać, jak można sobie z tym radzić. Nasz festiwal to po prostu forma bycia razem i budowania kultury wokół dyskusji o tym, kim jesteśmy i w jaki sposób żyjemy. ●



FOT. IRCENTER

Dorota Peretiatkiewicz

- socjolożka, badaczka ilościowa z ponad 25-letnim doświadczeniem, partnerka w firmie IRCenter. Pomysłodawczyni i liderka projektów poświęconych różnym grupom społecznym: kobietom, mężczyznom, pokoleniu Z i silver gen. Współtwórczyni platformy instagramowej socjolożki.pl. Współorganizatorka Sober Festivalu – imprezy promującej styl życia bez alkoholu i innych substancji odurzających, która odbędzie się 5 września 2026 roku w Multikinie Złote Tarasy w Warszawie.

REKLAMA

Kraj/3441401

„Wspaniała, bazująca na faktach podróż przez nasz system żywnościowy – od jego początków po współczesność. Ta książka zainspiruje wiele fascynujących dyskusji o tym, jak wyżywić 10 miliardów ludzi, nie rujnując przy tym planety”.

Hannah Ritchie, autorka książki *To nie koniec świata*

„Rozległość wiedzy Smila jest równie imponująca jak jej głębia”.

„The Lancet”

Vaclav Smil
Jak nakarmić świat

Autor bestsellerów
Liczy nie kłamie i *Jak naprawdę działa świat*

500 kcal (dla wyprodukowania 1000 kcal potrzebna jest energia 500 kcal)

POKROCH: 7 kcal (dla wyprodukowania 1000 kcal potrzebna jest energia 700 kcal)

SPAZJONY KURCZAK: 200 g (dla wyprodukowania 1000 kcal potrzebna jest energia 200 kcal)

SÓL: 18 g (dla wyprodukowania 1000 kcal potrzebna jest energia 180 kcal)

POKROCH: 7 kcal (dla wyprodukowania 1000 kcal potrzebna jest energia 700 kcal)

POKROCH: 7 kcal (dla wyprodukowania 1000 kcal potrzebna jest energia 700 kcal)

Historia i przyszłość żywności

Smil zabiera czytelnika w fascynującą podróż po dziejach żywności, przystępnie opowiadając o kluczowych koncepcjach i najważniejszych aspektach związanych z tym, co jemy – „Booklist”

Fascynująca, poszerzająca horyzonty i opierająca się na danych i rzetelnych badaniach książka o fundamencie naszego istnienia – żywności.

Jak globalne potrzeby żywnościowe wpływają na nasze życie?

Dlaczego niektórzy z największych producentów żywności na świecie to jednocześnie kraje z największym odsetkiem ludności niedożywionej?

Dlaczego marnujemy tak ogromne ilości jedzenia i jak można temu zaradzić?

Czy wszyscy moglibyśmy przejść na dietę wegańską i cieszyć się zdrowiem?

A co najważniejsze – czy powinniśmy?

Wybitny naukowiec Vaclav Smil odpowiada nie tylko na te pytania. Rozprawia się z mitami i objaśnia, skąd naprawdę bierze się żywność, dlaczego jemy to, co jemy, i jaka czeka nas przyszłość.

insignis

DO YOU SPEAK ENGLISH, NIEMOWLAKU?

– Pięciojęzyczne przedszkole? W efekcie dziecko może mieć radykalnie zubożone środowisko językowe. Może nie mieć wokół siebie języka, który będzie dla niego wystarczająco bogaty

Z PROF. EWĄ HAMAN,
PSYCHOLINGWISTKĄ Z UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO.
ROZMAWIA WOJCIECH SZOT

Jadąc dzisiaj na spotkanie z panią, minąłem przynajmniej kilka billboardów reklamujących szkoły wielojęzyczne. W niektórych uczy się już nie w dwóch językach, a trzech.

– Szkoła ucząca w języku innym niż język społeczeństwa, w którym się żyje, to niezły sposób na wielojęzyczność. Ale można popaść w przesadę. Słyszałam o pięciojęzycznym przedszkolu. Każdego dnia inny język.

Dobry pomysł?

– Pięciojęzyczne? Zły. To nie znaczy oczywiście, że pięć języków nie może współistnieć w środowisku dziecka. Takie zjawisko zdarza się w wielokulturowych rodzinach i nie musi oznaczać niczego złego. Ale jeśli chcemy, żeby dziecko efektywnie przyswajało język w warunkach naturalnych, to przynajmniej dwadzieścia procent czasu powinno spędzać w jego otoczeniu. Jeśli zejdziemy poniżej tych dwudziestu procent, to prawdopodobieństwo, że środowisko będzie dostatecznie bogate, żeby przyswoić dany język, radykalnie spada.

To też odpowiedź na pytanie, dlaczego lekcje języka obcego dla najmłodszych – niemowlaków i przedszkolaków – przeważnie kończą się niepowodzeniem. Jeśli nauka ję-

zyka ogranicza się do kilku lekcji w tygodniu, słuchania bajek i krótkich zabaw po angielsku, dziecko może przyswoić trochę słówek, ale nie będzie miało doświadczenia realnego używania języka.

Wracając do pięciojęzycznego przedszkola... Tu najprawdopodobniej żaden z języków nie przekracza tego progu 20 proc. W efekcie dziecko może mieć radykalnie zubożone środowisko językowe. Może nie mieć wokół siebie języka, który będzie dla niego wystarczająco bogaty. A to już brzmi niebezpiecznie.

Co jest standardem – jedno- czy wielojęzyczność?

– Żyjemy w kraju, w którym dominuje jeden język i wydaje nam się, że wzorcem jednojęzyczność. Ale w skali globalnej jest więcej ludzi wielojęzycznych niż jednojęzycznych.

To się zmienia też w Polsce.

– Mamy rodziny, w których – obok polskiego – używa się śląskiego, kaszubskiego czy niemieckiego. A w ostatnich latach rodziny uchodźców, na przykład z Ukrainy. Mam wielką nadzieję, że szkoły nie będą przekonywać dzieci i młodzieży z Ukrainy do tego, by się całkowicie przestawiała na język polski.

Wśród moich znajomych, którzy żyją poza Polską, co jakiś czas wybucha dyskusja o to, czy lepiej, żeby do dziecka mówić językiem, którego uczy się w szkole, czy językiem ojczystym, a może mieszać?

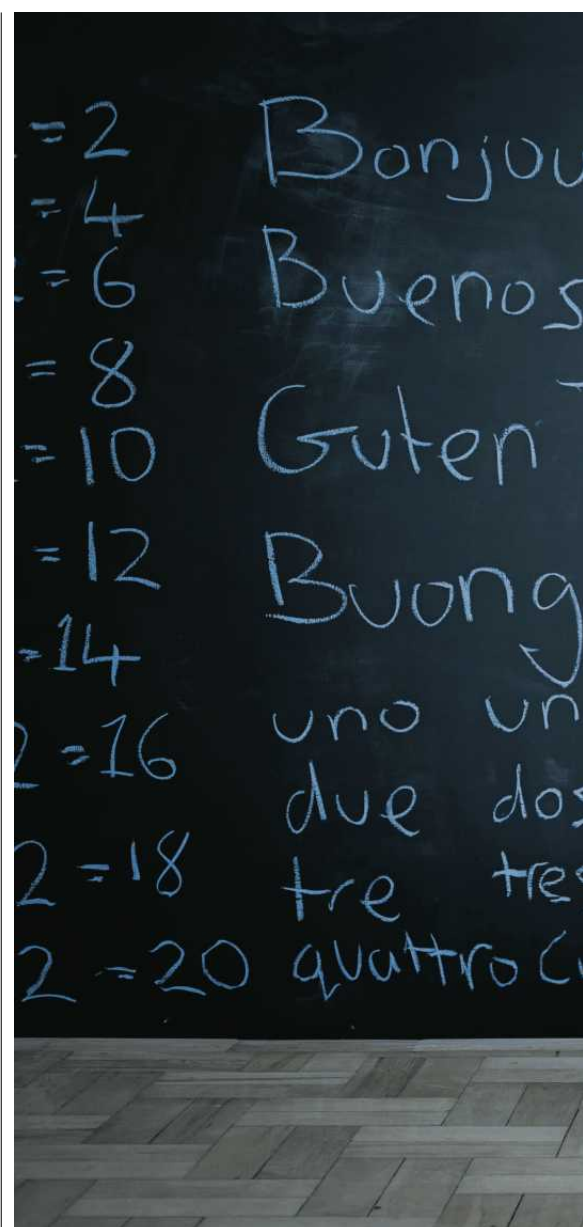
– Wielojęzyczność to fantastyczny zasób, można powiedzieć, że skarb. Więc po pierwsze nie warto rezygnować z jakiegokolwiek języka, zwłaszcza jeśli jest to język rodzimy rodziców. A jakimi konkretnie językami mówić w domu, jeśli w rodzinie są osoby, których języki rodzime są różne albo jeśli rodzina mieszka w kraju, w którym mówi się językiem innym od jej języka rodzimego? Nie ma uniwersalnego rozwiązania.

Ważne, żeby członkowie rodzin wspólnie zdecydowali o modelu, który przyjmą. Przez „wspólnie” rozumiem rodziców, jak i dziadków czy wujostwo, z którymi ma się częsty kontakt.

A jeśli już mam coś podpowiedzieć, to odradzam rezygnację z wielojęzyczności. W dłuższej, życiowej perspektywie, taka rezygnacja może mieć negatywny wpływ na dobrostan dziecka.

W jaki sposób?

– Wyobraźmy sobie rodzinę mieszkającą w Anglii. On Polak, ona Angielka.



Dla dobra integracji zdecydowali, że w domu będą używać tylko angielskiego. Krótkoterminowo i pozornie może to zadziałać, ale co z kontaktami z rodziną, która została w Polsce? W sytuacjach podbramkowych jej pomoc może być konieczna. Dobrze, żeby wnuk umiał porozumieć się z babcią.

Do tego rezygnując z języka polskiego, rezygnujemy też z przekazywania części swojej tożsamości. Może być tak, że tylko w języku ojczystym ojciec potrafiłby przekazać niektóre emocje.

Z naszych badań prowadzonych jakiś czas temu wśród polskich rodzin mieszkających w Wielkiej Brytanii wynika, że polski w żaden sposób nie jest „zagrożeniem” dla angielskiego – języka szkoły. Inne badania też to potwierdzają: warto dbać o język mniejszości i to nie oznacza „zaniedbywania” języka większości.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34440849

W SPRZEDAŻY

KSIĄŻKI

Szalai po Bookerze:
CIAŁO NAS ŁĄCZY.
WSZYSTKICH.
BEZ WYJĄTKU.

Kto wynosił nocnik
Łękiej

Najładniejsza
w całym internecie

Książki
Peter
Pomerantsev

WYPRAWA DO ITAKI

ZAPRASZAMY NA WYPRAWY LITERACKIMI ŚLADAMI.

Zwiedzaj Helsinki wraz z Tove Jansson. Pojedź do Travemünde śladami pierwszej miłości Toni Buddenbrook. Jak Itaka to tylko z Odysem. I naszymi autorami.

Zamów magazyn z darmową dostawą na: Prenumerata24.pl

Więcej na: Wyborcza.pl/ksiazki



Podczas projektu dotyczącego dwujęzyczności rozmawialiśmy z Polką mieszkającą we Francji. Miała męża Francuza i mówiła perfekcyjnym francuskim. Początkowo rozmawiała z dziećmi po polsku. Ale potem dzieci nie chciały, żeby publicznie używała polskiego. Wstydziły się presji społecznej. W efekcie po polsku nie mówią. Szczęśliwie polska część rodziny zna francuski.

Co z obawą przed tym, że jeśli dziecko będzie w domu mówić też po polsku, to będzie się gorzej uczyło angielskiego i miało gorszy kontakt z rówieśnikami?

– Z wielu badań jednoznacznie wynika, że drugi czy nawet trzeci język nie przeszkadza dziecku w rozwoju. Dam przykład.

Poznałam parę, która podjęła bardzo ciekawą decyzję. Oboje byli z pochodzenia Rosjanami, ale wychowali się w Niemczech i niemiecki był ich najsilniejszym językiem. Na-

stępnie przeprowadzili się do Danii, więc ich dziecko chodziło do duńskiego przedszkola. Ale wcześniej, kiedy się urodziło, doszli do wniosku, że ze względów emocjonalnych, chcą z nim rozmawiać po rosyjsku. Choć nie był to dla nich najsilniejszy język, obydwie czuli się z nim bardzo związani, dla nich to był język rodziny i dzieciństwa. Mimo że wcześniej między sobą rozmawiali po niemiecku, wrócili do rosyjskiego. W efekcie dziecko przyswajało z powodzeniem trzy języki.

Jednak nie ma co ukrywać, wielojęzyczność wiąże się z wyzwaniem. Otóż systemy edukacyjne nastawione są na dzieci jednojęzyczne, a w badaniach to dzieci jednojęzyczne traktowane są jako wzór rozwojowy.

Tymczasem porównywanie dzieci jednojęzycznych i wielojęzycznych nie bardzo ma sens. Podkreślają to badacze z wielu krajów. W Polsce, w grupie ponad 20 badaczek i ba-

daczy, ogłosiliśmy kilka lat temu apel do specjalistów praktyków zatytułowany „Dwujęzyczność jest normą”.

Czytamy w nim: „Jest rzeczą naturalną, że kontakt z każdym z przyswajanych języków (w tym z językiem polskim) jest u dzieci wielojęzycznych na ogół mniejszy w porównaniu z tym, jaki mają dzieci jednojęzyczne. Jest to jeden z czynników, który decyduje o specyfice rozwoju dwu- i wielojęzycznego i jest zjawiskiem typowym dla wielojęzyczności”.

– Możemy spokojnie powiedzieć, że wielojęzyczność jest ok, ale jeśli będziemy przykładać „jednojęzyczną sztańcę” do dzieci wielojęzycznych, to mogą z tego wynikać problemy. W różnych krajach, np. Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Islandii badano wyniki szkolne dzieci wielojęzyczne. Uśrednione trendy są takie, że w porównaniu z dziećmi jednojęzycz-

nymi dzieci wielojęzyczne miewają niższe wyniki szkolne. Ale to zależy od wielu czynników.

Na Islandii może to wynikać z tego, że dzieci z rodzin migranckich przyswajają islandzki tylko w przedszkolu lub szkole. Mają za mało okazji, żeby wzmacniać ten język. Ich islandzkie środowisko językowe nie jest tak bogate, jak angielskie środowisko dzieci migrantów w krajach anglojęzycznych, gdzie zasadniczo niemal wszyscy znają angielski i on radykalnie dominuje nie tylko w przedszkolu czy szkole. Islandia ma świetną politykę społeczną wspierania języków mniejszości, ale nie do końca radzi sobie ze wspieraniem przyswajania islandzkiego przez dzieci migrantów.

Czy dzieci z dwujęzycznych rodzin chętniej będą mówiły w języku ojca czy matki?

– Już bardzo wcześnie dzieci orientują się z kim w jakim języku rozmawiać. I nie tyle preferują jeden język, ile adekwatnie wybierają go, rozmawiając z którymś z rodziców. Później, gdy mają więcej kontaktów społecznych, chodzą do przedszkola, zaczynają się oriento-

Jednocześnie powstaje pytanie: czy musimy w każdym języku mówić „perfekcyjnie” i tak samo, jak wszyscy inni użytkownicy?

wać, że większość ludzi poza domem mówi w jednym języku.

Jeśli w przedszkolu większość mówi po polsku, w domu chętniej sięgną po polski. Język większości może być też językiem o wyższym prestiżu w danej społeczności, a dziecko chętniej będzie w nim mówiło. W Polsce takim językiem jest polski, ale już w Wielkiej Brytanii nie.

Jeśli chcemy, żeby nasze dziecko było dwujęzyczne, warto z nim o tym rozmawiać, pokazywać, że dla nas też ważne jest, by komunikowało się w tym „mniej prestiżowym” języku. Dziecko po prostu może nie wiedzieć, że nam na tym zależy. Warto dawać mu pozytywny przykład oraz kreować okazje do używania języka mniejszości, który jest dla nas ważny.

Warto przekazywać miłość do języka. Kiedy rodzice narzekają, że dziecko nie chce mówić w ich języku, pytam: a czy powiedzieliście mu, że lubicie swój język, że on się wam podoba, że kochacie literaturę, która w nim powstaje?

Chociaż to bardzo ważne, żeby dzieci jak najwcześniej mogły same podejmować decyzje, także dotyczące tego, w jakim języku będą mówiły, nie znaczy to, że rodzice nie ma-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34440850

W SPRZEDAŻY

**„Broń atomowa działa dziś dlatego, że obiecuje niemal pewność katastrofy”,
pisze Piotr Cieśliński.
Na czym polega asymetryczna siła
bomby atomowej?
I co ma do tego Leonidas?**

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

ją możliwości przekonywania do swoich racji. Dziecko może wybrać sobie ulubiony język, ale może też zrozumieć, dlaczego warto nauczyć się tego drugiego.

Co to znaczy mówić perfekcyjnie

Można nauczyć się perfekcyjnie mówić w dwóch językach?

– Można, ale po co? To się oczywiście zdarza, ale nie jest wyznacznikiem bycia dwujęzycznym. Większość ludzi, która jest dwu- czy wielojęzyczna nie zna wszystkich swoich języków jednakowo dobrze. A jednak potrafią ich adekwatnie używać, w określonych sytuacjach i kontekstach. Już dawno odeszliśmy od takiego perfekcyjnego rozumienia dwujęzyczności.

W Kanadzie badano rodziny dwujęzyczne, angielsko-francuskie. Okazywało się, że dzieci dwujęzyczne w wieku przedszkolnym mają wyniki bliskie dzieciom jednojęzycznym wtedy, gdy równowaga między językami w środowisku dziecka jest na poziomie 40–60 procent. Minimum 40 procent czasu spędzonego w jednym języku. Podobne wyniki mamy z Wielkiej Brytanii.

Chodzi nie tylko o ilość, ale też o jakość. Część umiejętności zdobywanych w jednym języku jest transferowalna do drugiego. Nie da się zupełnie odseparować przyswajanych języków od siebie, nawet jeśli uczymy się ich w zupełnie różnych kontekstach. I umysł dziecka robi z tego dobry użytek.

Jednocześnie powstaje pytanie: czy musimy w każdym języku mówić „perfekcyjnie” i tak samo, jak wszyscy inni użytkownicy?

Musimy?

– Popatrzymy na polski; przecież jest wiele wersji polskiego. Nasza tradycja „poprawności językowej” i jednego standardowego polskiego jest bardzo krótka i została wytworzona z powodów politycznych. W wielu krajach akceptuje się fakt, że ludzie mówią wieloma językami, w różnym stopniu zaawansowania. W Norwegii jest kilkaset dialektów. Oczywiście istnieje standard, niektóre dialekty są powszechniejsze, niektóre bardziej prestiżowe np. dialekt z Oslo, ale ich równość jest gwarantowana prawem. Tak samo jest w Niemczech czy Wielkiej Brytanii. Szkoda, że wielu Polaków nie docenia tej różnorodności polskiego i jego dialektów.

Jak uczą się noworodki i niemowlaki

W opisie jednego z pani badań przeczytałem, że warto dbać o otoczenie dźwiękowe, w którym obcuje dziecko jeszcze przed narodzeniem.

– Odkąd płód słyszy, może przetwarzać dźwięki mowy. Dociera do niego to, co mówi matka, ale też dźwięki wydawane przez otoczenie, chociaż słyszy je w wodach płodowych i przez tkanki matki trochę inaczej niż my.

Amerykańskie badania eksperymentalne w latach 80-tych zeszłego wieku pokazały, że noworodki mogą pamiętać frazy, które słyszały jeszcze „w brzuchu”.

Jak to zbadano?

– Poproszono matki, by – jeszcze będąc w ciąży – czytały na głos fragmenty wierszy Dr. Seussa. Okazało się, że noworodki inaczej reagowały na fragmenty, które już słyszały, niż na te, które były dla nich nowe. Na marginesie bardzo polecam te wierszyki, zwłaszcza że na polski przekładał je Stanisław Barańczak.

Co ciekawe, dzieci rozpoznawały fragmenty niezależnie od tego, kto je czytał. Kojarzyły nie tyle głos matki, ile konkretny fragment tekstu. Z badań tych samych autorów wynika, że noworodki zaraz po urodzeniu odróżniają głos matki od innych głosów.

Co wynika z tej wiedzy?

– Coraz więcej wiemy o strumieniu dźwięków mowy. To, że pan rozumie, co mówię, wyni-

ka z tego, że jest pan w stanie rozpoznać słowa, które wypowiedziałam. Inaczej: umie pan strumień dźwięków mowy podzielić na słowa. Tak się dzieje, bo zna pan polski. Gdybym mówiła w języku, którego pan nie zna, wydzielenie słów byłoby trudne lub niemożliwe.

Wyróżnianie słów w strumieniu mowy jest możliwe, gdy znamy charakterystykę prozodyczną (m.in. akcent i intonacja) i fonotaktyczną (frazy, grupy słów) strumienia mowy danego języka. tej charakterystyki zaczynamy się uczyć jeszcze przed urodzeniem – wychwytyjąc powtarzalne wzorce w strumieniu mowy.

Jeżeli nauczymy się wyodrębniać słowa, w następnym kroku możemy zacząć uczyć się przypisywać im znaczenia. Zatem umiejętność analizy dźwięków mowy ma bardzo duże znaczenie dla uczenia się słów, ale też dla przyswajania zasad gramatyki. W prozodii języka jest wiele wskazówek dotyczących składni – na przykład prozodia pomaga określić granicę fraz – fragmentów zdań.

Nauka języka to nauka schematów, które łączy się z sobą. W efekcie, po wykonaniu ogromnej pracy umysłowej, przetworzeniu setek godzin strumieni dźwięków mowy,

nień, co upraszcza odmianę. Dziecku jest łatwiej. Mówimy oczywiście o dzieciach do co najwyżej drugiego roku życia.

Później warto odchodzić od takiego „dziecięcego” mówienia, powoli je redukować. Ale nawet starsze dziecko może przekreślać brzmienie różnych słów. Dzieje się tak dlatego, że nie jest w stanie wypowiedzieć jeszcze wszystkich głosek. Efekty bywają tak charakterystyczne, zabawne i piękne, że potrafią przetrwać w rodzinach przez pokolenia i nie ma w tym nic złego. Niemniej jednak, jeśli jakaś kochająca babcia do sześciolatka będzie nadal mówiła, jak do rocznego dziecka, to już popelnia błąd.

Gdy dziecko ma kłopoty ze słuchem

Jak rozpoznać, że dziecko ma problemy z uczeniem się języka?

– Absolutnie nieocenione są badania przesiewowe słuchu robione od razu po urodzeniu. 90% dzieci, które od urodzenia mają poważne problemy ze słuchem, rodzi się w rodzinach słyszących. W efekcie takie dziecko jest nara-

Jednak nie ma co ukrywać, wielojęzyczność wiąże się z wyzwaniem. Systemy edukacyjne nastawione są na dzieci jednojęzyczne, w badaniach dzieci jednojęzyczne uznawane są za wzór rozwojowy

po około dwóch latach dziecko może nam coś powiedzieć. To znaczy pierwsze słowa wypowiedzi. To znaczy pierwsze słowa wypowiedzi. To znaczy pierwsze słowa wypowiedzi.

Czyli możemy dziecku ułatwić wejście w świat języka?

– Tak i na ogół robimy to zupełnie spontanicznie, bez pełnej świadomości, że zawsze, gdy mówimy, dostarczamy mu „materiału do nauki”. Niestety, możemy również to wejście utrudnić.

Zacznijmy od gorszej wiadomości.

– Utrudniamy, gdy sprawiamy, że środowisko językowe dziecka jest ubogie – mówimy bardzo mało. Nie każdy rodzic musi być gadułą i ciągle zagadywać, nie o to chodzi. Ważne jest jednak, aby od początku komunikować się z dzieckiem z użyciem języka. Na ogół rodzice robią to w naturalny sposób, gdy przewijają dziecko, patrzą na nie, zagadują. Ale są też rodzice, którzy z dzieckiem komunikują się tylko w zakresie nakazowo-zakazowym.

Ważne, by dziecko uczyło się, że ma swój wkład w komunikację. Początkowo to dźwięki, które nie kojarzą nam się bezpośrednio z językiem, ale z komunikacją już tak, takie jak płacz albo krzyk, ale przecież nawet noworodek nie tylko takie dźwięki wydaje. Z czasem przychodzi głuźnienie, potem gaworzenie, a po jakimś czasie dziecko zaczyna mówić.

Są dwie strategie mówienia do małych dzieci. Mówienie „dorosłe” i „dziecięce”. Co wybrać?

– Do dziecka można i należy mówić jak do dziecka.

Rzeczywiście dzisiaj coraz więcej osób uważa, że do dziecka trzeba mówić jak do dorosłego. To efekt obawy, że upraszczając język, uczymy jego gorszej wersji. Ale badania mówią coś innego. Gdy dziecko jest jeszcze na etapie uczenia się przetwarzania strumienia mowy, mówienie „po dziecięcemu” jest dla niego sporym ułatwieniem. Dlaczego?

Mówiąc w taki sposób, przesadzamy z kontrastami, mamy podwyższony ton, niejako z automatu zaczynamy mówić krótszymi zdaniami, używamy pojedynczych słów i zdrob-

żone na potężną depryzację językową. Co innego, jeśli dziecko rodzi się w rodzinie posługującej się językiem migowym. Wtedy po prostu język migowy będzie jego pierwszym lub jednym z pierwszych, językiem.

Badania słuchu należy powtarzać, zwłaszcza jeśli dziecko ma częste, nawracające infekcje uszne. Są one czynnikiem ryzyka utraty czy pogorszenia słuchu, a ten dla przyswajania języka mówionego ma fundamentalne znaczenie.

Miedzy ósmym a dwunastym miesiącem dziecko powinno zacząć gaworzyć. Czyli powtarzać „ba, ba”, „ta, ta”. Jeśli gaworzenie się nie pojawia, to – znowu – warto to skonsultować i np. sprawdzić słuch. Ale proszę pamiętać, że to zawsze jest kwestia indywidualna. Jedno dziecko gaworzy szybciej, drugie – później. Proszę nie stać nad nim z zegarkiem w ręku.

Co możemy zrobić samemu?

– Można przeprowadzać drobne testy, które pokażą, czy dziecko rozumie polecenia, które wydajemy. Przy czym – uwaga – dziecko może rozumieć polecenia bez językowo. Naturalną rzeczą jest, że naszemu przekazowi językowi towarzyszy dużo różnych wskazówek, takich jak gestykulacja, kierunek wzroku, kontekst sytuacyjny. Zresztą, te wskazówki są szalenie ważne i pomagają uczyć się języka, ale mogą też być używane samodzielnie.

Dzieci są świetnymi obserwatorami i potrafią domyślić się, czego od nich chcemy. Jeżeli dziecko wie, że zawsze po śniadaniu idziemy na spacer, to po śniadaniu, kiedy mówimy „idź do przedpokoju po bućki”, może „wykonać” nasze polecenia wcale go nie słysząc, tylko spodziewając się, że zaraz nastąpi zakładanie bućków. Więc jeśli chcemy sprawdzić rozumienie prostych poleceń, warto je wydawać poza tego typu kontekstem.

Jeśli powiemy „weź dużą książkę ze stołu w kuchni”, gdy jesteśmy w pokoju, i zrobimy to bez dodatkowych pozajęzykowych wskazówek (np. patrzenia w stronę kuchni), możemy się zorientować, czy polecenie czysto językowe zadziałało. Trzeba pamiętać, że rozumienie pojawia się przed mówieniem. Ale też nie można oczekiwać, że dziecko od razu będzie wykonywało złożone polecenia. Warto zacząć

od prostych, jak „daj mamie jabłko”, a z dużymi książkami zalegającymi w kuchni jednak trochę poczekać.

Ile słów powinien znać dwulatek?

– Przeciętne dziecko polskojęzyczne powinno używać około 50 pojedynczych słów i łączyć je w wypowiedzi dwu-, trzywyrazowe. Oczywiście „mniej więcej”, proszę tego tak dokładnie nie liczyć. I proszę nie porównywać z innymi dziećmi w piaskownicy, tylko z tym, jaki robi postęp.

Wszystkie miary należy stosować ze świadomością, że to uśrednione wskaźniki w dość specyficznej sytuacji. To czy dziecko mówi dużo, czy mało, nie wyrokuje o przyszłości, karierze życiowej, doktoratach.

Czyli nie ma pani recepty na wychowanie geniusza?

– Na szczęście nie. Przyszłe osiągnięcia zależą od bardzo wielu czynników. Wiemy, że jak się do dziecka nie mówi, gdy się je tylko karci, daje nakazy i zakazy, to będzie się słabiej rozwijało. Ale tak się dzieje w skrajnych sytuacjach. Statystyczni rodzice mówią do dziecka wystarczająco dużo i w wystarczająco różnorodnych kontekstach. Nie trzeba się tym bardzo przejmować, chociaż oczywiście można świadomie wzbogacać środowisko językowe dziecka. Pomaga na pewno rozmawianie. Fantastyczną rolę może odgrywać wspólne czytanie, a na początku oglądanie książek i rozmawianie o nich. Takie „czytanie” naprawdę można wprowadzać już w pierwszych miesiącach życia i wiele badań pokazuje, że ma to sens dla rozwoju językowego dzieci w znacznie dłuższej perspektywie. Ale to nie znaczy, że dziecko „wyprzedzi konkurencję” w piętnastym miesiącu życia.

Mówiła pani o tym, że dzieci muszą wyodrębnić słowa z fali dźwięków, do nich docierają. Są jednak języki, w których słowo bywa zbitką trzech innych. Z bliskich mi języków, niemiecki wydaje się bardzo trudny w nauce. Ergo, czy niemieckie dzieci uczą się języka wolniej?

– Bezpośrednio chyba nikt polskich i niemieckich dzieci nie porównywał, ale wnioskując z innych przesłanek naukowych, odpowiedź brzmi: nie. W większości przebadanych języków wczesny rozwój dzieci przebiega bardzo podobnie. Ale są pewne wyjątki.

W 2021 roku ukazało się ciekawe podsumowanie badań nad duńskim i innymi językami skandynawskimi, pokazujące, że dzieci duńskie w wieku 15 miesięcy znają o 30 procent mniej słów niż dzieci uczące się norweskiego, a więc języka dość podobnego. Duńczycy potrzebują też więcej czasu niż Norwegowie lub Szwedzi na naukę form czasu przeszłego. Wszystkiemu „winna” jest duńska wymowa. W duńskim niektóre spółgłoski zamieniane są w dźwięki przypominające samogłoski, a Duńczycy lubią „polykać” końcówki słów. Pomijają około jednej czwartej wszystkich sylab.

Jednocześnie te badania pokazują, że trudniejszy start w używaniu słów i pewnych form gramatycznych nie przeszkadza tak bardzo. Czy Duńczycy są jako naród jakoś inni? Raczej nie. ●



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. Ewa Haman

- psycholingwistka rozwojowa z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego

Mój przyjaciel Håkan uważa, że Göteborg jest miastem bardziej äkta, czyli prawdziwszym niż Sztokholm, a jego mieszkańcy są bardziej...ludscy.

Katarzyna Tubylewicz

NIEBIESKIE

DOROŻKI MARZEŃ

• Götaplatsen i bóg morza Posejdon, słynna rzeźba Carla Millesa. Od 1931 roku jeden z symboli Göteborga

Łzęsto bywa nazywane „Małym Londynem”, a mieszkańcy wschodniego wybrzeża mówią o nim Götet. To tu wyprodukowano pierwsze Volvo i to tu nadal działa jedna z największych na świecie fabryk tego kultowego, słynnego z jakości samochodu. Turyści mogą poznać jego historię w muzeum World of Volvo.

Ukochali je sobie zwłaszcza turyści z Norwegii oraz Amerykanie, przyciągają ich koncerty międzynarodowych gwiazd, słynne na całą Szwecję kanapki ze świeżymi krewetkami oraz najlepsze w Skandynawii wesołe miasteczko Liseberg.

Miasta prawdziwe

Według mojego przyjaciela Håkana, Sztokholmczyka, który jest intelektualistą w stylu wschodnioeuropejskim, Göteborg jest miastem bardziej äkta, czyli prawdziwszym niż Sztokholm, a jego mieszkańcy są bardziej ...ludscy. Ten sam Håkan zwykły też narzekać, że „w Sztokholmie nie ma nawet jednego, pieprzonego baru, do którego chodzą się upić poeci”. Poza tym kocha Warszawę, bo też wydaje mu się bardziej prawdziwa.

Warszawa i Göteborg są prawdziwe na różne sposoby, ale Göteborg jest inny nie tylko od Sztokholmu, ale w ogóle od reszty Szwecji. Np. w stylu londyńskim całkiem często od-

bywają się tu small talki z nieznajomymi. To bardzo nieszwedzkie, byłam w ciężkim szoku, gdy dwie dziewczyny w tramwaju rezerolutnie skomplementowały moją czapkę, a potem w innym tramwaju starsza pani włączyła się do opowieści znajomego o jakimś zabytku. W Sztokholmie coś takiego się nie zdarza.

W tramwajach śni się na jawie

A same tramwaje w Göteborgu mają status kultowy: są niebieskie, wszędobylskie i pojawiają się w tekstach Håkana Hellströma, najsłynniejszego muzyka z tego miasta. Jego piosenki pełne są miejskiej magii, melancholii, podejrzanym spelunek, opustoszałych ulic i miłości. Dziennikarka pisma „Vi” napisała, że Hellström w swoich tekstach przekształcił i zaczął jej rodzinne miasto, że obnażył jego „serce i wnętrze”. Hellström dostał swego czasu nagrodę dla człowieka kultury Miejskich Linii Tramwajowych (tak, jest taka nagroda!) i jeden z tramwajów nosi teraz jego imię.

– Tramwaje są dorożkami marzeń. To w nich śni się na jawie w drodze do pracy czy szkoły – powiedział w jednym z wywiadów.

Göteborskie dorożki marzeń są też wyjątkowo dobre dla turystów, mogą ich zawieźć np. do stacji Saltholmen, gdzie wystarczy się przesiąść na dowolny prom, żeby dostać się na jedną z wysp przepięknego Archipelagu Göteborskiego. Zwykły bilet komunikacji miejskiej działa także na promach, więc szkie- rowy

ogród wysp i wysepek jest w zasięgu ręki i kieszeni. Wystarczy tramwaj, a potem 20 minut na promie.

Tu nosi się sztormiak

Ci którzy nazywają Göteborg „małym Londynem” jako elementy łączące oba miasta wymieniają: dynamizm, charakterystyczny układ ulic zaplanowanych w XVII w. przez holenderskich inżynierów na podobieństwo ulic londyńskich, deszcz – pada tu średnio co trzeci dzień, a jesienią i zimą jeszcze przy tym więcej. Z tej przyczyny mieszkańcy rozpoznają nietutejszych po tym, że noszą parasol, bo w Göteborgu nosi się sztormiak. Z Londynem łączy też Göteborg intensywny rozwój w czasie rewolucji przemysłowej, położenie nad rzeką (Göta älv) oraz kosmopolityczny charakter.

No cóż, powiedziałabym, że to jednak Londyn na środkach uspokajających. Brak tu londyńskich tłumów, w Göteborgu mieszka tylko 600 tysięcy ludzi. Ekspaci, których jest tu sporo podkreślają, że życie w tym mieście charakteryzuje łatwość osiągnięcia work-life balance oraz dająca spokój duszy kultura lagom, co w ostatnich latach odkryli napływający tu masowo świetnie wykształceni Hindusi, których obecnością Göteborg cieszy się i to bardzo.

Miasto imigrantów i expatów

Jednocześnie miasto, miewa problemy z integracją części imigrantów i obok dzielnic za-

możnych są tu także ubogie dzielnice wykluczenia, problemy z radykalnym salafizmem, kulturą klanową i kulturami honoru, a swego czasu także z młodzieżą, która dołączała do Państwa Islamskiego w Syrii i Iraku (z miasta wyjechało w tym celu około sto osób), a potem radykalizowana wracała do Szwecji.

Problemom towarzyszą jednak wszystkie pozytywy wynikające z wielokulturowości, od jedzenia ze wszystkich stron świata (poza dość oczywistymi kuchniami, które znajdziesz w każdym dużym mieście, są tu także restauracje etiopskie, syryjskie, afgańskie i somalijskie), przez multikulturowe festiwale takie jak Göteborg Culture Festival na klubach nocnych z muzyką afrobeats i karnawale latynoamerykańskim w dzielnicy Hammarkullen skończywszy.

Miasto stawia także na przyciąganie wysoko wykwalifikowanych specjalistów z całego świata. To dla nich powstał International House of Gothenburg – instytucja ułatwiająca expatom odnalezienie się w nowym miejscu. Ostatnio korzystają z niej głównie Hindusi, a kiedy prezydent Indii Modi odwiedził w tym roku Szwecję, poleciał prosto do Göteborga.

Kultura alternatywna w parku

Wspomniany już Håkan ze Sztokholmu twierdzi, że Göteborg jest jak wehikuł czasu, można się tu nagle cofnąć o sporo lat i zobaczyć prawdziwych punkowców, takich, jacy ze stolicy

Szwecji zniknęli ze 30 lat temu, albo przenieść się w przyszłość, bo mniejszości etnicznych też jest tu więcej i są bardziej widoczne.

Rzeczywiście czworo na dziesięciu mieszkańców miasta urodziło się poza jego granicami, albo ma oboje rodziców z innego kraju, to więcej niż średnia szwedzka.

Jeśli zaś mowa o punkowcach, to rzeczywiście miasto ma w sobie rys alternatywny: piękną pogodę we wspaniałym parku Slottskogen, który miejscami przypomina las i w którym jest też nieduże zoo, a w nim losie, pingwiny i lacie świnię z regionu Linderöd, na polanach grają w kubb (grę zwaną też szachami Wikingów) młodzi ludzie w białych t-shirtach.

Jednak w tym samym parku łatwo też natknąć się na młodzież alternatywną, chłopaków i dziewczyny o różowych, zielonych lub pomarańczowych włosach z czarnymi odrostami i kolczykami w nosie.

I nie chodzi o to, że jest to generalnie zaskakujące, bo przecież w żadnym dużym mieście nie ma w tym nic dziwnego, ale osobie od lat mieszkającej w Sztokholmie uświadamia, że zjawisko młodzieży alternatywnej jest w stolicy w Szwecji raczej w zaniku.

Młode Sztokholmianki, jeśli nie noszą chusty, to mają w tym roku blond włosy spięte gładko do tyłu, ubrania w jasnych kolorach, kolczyki złote, usta powiększone, makijaż lekki, ale z nadmiarem samoopalcza, a wszyscy młodzi mężczyźni wyglądają, jakby wyszli z biura lub są ubrani na sportowo. Patrząc na nich można uznać, że zostali sformatowani do drogi życiowej, która polega na przeprowadzaniu się do coraz większych mieszkań, a potem do domku we właściwej dzielnicy, że będą konsumować życie w sposób zdrowy, racjonalny i pozbawiony fantazji, a potem przedwcześnie grać w golfa.

Tymczasem w Göteborgu ewidentnie nadal istnieje coś takiego jak młodość, bunt, antykomercjalizm oraz okrucy atmosfery, która panuje w londyńskim Camden Town.

Avenyn prosto do galerii

Za to główna ulica Göteborga o ambitnej nazwie Avenyn nijak ma się do Oxford Street, jest tu przestronnie i miejsce na oddech, mniej sklepów i mniej tłumów. Co nie oznacza, że nie jest piękna i bardzo warta spaceru, zwłaszcza, że można nią dojść do placu Götaplatsen, na którym króluje Posejdon, słynna rzeźba Carla Millesa. Jest jednym z symboli miasta od 1931 roku. Potężny, siedmiometrowy bóg mórz trzyma w jednej ręce rybę, a w drugiej muszlę, jego włosy też mają kształt muszli i otaczają go rzeźby przedstawiające różne dziwne, wodne stwory. Sam Carl Milles (1875–1955) był jednym z najsłynniejszych szwedzkich rzeźbiarzy, uczniem Augusta Rodina, a jego rzeźby i fontanny można oglądać nie tylko w Szwecji, ale także w Stanach Zjednoczonych.

Na Götaplatsen znajduje się też kilka najważniejszych miejskich instytucji kultury, m.in. filharmonia (Göteborgs konserthus) i bardzo dobre muzeum sztuki Göteborgs konstmuseum. Można w nim zobaczyć dzieła Picassa, Rembrandta i Van Gogha, a poza tym imponujące zbiory sztuki skandynawskiej, obrazy Andersa Zorna i Carla Larssona oraz sporą kolekcję kolorystów z Göteborga, jednej z najbardziej wpływowych grup artystycznych w Szwecji w pierwszej połowie XX wieku. Są tam m.in. obrazy Åke Göranssona, Karin Parrow i Märty Taube-Ivarson. Muzeum ma też naprawdę bardzo dobre wystawy czasowe.

W tym samym budynku znajduje się słynne Hasselblad Center – galeria fotografii będąca pod opieką Fundacji Hasselblad, która promuje edukację w dziedzinie fotografii i przyznaje Nagrodę Hasselblada nazywaną fotograficznym Noblem.

Fundacja została powołana na mocy testamentu słynnego mieszkańca Göteborga, Victora Hasselblada (1906–1978), który prowadził rodzinną firmę produkującą aparaty fotograficzne i sam był świetnym fotografem, a poza tym stworzył ikoniczny aparat średnioformatowy Hasselblad.



• **Port wewnętrzny, wzdłuż ujścia rzeki Göta älv w centrum miasta. Przyślanek m.in. promów do archipelagu i wodnych tramwajów**

Z widokiem na port

Göteborg położony jest nad rzeką, ale przede wszystkim nad łączącą morze Bałtyckie i Morze Północne cieśniną Kattegat i z tej przyczyny jest najważniejszym szwedzkim miastem portowym i międzynarodowym węzłem handlowym. Odwiedzający mogą się cieszyć wszechobecną bliskością wody, miasto przecinają kanały, a z najbardziej centralnie położonego placu Drottningtorget w pięć minut da się dojść do portu wewnętrznego Lilla Bomen.

Główny port Göteborgs Hamn jest trochę dalej i jest największym portem w całej Skandynawii, składa się z wielu, wyspecjalizowanych basenów portowych.

Wszechobecność wody daje miastu niepowtarzalną atmosferę i skłania do tego, żeby po prostu po nim chodzić i chodzić czując jak we włosy dmucha wiatr i wdychając zapach morza. Wiedzę o podwodnym życiu można pogłębić w Universeum, narodowym centrum nauki Szwecji, w którym są akwaria z egzotycznymi rybami i innymi morskimi stworami, a także prawdziwy las deszczowy. To rewelacyjny kierunek dla podróżujących z dziećmi.

Stolica piwa

Jak wiadomo w portowych miastach warto jeść wszystko, czym morze rozpieszcza smakośza i w Göteborgu wybór takiego jedzenia jest ogromny. Wręcz trzeba tu jeść owoce morza i świeże ryby podawane zarówno w klasycznych, jak i nowoczesnych wersjach kulinarnych, a także wodorosty, małże i ostrygi.

Miejscem, które obowiązkowo powinni odwiedzić miłośnicy tego, co morskie, jest ikoniczna hala targowa Feskekörka, w której jest sporo genialnych restauracji.

A skoro już mowa o jedzeniu, to warto też wspomnieć o piciu.

Göteborg uchodzi za szwedzką stolicę piwa – w samym mieście i w jego okolicach znajduje się 40 browarów rzemieślniczych. Wiele z nich prowadzi własne restauracje, puby browarnicze i tzw. tap roomy, gdzie można spróbować lokalnego, świeżo warzonego piwa.

Pamiętajcie o ogrodach

Zwiedzając Göteborg nie należy zapominać o ogrodach. Obfite opady i dość łagodna zima powodują, że miasto ma naprawdę fantastyczną zieleni.

Tylko kilka kroków od głównego dworca kolejowego znajduje się Trädgårdsföreningen – jeden z najlepiej zachowanych europejskich



• **Tramwaje w Göteborgu mają status kulturowy: są niebieskie, prawie wszędzie można nimi dojechać i pojawiają się w tekstach Håkana Hellströma, najsłynniejszego muzyka z tego miasta**

POZNAJMY NASZĄ EUROPE



• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.



parków XIX-wiecznych. Jest tam m.in. olśniewające rosarium oraz palmiarnia w szklarni z 1878 roku, w której zachwyca wiele roślin tropikalnych. Po krętych alejkach można spacerować naprawdę długo i z niektórych są bardzo fotogeniczne widoki na miasto i wodę. W parku są też restauracje i lodziarnia, i jest to naprawdę wyjątkowy zakątek.

Na drugim krańcu miasta znajduje się wielki Ogród Botaniczny, w którym jest ponad 20 tys. roślin i ogrody zaaranżowane w różnych stylach, a poza tym bardzo dużo przestrzeni do spacerowania, siedzenia na trawie lub na skalach, z których także są świetne widoki na miasto.

A skoro o zieleni mowa, to warto wspomnieć, że Göteborg jest miastem poważnie traktującym temat ochrony środowiska.

Już w roku 2021, kiedy miasto obchodziło swoje 400-lecie zostało wyróżnione przez magazyn Lonely Planet tytułem Best Sustainable City Stay. Aż 95 proc. hoteli w Göteborgu posiada certyfikaty ekologiczne i 97 proc. transportu publicznego funkcjonuje dzięki energii odnawialnej.

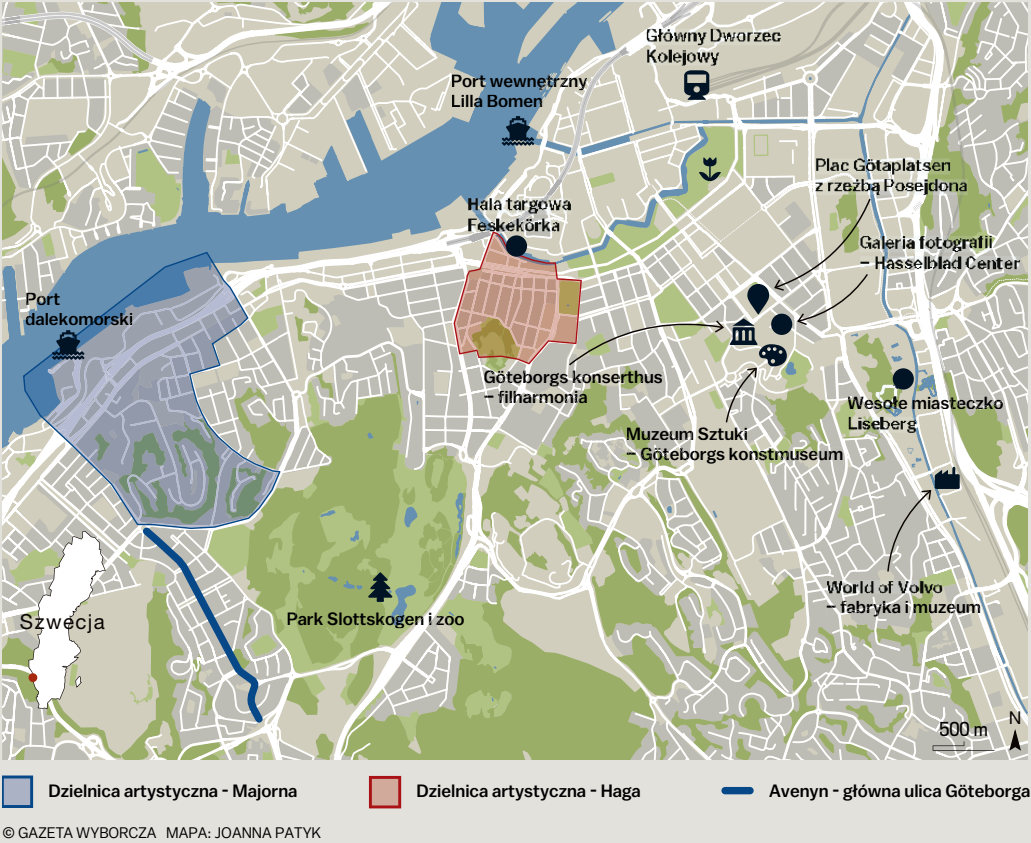
Dzielnice kiedys robotnicze

Dzisiejszy Göteborg jak większość europejskich miast jest zdominowany przez klasę średnią, ale historycznie było to miast robotnicze o bardzo silnych związkach zawodowych, w którym w XX wieku rozkwitała też socjaldemokracja.

Dawne robotnicze dzielnice przeszły proces gentryfikacji i są dziś magnesami dla turystów. Taka jest Haga z wąskimi, brukowanymi ulicami

Göteborg - miasto tramwajów

Atrakcje w centrum miasta



© GAZETA WYBORCZA MAPA: JOANNA PATYK



• **Drewniane domy i brukowane ulice w dawnej robotniczej, a teraz artystycznej dzielnicy Haga**

FOT. SERGEY DZYUBA/SHUTTERSTOCK



• **Muzeum World of Volvo. Firma istnieje od 1927 r. i są tu wszystkie modele tego auta począwszy od pierwszego Volvo ÖV4 („Jakob”)**

FOT. SZIKORKA/SHUTTERSTOCK

Wyspy malowane

A jak człowiek nachodzi się już po mieście i poczuje jego skandynawsko-londyński klimat, to naprawdę trzeba wybrać się na którąś wyspę archipelagu.

Archipelag Göteborgski jest mniejszy od sztokholmskiego, a za to bliższy miastu i bardziej przystępny. Jednocześnie czuć tu Morze Północne, a skalisty krajobraz bywa surowy, a czasem wręcz dramatyczny.

Wyspy archipelagu dzieli się na część północną i południową. Na wyspy południowe można popłynąć promem z Saltholmen, najłatwiej dostać się stamtąd na Brännö, Styrsö i Vrångö. Ciekawe, że podczas, gdy Göteborg ma w jakimś sensie więcej luzu, a nawet miejskiej bylejakości niż Sztokholm, to świat wysepek, z których każda jest naprawdę prześliczna, powala perfekcyjnością zawsze świeżo odmalowanych drewnianych domów i idealnych ogródków.

Ma się wrażenie, że mieszkańcy tak bardzo kochają swoją okolicę i domostwa, że nieustannie coś odnawiają i sprzątają. A może czuć tu pewną bliskość do Norwegii, która jest równie uporządkowana? Ponieważ na wyspach południowych nie ma samochodów, nieodłączną częścią krajobrazu są rowery i zabawne elektryczne motorowery z drewnianymi platformami ładunkowymi.

Troszkę inaczej jest na wyspach północnych m.in. na Hönö, Öckerö i Björkö, na które można dostać się promem samochodowym z Lilla Varholmen.

Wyprawa na archipelag jest jak przeniesienie się do innego świata, w którym inaczej płynie czas, nozdrza muskają inne zapachy, jest inna roślinność, światło i gdzie nie spojrzeć jest olśniewająco pięknie. Skały, morze, kolorowe domki, łąki i wąskie ścieżki, dużo ciszy, ale także śmiech dorosłych i dzieci, zwłaszcza wtedy, gdy pogoda dopisuje.

Myśl po göteborgsku

Göteborg jest drugim co do wielkości miastem w Szwecji, ale turyści z Polski wybierają raczej Sztokholm albo bliskie do Kopenhagi Malmö. Göteborg pozostaje nie do końca odkryty, a to duży błąd.

kami i drewnianą zabudową, dzielnica, do której po robotnikach przeprowadzili się artyści. Dziś jest strefą wolną od ruchu samochodowego, pełną kawiarenek, niewielkich sklepików i pachnących cynamonem piekarni.

W Café Husaren można kupić największe bułeczki cynamonowe w Szwecji, prawdę mówiąc nazwa bułeczka nie do końca do nich pasuje, bo mają rozmiar sporej patelni! Jedyną wadą malowniczej Hagi jest fakt, że zawsze pełno tam turystów.

Jeśli ma się ochotę na miejsce równie uroczne, pełne artystów, trochę lewackie i hipsterskie ze świetnymi restauracjami, w których jednak siedzą głównie lokalsi, należy wsiąść

w tramwaj i wybrać się do Majorna. To także dawna dzielnica robotnicza, nieco młodsza od Hagi. Słynie z charakterystycznych drewnianych domów zwanych landshövdingehus, które mają murowany parter i dwa drewniane piętra i można je w Szwecji znaleźć tylko w Göteborgu.

Pomiędzy Majorna a bardziej willową Kungälv znajduje się jeden z dwóch największych w mieście cmentarzy, Västra kyrkogården. Warto wybrać się tam na spacer, bo szwedzkie cmentarze są zupełnie inne od polskich. Mało tu dużych grobowców, panuje protestancka skromność, kamień zamiast nagrobka, nieduży krzyż, spokój i ocean zieleni wokół.

• **W ostatni weekend maja (od 1974 r.) w dzielnicy Hammarkullen odbywa się karnawał latynoamerykański, choć dziś to raczej impreza wielokulturowa**

FOT. KEDAROME/SHUTTERSTOCK



FOT. DAREK LEWANDOWSKI

Katarzyna Tubylewicz

• Pisarka, kulturoznawczyni, dziennikarka, podcasterka i tłumaczka literatury szwedzkiej. Autorka reportaży m.in. „Samotny jak Szwed? O ludziach Północy, którzy lubią być sami”, „Moralisci. Jak Szwedzi uczą się na błędach i inne historie” i „Szwedzka sztuka kochania. O miłości i seksie na Północy”. Mieszka w Sztokholmie. Pomieszkuję w Warszawie.



KTO NAPRAWDĘ WSYPAŁ

„Grota”

„Zostałem aresztowany przypadkowo, przez rozpoznanie na ulicy – co wiem na pewno.

Trzeba, aby o tym ogólnie ludzie wiedzieli. Nie ma winnych mojej wpadki w ogóle...”

– przekazał podziemiu z obozu Sachsenhausen uwięziony tam komendant główny AK.

Nie mógł albo nie chciał napisać całej prawdy.

Michał Wójcik

Jest 30 czerwca 1943 r., środek okupacji. W mieszkaniu przy ul. Topiel 19 na warszawskim Powiślu elegancki mężczyzna żegna się z młodą kobietą, wkłada jasny płaszcz i cichutko zamyka za sobą drzwi. Do przystanku tramwajowego ma niedaleko. Na Ochotę jedzie w przedziale dla Polaków. Wysiada i kieruje się na stację kolejki podmiejskiej przy ul. Niemcewicza. Tu czeka na niego Elżbieta Prądzyńska-Zboińska, ps. „Ela”. Wręcza mu mały pakunek.

W środku jest 15 tysięcy dolarów. Nigdy nie uda się ustalić, do czego były mu potrzebne. Mężczyzna chowa je do kieszeni i odprowadza kobietę na pl. Narutowicza. – Odwróciłam się, machnął mi wesoło ręką. Był w dobrym humorze. Dzień był słoneczny i pogodny – wspominała.

Ona ma 28 lat, on prawie 50. Historyk, prof. Tomasz Szarota, który dokładnie odtworzył wypadki tego dnia, jest pewien, że była w nim zakochana. Nie ona jedna.

PIĘĆ ODBITYCH ŚLADÓW NA TWARZY

O 9.35. mężczyzna rusza w kierunku ul. Spiskiej i po chwili jest w kamienicy numer 14. Na klatce schodowej mija tablicę z listą lokatorów. Wynika z niej, że pod dziesiątką mieszka Jerzy Malinowski. To niby on. Mężczyzna wchodzi do mieszkania. Do kolejnego spotkania, nieopodal – na ul. Barskiej, ma jeszcze kilka-naście minut.

Jest zmęczony, żyje w coraz większym stresie. Już kilka razy musiał uciekać przed tajniakami, co w jego wieku nie jest proste. Uskarża się na różne bóle. Prof. Szarota ustalił, że mógł chorować na raka, cierpieć na dyskiinezę dróg żółciowych, a może i na chorobę wieńcową.

Dlatego to już postanowione. Jeszcze to jedno spotkanie i koniec. Wyjeżdża z panią Haliną – od której wyszedł rano – na urlop. Odpocznie, podleczy się, wróci do pracy ze zdrowioną energią.

Zamyka na chwilę oczy...

Najpierw słyszy hamowanie samochodów. Potem stukot butów na ulicy. Podchodzi do okna i widzi mnóstwo funkcjonariuszy Gestapo, są uzbrojeni w pistolety maszynowe. Wie, że to po niego. Wyjmuje z teczki dokumenty przygotowane na spotkanie i podpala je. Niemcy walą już kolbami do drzwi i wypędzają mieszkańców na podwórko. Pani Maria Kosińska z piątego piętra staje w dwuszeręgu twarzą do ściany. Po wojnie będzie wspominać, że ona i sąsiedzi stali tak trzy godziny, mdleli z przerażenia. W pewnym momencie rozległy się strzały a potem wyprowadzono na podwórko pana Malinowskiego.

Miał pecha. O mały włos umknąłby gestapowcom. Gdy wbiegli na jego klatkę, wskoczył do windy, unieruchomił ją między piętrami i czekał. Niemcy pod dziesiątką nikogo nie zastali. Już chcieli wyjeżdżać, pewni, że to kolejny fałszywy alarm, gdy któryś uświadomił sobie, że na żadnym z pięter nie widział windy. Wyprowadzono go brutalnie. Na podwórku jeden z gestapowców uderzył go z całej siły w twarz.

– Gdzie podziałeś teczkę, draniu? – krzyknął po polsku.

„Ten milczał dalej – tylko opalona twarz dziwnie zbieła i widać było te palce odbite na twarzy i krople potu spływające od skroni” – wspominała Kosińska.

A zatem wiedzieli, że miał teczkę. Musieli go wcześniej obserwować. Ten i masę innych szczegółów wkrótce ustali śledztwo, które ruszy jeszcze tego samego dnia.

Pora zatem na personalia. Te prawdziwe. Ten, który bił, to SS-Untersturmfu hrer, starszy sekretarz kryminalny Erich Merten, ważny, choć nie najważniejszy funkcjonariusz Gestapo w Warszawie. Spoliczkowany to gen. Stefan Rowecki, ps. „Grot”, komendant główny Armii Krajowej.

NA SZUCHA PIJĄ SZAMPANA

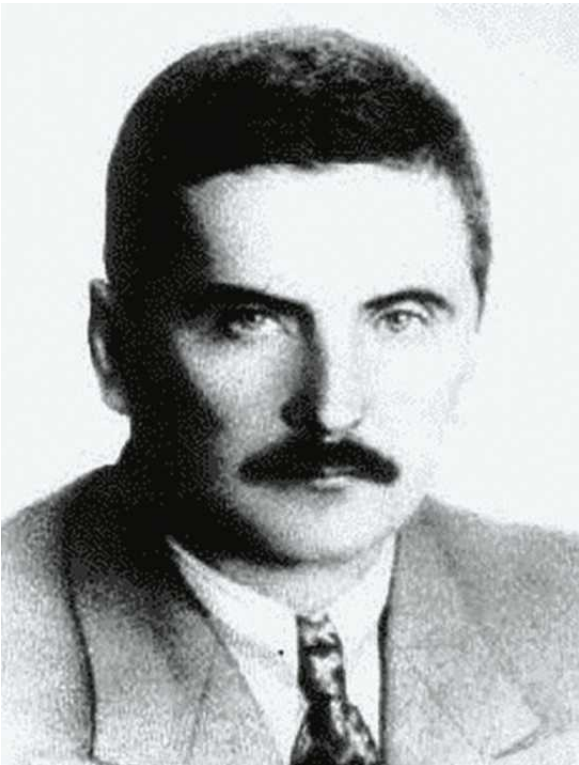
Data 30 czerwca 1943 r. będzie w polskim kalendarzu historycznym jednym z najczarniejszych dni okupacji. Podziemie podniesie się po nim, ale już w innym, gorszym kształcie, a wewnętrzne konflikty prawie rozsądza je od środka. Doprowadzą nawet do prawdziwej wojny domowej tuż przed Powstaniem Warszawskim. Czy „Grot”, gdyby nadal rządził twardą ręką, lepiej przygotowałby kraj do zbliżającej się klęski Niemiec i zwycięstwa Stalina?



▲ **Tablica poświęcona gen. Stefanowi Roweckiemu - Grotowi przy wejściu do kamienicy przy ul. Spiskiej 14, gdzie 30 czerwca 1943 roku został aresztowany** FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

► **Komendant główny Armii Krajowej w okupacyjnej charakterystyce, gładko przystrzyżony i z wąsem** FOT. DOMENA PUBLICZNA

◄ **Ppłk Stefan Rowecki podczas manewrów wojskowych w Równem na Wołyniu w sierpniu 1925 roku** FOT. NAC



Już następnego dnia Rowecki został wywieziony samolotem do Berlina. Nie zgodzi się na współpracę z III Rzeszą i zostanie osadzony w Sachsenhausen, gdzie zginie na osobisty rozkaz Heinricha Himmlera.

Tymczasem w siedzibie policji bezpieczeństwa w Warszawie strzelają korki od szampana.

– A to wspaniały połów... a to nam się udało – miał krzyczeć Ludwig Hahn, komendant Sipo i SD na Dystrykt Warszawski. Za ten sukces otrzyma gratulacje z Berlina, a Merten Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego z Liśćmi Dębu i Mieczami plus 1000 Reichsmarek.

Inni oficerowie również się cieszyli. Następca „Grota”, gen. Tadeusz Komorowski „Bór”, wspominał słowa pewnego polskiego polityka, mimowolnego świadka tej sytuacji: „Po korytarzach biegali urzędnicy, maszyniści i niżsi funkcjonariusze Gestapo w stanie szczególnego podniecenia. Większość z nich zdążyła w kierunku schodów, gestykulując i rozprawiając głośno, co było w tym urzędzie niezwykle”. Słyszał powtarzane gratulacje i coś, co brzmiało jak „wreszcie koniec z tą całą konspiracją”.

SS-Brigadenführer Jurgen Stroop, „kat Getta Warszawskiego”, specjalnie zaproszony na Szucha, zeznał po wojnie, że poszedł obejrzeć Roweckiego i ten zrobił na nim kolosalne wrażenie. „Cywil, ale od razu widać, że wojskowy najwyższej klasy. Zmęczony, twarz ściągnięta, lecz dziwnie pogodny w swym spokoju (...). Od generała »Grota« bił jakiś majestat. Nikt się nie cieszył, choć byliśmy bardzo zadowoleni. Mówiliśmy cicho”.

W podziemiu, według zgodnych relacji polityków i dowódców, panika nie wybuchła. Było za to poczucie dojmującej klęski. Wrażenie, że padł cios, na który podziemie musi odpowiedzieć, choć z różnych przyczyn nie może. Albo nie wie jak. Może dlatego, że aresztowanie komendanta AK nie było dotąd priorytetem dla Niemców. Choćby dla SS-Hauptsturmführera i radcy kryminalnego Alfreda Spilker, szefa Sonderkommando IV

AS, który go podsłuchiwał, znał jego lokale i trasy, po których się poruszał. Zdjęcie „Grota” trzymał w biurku, a szpiedzy dostarczali mu coraz więcej szczegółów. A jednak nie wydał rozkazu, aby go zatrzymać. Nęcić współpracą, wykonywać przyzane gesty – tak, ale same-go zostawić na razie w spokoju.

Podziemie musiało ustalić, dlaczego generał wpadł? Kto – jeśli to była wyspa – za nią odpowiada? I czym grozi ta katastrofa?

ULICZNE BIEGI Z PRZESZKODAMI

Zadanie odpowiedzi przynajmniej na dwa pierwsze pytania otrzymało dwóch pracowników kontrwywiadu. Byli skrupulatni, odważni i sprawdzeni we wcześniejszych, wymagających precyzji operacjach. Pierwszy to kpt. Stanisław Leszczyński, przed wojną sędzia śledczy, teraz oficer dochodzeniowy kontrwywiadu Komendy Głównej. Przed AK był w osławionych „Muszkietierach”, pierwszej podziemnej organizacji wywiadowczej założonej jeszcze w 1939 r.

Drugi to Stefan Rys, ps. „Fiszer”, przed wojną pracownik Samodzielnego Referatu Informacyjnego przy Morskiej Brygadzie Obrony Narodowej, obecnie zastępca szefa kontrwywiadu AK. „Fiszer” od razu uruchomił agentów i informatorów. W samym mieście i okolicach było ich kilkuset, wiemy, że meldunki złożyło co najmniej kilkudziesięciu. Obraz, jaki się z nich wyłonił, był przerażający!

Sukces Niemców okazał się straszliwą i co gorsza – zasłużoną – klęską podziemia. Rowecki był doskonałym, charyzmatycznym dowódcą, ale – dowody są bezlitosne – fatalnym konspiratorem. Oczywiście miał uzbrojonych ochroniarzy, którzy zabezpieczali dla niego lokale konspiracyjne, ale gdy ich prosił, to po prostu od niego odstępowali. Nie chronili go np. ani w mieszkaniu pani Haliny, która – to była w podziemiu tajemnica Poliszynela – była jego towarzyszką życia, po separacji z drugą żoną, ani gdy przemieszczał się z jednego punktu do drugiego. Rowecki, mimo charakterystyki, a nawet – tak plotkowano – operacji plastycznej, swobodnie poruszał się po Warszawie i czasem rozmawiał z kimś na ulicach!

Stanisław Leszczyński w swoich dwóch opracowaniach z października 1943 r. – „Opracowanie materiału w sprawie aresztowania Grota” oraz „Sprawozdanie o przebiegu aresztowania Grota” – darował sobie wszystkie niefrasobliwości szefa. Dopiero po wojnie córka Roweckiego Irena ujawniła, że ojciec wręcz ganiał się po Warszawie z niemieckimi łapsami: „Pamiętam, kiedyś spotkaliśmy się w już nieistniejącej cukierni »Kolorowa« na rogu Żurawiej i Brackiej. Przyszedł zziązany, zmęczony i widząc moje zdumienie, powiedział, wycierając chusteczką spocone czoło: – Ktoś mnie tropił i aby zgubić niepożądanego »opiekuna«, rozpuściłem nogi i przebiegłem prawie całą al. Waszyngtona”. Innym razem, gdy jechali tramwajem, generał szepnął córce na ucho: „Ten typ z lewej znowu mi się przygląda. Uciekam! Pamiętaj, jak wysiądziesz na przystanku, sprawdź, czy kto za tobą nie podąża. Cześć!”. I w biegu wyskoczył z tramwaju. O incydencie nawet nie powiadomił odpowiednich służb.

ŻYCIE TOWARZYSKIE I UCZUCIOWE

Było gorzej. Kontrwywiad wiedział, że w Warszawie mieszka jego druga żona Eugenia z d. Borzychowska, ale nie zlecono jej stałej obserwacji. Tymczasem 33-letnia kobieta po rozstaniu z mężem w 1940 prowadziła bujne życie towarzyskie. W pewnym momencie związała się z por. Władimirem Bondariewskim. Archiwa kontrwywiadu AK puchną od kwitów na jego temat. Ten „biały” Rosjanin był prawą ręką Sonderführera Borysa Smysłowskiego, szefa wywiadu przy I Wydziale Sztabu Dowodzenia Abwehry „Walli” w Sulejówku, formacji do walki z sowiecką partyzantką. Bondariewski miał „służbowe” związki także z innymi Polkami. Na wesołe kolacje pani Eugenia, zapraszała oficerów wywiadu sowieckiego. Ich bywalec Artur Ritter-Jastrzębski, to przecież prototyp filmowego Hansa Klossa, chyba najskuteczniejszy agent sowiecki w Warszawie operujący przeciwko środowisku „Białych Rosjan”. Razem z innym sowieckim szpiegiem Bogusławem Hryniewiczem, jak ustalił dziennikarz Andrzej Gass, miał zaproponować likwidację Roweckiego dowódcą Gwardii Ludowej, a za ich pośrednictwem Moskwie. Odpowiedź była jednak odmowna.

◀ O mieszkaniu na Spiskiej – kontrwywiad AK nie wiedział nic. Dla „Grot” wynajmował je jego adiutant porucznik Ryszard Jamontt-Krzywicki „Szymon”, który do końca życia nie zdradził tajemnic szefa. O pani Halinie „Szymon” zapewne wiedział, ale czy ją „sprawdził” – nie wiadomo. Jako pierwszy napisał o niej w 1983 r. prof. Szarota. W pionierskiej biografii generała podał dyskretnie, że jego ostatnia miłość nazywała się Halina T. Andrzej Gass ujawnił, że nosiła nazwisko Tymińska, inny badacz prof. Andrzej Chmielarz dodał, że po wojnie zmieniła je na Borowiecka, a z generałem mieszkała w willi „Jeżewo” w Józefowie, skąd przeprowadzili się do Lasek. Niedawno, badacz niemieckich służb specjalnych i policji czasów okupacji Mateusz Dallali ustalił jej prawdziwą – jeszcze inną – tożsamość, a nawet odnalazł zdjęcia pani Haliny.

Leszczyński nie napisał o niej ani słowa. Chyba nie musiał. Andrzej Pomian, były szef Wydziału Propagandy Bieżącej Komendy Głównej AK w liście do Tadeusza Żenczykowskiego, szefa okupacyjnej akcji „N” (dywersja propagandowa) napisał w 1984 bez ogródek: „Moim zdaniem wpadł przez amory”. Pomian był bliski prawdy. Tyle że nie były to amory, a prawdziwa – śmiertelnie mocna – miłość.

CZY IZABELLA ZABIŁA WINNĄ?

Walka z okupantem i ciągle przekonywanie polskich polityków do jednoci, tym głównie zajmował się „Grot” od 1939 r. Pomagali mu w tym Delegat Rządu na Kraj prof. Jan Piekalkiewicz (po zdradzie i aresztowaniu, zastąpiony przez Jana Jankowskiego) oraz Stefan Korboński, szef Kierownictwa Walki Cywilnej. Panowie stale konferowali z liderami większych i mniejszych ugrupowań i cisnęli o zgodę, bo nie każdy jej chciał.

W 1941 na podziemnej scenie politycznej pojawiła się kolejna aspirująca grupa. Nosiła egzotyczną nazwę Polski Ruch Zjednoczenia Słowian i chcąc nie chcąc liderzy AK musieli się z nią spotkać. Doszło wtedy do zgrzytu. Rowecki przyszedł na spotkanie z Janem Rzepeckim, szefem Biura Informacji i Propagandy KG ZWZ (potem AK) i jeszcze kilkomu oficerami. „Słowian” reprezentował, jak napisał Korboński, „przystojny, wysoki mężczyzna o oliwkowej cerze i kruczych włosach”, który mówiąc z przejęciem i zaangażowaniem zaproponował przeprowadzenie akcji bojowej przeciwko Niemcom, ale takiej, by wyglądała na zorganizowaną przez... Ukraińców.

„Nieżyły projekt jak na zjednoczyciela Słowian!” – pomyślał Korboński, ale to Rzepecki wypalił: „Przepraszam pana, a jakiej organizacji jest pan prezesem?”.

Mężczyzna w ogóle się tym nie przejął. Co gorsza, jego entuzjazm udzielił się Roweckiemu, który zaczął mu opowiadać o AK, przedstawiać plany, w końcu zdradzać tajemnice wojskowe. Gdy się pożegnali, Rzepecki i Korboński rzucili się na szefa, pytając, dlaczego był tak rozmowny. Rowecki odparł, że skoro to oni zorganizowali spotkanie, ma prawo sądzić, iż gość był godny zaufania. Okazało się, że nie. „Ładna historia! Agent Gestapo konferował z Delegatem Rządu i Komendantem ZWZ (...) Dajmy z góry na mszę żałobną za nasze dusze” – podsumował wtopę Korboński.

Rozmówcą liderów podziemia okazał się Jerzy Mostowicz vel Weisberg vel Włodawski, agent Gestapo, który współpracował także z Abwehrą. Decyzja o jego likwidacji była tylko kwestią czasu, doszło do niej 10 lutego 1943. Mostowicz zginął, ale jego „Słowianie” nadal działali. Stery w grupie przejęła wdowa po nim Wanda Maria Hermanowska-Mostowiczowa i szybko okazało się, że z nią kontrwywiadowi AK już tak łatwo nie pójdzie. I to do niej – jak ustalił prowadzący śledztwo w sprawie wyspy Roweckiego kpt. Leszczyński – prowadził interesujący trop.

Po śmierci męża zrozpaczona kobieta poprzysięgła zemstę. Swojej przyjaciółce Franciszce Rosenberg-Manheimer, znanej w getcie piosenkarce w dniu aresztowania „Grot” oznajmiła: „Nareszcie pomściłam swego Jurka”. Czy blefowała? Agent kontrwywiadu „Stencel” zameldował, że pani Wanda „utrzymuje stały kontakt z kimś z góry 3-ech liter”. W podziemiu wiedzieli, że chodzi o ZWZ, zatem cztery miesiące po śmierci męża i ponad dwa po wyspie „Grot” – panią Wandę 9 września 1943 dosięgły kule likwidatorów podziemia. Agentka oddziału W/993, słynna Izabella Horodecka ps. „Teresa” pisała po wojnie, że wytropienie Mostowiczowej było piekielnie trudne. Ta kamuflowała się doskonale, korzystała nawet z sobowtórki. A jednak zginęła

Komentarz prof. Tomasza Szaroty Dwa powody aresztowania „Grot”



FOT. MACIEJ JAŻWIECKI /
AGENCJA WYBORCZA.PL

Aresztowanie gen. Stefana Roweckiego dla dziejów II wojny światowej i naszej okupacji było bardzo ważne. Przez wiele lat, data 30 czerwca 1943 r. tkwiła w polskiej świadomości historycznej. Jednak przypuszczam, że dziś to zapomniane wydarzenie, a ta data nie wywołuje żadnych skojarzeń.

Pisząc swoją biografię generała „Grot”, która ukazała się w 1983 r., starałem się ukazać okoliczności jego aresztowania. Nie posiadam jednak własnych ustaleń dotyczących osób, które mogły się przyczynić do dekonspiracji dowódcy AK. Na ten temat jest obszerna literatura. A jednak od dawna mam narastające przeświadczenie, że początek tragedii „Grot”, czyli jego dekonspiracja zaczęła się na długo przed 30 czerwca 1943. Przy-

puszczam nawet, że adres konspiracyjny, gdzie Rowecki spotykał się z bratem, czyli lokal na ulicy Spiskiej 14 – był Niemcom wcześniej doskonale znany. Dłaczego zatem podjęli oni decyzję o jego aresztowaniu akurat wtedy? Moim zdaniem z dwóch ważnych powodów.

Jestem pewien, że telefony Roweckiego od dawna były na podsłuchu. Niemcy właśnie tą drogą dowiedzieli się, że 1 lipca 1943 „Grot” wyjeżdża z Warszawy z kobietą, z którą wtedy żył. Wiadomo było, że nie czuł się dobrze, był przemęczony, więc postanowił wziąć urlop zdrowotny – to miał być taki „urlop z podziemia”. Niemcy uznali wtedy, że odkładanie aresztowania robi się niebezpieczne. Potem może już być za późno.

Drugi powód wydaje się ważniejszy. Chodzi o kontekst polityczny i okoliczności militarne, w jakich znalazła się wtedy III Rzesza. To już czas po klęsce pod Stalingradem. Armia Czerwona przechodzi do kontrataku i sytuacja na

froncie odwraca się. Niemcy zaczynają się cofać, inicjatywę przejmują Związek Radziecki. W pewnych kręgach politycznych III Rzeszy pojawił się pomysł, aby zmienić system okupacyjny i przeciągnąć na swoją stronę tych polskich polityków, którzy podzielają antysowieckie, antybol-szewickie i antyrosyjskie poglądy Niemców. Może uda się w ten sposób stworzyć jednolity front przeciwko Stalinowi. Niemcy mieli stuprocentową pewność, że Rowecki jest antykomunistą, kalkulowali zatem, aby zacząć z nim rozmowy na ten temat. Do tego potrzebne było jego zatrzymanie i odesłanie go do Berlina. I tak się stało.

Tyle tylko, że on na wspólną polsko-niemiecką walkę przeciwko Sowietom się nie zgodził.

Na pytanie, która kobieta rzeczywiście przyczyniła się do tego aresztowania – nie umiem odpowiedzieć. Jest książka Kunerta i Chmielarza, która mimo upływu czasu wciąż ma swoje walory. ●

ta – odnotowała z satysfakcją Horodecka – „która była zamieszana w sprawie aresztowania gen. Grot”. Ale czy na pewno?

EGZEKUCJA NA ULICY SASKIEJ

Kpt. Leszczyński nie byłby sobą, gdyby nie zaczął w to wątpić. Od początku coś mu nie pasowało. Jako znawca ludzkiej psychiki przeanalizował kalendarz zdarzeń. Przecież od śmierci męża Wandy Hermanowskiej-Mostowiczowej do wypadki „Grot” minęło sporo czasu. Zrozpaczona kobieta, w przypływie bólu i emocji, raczej dużo szybciej zadenuncjowałaby osobę, którą obwiniała. Tymczasem jej zajęło to cztery miesiące. Co przez ten czas robiła? Wypytywała znajomych o życie intymne „Grot”? Biegała za nim po mieście? Przecież nie знаła żadnego jego adresu. Mogła podpowiedzieć Gestapo jakieś tropy, ale to wszystko.

I rzeczywiście. Mimo że ostateczne wersje raportów Leszczyńskiego powstały w październiku 1943, już po miesiącu kapitan złapał ślad, który zaprowadził go do zupełnie innej Wandy – Skarżyńskiej, przed laty kurierki Piłsudskiego, potem aktorki i muzy Witkacego.

W czasie okupacji Skarżyńska wpadła w złe towarzystwo. Najpierw, co może zaskakiwać, podpadła komunistom. Gdy Niemcy aresztowali męża Stanisławy Sowińskiej, łączniczki Zygmunta Mołojca, młodszego brata Bolesława Mołojca, ówczesnego I sekretarza Komitetu Centralnego PPR, ta za zgodą politbiura, zwróciła się o pomoc właśnie do Skarżyńskiej. Co zdumiewające zarekomendowała ją łączniczce Mołojca, Maria Kosakowska, ps. „Anna”, również przedwojenna aktorka, związana jednak z AK – śmiertelnym wrogiem PPR. Krążyła fama, że Skarżyńska wyciąga ludzi nie tylko z Gestapo, ale i z obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie ostatecznie trafił mąż Sowińskiej.

Sowińska i Kosakowska poszły do Skarżyńskiej razem. Aktorka była w dziurawym paltocie i rozpadających się butach, a była zima, wyglądała, jakby przymierała głodem. Wzbudziło to zaufanie. Obiecała skontaktować je ze swoim synem Zbigniewem (Kosakowska sprawdziła go: chłopak wyszedł z Pawiaka, też wzbudzał zaufanie) oraz z niejakim Porębskim.

I teraz robi się ciekawie, bo Jerzy Porębski (pisany też Porembski) – meldunki na jego temat wręcz zasypały potem Leszczyńskiego – za obietnicę zwolnienia kogoś z Pawiaka czy Szucha brał od 2 do 6 tysięcy złotych. Mało – musiał pomyśleć Leszczyński – bo zwykle to kosztowało od 50 do 150 tysięcy, nawet bez gwarancji sukcesu. Zatem Porębski/Porembski oszukiwał.

Okazało się, że ten podający się za agenta wywiadu GL, jak i AK hochsztapler – hucznie baluje z gestapowcami. Znajomym tłumaczył, że jest kapitanem AK i robi to z „ramienia organizacji”. A teraz najgorsze.

Jeden z informatorów meldował: „Prawdopodobnie znał osobiście Grot-Roweckiego. Po pijanemu wyznał, że się bardzo spieszy do Roweckiego, ale zaraz urwał,

Korzystałem z opracowania „**General Stefan Rowecki »Grot«**” – **tropiony dowódca podziemnej armii**” wydanego przez Centralny Ośrodek Szkolenia i Edukacji im. gen. dyw. Stefana Roweckiego „Grot” Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Emów 2019.

Dziękuję **Mateuszowi Dallali** za pomoc przy pisaniu tekstu.

jakby się opamiętał. Był kochankiem Marii Szyfersowej, żony oficera Gestapo, inspektora nad wszystkimi obozami karnymi”.

Sowińskiej oczywiście nie pomógł. Ale zadarł z niewłaściwą osobą. Porębski, jego kolejna kochanka oraz syn Wandy – Zbigniew Skarżyński zginęli na ul. Saskiej 91. Wyrok wykonała Spec Grupa Gwardii Ludowej im. Ludwika Waryńskiego. Adres ich tajnego, pilnie strzeżonego lokalu przekazał cynglom komuny... wywiad AK.

SIŁA I TEMPERAMENT

22 czerwca 1943 r. świat dla Wandy Skarżyńskiej się skończył. Po śmierci syna życie przestało mieć sens. Kolejny agent wywiadu AK alarmował:

„Do mojej informatorki przyszła matka Skarżyńskiego, nieprzytomna ze wściekłości i pragnienia zemsty. Ze słów jej wynikało, że wszyscy zbrodniarze będą ukarani (...) że zna ona całe kierownictwo nie tylko sama, ale i z papierów, notatek i adresów zostawionych przez Porębskiego i syna, które ona zabrała. Ze zamachu tego kazał dokonać »ten skurwysyn Rowecki«, a wykonała jego żydowska kochanica. Później mówiła, że Rowecki z osobistej zemsty, gdyż organizacja wcale wyroku nie wydała, wynajął żydowskich bachorów do wykonania zabójstwa, którzy wchodząc do mieszkania, powiedzieli, że przyszli wykonać wyrok z ramienia ZWZ (...) Ona wszystkich po kolei wykończy, wie, że sama zginie, lecz nie ma nic do stracenia”.

I taka jest ostateczna konkluzja raportów Stanisława Leszczyńskiego.

Za wyspę komendanta AK, odpowiadała zrozpaczona matka. Ponieważ oprócz „Grot”, znała także Elżbietę Prądzyską-Zboińską, jego zaufaną łączniczkę – zaproponowała Gestapo, by podsłuchiwać jej rozmowy telefoniczne.

A to właśnie przez telefon – jakiś męski głos – poprosił „Elę”, by przyniosła pieniądze na stację kolejki podmiejskiej 30 czerwca 1943 r. rano. I tak się stało. Wystarczyło tego mężczyzny tylko zgarnąć.

O jakiej „żydowskiej kochanicy” mówiła Skarżyńska i o jakie „żydowskie bachory” jej chodziło – nikt już tego nie dociekał.

Dziś wersja o sprawstwie Wandy Skarżyńskiej nie obowiązuje. Wyparła ją inna teoria, którą po kolejnym wnikliwym śledztwie – 40 lat po Leszczyńskim – ogłosili historycy Andrzej Chmielarz i Andrzej Krzysztof Kunert. W 1983 opublikowali książkę „Spiska 14. Aresztowanie Generała „Grot” – Stefana Roweckiego”. To jedna z najlepszych analiz historycznych, jakie wyszły spod pióra polskich historyków.

Teza główna jest taka: „Grot” został rozpoznany i wydany Niemcom przez konfidenta Eugeniusza Świerczewskiego. W specjalnej kartotece agentów Gestapo figurował jako „V-100”. Świerczewski znał „Grot” sprzed wojny, w czasie okupacji kilkakrotnie rozmawiał z nim na ulicy. 30 czerwca miał go przypadkowo zauważyć na

Powisłu, potem śledzić aż na Ochotę, a następnie zadzwonić na Szucha z elektryzującym newsem. Nigdy się do tej zdrady się nie przyznał. Kontrwywiad AK zlikwidował go 20 czerwca 1944 za inne przestępstwa, ale jego winę potwierdził po wojnie inny agent Gestapo – jego były szwagier Ludwik Kalkstein.

Pozytywnie zweryfikowała go także sekretarka Gestapo – Irena Chmielewiczowa, sądzona za współpracę z wrogiem w powojennym procesie.

I tu dotychczasowa wiedza o aresztowaniu „Grotą” się kończy.

A jednak warto zwrócić uwagę na jeden pominięty szczegół w zeznaniach Chmielewiczowej. „Sekretarka Piekła”, jak ją po wojnie nazwano, zwróciła uwagę, że Świerczewski przed wojną był znanym krytykiem teatralnym. Zatem mógł wiedzieć, że aktorka Skarżyńska w stanie ekscytacji może ujawnić „siłę i temperament”, jak chwaliła ją jedna z przedwojennych recenzji teatralnych. Czy po jej tragedii Świerczewski odnowił z nią kontakty, a te doprowadziły do największej wyspy podziemia? Czy już razem mogli wytropić i nadać „Grotą” Gestapo?

ZEMSTA ŻŁOTOWŁOSEJ RYWKI

Historycy nie korzystają często z tego materiału. Raz, że to aż 40 tomów, a każdy ma kilkaset stron, dwa, że ich bohater i autor, to negatywna postać. To, co po wojnie opowiadał, klóci się z heroicznym i niezłomnym obrazem podziemia.

Adwokat Tadeusz Myśliński był wiceszefem wywiadu Delegatury Rządu na Kraj, czyli kimś w rodzaju zastępcy komendanta policji politycznej podziemnego rządu. Jego komórka o kryptonimie „Stożek” konkurowała z różnymi formacjami kontrwywiadu AK, ale w odróżnieniu od większości kolegów z pionu wojskowego, dał się złapać i złamać. Stał się najbardziej wylewnym agentem radcy kryminalnego Alfreda Spilkera. Zatrzymany w maju 1943, przesiedział na Szucha do jesieni w komfortowych warunkach. Widział tam „Grotą”. Po wojnie znowu trafił do więzienia i wobec stalinowskich śledczych również był wylewny. Jego osiemsetstronicowy elaborat o służbie – napisany na potrzeby MBP – zdumiewa ilością szczegółów. Dotyczy również Roweckiego.

„Niemcy pilnie prowadzą jego rozpracowywanie i posiadają o nim dokładne dane, dostarczane przez jakąś kobietę i na podstawie tych danych szykują się do aresztowania (o ile dobrze pamiętam kobieta ta, miała być żoną jakiegoś oficera i pałała do Roweckiego nienawiścią z powodów osobistych – nie mogę odtworzyć jakich – i wydała go Niemcom; wykonanie wyroku na tej kobiecie miało nastąpić w pewien czas po aresztowaniu Roweckiego). Powyższe informacje miały być przekazane II-ce [chodzi o wywiad i kontrwywiad], ale jakoby sam Rowecki je zlekceważył i nie zastosował doradzanej mu ostrożności”.

Na pierwszy rzut oka to potwierdzenie wersji o pierwszej podejrzanej – Wandzie Mostowicz, która chciała rewanzu na Roweckim z przyczyn osobistych, a potem sama została zlikwidowana.

Zastanawia inny krótki fragment nieco wyżej: „W początkach mojego pobytu na Gestapo, widywałem młodą dziewczynkę, niskiego wzrostu, z blond włosami splecionymi w dwa długie warkocze, sięgające do samej ziemi. O dziewczynce tej mówił mi Schulz [Gustav, tłumacz i wywiadowca warszawskiego Gestapo – MW], że choć wygląda tak niewinnie, to z rozkazu PPR kilkakrotnie strzelała do Niemców i złapano ją z bronią w rękę. Później dziewczyna ta znikła”.

Być może to klucz do zagadki. Opis dotyczy bowiem Rywki Tajtelbaum, znanej w GL jako Wanda Witwicka. Ta drobna dziewczyna rzeczywiście nosiła dwa długie warkocze i był to jej znak rozpoznawczy. Rywka była głównym likwidatorem w Spec-Grupie im. Waryńskiego i to ona na dziewięć dni przed aresztowaniem „Grotą” zabiła z zimną krwią Porębskiego i Skarżyńskiego-juniora. Potem została aresztowana i była przesłuchiwana na Szucha. Opis jej brutalnej akcji na Saskiej znajduje się we wspomnieniach jej towarzyszy.

To, że Myśliński powiązał aresztowanie „Grotą”, likwidację syna Skarżyńskiej, potem jej zemstę z osobą „żydowskiego bachora”, czyli Rywki Tajtelbaum – nie może być przypadkiem. Rywka rzeczywiście weszła do pilnie strzeżonego lokalu zdrajcy jako mała zaplakana dziewczynka. Co to wszystko może oznaczać?

Właśnie to, że stary śledczy wyga Leszczyński nie mylił się.

Wanda Skarżyńska po wojnie nie wróciła do aktorstwa, zmarła w 1967 r. ●

► „Wybór Piasta na władcę” – XVIII-wieczny miedzioryt według rysunku Franciszka Smuglewicza

FOT. ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ



PIERWSZY POLSKI ZAMACH STANU

Jak Piastowie zdobyli władzę? Wiele wskazuje na to, że siłą, wykorzystując słabość i nieudolność rządzącego dotychczas władcy.

Przemysław Urbańczyk

Początki dawnych państw są tajemnicze, gdyż nie dysponujemy obiektywnymi relacjami lecz raczej propagandowo zmanipulowanymi legendami dynastycznymi. Ukrywają one prawdziwe, często gwałtowne, okoliczności przejęcia władzy przez ród, który później zapewnił sobie monopol sprawowania rządów. Dzieje zamachów stanu są równie długie, jak historia państw, ponieważ w organizacjach scentralizowanych nigdy nie brakuje chętnych do siłowego przejęcia władzy.

Do długiej listy nagłych zmian na szczytach władzy można dodać okoliczności jej przejęcia przez ród, który nazywamy Piastami. Widoczny w tym zdaniu tryb warunkowy wynika ze skromności dostępnych źródeł. Prawdę mówiąc mamy tylko jeden stosowny tekst zawarty w naszej pierwszej „Kronice” napisanej na początku XII wieku przez tajemniczego autora, którego wciąż nazywamy Anonimem Gallem. W przeciwieństwie do naszych późniejszych kronikarzy Gall oparł się pokusie ozdobienia „pradziejów” dynastii piastowskiej wątkami fantastycznymi, w czym przodował biskup Wincenty zwany Kadłubkiem, który w swojej „Kronice” napisanej na przełomie XII-XIII wieku dał nieskrępowany upust swojej wyobraźni.

IMPREZA U ORACZA PIASTA

Gall przedstawił rzecz lakonicznie, co przydaje jego wersji wiarygodności. Powołując się na informacje, które „utrzymała wierna pamięć” jego rozmówców, ograniczył się głównie do wątku genealogicznego, w którym trochę

rozwinął tylko okoliczności pozbawienia władzy księcia Popiela. W klasycznym tłumaczeniu Romana Grodeckiego z 1923 roku brzmi to następująco:

„Był mianowicie w mieście Gnieźnie... książę imieniem Popiel, mający dwóch synów; przygotował on zwyczajem pogańskim wielką ucztę na ich postrzyżyny, na którą zaprosił bardzo wielu swych wielmożów i przyjaciół. Zdarzyło się zaś z tajemnej woli Boga, że przybyli tam dwaj goście, którzy nie tylko nie zostali zaproszeni na ucztę, lecz nawet odpędzeni w krzywdzący sposób od wejścia do miasta. A oni oburzeni nieludzkością owych mieszczan skierowali się od razu na przedmieście, gdzie trafili zupełnie przypadkiem przed domek oracza wspomnianego księcia, który urządził ucztę dla synów. Ów biedak pełen współczucia zaprosił tych przybyszów do swej chatki...”.

„Piast, syn Chościska, i żona jego imieniem Rzepka; oboje oni z całego serca starali się wedle możliwości zaspokoić potrzeby gości... Postanowił bowiem ów ubogi wieśniak w czasie, gdy książę jego pan będzie urządził ucztę dla synów... przyrzadzić nieco lepszego jedzenia na postrzyżyny swego malca i zaprosić paru równie ubogich przyjaciół nie na ucztę, lecz raczej na skromną zakąskę; toteż karmił prosiaka, którego przeznaczył na ową potrzebę... Goście każą tedy spokojnie Piastowi nalewać piwo, bo dobrze wiedzieli, że przez picie piwa nie ubędzie go, lecz przybędzie. I tak ciągle miało przybywać piwa, aż napelniono nim wszystkie wypożyczone naczynia, a natomiast ci, co ucztowali u księcia, znaleźli [swoje naczynia] puste. Polecają też zabić wspomnianego prosiaka, którego mięsem – rzecz nie do wiary – napęlić miano dziesięć naczyni... za radą i zachętą gości pan ich książę i jego



wszyscy współbiesiadnicy zaproszeni zostają przez kmiotka Piasta...”.

„Po tym wszystkim młody Siemowit, syn Piasta Chościskowica, wzrastał w siły i lata i z dnia na dzień postępował ród w zacności do tego stopnia, że król królów i książę książąt [czyli Pan Bóg] za powszechną zgodą ustanowił go księciem Polski, a Popiela wraz z potomstwem doszczętnie usunął z królestwa... Siemowit tedy, osiągnąwszy godność książęcą, młodość swą spędzał nie na rozkoszach i płochych rozrywkach, lecz oddając się wytrwałej pracy i służbie rycerskiej zdobył sobie rozgłos zacności i szlachetną sławę, a granice swego księstwa rozszerzył dalej, niż ktokolwiek przed nim. Po jego zgonie na jego miejsce wstąpił syn jego, Lestek, który czynami rycerskimi dorównał ojcu w zacności i odwadze. Po śmierci Lestka nastąpił Siemomysł, jego syn, który pamięć przodków potroił zarówno urodzeniem, jak godnością”.

„Ten zaś Siemomysł spłodził wielkiego i sławnego Mieszka...”.

„Mieszko objąwszy księstwo zaczął dawać dowody zdolności umysłu i sił cielesnych i coraz częściej napastować ludy [sąsiednie] dookoła... [aż] wyrzekł się błędów pogaństwa i przeszedł na łono matki-Kościola”.

BAJKA TO CZY PRAWDA?

Historycy do dzisiaj spierają się o wiarygodność tego XII-wiecznego przekazu, który zawiera wszak wątki jawnie fantastyczne. Brak w nim też jakiegokolwiek chronologii kalendarzowej. Sprawia to, że przeważała wstrzeźliwość interpretacyjna, która każe ograniczyć się do akceptacji samych imion przodków z pięciu generacji poprzedzających Mieszka I: Chościsko, Piast i Rzepka, Siemowit, Lestek i Siemomysł. Jednak nawet ich nie można traktować z pełnym zaufaniem, gdyż żadnego z tych imion nie potwierdza żadne inne źródło.

Więcej optymizmu wykazują badacze, którzy szukają sposobów, aby wycisnąć z tego lakonicznego tekstu trochę wartych uwagi wiadomości. Chodzi im nie tyle o konkretne fakty i postacie lecz o wątki fabularne, które wykazują podobieństwo do opowieści krążących po średniowiecznej Europie. Wysublimowana analiza uniwersalnych motywów narracyjnych zdaje się im wskazywać na wykorzystanie przez Galla nie faktów, lecz elementów „indoeuropejskiej spuścizny duchowej”.

Uważam, że z Gallowej opowieści o początkach polskiej dynastii monarszej można wyciągnąć też inne interesujące informacje. Wymaga to odwołania się do doświadczeń antropologii historycznej, wyjaśniającej mechanizmy sprawowania i zmiany władzy w społeczeństwach znajdujących się w stadium przedpaństwowym. Z takiego punktu widzenia fabularna lakoniczność Galla, która tak bardzo przeszkadza historykom może się okazać zaletą, gdyż daje nadzieję, że sam zrab przekazu poddano tylko niewielkim manipulacjom.

Najpierw trzeba jednak ten tekst oczyścić z „ozdobników” wprowadzonych do opowieści w celu nadania jej waloru historyczności. Z antropologicznego punktu widzenia nie jest bowiem istotne, jak brzmiały imiona bohaterów tej historii, ani kto i co jadł oraz kto i co powiedział. Należy odrzucić te detale, które są barwnymi lecz nieistotnymi szczegółami służącymi podkolorowaniu opowieści. Usunięcie tego „szumu informacyjnego” pozwala nam dotrzeć do pierwotnego przekazu, czyli do podstawowych elementów fabuły.

LEGENDA PIASTOWSKA

Poddany takiemu zabiegowi tekst Galla można odczytać następująco: kiedy jeszcze „księstwo polskie nie było tak wielkie” jego władca, nie potrafił (lub nie chciał) „zaspokoić potrzeby gości”, które zaspokoili zwykły rolnik. Wobec tego również „książę i jego wszyscy współbiesiadnicy zaproszeni zostają przez kmiotka”. To sprawia, że wkrótce jego syna „za powszechną zgodą” ustanowiono księciem Polski, rów-



• Dwaj tajemniczy goście przed chatą oracza Piasta i jego żony Rzepki, gdzie trwają postrzyżyny ich syna Siemowita. Paulin Gardzielewski zatytułował swój obraz z około 1900 roku „Aniołowie u Piasta” FOT. ZBIORY MUZEUM NARODOWEGO W POZNANIU

nocześnie usuwając poprzedniego władcę „wraz z potomstwem”. Nowy książę militarnie „granice swego księstwa rozszerzył”. Nie mniejsze zasługi mieli jego syn i wnuk, którego syn Mieszko objąwszy księstwo również zaczął energicznie „napastować ludy dookoła” i „w końcu zażądał w małżeństwo jednej bardzo dobrej chrześcijanki z Czech” (Dąbrówki) i za jej sprawą „wyrzekł się błędów pogaństwa”.

Tak spreparowana „legenda piastowska” ukazuje poprawny proces powstania wczesnośredniowiecznego państwa dynastycznego. Przejęcie zwierzchniej władzy przez człowieka wybranego przez „lud” niezadowolony z poprzedniego przywódcy, to typowy scenariusz roz-wiązywania kryzysu władzy w organizacjach wodzowskich, a i dalszy rozwój wydarzeń jest poprawny z perspektywy doświadczeń antropologii historycznej.

Tak zredukowana relacja Anonima oferuje więc poprawny opis przejmowania przywództwa przez ród, który dzięki swoim sukcesom potrafił utrwalić i zmonopolizować władzę oraz rozszerzyć swoje terytorium. Dominację tej dynastii Mieszko I ostatecznie przypieczętował zmianą religii, uzyskując ideologiczną legitymację jedynowładztwa i akceptację geopolityczną. Zapewniło to Piastom wyłączność sprawowania rządów.

ANI SPISEK, ANI REWOLUCJA

W organizacjach wodzowskich decydujące w osiągnięciu dominującej pozycji były osobiste cechy pretendentów do przywództwa: charyzma, zdolności organizacyjne, determinacja w osiągnięciu zamierzonych celów, umiejętność dowodzenia wojskiem oraz zwykłe szczęście. Ich podstawowym obowiązkiem było zapewnianie pomyślności ludziom, którzy powierzyli im władzę zwierzchnią. Ich przywództwo miało status warunkowy więc wysiłek kierowali nie na powiększanie własnego majątku, lecz na zaspokajanie oczekiwań swych zwolenników, których dzisiaj nazwalibyśmy „wyborcami”.

Niezbędnym elementem tej strategii była szczodrość, która przejawiała się, nie tylko w bogatych darach, ale i w wystawnych ucztach. Wzmiankano to poczęcie wspólnoty oraz regulowało wzajemne relacje lojalności i protekcji. Utrzymanie odpowiedniego poparcia społecznego, a więc i dominującej pozycji politycznej wymagało, nie gromadzenia własnych zasobów, lecz ich rozdawania w celu utrzymania władzy. Niemożność zaspokojenia oczekiwań szybko pozbawiała bowiem wodza niezbędnego poparcia, co groziło przejściem jego pozycji przez bardziej obiecującego pretendenta wybranego spośród zawsze obecnych konkurentów.

Okoliczności przejścia władzy przez ród Piasta trudno jednoznacznie sklasyfikować w politologicznych kategoriach „przewrotu”, czy „zamachu stanu”. Nastąpiła wprawdzie nagła wymiana rządzącej elity – Siemowit zastąpił Popiela, ale nie użyto przy tym przemocy, gdyż decyzję podjął „lud” niezadowolony z dotych-

czasowego władcy. Nie można też uznać tego za „rewolucję”, bo wymiana przywództwa nie była skutkiem wybuchu masowego niezadowolenia społecznego. Nie była to też „rebelia” dająca gwałtowne ujście niezadowoleniu społecznemu, ale nie pociągająca za sobą istotnych zmian. Nie było też „spisku” ukrytych sił.

KIEDY WŁADCA JEST DO NICZEGO

Specyfiką ustroju wodzowskiego było bowiem oparcie autorytetu władzy zwierzchniej na społecznym przyzwoleniu. Utrzymanie przywództwa zależało od umiejętności zaspokojenia oczekiwań ludzi, którzy warunkowo przyznawali komuś zwierzchni status. Zawiedzenie ich nadziei oznaczało z reguły wypowiedzenie poparcia politycznego. Skutkiem tego mógł być wybór nowego lidera spośród lokalnych konkurentów, albo „import” wodza rokującego nadzieje na zapewnienie pomyślności.

Mechanizmy społecznej kontroli nad centrum politycznym były wystarczająco skuteczne, aby uniknąć użycia przemocy, gdyż to wiec dokonywał oceny skuteczności przywództwa. „Zamach stanu” miał w takim ustroju uzasadnienie prawne w postaci tradycyjnego prawa „odporu”, czyli sprzeciwu wobec lidera, który nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Nie powodowało to naruszenia norm społecznych, bo wymiana przywództwa, choć nagła, następowała przecież zgodnie z akceptowanym mechanizmem ustalania hierarchii politycznej.

Drastycznym przejawem utraty zdolności przywódczych było złamanie obowiązku szczodrości i gościnności, który znajdował publiczny wyraz podczas zbiorowych ceremonii, którym powinny towarzyszyć wystawne uczy. Niechęć, świadcząca o skąpstwie lub nawet faktyczny brak środków do należytego ugoszczenia uczestników ważnych uroczystości były wystarczającymi powodami do otwartego zakwestionowania zdolności przywódczych jawnego „nieudacznika”, którego przywództwo utraciło legitymację.

Sposobem rozwiązywania takiej sytuacji kryzysowej była wymiana lidera. To właśnie opisał Anonim Gall, chociaż nie rozumiał znanych nam dzisiaj mechanizmów ustalania politycznych relacji władzy w społeczeństwach przedpaństwowych. Nasz pierwszy kronikarz skupił się na drugorzędnych, jeśli wręcz nie legendarnych elementach opowieści, które miały ją osadzić w czasie – cztery generacje przed Mieszkem I, w przestrzeni, czyli w Gnieźnie i w realiach dynastycznych, stąd imiona głównych protagonistów.

OFERTA NIE DO ODRZUCENIA

Nie zdając sobie sprawy z podtekstu opowiadanej historii, starał się ją objaśnić chrześcijańskiemu czytelnikowi, tłumacząc nadprzyrodzoną interwencją newralgiczny zwrot akcji,

czyli niespodziewany dostatek jadła i napoju u biednego kmiecia Piasta, który mimo skromności swoich zasobów przestrzegał należnych rytuałów (uczta postrzyżynowa) i pamiętał o obowiązku gościnności. W ten sposób Gall wykazał, że dynastia piastowska zawdzięczała swoją karierę polityczną wyłącznie znakomitym przymiotom swojego protoplasty, które zostały dostrzeżone i nagrodzone politycznie.

Może chodziło o ukrycie tego, że Piast, który wcale nie był biedakiem, po prostu skorzystał z chwilowych kłopotów aktualnego przywódcy, księcia Popiela, aby pokazać swoje predyspozycje do przejęcia jego zadań? Dysponując odpowiednią ilością jadła i napitku ugościł wszystkich, którzy przybyli na ważną ceremonię obrzędu przejścia, czyli postrzyżyn. Zapraszając Popiela na swoją ucztę rzucił mu otwarte wyzwanie polityczne.

Ten zaś, przyjmując to zaproszenie przyznał się do utraty zdolności przywódczych. Jako gość stawiał się bowiem w relacji zależności w stosunku do gospodarza, który miał prawo zażądać rewanżu w postaci konkretnej pomocy lub poparcia politycznego. Popiel, który w krótkim czasie nie zdołał zawiązką spłacić takiego długu i dowieść swych zalet przywódczych, stracił poparcie polityczne, czego naturalną konsekwencją było odebranie mu władzy.

Wtedy „za powszechną zgodą” społeczne nadzieje złożono w ręce Piastowego syna Siemowita, jako członka rodu, który przejął zobowiązania centrum politycznego. Obalony Popiel, który widocznie nie chciał uznać swojej porażki i zaakceptować nowego przywódcy miał szansę, aby odejść „wraz z potomstwem”, ale nie skorzystał z tej oferty i został zabity, co ukryto później w fantastycznym podaniu o żarłocznych myszach.

PIASTOWIE I GOSPODARKA WOJENNA

Próbując uniknąć losu swego poprzednika, Siemowit aktywnie pozyskiwał środki do finansowania swojej pozycji, atakując sąsiadów, których sobie podporządkowywał, powiększając swoje zaplecze gospodarcze. Strategię „gospodarki wojennej” kontynuowali jego następcy. Jej skuteczność zadecydowała o trwałym sukcesie potomków Piasta, którzy zmonopolizowali przywództwo, ustanawiając dynastię monarszą. Ich potomków uznano za „przyrodzonych panów królestwa”, bo ich rządy gwarantowały pomyślność podporządkowanej im populacji – oczywiście nie całej, tylko wspierającej ich elicie arystokratycznej, która miała swój udział w tych sukcesach.

Wydaje się więc, że odarty z ozdobników podstawowy zrab „legendy piastowskiej” zapisanej przez Anonima Galla, przypadkiem zachował prawdopodobny obraz wydarzeń, które towarzyszyły przejściu przez dynastię piastowską zwierzchniej władzy nad Wielkopolską. W tej pierwszej wersji polskich pradziejów odpowiedzialność za to została złożona w ręce Boga, który posłużył się człowiekiem biednym ale uczciwym. Miało to legitymizować, albo przynajmniej ukryć prawdziwe okoliczności faktycznego „zamachu stanu”, którego wspomnienie zostało odpowiednio zmanipulowane przez piastowską tradycję dworską przekazaną Gallowi do spisania.

Taka analiza „legendy piastowskiej” pozwala ujawnić uniwersalne mechanizmy walki politycznej, które przecież obserwujemy również dzisiaj. Zabieganiu o władzę lub jej utrzymaniu, towarzyszy wszak obiecywanie „wszystkim wszystkiego”, ale także utrata zaufania do tych, którzy nie wywiązali się z zobowiązań. Ważna różnica polega na tym, że dzisiejsi przegrani politycy nie płacą głową za swoje porażki. ●



Pod koniec maja nakładem Wydawnictwa Naukowego PWN ukazał się drugi tom monografii „**Korzenie Polski**” prof. Przemysława Urbańczyka.

PO PIERWSZE, AMERYKA!



KUP TERAZ



W sprzedaży

140
stron

Do kupienia w punktach sprzedaży prasy
oraz na sklep.polityka.pl,
gdzie dostępne jest także **wydanie audio**.
Podkast POLITYKA o historii
– polityka.pl/podkasty
Newsletter historyczny
– polityka.pl/newslettery

Na sklep.polityka.pl
znajdziesz ponad
60 tytułów z serii
Pomocnik Historyczny
m.in.:



weekendówka

ĆWIERĆ TYSIĄCA
LAT MINĘŁO

Dlatego my, przedstawiciele Stanów Zjednoczonych Ameryki zebrani na Kongresie Ogólnym, odwołując się do Najwyższego Sędziego Świata, uroczystie ogłaszamy i oświadczamy w imieniu wszystkich ludzi dobrej woli tych Kolonii, że połączone Kolonie są i mają słuszne prawo być wolnymi i niepodległymi państwami; że zwolnione są one z wszelkich zobowiązań w stosunku do Korony Brytyjskiej i że wszelkie powiązania polityczne między nami a państwem Wielkiej Brytanii są i powinny być całkowicie zniesione” (tekst i tłum. domena publiczna)”

- ogłosiło 4 lipca 1776 roku 13 kolonii brytyjskich w Ameryce Północnej. Oznaczało to, że nie stanowią już własności brytyjskiego króla (był nim wówczas Jerzy III).

Tak narodziły się Stany Zjednoczone. Jeszcze nie oficjalnie jako państwo federacyjne, bo na razie oznaczało to tylko wypowiedzenie władzy króla i zadeklarowanie, że każda z kolonii jest wolna, ale jako wspólnota polityczna walcząca o niepodległość (konfederacja określana Stanami Zjednoczonymi Ameryki powołana została w tzw. Artykułach Konfederacji z 1781 r.).

Autorami Deklaracji Niepodległości byli członkowie tzw. Komitetu Pięciu: Thomas Jefferson (to on niemal w całości spisał tekst), John Adams, Benjamin Franklin, Robert R. Livingston i Roger Sherman, których określa się ojcami-założycielami.

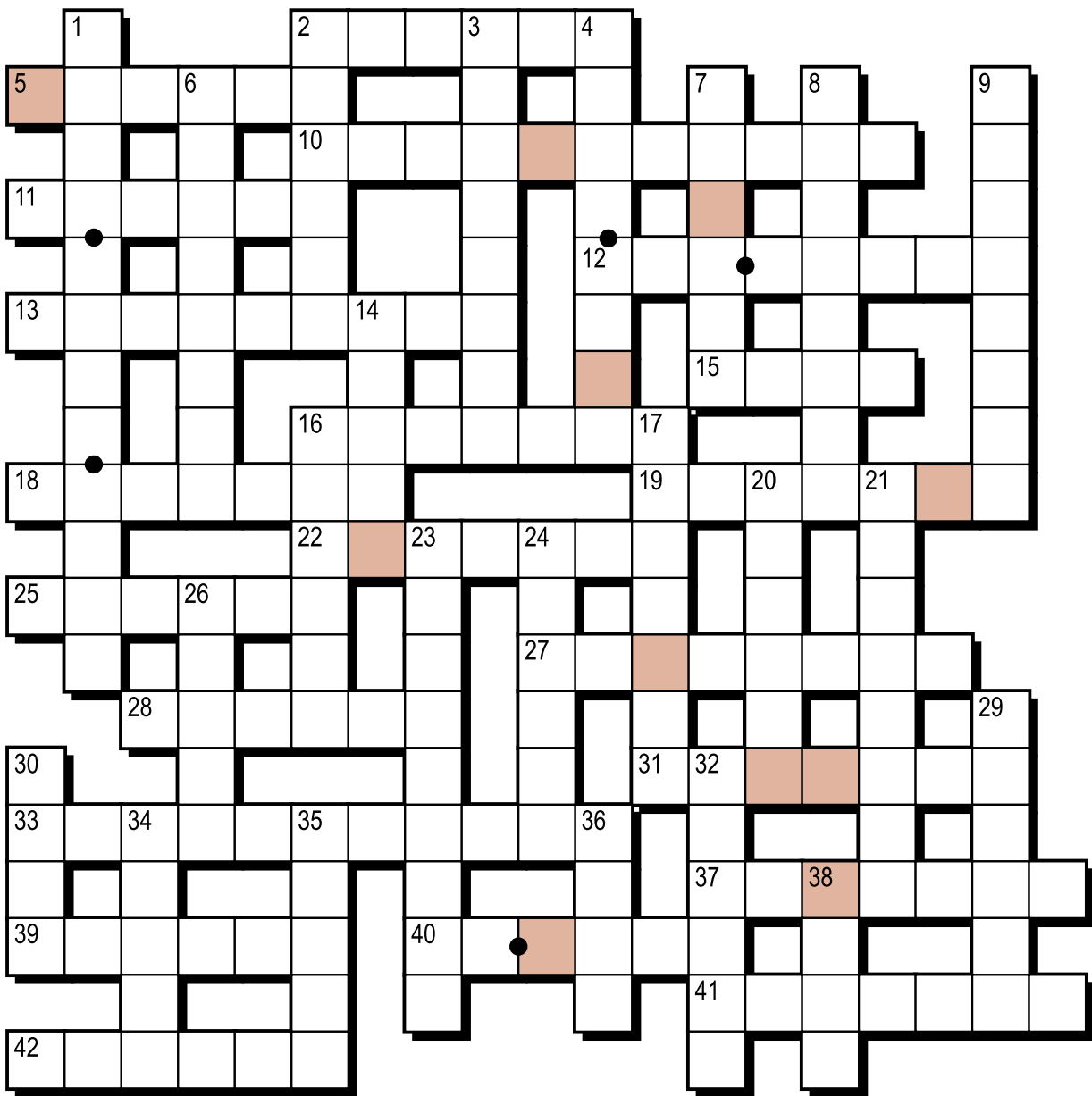
Najważniejszą częścią dokumentu była „Rezolucja niepodległościowa” (to z niej właśnie cytata), która de facto przyjęta została przez Kongres Kontynentalny dwa dni wcześniej, 2 lipca. Co ciekawe, „za” zagłosowało tylko dwanaście kolonii. Od głosu wstrzymał się Nowy Jork, ale nie dlatego, że miał coś przeciwko. Po prostu jego delegaci nie dostali jeszcze odpowiednich instrukcji. Wszelkie formalne braki uzupełnili kilka dni później.

Oryginał Deklaracji, przepisany elegancko na pergamin przez Timothy’ego Matlacka, asystenta sekretarza Kongresu (był z zawodu... piwowarem, ale sławny był z pięknego charakteru piśma), znajduje się dziś w Archiwum Narodowym w Waszyngtonie. Można ją tam oglądać, wystawioną obok ,obok oryginałów Konstytucji oraz Karty Praw.

Deklaracja została też wydrukowana w nocy z 4 na 5 lipca w ok. 200 egzemplarzach przez Johna Dunlapa, filadelfijczyka, oficjalnego drukarza Kongresu, by można było ją jak najszybciej rozesłać po kraju. Do naszych czasów przetrwało 26 takich kopii.

Z okazji bardzo okrągłej, 250 rocznicy podpisania Deklaracji i de facto niepodległości Stanów Zjednoczonych, nie mamy zatem wyjścia i dzisiajszą „Weekendówkę” musimy poświęcić Ameryce. ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



AMERYKAŃSKA
Litery w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

- Poziomo:**
2) zamaskowany obrońca mieszkańców Gotham City
5) właściciel gospodarstwa rolnego
10) park narodowy słynący gejerami
11) ... Wolności, dar od narodu francuskiego
12) 46. prezydent USA
13) z Piątą Aleją, SoHo, Broadwayem i Union Square (część 4 pionowo)
15) ... Turner, babcia rocka
16) tytuł nieukończonej powieści Franza Kafki
18) John, dzielny stróż prawa z filmu „Szkłana pułapka”

- 19)** Owalny – w Białym Domu
22) Fred ... Ginger Rogers, niezapomniany duet taneczno-aktorski
25) imię Spielberga, ikony hollywoodzkiej reżyserii
27) James, gitarzysta i wokalista zespołu Metallica
28) Thomas Alva, uważany za wynalazcę żarówki
31) stolica stanu Maine
33) ameryk
37) ... na wieże World Trade Center i Pentagon, miały miejsce 11 września 2001 r.
39) stan z Las Vegas i Reno
40) teksańskie miasto nad rzeką Rio Grande
41) Oscar, Grammy lub Pulitzer
42) niejedno w Atlantic City, Las Vegas

- Pionowo:**
1) stolica stanu Utah, gospodarz zimowej olimpiady w 2002 r.
2) Kobe (zm. 2020), amerykański koszykarz
3) i pucybut może nim zostać (american dream)
4) miasto nazywane Wielkim Jabłkiem
6) Margaret, autorka powieści „Przemięto z wiatrem”
7) Wall ..., z licznymi instytucjami finansowymi i siedzibą giełdy papierów wartościowych
8) Czejenki lub Szoszonki
9) Kurt, napisał „Śniadanie mistrzów”
14) ... Square, plac na skrzyżowaniu Broadwayu i Siódmej Alei
16) niezbędny na pizzy hawajskiej
17) Dana Scully, ... FBI z serialu „Z Archiwum X”

- 20)** amerykański koncert lotniczy i zbrojeniowy
21) T.S. Eliot, William Faulkner, Martin Luther King lub Barack Obama
23) stan z miastami Memphis i Nashville
24) smartfon firmy Apple
26) Lord ..., postać z „Gwiezdnych wojen”
29) Dzikie ..., tło akcji westernów
30) US ..., turniej tenisowy zaliczany do Wielkiego Szlema
32) profesor Harvardu, Yale
34) imię króla rock and rolla
35) „Moje własne ...”, film z Riverem Phoenixem i Keanu Reevesem
36) USA – ... nieograniczonych możliwości
38) skrótowiec – hasło polityczne kojarzone z Donaldem Trumpem

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 211 z 27.06:

Poziomo: 4) literaci 6) herbatka 8) Gapsa 9) Finowie 12) Buka 13) Panna Migotka 14) Paszczak 16) Filifionki 19) Nini 20) Too-tiki 24) troll 25) bryła 26) Mimbla 29) zima 31) Emma 32) szal 34) Hatifnatowie 35) rodzina 36) Irena 37) Tove.

Pionowo: 1) kapelusz 2) Helsinki 3) pamiątniki 4) Lodowa Pani 5) Topik 7) Mała Mi 10) bajki 11) ogon 15) zbiorek 16) fantazja 17) lato 18) opowiadania 21) tuba 22) kraje 23) Włóczyki 27) Tampere 28) Dolina 30) amator 33) Toft.

Hasto: PIOSENKA MUMINKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34426992



CODZIENNIE w Wyborczej

Krzyżówka
Sudoku
Zakreślanka
Skojarzenia



Rusz głową!
Nie nudź się w domu!



wysokie**obcasy**

wyborcza

10 / Psychologia

Czy to jeszcze
miłość?

25 / Zdrowie

Hipermobilność
to nie talent

HUMA ABEDIN

Nie da się przebić *sufitu* z cegły

— rozmowa Joanny Wróżyńskiej

Kompetentna, ale czy lubiana?

**JOANNA
WRÓŻYŃSKA**



To, co Hillary Clinton osiągnęła w 2016 r., było historycznym wydarzeniem. Dokonała czegoś, czego do dziś nie udało się powtórzyć żadnej kobiecie – podkreślała Huma Abedin, wieloletnia doradczyni i jedna z najbliższych współpracownic Clinton, kiedy rozmawialiśmy w maju.

Dość dobrze pamiętam tamte amerykańskie wybory i wtorek 8 listopada, kiedy szanse Hillary Clinton na historyczną prezydenturę zostały ostatecznie pogrzebane. Nie była idealną kandydatką – to oczywiste, ale bez cienia wątpliwości była lepiej przygotowana do pełnienia funkcji prezydenta Stanów Zjednoczonych niż Donald Trump.

Przypadek Hillary Clinton i wyborów z 2016 r. pokazuje bardzo wyraźnie to, co często podkreśla też wiele rozmówczyń „Wysokich Obcasów” – kobiety i mężczyźni na stanowiskach przywódczych są mierzeni zupełnie inną miarą. Jest taka pamiętna scena w świetnym skądinąd serialu „Dyplomata”, w której grająca amerykańską wiceprezydentkę Allison Janney tłumaczy ambasadorce Stanów Zjednoczonych w Wielkiej Brytanii, że to, jak wygląda, jest równie ważne jak to, co mówi. „Ta scena była wynikiem moich rozmów z ludźmi z otoczenia Hillary Clinton, którzy próbowali znaleźć sposób na zaprezentowanie amerykańskiej opinii publicznej kandydatki na najwyższy urząd w państwie. Ich wyzwanie polegało na sprawieniu, by inteligentna, doświadczona kobieta stała się powszechnie »akceptowalna«” – opowiadała mi Debra Cahn, twórczyni „Dyplomaty”. Nie wystarczyły jej kompetencje, musiały jeszcze być „lubiane”.

Z tym murem zderzyły się też dwie popularne, prawdziwe, nie serialowe premierki – Sanna Marin w Finlandii i Jacinda Ardern w Nowej Zelandii. Obie sprawowały władzę w czasie pandemii, mierząc się z niespotykaną i nadzwyczaj trudną sytuacją. Marin wprowadziła swój kraj do NATO, Ardern nie pozwoliła swojemu pogrążyć się w chaosie po zamachu terrorystycznym w kościele w Christchurch. Obie dotknął masowy hejt i obie postanowiły zrezygnować z funkcji premierek.

Coraz więcej badań pokazuje, że kobiety u władzy, nie tylko polityczki, ale też liderki organizacji czy osoby publiczne, są narażone na specjalny rodzaj nienawiści, który różni się od tej kierowanej pod adresem mężczyźni. Prowadzone są nawet badania w stosunkowo nowej wciąż kategorii: „technologiczne wspomagane przemoc wobec kobiet w polityce”, o której teksty można znaleźć m.in. na platformie Sage Journals.

W latach 80. upowszechniło się hasło o „przebijaniu szklanego sufitu”. Marilyn Loden, amerykańska konsultantka ds. zarządzania i równości, opisała nim w 1978 r. niewidzialne bariery utrudniające kobietom awans, mimo że formalnie takich przeszkód nie było. Ten najważniejszy szklany sufit miała w 2016 r. strzaskać właśnie Hillary Clinton, zasiadając za legendarnym biurkiem Resolute w Gabinetce Owalnym w Białym Domu. Okazało się jednak, że szkło, o którym mówiła Loden, nie pęka, a wręcz jest hartowane nowymi rodzajami wyzwań. Racja może być więc po stronie Huma Abedin, która, powołując się na film dokumentalny „Miss Representation”, przekonuje, że ten sufit po prostu nie jest ze szkła, lecz z cegły. ▲

Joanna Wróżyńska – redaktorka prowadząca



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

- **NA OKŁADCE:** Charlize Theron: Szczęśliwa w pojedynkę ■ **TEMAT NUMERU:** Zdrowie to nowy luksus
- **TWARZE:** • Nicholas Galitzine: Symbol nowej męskości • Joanna Żółkowska: Nigdy nie wyszłam za mąż • Zendaya: Cztery premiery i życie • Paulina Gałązka: Angażuje się w całości ■ **HERSTORIE.** Niewidzialne służące z Zamku Książ • Aneta Szczepańska: Życie według zasad judo ■ **PSYCHOLOGIA:** • Seks: Waniliowa czułość • Urlop bez planu • Śluby: Dlaczego odnawiamy przysięgę ■ **ZDROWIE:** Menopauza i jej 101 objawów

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



wysokieobcasy.pl



listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Joanna Wróżyńska

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFIKI:
Katarzyna Trzuszczkowska,
Agata Luszczyk, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylvia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloń
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ
SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CIA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stozek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega
sobie prawo do ich redagowania
i skracania.
Na stronie 28 zamieszczony jest
materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 27 (1398)
NA OKŁADCE:
HUMA ABEDIN
FOT. JOEL SAGET/AFP





J-BEAUTY NA WŁOSACH

Nie tylko koreańska, ale też japońska pielęgnacja staje się popularna w Europie. Marka kosmetyków do włosów i skóry głowy NatureLab Tokyo promuje rytuał J-beauty: oczyszczanie, złuszczenie, nawilżanie. Formuły zawierają m.in. nawilżającą wodę sake i wodę ryżową oraz peptydy biomimetyczne i ekstrakty roślinne. **(szampon Perfect Volume, 340 ml/89 zł, Hebe)**



KOREAŃSKI GLOW

Marka CLIV stworzyła formuły kolagenowe, których sekret tkwi w mikoigłach (spikule), które dostarczają składniki precyzyjnie w głąb skóry. Formuła shotu Glow Collagen zawiera retinol, peptydy i kolagen pomagające niwelować oznaki starzenia.

(30 ml/150 zł, Hebe)

ŚWIETLISTA CERA

Koreanki uwielbiają efekt „glass skin”. Osiągają go poprzez wielowarstwową pielęgnację. Nowa maska do twarzy Kimoco Glass Skin po aplikacji zastyga na twarzy. Aby wykorzystać jej potencjał, nakłada się ją na inne kosmetyki pielęgnacyjne (krem, serum). Maska zawiera ekstrakt z ryżu i kolagen, peptydy, pantenol i skwalan. **(100 ml/59,99 zł, Rossmann)**



UDANY MARIAŻ

Jmella in France to nowa koreańska marka łącząca azjatycką pielęgnację z francuskim perfumiarstwem. Zapach linii kosmetyków Femme Fatale otwiera się lichi, rozwija kwiatowo i waniliowo. Formuły zawierają aminokwasy, ekstrakty roślinne. **(szampon 500 ml/49 zł, odżywka 500 ml/49 zł, Rossmann)**

KRÓLEWSKA CERA

W Hebe debiutuje nowa seria koreańskiej marki SOQU (Skin of Queen). To sześć kosmetyków rozświetlająco-nawilżających na bazie ekstraktu z ryżu, niacynamidu i kwasu hialuronowego. **(Tonizujące płatki do twarzy, 60 szt./80 zł)**



GŁADKIE WŁOSY

Nie tylko „glass skin”, ale też „glass hair”. Gładkie włosy, podobnie jak cerę, osiąga się poprzez wieloetapowe nawilżanie. Efekt zapewni siedem koreańskich kosmetyków Moremo: szampon oczyszczający i szampon regenerujący, maska, esencja lamelarna, ampułka, odżywka oraz olejek na końcówki. **(ceny od 30 do 99 zł, Rossmann)**

HUMA ABEDIN

Równowaga *i kompromis*

Wychowujemy pokolenie dzieci, które nie czuje się komfortowo w dyskusji, ponieważ obawia się reakcji drugiej strony. Konsekwencje są tak poważne, że wolą w ogóle nie angażować się w rozmowę



HUMA ABEDIN

– od przeszło trzech dekad doradczyni i jedna z najbliższych współpracownic Hillary Clinton, pełniła funkcję jej szefowej sztabu i wiceprzewodniczącej kampanii w wyborach prezydenckich w 2016 roku. Jest komentatorką polityczną m.in. stacji MSNBC, wiceprzewodniczącą dorocznego szczytu Forbes 30/50, zasiada w zarządzie organizacji non profit Vital Voices.

Jej autobiografia „Both/And: A Life in Many Worlds” trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa”.

Z HUMĄ ABEDIN, DORADCZYNIA HILLARY CLINTON,
ROZMAWIA JOANNA WRÓŻYŃSKA

U

Urodziła się pani w Michigan, ale dzieciństwo spędziła w Arabii Saudyjskiej. Ma pani korzenie pakistańskie po mamie i indyjskie po tacie. Jest pani muzułmanką, o czym wspominam głównie z powodu powracających antyislamskich nastrojów w Stanach Zjednoczonych. Jak ta wyjątkowa perspektywa wpłynęła na to, jak patrzy pani na świat?

– Rozmawialiśmy wcześniej o mojej książce, która nie bez powodu ma tytuł „Both/And” [co można przetłumaczyć na polski jako „Jedno i drugie” albo „I to, i to” – red.]. Zostałam wychowana, by swobodnie funkcjonować w różnych rolach. Moi rodzice wierzyli, że gdybyśmy musieli wybrać tylko jedną tożsamość, znacznie trudniej byłoby nam odnaleźć się w świecie. Uważali też, że psychologiczne myślenie w kategoriach „my kontra oni” nie jest zdrowe. Jestem im ogromnie wdzięczna za tę perspektywę. Dzięki nim, a także dzięki temu, że mieliśmy możliwość dużo podróżować, nauczyłam się ciekawości wobec innych kultur i miejsc. Czułam się swobodnie w różnych częściach świata. Dziś takie podejście staje się coraz rzadsze, co bardzo mnie smuci.

Jak bardzo zmieniła się amerykańska polityka od czasu, kiedy pracowała pani z Hillary Clinton najpierw w senacie, a później w Departamencie Stanu?

– To już nawet nie zupełnie inne pokolenie, a zupełnie inny świat. Kiedy zaczynałam pracę w polityce, Stany Zjednoczone były jedynym supermocarstwem, a nie dalej niż godzinę temu uczestniczyłam w rozmowie o tym, kto dziś właściwie jest supermocarstwem. Czy nadal USA, czy może Chiny, i gdzie w tym układzie znajduje się Europa. Martin Wolf [dziennikarz, główny komentator ekonomiczny „Financial Times” – red.] stwierdził, że mamy obecnie „dwa i pół supermocarstwa”. Tymczasem 25 lat temu pozycja Ameryki była bezdyskusyjna.

Próbowaliśmy zrobić wiele dobrych rzeczy, niektóre okazały się sukcesem, inne niekoniecznie. Dotyczy to choćby polityki handlowej. NAFTA [Północnoamerykański Układ o Wolnym Handlu] miała zarówno gorących zwolenników, jak i zdecydowanych przeciwników. Dziś obserwujemy konsekwencje wielu tamtych decyzji. Podobnie jest z reformą wymiaru sprawiedliwości i jej następstwami. W rezultacie pojawiły się zawirowania i poczucie niepewności.

Stany Zjednoczone mierzyły się z problemami gospodarczymi, utratą miejsc pracy w przemyśle, ale największą zmianą jest brak wzajemnego szacunku. Wychowujemy pokolenie dzieci, które nie czuje się komfortowo w dyskusji, ponieważ obawia się reakcji drugiej strony. Ludzie boją się, że

każde ich słowo może doprowadzić do wykluczenia czy publicznego potępienia. Konsekwencje są tak poważne, że wolą w ogóle nie angażować się w rozmowę. A to, moim zdaniem, jest dla nas bardzo poważny problem.

Zanik kultury debaty to chyba globalny problem. W Polsce, ale też w Unii Europejskiej, dużo mówi się ostatnio o internetowym hejcie, zwłaszcza wobec kobiet, także dziennikarek. – Cieszę się, że pani o tym wspomniała. Czytam o tym badaniu i mówię dużo podczas wystąpień w Stanach Zjednoczonych, ale coraz częściej także w innych częściach świata, bo to nie jest wyłącznie amerykański problem. Na całym świecie parlamentarzystki, kobiety pełniące funkcje publiczne czy wybrane w wyborach polityczki mówią o tym samym: w momencie, gdy odnoszą sukces, natychmiast spotykają się z ostrą kontrreakcją. Nie miałam okazji poruszyć tej kwestii podczas spotkania z polską publicznością na konferencji Impact w Poznaniu, ale wystarczy spojrzeć choćby na przykłady Sanny Marin i Jacindy Ardern. Młode szefowe rządów, kobiety stojące na czele państw, obie mierzące się z niewyobrażalnie trudnymi wyzwaniem. Obie musiały przeprowadzić swoje kraje przez pandemię COVID-19. Obie wdrażały politykę przyjazną rodzinom i korzystną dla swoich społeczeństw. I co się potem wydarzyło?

Jedna ośmieliła się zatańczyć.

– No właśnie. Konsekwencją było to, że zdecydowały się odejść z polityki. To trochę jak w jednym z fragmentów filmu dokumentalnego „Miss Representation” Jennifer Siebel Newsom. Pada tam stwierdzenie, że coś takiego jak „przebicie szklanego sufitu” w rzeczywistości nie istnieje. Bo ten sufit nie jest ze szkła – jest z cegły. I mówi to mężczyzna. To bardzo wymowne, bo pokazuje, że wciąż istnieje silna potrzeba utrzymania kobiet dokładnie tam, gdzie są.



Huma Abedin przekazuje wiadomości senator Hillary Clinton, Nowy Jork, lipiec 2001 r.

Hillary Clinton i Huma Abedin podczas kampanii prezydenckiej Clinton w 2016 r. wysiadają z samolotu w Cleveland w stanie Ohio



Ten sufit próbowała roztrząsać Hillary Clinton. Stoi pani u jej boku od przeszło 25 lat, czyli także podczas dwóch kampanii prezydenckich. Choć miała najlepsze kwalifikacje, była zaangażowaną społecznie i politycznie pierwszą damą, piastowała urząd sekretarza stanu i senatorki, zna amerykańską politykę od podszewki, zarzutem pod jej adresem było to, że „nie dawała się lubić”.

– Standardy, według których oceniamy kobiety ubiegające się o stanowiska publiczne, są niemożliwe. I co ważne, nie narzucają ich wyłącznie mężczyźni, ale także kobiety. Problem polega na tym, że właściwie nikt nie jest w stanie im sprostać. Powodów jest kilka. Po pierwsze, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych, wciąż nie mamy utrwalonego wzorca kobiety prezydenta. Kiedy zamykamy oczy i wyobrażamy sobie prezydenta, zazwyczaj widzimy mężczyznę – najczęściej białego i wysokiego. Nie przychodzi nam automatycznie do głowy: „to może być również kobieta”.

W innych częściach świata kobiety z powodzeniem obejmowały funkcje głów państw czy szefowych rządów, ale często wynikało to z bardziej kolektywnego modelu polityki. Były wybierane przez swoich partyjnych kolegów i koleżanki

w parlamencie, a następnie zostawały liderkami ugrupowań. Natomiast jeśli polityka staje się konkursem popularności na masową skalę, kobietom jest znacznie trudniej. Między innymi właśnie dlatego to, co Hillary Clinton osiągnęła w 2016 r., było historycznym wydarzeniem. Dokonała czegoś, czego do dziś nie udało się powtórzyć żadnej kobiecie.

Znajdujemy się w niezwykle trudnym momencie, jeśli chodzi o kobiety na stanowiskach przywódczych, ponieważ skala internetowych ataków jest ogromna i budzi realny lęk. Ponad 90 proc. ataków z wykorzystaniem deep fake’ów wymierzonych jest właśnie w kobiety. To fala materiałów pornograficznych rozpowszechnianych w sieci, w których twarze kobiet są nakładane na cudze ciała. Tego rodzaju działania mają wyniszczający wpływ na ich psychikę i emocje.

Wspomniała pani o tym, że jeszcze dwie dekady temu uważaliśmy Stany Zjednoczone za supermocarstwo. Zwykło się też myśleć o Ameryce jako o najsilniejszej światowej demokracji. Czy sądzi pani, że nastąpiła zmiana i że Ameryka – państwo, które miało być remedium



Listopad 2022 r. Hillary Clinton
i Huma Abedin w drodze na wystawę
„Eyes on Iran” w Nowym Jorku

Coś takiego jak „przebicie szklanego sufitu” w rzeczywistości nie istnieje. *Bo ten sufit nie jest ze szkła – jest z cegły*

na problemy świata, sama zaczęła być postrzegana jako część problemu?

– Nie wierzę w to, że Stany Zjednoczone były zawsze remedium na wszystkie problemy. Myślę raczej, że w wielu miejscach świata przyczyniliśmy się również do powstania nowych problemów. Zaangażowaliśmy się w Irak i Afganistanie, wydaliśmy miliardy dolarów, straciliśmy tysiące istnień – i to zarówno amerykańskich żołnierzy, jak i lokalnych mieszkańców. I w wielu kręgach panuje przekonanie, że te interwencje nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Oczywiście nie jest to opinia absolutnie powszechna; są ludzie, którzy uważają, że Irak po obaleniu Saddama Husajna znalazł się w lepszej sytuacji niż wcześniej. Wspominam o tym jednak dlatego, że od lat trwa debata nad sensem i wartością udziału w tych dwóch konfliktach.

Nie powiedziałabym więc, że zawsze mieszałyśmy się w sposób najlepszy z możliwych, ale myślę, że w wielu przypadkach nasze intencje były szczerze i dobre. Spójrzmy choćby na konflikt na Bliskim Wschodzie i na to, co dzieje się dziś. Wciąż mamy do czynienia z konsekwencjami wydarzeń z 7 października, a skala zniszczeń – zarówno po stronie Izraela, jak i Palestyny – pozostaje dramatyczna i wciąż się pogłębia. Tymczasem jeszcze na począt-

ku lat dwutysięcznych istniało realne przekonanie, że ten konflikt można faktycznie rozwiązać. Można więc próbować szukać równowagi i kompromisu albo robić to, co obserwujemy obecnie. A to, co dzieje się dziś w moim kraju, nie jest równowagą. To w istocie rozbijanie systemu, wywoływanie destabilizacji i chaosu, i nie jest to dobry kierunek.

Wspomniała pani o Bliskim Wschodzie. Już w grudniu 1998 r. była pani wraz z Hillary Clinton w Izraelu i Palestynie. W swojej książce pisze pani o tym, że amerykańska administracja pracowała wtedy na rzecz budowania metaforycznych mostów między tymi dwoma krajami. Ma pani też porównanie do obecnej sytuacji. Jaką widzi pani przyszłość Palestyny, czy konkretniej Strefy Gazy?

– W tej chwili? Bardzo ponurą. Przede wszystkim myślę o dzieciach, także izraelskich, ale jednak przede wszystkim palestyńskich. Ogromny odsetek tych dzieci trafia do szpitali, ale nie ma już rodziców ani żadnych żyjących krewnych, do których może wrócić. Z taką traumą będą wchodzić w dorosłość. Jakich ukształtuje to nastolatków, a później również przyszłych liderów?

Niezwykle trudno dostrzec teraz jakiś optymistyczny scenariusz. Oczywiście powtarza się, że jedynym rozwiązaniem jest rozwiązanie dwupaństwowe, ale jesteśmy dziś od tego bar-

dzo, bardzo daleko. Państwa Zatoki Perskiej próbują odnaleźć się w roli dobrych partnerów i mediatorów, Stany Zjednoczone deklarują, że mogą pomóc rozwiązać ten konflikt, ale jednocześnie mamy izraelskiego przywódcę, który, w mojej ocenie, nadal przyczynia się do eskalacji przemocy i kontynuuje działania destabilizujące sytuację. Dlatego dopóki nie dojdzie do zmiany przywództwa w Izraelu, trudno mi o jakiegokolwiek optymizm.

A jeśli chodzi o Ukrainę? Dosłownie dzień przed naszą rozmową prezydent Donald Trump oświadczył, że wojna jest w ostatniej fazie. Trudno mi w to uwierzyć.

– Mówił też, że zakończy tę wojnę w ile? W 24 godziny po tym, jak obejmie urząd prezydenta? Tymczasem jesteśmy w miejscu, w którym byliśmy.

Zainteresowanie Donalda Trumpa dość często się zmienia. Najpierw była Ukraina, potem przez chwilę Bliski Wschód, a następnie pojawiały się deklaracje, że udało mu się rozwiązać kolejne konflikty. Pozostaje jednak pytanie, które z nich faktycznie zostały rozwiązane.

Tymczasem Ukraina wciąż zмага się z trwającą wojną. Niezwykle w tym konflikcie jest to, że kiedy Rosja zaczęła pełnoskalową inwazję, niewielu wierzyło, że ukraińskie siły zbrojne i ich infrastruktura obronna będą w stanie wytrzymać tak intensywne ataki. A jednak dziś, cztery lata później, jesteśmy w sytuacji, która z jednej strony budzi podziw dla odporności Ukrainy, a z drugiej pozostaje ogromną tragedią, zwłaszcza dla ukraińskich dzieci. Dzieci, które zostały uprowadzone, kobiet

i cywilów, wobec których wciąż są popełniane okrucieństwa na masową skalę. To jest dokumentowane, po zakończeniu wojny sprawcy powinni ponieść realne konsekwencje.

Czas naszej rozmowy już dawno upłynął, ale chciałam jeszcze na zakończenie zapytać, czego nauczyła panią praca u boku Hillary Clinton?

– Lojalności, zaangażowania i ciężkiej pracy. Pokazała mi też, że czasami najtrudniejsze bywa zrobienie tego, co jest właściwe. Sprawiała również, że nabrałam grubej skóry, przygotowała na wszystko, co następowało, na przykład po 11 września w kontekście islamofobii czy negatywnej, antymuzułmańskiej retoryki, o której wspomniała pani na samym początku naszej rozmowy. Stałam się niemal osobą ze stali.

Ważne były też przyjaźń, mentoring, zwykła radość z pracy i posiadanie w życiu tego typu relacji. Brałam ją wtedy za coś oczywistego, bo byłam bardzo młoda. Zaczęłam pracować dla Hillary Clinton, kiedy miałam 19-20 lat, jako stażystka, jeszcze w czasie studiów. Umiała zawsze stworzyć środowisko, w którym człowiek czuł, że wszystko jest możliwe, i w którym każdego dnia chciało się wstawać i przychodzić do pracy. Dziś wiem, że był to przywilej, i bardzo to sobie cenię, bo wiem, że nie każdy ma takie doświadczenia. ▲

Wywiad był możliwy dzięki organizatorom konferencji Impact w Poznaniu. Kolejna edycja odbędzie się w dniach 12-13 maja 2027 r.

OGŁOSZENIE



GEDEON RICHTER POLSKA

SPOJRZENIE POLAKÓW NA DŁUGOWIECZNOŚĆ

MIĘDZY DEKLARACJAMI A CODZIENNOŚCIĄ

**Jak długo chcemy żyć? Czego naprawdę się boimy?
Co nas motywuje? I jaka jest różnica między
naszymi deklaracjami a codziennym działaniem?**

Oddaliśmy głos Polakom i ich przemysleniom na temat długowieczności!



ZESKANUJ KOD QR I POZNAJ NOWY RAPORT:

Kobiety, które kochają za *bardzo*

Niektóre kobiety idealizują partnerów i zakochują się w ich wyobrażeniu. Wkładają też dużo energii, by urealnić ten wyidealizowany obraz

TEKST IZABELA O'SULLIVAN
RYSUNEK BASIA POSPISCHIL

Ewa chciała pójść na studia podyplomowe z zarządzania. Pracuje w sekretariacie w miejskiej spółce, czuje, że stać ją na więcej. Gdy powiedziała o tym pomysłu mężowi, zaczął ją zniechęcać do podjęcia nauki. Nie chciał, by jako rodzina tracili wspólne weekendy. – Poczułam, że po raz kolejny moje osobiste plany nie mają znaczenia. Ważny jest on i jego ambicje, potem rodzina i nasze bycie razem, na szarym końcu ja z moimi potrzebami – mówi Ewa.

Wyszła za Łukasza dlatego, że był odpowiedzialnym, poukładanym facetem. Gdy się poznali, była na piątym roku studiów, on już pracował i miał własne mieszkanie. Potrafił dać jej coś, czego nie zaznała w dzieciństwie: stabilizację i spokój. Nie pałała do niego wtedy gorącym uczuciem, ale wierzyła, że przyjdzie z czasem. I przyszło. – Gdy się pobieraliśmy dwa lata później, wiedziałam, że go kocham i że to człowiek, z którym chcę spędzić resztę życia – twierdzi.

Urodziła dwoje dzieci, przez siedem lat zajmowała się domem. Trudno było wrócić na rynek pracy, ale znalazła stanowisko w miejskiej spółce. Łukasz rozwijał się jako bankowiec, jeździł po Polsce i po świecie, a do niej zaczęło wracać znajome poczucie bycia gorszą. Tak miała w dzieciństwie. Pijący ojciec, wstydzący się go matka, ona i brat udający, że znormalniały im kłótnie rodziców. Obiecała sobie, że swoim dzieciom nigdy nie zafunduje takiego życia.

Długo nie zauważała, że to postanowienie kosztuje ją wiele kompromisów. Kiedy Łukasz chciał jechać na wakacje do Egiptu, a ona wołała Cypr, potrafił ją szybko i skutecznie przekonać. Ustępowała, tłumacząc sobie, że przecież tam, gdzie chce ona, mo-

gą lecieć w przyszłym roku. Ale na kolejny urlop Łukasz też miał już plan i Ewa znów ulegała. Podobnie było z małymi rzeczami, takimi jak decyzja, co będzie na obiad, jaką wybiorą restaurację, czy zaproszą znajomych na weekend. – Ostatnie zdanie zawsze należało do męża. Kiedy mu ulegałam, miałam dwa główne wytłumaczenia: „to drobnostki, nie warto się o takie rzeczy kłócić” albo „przecież to on za to płaci”. Z tyłu głowy pojawiała się wdzięczność, że ja i nasze dzieci mamy dobry dom, że stworzyliśmy życie, którego w młodym wieku nie znałam. To chyba zawsze brało górę – wyznaje.

Mniej więcej dwa lata temu coś się zmieniło. Kiedy córka poszła do szkoły, syn do przedszkola, a Ewa – z powrotem do pracy, zaczęła chcieć również rzeczy dla siebie. Koleżanka namawiała ją na zajęcia tańca latino. Odbływały się o godz. 18, Łukasz zwykle do tej pory był już po pracy, poprosiła, by co środę w tych godzinach zajmował się dziećmi. Mimo że się zgodził, potem ciągle się spóźniał. Z czterech zajęć w miesiącu Ewa dotarła na jedno. Za każdym razem kończyło się awanturą, ale czuła się na przegranej pozycji.

Czy można przeżyć wiele lat w związku opartym przede wszystkim na poczuciu bezpieczeństwa i wdzięczności? Według Iwony Michalak-Jędrzejczak, psycholożki i psychoterapeutki, taki związek może być trwały, bo zaspokaja podstawową potrzebę człowieka, jaką jest potrzeba bezpieczeństwa. – Jednak rezygnując z siebie, narażamy się na swoistego rodzaju „zdradę siebie”, na opuszczenie siebie, co z kolei może przyczynić się do poczucia zagubienia, dezorientowania w definiowaniu, kim jestem, czego pragnę, co jest dla mnie ważne. Osłabiamy swoje „ja”. Potrzeby, które nie są permanentnie wyrażane, nie znikają, nie są ulotne, mogą powodować roz-

drażnienie, smutek, żal. Potrzeby bezpieczeństwa i autonomii się nie wykluczają. Związek, w którym obie są realizowane, daje poczucie życia w zgodzie ze swoim „ja” – wyjaśnia ekspertka.

U Ewy czarę goryczy przełamała kwestia studiów. Chciała pójść do przodu ze swoim życiem zawodowym, a mąż to skrytykował. – Wcześniej próbowałam uznać jego argumenty, w przypadku podyplomówki mam po prostu żal. Łukasz się rozwija, dostaje awanse, ja utknęłam jako sekretarka. Każda rozmowa na ten temat kończyła się kłótnią, więc w końcu odpuściłam – opowiada. Zaczęła mieć myśli, czy rzeczywiście jest spełniona w swoim związku. Czy dom bez alkoholu to jedyny wyznacznik szczęścia. – Dochodzę do wniosku, że chyba jednak nie. Widzę coraz lepiej, jak po kawalku oddaję mu przestrzeń, i nie czuję się w naszej relacji ważna. Ale nadal jestem mu wdzięczna za to, co dzięki niemu mamy i za to, co możemy dać naszym dzieciom – mówi.

NIE TYLKO MIŁOŚĆ

Czy Ewa to kobieta, która kocha za bardzo? To pojęcie stało się popularne dzięki poradnikowi pod takim tytułem, który ukazał się w polskim tłumaczeniu już w latach 90. Zdaniem autorki Robin Norwood jeśli kobieta np. zajmuje się głównie problemami albo uczuciami partnera, rozgrzesza go ze złych humorów czy wybuchów złości, liczy na to, że ukochany się zmieni, gdy będzie wystarczająco dobra i czuła, pozwala źle się traktować – kocha za bardzo. Norwood porównuje to zjawisko do uzależnienia i twierdzi, że proces wychodzenia z takiej relacji przypomina zdrowienie z nałogu. Kim są kobiety, które kochają za bardzo? Iwona Michalak-Jędrzejczak: – To nie kobiety, które



kochają mocniej, głębiej czy intensywniej. Określenie to odnosi się do wzorca relacji, jakie tworzą, do schematów, które determinują sposób traktowania siebie i partnera. Kobiety „kochające za bardzo” uzależniają poczucie własnej wartości i samoocenę od tego, czy czują się potrzebne, czy są kochane przez partnera. Mogą doświadczać dużego lęku przed odrzuceniem. Mają dużą tolerancję na raniące zachowania, takie jak zdrada, lekceważenie, przemoc psychiczna. Bycie samą wiąże się dla nich z silnym lękiem, poczuciem bycia niewystarczającą – tłumaczy specjalistka.

LUKA

Ania jest mężatką, ma dwoje dzieci, ale jakiś czas temu się zakochała. Mężczyzna mieszkał w innym mieście, widzieli się tylko raz, potem tylko do siebie pisali. Podporządkowała temu swoją codzienność.

Poznali się na szkoleniu dla marketingowców. Ona z północnej Polski, on z Dolnego Śląska. Zagadnął Anię podczas lunchu, a potem się przesiadł. Wieczorem zaproponował piwo, bo zostawał na noc, ale ona spieszyła się do domu. Wymienili numery, odezwał się już kwadrans po tym, jak wsiadła do pociągu. Dość szybko ustalili swoje statusy cywilne: ona mężatka z synem i córką, on żonaty z trzema córkami.

Zaczęli sobie przysyłać wiadomości na „dzień dobry” i „dobranoc”. Z czasem zaczęły się wkradać emotikony z serduszkami, któregoś dnia napisał, że ją kocha. – To było kilka tygodni po naszym poznaniu. Pomyślałam, że to absurdalne, a jednocześnie ogarnęło mnie miłe, ciepłe uczucie. Z mężem od lat żyłam w stagnacji. Nie wchodziliśmy sobie w drogę, każde prowadziło swoje życie, dzieliliśmy jedynie mieszkanie i opiekę nad dziećmi – opowiada.

Tomek odzywał się zawsze po pracy, czyli po 16.30. W poniedziałki, środy i piątki Ania zawozi w tych porach dzieci na zajęcia, więc zaczęła manewrować tak, by dostarczyć je na miejsce szybciej i od wpół do piątej być wolna. Dlaczego nie powiedziała Tomkowi, że może rozmawiać dopiero od 17? – Bo jemu droga do domu zajmowała godzinę, więc wtedy zostałaby nam połowa czasu. Nie chciałam go tracić – wyjaśnia.

Zdaniem Iwony Michalak-Jędrzejczak, jeśli w wyniku doświadczenia silnego zakochania dochodzi do zaniedbań, to nie chodzi tylko o siłę uczucia. – Zakochanie wpływa na naszą biologię, aktywuje się wydzielanie noradrenaliny, dopami-



ny i oksytocyny, które odpowiedzialne są za pobudzenie, nagrodę czy przywiązanie. Jednocześnie te części mózgu, które są odpowiedzialne za racjonalność, zmniejszają swoją aktywność. Stąd często obserwujemy idealizację, niedostrzeganie czerwonych flag, koncentrację głównie na relacji – wyjaśnia ekspertka i dodaje, że te mechanizmy są normalne i działają u większości z nas. – Kobiety idealizują partnerów i zakochują się w ich wyobrażeniu, wkładają dużo energii, by na nich wpływać, próbują urealnić wyidealizowany obraz. Bardzo ważnym mechanizmem, wpływającym na takie, a nie inne zachowania przy zakochaniu, jest lękowy styl przywiązania, który determinuje wiele zachowań. Odpowiada np. za potrzebę ciągłego kontaktu czy intensywny lęk przed odrzuceniem, a to wpływa na zachowania, które mogą prowadzić do zaniedbań wcześniejszego życia – pracy, relacji. Bardzo ważny jest mechanizm, w którym kobiety szukają zaspoko-

kojenia potrzeb niezaspokojonych w dzieciństwie, poczucia bycia najważniejszymi. Relacja pełni funkcję uzdrowienia ran pochodzących z wcześniejszego okresu życia. Staje się to tak ważne, że porzucają innych, a przede wszystkim siebie. Brak proporcji jest niebezpieczny, „kochanie za bardzo” jest przykładem braku równowagi – podkreśla psychoterapeutka.

Tomek dzwonił zazwyczaj punktualnie i gadali z Anią o wszystkim. Żadne z nich nie miało w planach porzucić swojej rodziny, oboje zwinnie omijali ten temat, a jednocześnie dalej brnęli w tę relację. – Myślałam o nim non stop. W duchu besztalam się za to szczenięce nastawienie, ale to było ode mnie silniejsze – wyznaje Ania.

Romans trwał pięć miesięcy. Kontakt się urwał, gdy Tomek wyjechał z rodziną na wakacje. Po powrocie nadal się nie odzywał, a kiedy ona wysłała wiadomość, nie odpowiedział. – Bolało bardzo, bez przerwy o nim myślałam i sprawdzałam te-

lefon. Romanse zawsze kończą się cierpieniem – ktoś kiedyś tak powiedział. To prawda. Dzisiaj, po ponad dziewięciu miesiącach braku kontaktu, jest lepiej. Czasami zastanawiam się, co u niego, czemu tak nagle się skończyło. Ale wiem, że lepiej dla mnie, jeśli to odpuszczę. Tak, nadal jestem z moim mężem. Wciąż żyjemy jak współlokatorzy – mówi Ania.

TEORIA VS. PRAKTYKA

Patrycja od czterech lat jest w związku z narcyzem. Wie, z kim ma do czynienia, przeczytała na ten temat kilka książek i wiele artykułów w gazetach. Trafnie nazywa schematy zachowań, ale mimo wiedzy z praktyką idzie gorzej. Ciągłe brakuje jej sił, żeby zostawić Rafała. – Kiedy się poznał, byłem dla niego najładniejsza i najpiękniejsza. Obsypywał mnie komplementami, kupował prezenty, zabierał w fajne miejsca, całował, przytulał – wlicza. – Powtarzał, że jesteśmy sobie pisani, że zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia. Wpadłam w to szybko – przyznaje. Z czasem zaczęła zauważać, że Rafał nie lubi, gdy jego dziewczyna poświęca uwagę komuś poza nim. Gdy chciała wyjść z koleżankami, niby żartował, że będzie mu smutno, potem coraz bardziej otwarcie wyrażał swój sprzeciw. Krytykował wszystkich, z którymi łączyły ją jakieś więzi: koleżanki głupie, rodzice chcą sterować jej życiem, siostra zazdrości. Najpierw poluzowała z nimi kontakty, później się odcięła.

Zachwyty i uniesienia, których tak dużo było na początku, stopniowo zaczęły tracić na wartości, bo po nich zawsze następował kryzys. Ciągłe czekała na nowy wybuch Rafała, na moment, w którym z ukochanej stanie się głupią histeryczką. Lubił tak o niej mówić, gdy w trakcie kłótni płakała. Twierdził, że wszystko wyolbrzymia i gra na jego uczuciach. Po jednej z imprez u jego znajomych wytknęła mu, że brzydko się do niej odzywał w towarzystwie. Roześmiał się na głos i zarzucił, że robi aferę z niczego. Często też karał ją ciszą albo nie dotrzymywał danego słowa, a potem twierdził, że na nic się nie umawiali. – Czułam, że wszystko, co nie tak w naszym związku, to moja wina. Wierzyłam w każde jego słowo. Teraz już wiem, że to się nazywa gaslighting – wyjaśnia.

W miarę, jak poznawała teorię, zaczęła rozważać rozstanie. Trafnie diagnozowała zachowania Rafała, ale kiedy po kłótni

znów zalewał ją falą uczuć, za każdym razem na nowo dawała się złapać. Ostatnio pomyślała, że trudno jej będzie wyrwać się z tej spirali. A jeśli nawet się uda, to zajmie jej to jeszcze dużo czasu, bo przecież nie ma gdzie pójść. Zaczęła odbudowywać zerwane relacje z rodziną i przyjaciółkami, ale robi to za plecami Rafała, więc ma nieduże pole manewru. Przeliczyła się też, myśląc, że wszyscy przyjmą ją z otwartymi ramionami. Spotkała się raczej z rezerwą. – Być może mają do mnie dystans, bo nie wierzą, że zostawię Rafała? Czy gdybym odeszła, dostałabym od nich wsparcie? – zastanawia się.

Jak podkreśla Iwona Michalak-Jędrzejczak, pozostawanie w krzywdzącym związku zwykle nie wynika z braku inteligencji czy świadomości problemu. – Powodem mogą być zakorzenione mechanizmy przywiązania, lęku przed stratą, wcześniejszych doświadczeń, nadziei i pogłębiającego się obniżonego poczucia własnej wartości. Już samo zdanie sobie sprawy, że relacja jest toksyczna, jest ważnym krokiem, a on jest podstawą do zmiany, ale jeszcze niewystarczającym. Zmiana musi nastąpić w obszarze schematu deprecjonowania siebie i swoich potrzeb, bycia ratowniczką – zaznacza ekspertka.

WZORZEC

Kiedy Julita szła do ołtarza, była pewna, że to miłość na zawsze. Dzisiaj szczególnie często przywołuje to uczucie, bo dwa miesiące temu odkryła, że jej mąż ma kochankę. – Paweł popołudniami prowadzi zajęcia z akrobatyki. Przywykłam, że wraca do domu wieczorem, o różnych porach, nie panowałam nigdy nad jego grafiką. Może nie byłam wystarczająco czujna – stwierdza. Zorientowała się, że coś jest nie tak nie dlatego, że zaczął wracać później, ale dlatego, że stał się nieobecny myślami. Mówiła coś do męża, a on jakby tego nie słyszał. Pytał o rzeczy, o których rozmawiali wcześniej. Umawiali się na coś, on potem zapominał. Niechętnie też dzielił się opowieściami z pracy, a dawniej lubili sobie streszczać, jak wyglądał ich dzień. Nowa woda toaletowa, noszenie telefonu zawsze przy sobie, ciągle podenerwowanie – Julita przyznaje, że widziała te wszystkie sygnały, ale ignorowała je celowo.

Zdaniem Iwony Michalak-Jędrzejczak powodów ignorowania czerwonych flag może być kilka. – Jednym z nich jest na-

dzieja, że to, co „ostrzegawcze”, zniknie, że ją go zmienię, że przy mnie będzie lepiej. Kolejny to strach przed zmianą. Pozostanie w „bylejakości” może dla niektórych być lepsze niż pozostanie samej. Dla części z nas bycie samej jest równoznaczne z brakiem tlenu, a co za tym idzie – życia. Część z nas warunkuje bycie od bycia z kimś, niezależnie od kosztów, jakie ponosi. Niska samoocena również nie jest dobrym doradcą. Zaprasza do unieważniania własnych odczuć, do myślenia typu „może przesadzam, inni mają gorzej”. Miłość też przyczynia się do interpretowania sygnałów ostrzegawczych w bardziej optymistyczny sposób – twierdzi psychoterapeutka.

Któregoś dnia Paweł nie wylogował się na laptopie z Facebooka i Julita przeczytała wiadomości na Messengerze. Było tylko kilka, więc musiał regularnie kasować wcześniejsze wątki, ale treść nie pozostawiała wątpliwości. Ona pytała, kiedy będzie, on odpowiedział, że wpadnie po 18, bo ktoś odwołał zajęcia. Julita przescrollowała potem jego profil i zobaczyła, że ta kobieta lajkowała wszystkie jego posty.

Gdy tego wieczoru Paweł wrócił po 20 do domu, spytała, jak zajęcia. Zamknął temat jednym zdaniem: że miał młyn. Wtedy już była pewna, ale nie powiedziała ani słowa. – Nie umiałam się zdobyć na rozmowę. W kolejnych dniach obserwowałam, jak szykuje się do wyjścia z domu, jak starannie wybiera ciuchy. Nagle zaczęłam widzieć mnóstwo dowodów. Gdy rzucalam komentarz typu: „Ale na siebie wylałeś perfum”, jego w ogóle to nie ruszało – opowiada Julita. Przestała o cokolwiek pytać, ochłodziła relacje, zniknęła między nimi fizyczna bliskość. Miała nadzieję, że mąż w końcu się ocknie i wszystko wróci do normy, na razie jednak się na to nie zapowiada. Co dalej Julita zamierza zrobić? – Nie mam pojęcia. Chyba będę czekać. Nie mam sił na to, żeby go skonfrontować, bo boję się, że odejdzie. Nie wyobrażam sobie, że przestaniemy być rodziną. Mamy ośmioletniego syna, a Paweł jest świetnym tatą. Każda miłośna fascynacja kiedyś przecież się kończy. Myślę, że się pogubił, i jestem pewna, że mnie kocha. Oczywiście, że trudno mi z myślą, że ma inną kobietę. Ale jaki mam wybór? Nie dam mu ultimatum. Zaciskam zęby – tak samo, jak robiła to wiele razy moja matka. W tym roku mają z ojcem 50. rocznicę ślubu – mówi Julita. ▲

Zespół Oczi Czarne



Zapomniane kobiety *punka*

Nie było kobiet, na których mogły się wzorować, a kiedy grały, to czuły się tak, jakby to był lot na Księżyc – jak pionierki

Z MAGDALENĄ CZUBASZEK,
AUTORKĄ KSIĄŻKI „BĘDZIESZ WRZESZCZEĆ”,
ROZMAWIA ANNA WŁODARCZYK

Napisałaś książkę o kobietach na alternatywnej scenie muzycznej w Polsce lat 80. Jak wynika z relacji niektórych twoich męskich rozmówców – muzyków i dziennikarzy – było ich mało, bo nie garnęły się do grania, były leniwe i klótniwe.

– Klasyk. Tymczasem rzeczywistość jest znacznie bardziej skomplikowana.

Co cię skłoniło do podjęcia tematu?

– Pochodzę z Gdańska, pisałam pracę magisterską o Garym Helu – jednym z pierwszych punkowców w Polsce, a także sopockim ekscentryku, który do dziś krąży po ulicach Trójmiasta. Oddając ten tekst zerknęłam na aneks z listą rozmówców. Pomyślałam: „Ej, tu nie ma żadnej kobiety! Jak to się stało?”. Potem, wiele lat później, w Szkole Reportażu wzięłam na warsztat historię

trójmiejskiego Oczi Czarne – zespołu, który na początku tworzyły same dziewczyny. Zafascynowało mnie to. Zastanawiałam się jak przetrwały ze swoimi piosenkami na scenie złożonej na oko w 99 proc. z mężczyzn. Czytałam o nich w książce Rafała Księżyaka „Dzika rzecz. Polska muzyka i transformacja 1989-1993” i czułam niedosyt. Gdy w końcu pojechałam do Jowity Cieślakiewicz i Ani Miądowicz z Oczi Czarne – temat mnie pochłonął. Rozmawialiśmy w czasie strajków kobiet, co też miało na mnie wpływ.

Chyba zainspirowałaś zespół Oczi Czarne do powrotu do muzyki, a Fatum do kontaktu po latach.

– Nie lubię tak o sobie myśleć, ale czuję, że tak było. Oczi mi to same powiedziały. Potem dostrzegłam, że u nich to znany mechanizm – grają, potem rezygnują, aż przychodzi ktoś z zewnątrz i daje im bodziec do działania. Myślę, że wciąż nie wierzą w siebie, co jest konsekwencją ocen środowiska, w którym dorastały. Pewnie takim bodźcem mogłam też być dla Marioli Niedbał z Fatum. O jej jazzowym zespole z 1983 roku dowiedziałam się przypadkiem podczas wywiadu z Ireną Jagielką. Ostatecznie

Irena i Mariola odnowiły kontakt. Mariola miała regularnie telefonować do Jadwigi Nikiel, która grała w Fatum na pianinie.

Brak wiary w siebie? Przecież to wykształcone muzyczki.

– To nie jest indywidualne zaburzenie, tylko kulturowe – syndrom oszustki. Ich nikt nie zachęcał do grania, nikt nie motywował. Raczej były zniechęcane i ciągle wytykano im błędy. Często robili to ich rodzice. Poza tym nie było kobiet, na których mogły się wzorować, a kiedy grały, to czuły się tak, jakby to był lot na Księżyc – jak pionierki. Utwierdzano je w przekonaniu, że to nie jest ich miejsce. Teraz dziewczyny są odważniejsze i mają wywalone na opinie „środowiska”, ale wtedy bez tego „środowiska” po prostu nie mogłaś zaistnieć.

Gdy byłam nastolatką, pod koniec lat 90., to w moim otoczeniu na gitarze grali tylko koledzy mojej starszej siostry, a dziewczyny ich podziwiała.

– U mnie było podobnie. Wyrosłam na podwórku, na punk rocku, a około roku 2008 siedziałam ciągle w garażu na Żabiance w Gdańsku. Moi koledzy mieli próby, zakładali kolejne zespoły. Nikt nie pytał, czemu nie gra żadna dziewczyna, to było oczywiste, że jesteśmy tłem, a nasza obecność wszystkim przeszkadza.

Dlaczego w latach 80. kobiet na alternatywnej scenie było mało i niewiele o nich wiemy?

– Było ich więcej, niż powszechnie się sądzi. Nie wiadomo ile, bo poza wyjątkami nikt tego nie dokumentował. Kasety i zdjęcia wciąż leżą po szafach kobiet, które uważają, że „było – minęło”. Można mieć szczęście i taką osobę odnaleźć, ale najpewniej to się nie uda. Niektóre z nich trudno namówić na rozmowę, więc rodzi to pytanie: skąd niechęć wobec rozmowy o przeszłości? Chciałam zrozumieć, jak kobiety wtedy żyły, co miały w głowach i w sercach. Nie ma prostej odpowiedzi na pytanie „dlaczego było ich tak mało”. Okienko wolności, w którym dziewczyna w latach 80. mogła sobie grać, było naprawdę wąskie. Faceci w kręgu sceny alternatywnej zawsze mogli przedstawiać granie jako swoją pracę, a kobiety nie. Na takie „niefrasobliwe” zajęcie czasu miały mniej – zwykle od liceum do wyjścia za mąż lub urodzenia pierwszego dziecka. Wtedy drzwi do grania zwykle się zatrzaśkiwały. Oczekiwano, że dziewczyna zajmie się domem, dzieckiem i sprzątaniem, bez względu na to, jak była dobra i jakie miała osiągnięcia. One same zresztą najczęściej były tak wychowywane. Dziś presja na męża i dzieci jest mniejsza, łatwiej sięgnąć po gitarę. A nasze matki często się dławiliły, balansując między ogromną potrzebą wyrazu a rolą posłusznych córek i żon. Widziałam to u mojej mamy – nie była muzyczką, ale gdy zamykały się drzwi, wychodził ojciec, to od razu rozkręcała płyty na full, tańczyła, a my – jej dzieci – razem z nią.

Mariola z Fatum opowiada, że chciała założyć rodzinę i zrezygnowała z grania jazzu, ale kontaktu z muzyką nie straciła – grała na gitarze kilka godzin, siedząc w łazience, gdy jej mały syn się kąpał.

– Tak, u niej nie było żalu. Znalazła sposób. Jowita z Oczi Czarne musiała natomiast z małym dzieckiem wyemigrować do Francji, aby zarabiać na życie. W domu, w którym pracowała jako niania, siadała przy pianinie i grała Erika Satie.

W 1979 powstał w Łodzi najprawdopodobniej pierwszy kobiecy rockowy zespół TRANSS. Dziewczyny nie pochodziły z muzycznych rodzin, same nauczyły się grać na instrumentach. Śpiewały o pracy w fabryce.

– Śpiewały też o rozwalonych butach i osaczeniu przez system, buncie i o pogardzie wobec szpanerskiego stylu bycia. W ich tekstach nie brakuje rozmów z Bogiem. W „Modlitwie” wokalistka śpiewa: „Daleś mi, Boże, rozum i głos, więc musisz wysłuchać mnie”. Ona go nie prosi, tylko mu rozkazuje, a w tle miarowo i pewnie suną gitary koleżanek. Jest w tym brzmieniu coś erotycznego, jakiś żar. Brzmiały trochę jak dzisiejsze Sheer Mag albo dawne The Runaways. Na ich trop naprowadził mnie Łukasz „Bugs” Wawrzak – twórca kanału na YouTube Punkowy IPN Oddział Łódź. Dał mi kontakt do męża Darii, wokalistki i gitarzystki zespołu. Niestety spóźniłam się... pluję sobie w brodę. Daria Michalska (Wąsowicz) zmarła we wrześniu 2024 r. Dopiero rok później znalazłam piosenki jej zespołu.

Istnienie TRANSS to dowód, że w tym punkowym zrywie, który zaczął się od koncertu the Raincoats w 1978 r. w warszawskiej Rivierze Remont, może nielicznie, ale wzięły udział kobiety. Z kolei the Raincoats zaczęły grać po koncercie Patti Smith. W książce jest takie świetne zdanie, że Patti się wydzierała do mikrofonu w czasach, gdy żadna dziewczyna nie była jeszcze w stanie wydać z siebie krzyku.

– Bo krzyczeć to nieładnie przecież, nie? A jeśli twoją aspiracją jest być ładną, to koniec, zawiodłaś. Ale my obie trochę przesadzamy. Na przykład z tym, że w Polsce nie było żadnych wzorów



Zespół TRANSS



Katarzyna Kulda i zespół Kontrola W.



Irena Jagielka

kobiecych w muzyce. Przecież była Violetta Villas! Villas w tym nadmiarze i baroku, z gigantycznymi lokami i jeszcze sopranem koloraturowym?! To jest rodzaj bardzo punkowego kiczu. Wchodziła jak lwica i albo ją kochasz, albo spadaj.

The Raincoats z kolei powstały chwilę po The Slits, które były pierwszym brytyjskim punkowym zespołem stworzonym w całości przez dziewczyny. To niesamowite, jak po koncercie Patti Smith, a potem the Slits Ana da Silva i Gina Birch poczuły, że i one mogą grać. Punk to był ruch wzywający do totalnego „zrób to sam”, a w tym wypadku „zrób to sama”. Punk popchnął je w eksperymenty. A potem poszło: w latach 90. ich płyty odnalazły dziewczyny z amerykańskiej sceny riot grrrls, potem Sonic Youth, Kurt Cobain. Stały się legendą. Wszyscy zapomnieli, że to w Warszawie grały jedne z pierwszych swoich koncertów. Zachwyciły legendy naszej polskiej alternatywy. W sumie wydały cztery albumy. W 2023 r. magazyn „The Rolling Stone” umieścił Anę de Silvę na liście najważniejszych gitarzystów wszech czasów.

The Raincoats znalazły się też na okładce książki.

– Tak, gdy napisałam o tym Jeremie Frank, ówczesnej gitarzystce zespołu, odpowiedziała, że Polki koniecznie powinny znać tę historię. Zresztą Gina była ostatnio symbolicznie w Warszawie. Wystawę „Kwestia kobieca” w MSN otwierało wideo z jej trzyminutowym krzykiem.

Silną postacią w książce jest dla mnie Jolanta Mazur – Pola Ryba – z zespołu Białe Wulkany. To była dziewczyna, która nie przepraszała za to, że żyje! Inspirowała się Poly Styrene – brytyjską wokalistką i kompozytorką z pionierskiego zespołu punkrockowego X – Ray Spex.

– Luter, z którym Pola Ryba miała zespół Białe Wulkany, był legendą w Gdańsku, w Warszawie, wszędzie. Przydał mu się na pewno dostęp do zagranicznych płyt, które mało kto w tamtym czasie miał. Razem ich słuchali. Pola przez lata żyła trochę w cieniu jego blasku i chciała podzielić się wreszcie swoją, osobną historią. Jako dziecko zaczęła śpiewać, zafascynowana utworami Violetty Villas. W liceum dołączyła do punków i ostro imprezowała. W 1980 r. na sławnym koncercie w Gdańsku w Wielkim Młynie, znana już jako Pola Ryba, wystąpiła na wokalu ze składem Ataku. Byli supportem Tiltu. Na scenie czuła gniew, więc go wykorzystała. Wspominała, że nikt jej nigdy nie podsłakiwał. Ale jej działalność była raczej symboliczna. Białe Wulkany nagrały ze cztery utwory w Remoncie, podłej jakości. Po wyborach w 1980 r. wyemigrowały do Berlina Zachodniego, potem dalej do Amsterdamu. Dopiero po śmierci Lutra, gdy Pola mieszkała w USA, zaczęła się uczyć gry na gitarze. Na streamingach można znaleźć jej nowe piosenki. Gdy ich słucham, wiem jedno: gdyby Pola została w Polsce, nasz underground wyglądałby zupełnie inaczej. Z relacji wynika, że na naszej scenie punkowej ona była pierwsza.

Piszesz o podwójnym standardzie. Jeśli kobieta żyła zgodnie z maksymą „sex, drugs and rock’n’roll” – wyzywano ją, ale balujący chłopak był artystą i buntownikiem. Podajesz liczne przykłady seksizmu. Gdy czytałam o obelgach, jakie padały z tłumu w Jarocinie w stronę występującej z Dezertrem Magdy Kalenik, poczułam grozę. Ona też opowiadała ci o seksualnym wykorzystywaniu dziewczyn, które jeździły w trasy z zespołami.

– Dziewczyny wtedy – podobnie jak Magda – śpiewały głównie w chórkach, a koledzy mówili im, w co się ubrać i jak się zachowywać. Z jej relacji wynika, że niewiele było w tych inicjatywach part-

nerstwa. Co do molestowania – normą było traktowanie dziewczyn jak obiektów seksualnych, i to nawet w prasie muzycznej. Mój ulubiony podpis w jednym z branżowych czasopism to ten pod zdjęciem Madonny: „Madonna wkłada sobie lizaczek w rowek”. Serio.

Piszesz też o trudach rzeczywistości w Polsce lat 80.

– Dobrze zdać sobie sprawę, że w latach 80. dominującym wzorem męskości było: „jesteśmy silni i twardzi”. Robotnicy strajkowali, ZOMO brutalnie ich tłukło, jak i wszelkich solidaryzujących się obywateli. Jak to miało nie wpłynąć na psychikę ówczesnej młodzieży? W takich warunkach granie muzyki alternatywnej musiało być po prostu jedynym słusznym działaniem. Tyle że na każdy koncert trzeba było zdobywać zgodę cenzury. Przecież nawet koncert The Raincoats miał się nie odbyć. Nie chiano „wywrotowych” gości z zagranicy. Bywało, że zespoły dostawały zaproszenia na Zachód, ale zdobycie paszportu bardzo długo było niemożliwe – chyba że w jedną stronę. O tym opowiadał mi Dariusz Kulda z zespołu Kosmetyki Mrs. Pinki.

Kobiety często miały przypisane role w zespołach, tak jak Kasia z Kontroli W. i Kosmetyków Mrs. Pinki. Była na froncie i miała elektryzujący wokół, ale twierdziła, że tylko pomagała bratu.

– Musimy pamiętać, że twierdzenie o tym, iż pomagała bratu, wypowiedział jej własny brat. Z Katarzyną Kuldą nie udało mi się spotkać – nie odpowiadała na próby kontaktu. Jednak była zbyt ważna, bym mogła ją pominąć w książce. Zaczęłam więc grzebać w Bibliotece Narodowej i odkryłam stare wywiady, których udzieliła wcześniej. Rozmawiałam też z jej bratem, liderem zespołu, który nie mógł zrozumieć, czemu tak wypytuję o Kasię.

Piszesz o Małgorzacie Starowiejskiej – Mao Star. To dla mnie mocny symbol niemożności artystycznej realizacji. Była malarzką, ale ciągnęło ją też do muzyki.

– To historia punkowej arystokratki, dziewczyny z upadającego rodu, która rodzi się w powojennej Polsce, a jej pochodzenie skazuje ją na wygnanie. Klepie biedę od początku do końca życia. Wpada w alkoholizm. Jej relacje listowne z tego czasu są naprawdę wstrząsające. Czytasz i cierpisz. Mao nie udawała świętej. W jej sztuce jest dzika energia. To była artystka totalna – malarzkie studia we Francji, awangardowe wystawy – to było najważniejsze, ważniejsze nawet niż to, czy w ogóle przeżyje. Miała fatalnych partnerów, o których słyszałam, że ją bili, kochała tańczyć i śpiewać na ulicy, uprawiała taniec butoh, a gdy malowała, to najchętniej metodą action painting, rozlewając farbę po płótnie. Po prostu żywioł.

W swoich muzycznych próbach dużo improwizowała, nie знаła przecież teorii muzyki, nie opanowała żadnego instrumentu, ale zawsze znajdowała kogoś, z kim realizowała jakiś eksperymentalny dźwiękowy projekt.

Irena Jagielka puściła ci ich wspólne nagrania z kasety.

– Nagranie było pełne szumu, musiałam poprosić koleżankę o izolację wokalu, aby w ogóle usłyszeć Mao Star.

Irena Jagielka dla odmiany była muzycznie wyedukowana, grała na trąbce, gitarze, basie i pianinie.

– Mao Star i Irena się przyjaźniły. Straszna szkoda, że nie poszły w ten muzyczny projekt, ale one to nagrywały w latach 90. Małgorzata już miała dzieci, choroba alkoholowa postępowała. Z kolei Jagielka też była niestała w działaniach.

Jagielka zmarła rok po waszej ostatniej rozmowie. Opisujesz jej zrujnowany dom we Wrocławiu, pokój pełen kabli, bas w stylu Hohner B2A leżący na stosie pudeł. Jej słabe zdrowie nie przeszkodziło w opowiedzeniu ci pasjonujących rzeczy. Później pojechała na koncert Kim Gordon w Warszawie. Zderzenie tej 73-letniej legendarnej amerykańskiej artystki, która nagrywa kolejne albumy, z obrazem trudnej egzystencji Ireny mającej 8 zł muzycznej emerytury, mnie poraziło. Ale chciałam wspomnieć ten niesamowity koncert Maanam z 1993 r., podczas którego Irena spontanicznie dołączyła do zespołu. Ja widzę na tym filmie, że Kora była z tego zadowolona.

– Wręcz rozanielona. Widać, że Irena na scenę wchodzi „z partyzanta”. Spojrzała tylko na Korę, czy może. Śmierć Ireny mnie uderzyła, bo dosłownie dwa dni wcześniej mi się przyśniła. Pomyślałam, że muszę coś zrobić już, teraz – wrzuciłam więc na sociale rolkę z fragmentem tego koncertu. Dużo ludzi ją udostępniło. Większość komentarzy była pełna wzruszenia, ale pisało też, że Irena była „aspirantką do kultowości”, że nie umiała grać, że fałszuje. Siedziałam i obserwowałam kolejne wpisy. W którymś momencie słynny muzyk sceny yassowej, Jerzy Mazzoll, w odpowiedzi na komentarze napisał, że „jej nieczysto” było lepsze niż cały Maanam. To jest pytanie o to, czym dla nas jest muzyka i czemu jej słuchamy. Czy chcemy, aby była częścią życia i wносиła życie? Czy oczekujemy wyłącznie poprawności jak egzaminatorzy w szkole?

Od kilku mężczyzn dostałaś porady, jak powinnaś pisać książkę.

– Myślę, że nawet nie byli świadomi, że je udzielali. Wielu z nich chciałoby zostać wpisanymi w historię z wielkiej litery. Przychodzisz na wywiad, a tu stary punkowiec lub muzyk nagle zmienia się w profesora. Raz dostałam uwagę, abym zmieniła zawód, bo jeszcze mam na to czas. Na szczęście takie osobniki były w mniejszości. Wielu z nich naprawdę było cennymi i ważnymi przewodnikami po latach 80. i dalej.

Dużo się zmieniło, ale cały czas mam wrażenie, że kobiety wciąż muszą walczyć o swoją przestrzeń i uważać na swoje bezpieczeństwo.

– Ostatecznie wszystkim nam chodzi o to, żeby słuchać fajnej muzyki i żeby ona mogła powstawać. Robienie założeń w stylu – ty jesteś ładna, to stój przy mikrofonie, kabli nie ruszaj – jest dehumanizujące. Ale gdy występujesz, wchodzisz na scenę z instrumentem, to wymaga odwagi. W nich wszystkich, jak u Mao Star – z jednej strony była ogromna potrzeba, żeby tworzyć, z drugiej paraliżujący lęk przed oceną. Moje obserwacje są takie, że częściej ten syndrom spotykał i spotyka dziewczyny. ▲



MAGDALENA CZUBASZEK



– dziennikarka, pisarka, absolwentka Instytutu Kultury Polskiej i Polskiej Szkoły Reportażu. Autorka książki „Będziesz wrzeszczeć. Dziewczyny na polskiej scenie alternatywnej lat 80.”

JOANNA WOLFF

– stylistka, modelka.
Pisze o sobie
„Stara baba lat 56”

Możemy tyle, ile damy *radę*

Przekonanie o tym, że powinnam być cicha, skromna i nie odzywać się niepytana, zostaje w człowieku. Trudno jest wyleźć z tego kąta

Z JOANNĄ WOLFF
ROZMAWIA ANNA WOŹNIAK

Na Instagramie jesteś „starą babą” i opowiadasz, jak cieszyć się z życia i zakolegować z menopauzą. Skąd się wzięła „stara baba”?

– Przerobiłam wszelkie strachy i obawy związane z byciem „starą babą”. Przez wiele lat pracowałam jako starszy stylistka w dużym sklepie internetowym i byłam tam jedną z najstarszych osób. W modzie pracują głównie młodzi ludzie – mają po dwadzieścia, trzydzieści kilka lat, a ja byłam już bliżej czterdziestki, kiedy zaczynałam. Z czasem ta różnica była coraz większa i trudniejsza. Młodzi mają taki zwyczaj, że po pytaniu o imię pada pytanie: „Który jesteś rocznik?”. Czułam się speszona, zawstydzona, udawałam, że nie słyszę pytania.

Farbowałam odrosty, wklepywałam kremy, ogólnie robiłam co mogłam, żeby zatuszować swój wiek.

Co się zmieniło, że przestałaś to robić?

– W końcu doszłam do wniosku, że to głupie. Mam tyle lat, ile mam, i nie chcę tego ukrywać. Przecież to nie wstyd. Za tą myślą zaczęły się pojawiać – nazwijmy to – znaki. Trafiłam na Małgorzatę Halber, która otwarcie mówi o byciu starą babą. Od niej wyciągnęłam dla siebie zdanie „Stara baba is great!”. Ujęło mnie słowo „great”. Potem pojawiły się Bogny, Kasie i Lidie, i pojęcia „silver line” czy „silver market”. Wszystko się zbiegło w czasie i tak zaczął się czas mojej „starej baby”.

Ona jest dla mnie zbroją. Kiedy mam ją na sobie, nikt nie może mi powiedzieć, że jestem starą babą (śmiech). Ważne, że to ja się definiuję, a nie inni tak o mnie mówią.

W mediach, w sferze publicznej wszędzie słyszymy i widzimy przekaz, że liczy się młodość. Wiek dojrzały, czy jak go nazwiemy, lepiej żeby nie istniał. A jeśli już pojawiają się panie po czterdziestce czy pięćdziesiątce, nawet sześćdziesiątce – to też powinny spełniać pewne standardy. Być szczupłe, zadbane i epatować szcze-

ściem. OK, możesz mieć 60 lat, ale żebyś wyglądała na nie więcej niż 30.

Albo zdanie: „Problem menopauzy dotyczy wszystkich kobiet”. Dlaczego „problem”? Nie zgadzam się z takim pojmowaniem tego tematu. Tak samo nie chcę, aby kobiety w żadnym wieku, także dojrzałym, były oceniane i zawstydzane. Skoro każda z nas będzie przechodziła przez menopauzę – znajdziemy w tym pozytywne rzeczy. Mam 56 lat, super! Coś tam mi doskwiera, są dni, kiedy czuję się podłe, ale ogólnie naprawdę moje życie jest pełne i wartościowe.

Chcę zmieniać narrację o dojrzałych kobietach. Dlaczego mają być zmęczonejmi jęczkami? Dlaczego mają czuć się przemoczone? Kto tak ustalił?

Jaka jest twoja „stara baba”?

– Nie siedzi w kącie, otwarcie mówi o swoim wieku, robi wszystko, żeby było jej ze sobą dobrze. Dbą o siebie i jest z siebie zadowolona.

A gdy jesteś zadowolona i akceptujesz siebie, jesteś – jakkolwiek patetycznie to brzmi – lepszym człowiekiem dla innych. Nie przeszkadza ci, że komuś się dobrze wiedzie, że rozkwita i ma apetyt na życie. Mało tego, zaczynasz przyciągać ludzi innych niż dotychczas, i naprawdę to nie o wiek chodzi tylko o nastawienie.

Z kolei kiedy jest ci źle samej ze sobą, będziesz to kompensowała na innych. To nie jest jakaś głęboka psychologia.

Widzę to po komentarzach pod moimi postami na Instagramie. Oprócz pozytywnego odzewu innych kobiet zawsze trafi się taka, która napisze: „Mi się nigdy nic w życiu nie udało”. Dopytuję wtedy, że może jednak, coś, kiedyś... „Nie. Nigdy. Nic” – dostaję odpowiedź.

Ostatnio pisałam, że statystyki pokazują, iż dojrzałe kobiety są jednym z najszybciej rosnących segmentów w start-upach i przedsiębiorczości. Jedna pani zarzuciła mi neoliberalizm i cytowanie głupich gadek. „Start-up to może ty możesz sobie założyć. Inne muszą sprzątać, by zarobić na życie”. Najwięcej ataków dostaję od in-

nych kobiet. „Nam nie jest fajnie, dlaczego ty piszesz, że tobie czy innym jest dobrze?”.

Kobiety drażni, że inna kobieta nie chce żyć według stereotypowych wzorców, tylko po swojemu. Skąd według ciebie się to bierze?

– Nie jestem socjologiem ani psychologiem, nie pokuszę się o analizę. Ale mam swoje doświadczenia. Kiedy jako kobieta stawiałam na samodzielność, znajdowałam dla siebie nowe ścieżki, słyszałam od partnera: „Jasne, baw się, ale czy uda ci się z tego żyć?”; „Pamiętaj ile masz lat. Młodsza nie będziesz” itp. Ściąganie w dół jest bolesne. Osoba, która mówi takie rzeczy, sama jest niedowartościowana, nie czuje się ze sobą dobrze. A więc zawsze chodzi o jakiegoś braku w sobie. Ale paradoksalnie mnie wszystkie te „dyscyplinujące” teksty tylko umocniły.

Pracując jako stylistka, poznałam wielu modeli. Jednym z nich był chłopak, który zawsze dużo mówił o tym, co mu się udało. To zrobił, tam pojechał, z tym nawiązał współpracę, ktoś go zaprosił do Włoch czy Francji do programu itp. Dla mnie był mega inspirującą osobą, ale większość osób strasznie wkurzał i irytował. „Dlaczego on ciągle mówi o sobie? Nie można tego słuchać”. Przecież lepiej jest ponarzekać, podłować. A jeszcze jak inni mają gorzej od nas, to pełnia szczęścia.

Ty na twoim Instagramie epatujesz zadowoleniem, wdzięcznością, humorem. A z dbania o siebie robisz dobrą zabawę.

– Co więcej, dzięki profilowi poznałam inne ciekawe, spełnione kobiety. Te dziewczyny robią fantastyczne rzeczy i jestem zdziwiona, że świat o nich nie słyszał. Nie potrafią, albo nie chcą się tym chwalić. Ja od lat jestem w modzie, pewna estetyka, dobre zdjęcia są dla mnie czymś oczywistym. Rozumiem socialowe absurdy, umiem się odnaleźć w tym świecie, ale wiem, że to nie jest oczywista wiedza. Gdyby tylko te niesamowite kobiety umiały troszkę bardziej się promować, mogłyby się wspaniale przebić.

Ostatnio poznałam dwie nauczycielki, które wprowadzają do szkół metodę nauczania bez ocen, tylko podążania za talentami dziecka. Inna kobieta wprowadzała na polski rynek ogromną hiszpańską markę. Jeszcze inna pisze scenariusze; mam panią DJ, dziewczynę po dwóch historiach onkologicznych, co właśnie wydała płytę. Robią swoje, nie uważają, że to coś wyjątkowego. A dla mnie one są niesamowite.

Może to kwestia wychowania? Słyszałyśmy: „Rób swoje, nie wychylaj, a w końcu będziesz zauważona”.

– Sama byłam w ten sposób edukowana. Połowę dzieciństwa spędziłam u babci, która próbowała mnie wychowywać według norm obowiązujących w XIX wieku na pensjach dla dziewcząt. Zanim poszłam do szkoły podstawowej, umiałam haftować, robić na drutach, smażyć konfitury, znałam podstawy francuskiego. A gdy jadłam, miałam po tomie grubej książki pod każdą ręką, żeby trzymać łokcie przy sobie. Ale to akurat przydatna umiejętność, bo zmieszczę się przy każdym stole.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak przekonanie o tym, że powinienam być cicha, skromna i nie odzywać się niepytana, zostaje w człowieku. Trudno jest wyleźć z tego kąta.

Niedawno z przyjaciółką wspominałyśmy nasze początki pracy jako stylistki. Klient mówił: „Nie możemy wam zapłacić całej kwoty, ale za trzy miesiące dostaniecie pół stawki”. A my: „Dobra, jakoś to będzie”. „Na sesji będzie zimno”. „Trudno, damy radę”.

Na wszystko się godziłyśmy. Teraz młoda dziewczyna przychodzi do firmy i pyta o ścieżkę kariery, służbowy samochód i daty podwyżek. Bezcelność? Nie, to są normalne pytania. Dlaczego mi to wcześniej nie przyszło do głowy?! Ja się cieszyłam ze wszystkiego, co mi proponowano, i nie myślałam o sobie.

Opowiedz o swoim Instagramie.

– Mój profil na Instagramie istnieje od kilkunastu lat, ale 2 czerwca ubiegłego roku wykasowałam wszystkie wcześniejsze posty i zaczęłam nowy rozdział. Początkowo chciałam pisać i pokazywać stylizacje dla kobiet w moim wieku. Dostałam nawet propozycję współpracy od producenta myjek do protez zębowych.

Współpracy nie przyjął, ale zrobiłam post pt. „Starość nie radość” o tym, jak są postrzegane kobiety. Czego może potrzebować do życia babka po pięćdziesiątce? Bal-



konik, pampersa i myjkę do protez! Kompletnie się z tym nie zgadzam.

Ten post dobrze się poniósł, po nim były kolejne. I w ten sposób sprecyzowało się to, o czym chcę pisać. Przede wszystkim odkryłam, że lubię pisać. Instagram jest dla mnie formą opowiadania sobie różnych rzeczy. Celowo nie użyłam słowa „terapia”. Ale na pewno, pisząc o pewnych sprawach, układam je sobie w głowie, mam możliwość się nad nimi zastanowić.

Jak powstają twoje posty na IG?

– Nie mam żadnej strategii. W sumie prowadzę go wbrew regułom, o których opowiadają spece od platform społecznych. Mam zeszyt z notatkami, zapisuję różne mądre lub zabawne zdania, które usłyszałam albo przeczytałam, czasem nawet jakiś komentarz jest inspiracją. Pojawia się w mojej głowie pomysł, idę za tym i tworzę treść. Co mi w głowie i duszy gra, przenoszę na Instagram.

Opisujesz między innymi swoją rutynę zdrowotną. Na czym ona polega?

– Dzień zaczynam od dwóch, trzech szklank ciepłej wody. Prysznic kończę lodową wodą. Na początku było to dla mnie przerażające, ale się tego nauczyłam. Jem ciągle to samo, mam dwa śniadania do wyboru. Albo owsiankę z dodatkiem przeróżnych zdrowych produktów, albo jajka z jarzynami, dużo surowej cebuli i sardynek. Staram się codziennie zrobić trening. Zapisalam się także na kurs tańca. Teraz jest mój czas realizowania rzeczy, na które od tej pory nie miałam odwagi, czasu albo pieniędzy.

Kupiłam kijki do nordic walking, zaraz wyciągnę rower. Nie liczy się sam trening, ale ogólna ruchliwość w życiu. Ważny jest spacer, sprzątanie domu, taniec. Mogę się pochwa-

lić, że od jakiegoś czasu wchodzę na szóste piętro po schodach. Te zajęcia mają swoją nazwę – są to aktywności okolo treningowe.

Lubisz dbać o urodę?

– Lubię, ale od najlepszych kremów i najdroższych zabiegów ważniejsze są dobre myśli. Wykształciłam w sobie umiejętność zapominania. Śmieję się, że mgła mózgowa bardzo mi w tym pomaga. Znam wiele osób, które jak zawieszają się na swoim poczuciu krzywdy, bólu, zniewadze, której kiedyś doświadczyli, to trzymają się ich kurczowo. Ja o tym zapominam i świetnie mi z tym. Co ciekawe, nie mam dużo zdjęć z przeszłości, nie celebruję jakoś tego czasu, zawsze bardziej interesuje mnie to, co będzie.

Jestem w wieku, w którym przerobiło się już kilka klęsk, porażek, zawodów, niepowodzeń. Dla mnie to stary film, do którego nie jestem przywiązana. Oczywiście te sytuacje mnie ukształtowały, ale to już było. Nie muszę tego w sobie pielęgnować.

Kolejna sprawa – nie obwiniam nikogo za to, co mi w życiu nie wyszło. Uważam, że poza pewnymi losowymi sprawami większość rzeczy, które nam się w życiu przytrafiają, mamy na własne życzenie. Świadomie lub nie podjęłyśmy taką, a nie inną decyzję. I ponosimy tego konsekwencje.

A do siebie masz pretensje?

– Nie. Działalam tak jak mogłam i potrafiłam. Dziś pewne rzeczy zrobiłabym inaczej, ale wtedy widocznie myślałam inaczej.

Lżej ci?

– I to jak! Wyciągam lekcje z trudnych sytuacji, uczę się i patrzę przed siebie. Nie jest to łatwe. Jestem mistrzynią prokrastynacji i zamiatania spraw pod dywan. Mam problem z systematycznością. Ale walczę z tym. To, że codziennie coś robię, trzymam mnie w pionie. Muszę się starać, bo inaczej bym się chyba rozsypała.

Mówiłaś o babci, która próbowała cię ukształtować. Były jeszcze inne ważne kobiety?

– Moja mama miała na mnie ogromny wpływ. Była zawsze niesamowicie samodzielna, od bardzo wczesnych lat musiała sobie sama radzić. Była jedną z pierwszych osób w Krakowie z własną działalnością gospodarczą, wtedy to jeszcze podpisywał prezydent miasta osobiście. Ile ona ciężkich rzeczy przeżyła i przetrwa-

la. Mówiła, że miłość nie jest najważniejsza w życiu. Najważniejsze są własne pieniądze. Zgadza się z nią absolutnie. Mama ma się dobrze, ma 80 lat, wybiera się na wycieczkę do Paryża, chociaż coś z tym Paryżem się skomplikowało i teraz słyszę o Balkanach.

Zrozumiałam także, że nieprawdą jest, że możemy wszystko. Możemy tyle, ile damy radę. Na ile nam warunki pozwalają. Ale zawsze coś się da – to jest ważne.

Twój Instagram powstał, bo chciałaś mieć coś w pełni swojego. Tylko ty o nim decydujesz. To daje siłę?

– O tak. Jeśli posiadasz w życiu jedną rzecz, na którą tylko ty masz wpływ, czujesz się sprawcza, silna, kompetentna. Ja ciągnę Instagram, a on mnie. Dzięki niemu wiem, że potrafię. Każdy, kto zrobi coś sam, własnymi rękami czy głową, ma poczucie spełnienia. Ja chcę, ja potrafię, ja zrobię. Wspomniałam uczucie.

Odeszłam z pracy po 15 latach, bo działałam na autopilocie. Nie widziałam wyzwań. Ale nie mam do nikogo pretensji, sama na to pozwoliłam.

Instagram daje mi możliwość twórczego wyżycia się, do tego prowadzi mnie w tyle ciekawych miejsc. Nie rozmawiałabymśmy, gdyby nie to konto. Nie poznałabym ciekawych kobiet, nie brała udziału w wyjątkowych spotkaniach. Wróciło do mnie to uczucie z młodości, kiedy budziłam się i zastanawiałam, co też ciekawego się dziś wydarzy. Teraz znów tak mam.

Uwielbiam nie wiedzieć, co będzie. W pracy, z której zrezygnowałam, wiedziałam, co się wydarzy za rok czy za trzy lata. Przerażało mnie to, więc zaczęłam robić coś innego.

Ostatnio pisałaś o tym, za co lubisz swoją menopauzę. Jak nauczyłaś się zauważać pozytyw i nie przejmować się tym, co niefajne?

– Przede wszystkim postanowiłam sobie, że nigdy nie będę nikogo niczym straszyc. Jest tyle takich treści, że więcej nie trzeba.

A jak nauczyć się wyszukiwania pozytywów? Na przykład przez uważność. Albo żyjąc w ciszy. Albo siedząc samemu ze sobą przez jakiś czas. Neurolo-

gicznie jesteśmy ukształtowani do wyłapywania zagrożeń, ponieważ to pomaga nam przeżyć. Dobre rzeczy pomijamy albo się do nich nie przywiązujemy. Żeby to zmienić, trzeba trochę poćwiczyć, pogłównkować.

Pokusiłabyś się o „Manifest Starej Baby”?

– Fajnie jak jest kobietą spełnioną i ma poczucie, że jej życie jest dobre. Jest ciekawa świata, nie narzeka, ale obserwuje i podchodzi do życia z ciekawością. Stara baba potrafi się sobą cieszyć. Lubić siebie.

Dobrze jeśli stara baba ma koło siebie inne stare baby. Kobieca energia jest piękna i potrzebna. Jestem wdzięczna za to, że poznaję super dziewczyny, które mnie inspirują, ale i wspierają.

A najbardziej dumna jestem z tego, że w końcu wyłazłam z tego kąta. Wzięłam sprawy w swoje ręce, przestałam czekać, aż ktoś mi coś da, zadba o mnie. To, gdzie jestem i kim jestem, zawdzięczam sobie.

Może to powinien być pierwszy punkt manifestu: Kobieto, zadbaj o siebie. Sama. ▲

OGŁOSZENIE

MUZEUM
SZTUKI NOWOCZESNEJ
W WARSZAWIE

ARTMUSEUM.PL WYSTAWA

SELIGMANN

MASSON

26.06.2026
10.01.2027

PICASSO

TOYEN

ROSENSTEIN

SURREALISM

JESTEŚ W SERCU
ZMIAN

I ANTYFASZYZM

TANGUY

ERNST

MATTA

CARRINGTON

I INNI



instytucja kultury
miasta stołecznego
Warszawy

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

PARTNER STRATEGICZNY
MUZEUM



PARTNERZY MUZEUM

e-on

TPN

Wybory

LENBACHHAUS

MECENAS MUZEUM I KOLEKCI



PARTNER EDUKACYJNY

U&U

VOGUE

zwierciadło

Pismo.

ms



(Nie)lecimy na wakacje

Pierwszy lot na trasie Europa – Australia miał 31 przystanków, trwał 12,5 dnia, kosztował 51 tys. zł... i był luksusowy. Dziś latamy często, można latać tanio, ale wciąż dziwią nas opóźnienia i zmiany rozkładu lotów

TEKST MARZENA FILIPCZAK

D „ramatyczne chwile na lotnisku”, „Koszmar pasażerów”, „Były też rodziny z dziećmi i starsi, niektórym kończyły się leki”, „Dostali po małej butelce wody” itp. Takie nagłówki pojawiają się nieregularnie przez cały rok w serwisach internetowych i innych mediach, ale kulminacja przychodzi w czerwcu. Wcale nie dotyczy katastrof. To opisy zwykłych wakacyjnych podróży i relacje pasażerów opóźnionych albo odwołanych samolotów.

W czasach kart kredytowych, aplikacji pozwalających zamówić jedzenie, powerbanków, lekkich koczków i innych gadżetów ułatwiających podróż nieustająco dziwi mnie, że nie do wszystkich dotarł jeszcze tak prosty fakt, że samoloty mogą się spóźnić. Ba – mogą zostać odwołane, zdarzają się usterki, strajki, silne deszcze, a nawet wybuchy wulkanów. Dziwi mnie jeszcze bardziej, że tak wielu pasażerów wciąż traktuje latanie jako coś nadzwyczajnego i luksusowego, zaś o sobie my-

śli jak o osobie VIP. Owszem, pasażer ma prawa, a linie obowiązki wobec niego, ale w czasach, kiedy latanie stało się tak powszechne jak wyjście do restauracji, gdy lot kosztuje mniej niż pociąg, trudno wymagać, by zajęto się każdym i to natychmiast. Jeśli sprawa dotyczy kilkuset albo kilku tysięcy osób, nie ma możliwości, żeby wszystkich bez zwłoki przewieźć, zakwaterować, znaleźć inny lot.

Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie jestem rzecznikiem żadnych linii lotniczych. Jako podróżniczka wiele razy doświadczyłam zakłóceń, a moje plany zostały zrujnowane. Wiem, że niektóre linie mają za uszami i migają się jak mogą z wywiązania z obowiązków, ale to w końcu tylko spóźniony powrót, a nie zagrożenie życia.

Samoloty opóźniają się i są odwoływane przez okrągły rok – bieżącą sytuację można śledzić np. na stronach Flightradar24 czy FlightAware, natomiast wszelkie statystyki pokazują, że tym więcej zakłóceń, im większy ruch. A ten generują przede wszystkim wakacje i święta. Bardzo obrazowo

pokazują to dane Europejskiej Organizacji ds. Bezpieczeństwa Żeglugi Powietrznej Eurocontrol: krzywa zaczyna rosnąć w czerwcu, pikuje w lipcu, gdy Europa jest na wakacjach, lekko spada do września, po nim leci na leb, by wystrzelić w okresie świąteczno-noworocznym. Z lepszych wieści: znakomita większość opóźnień mieści się w przedziale 5-30 minut, czyli często dużo mniej niż oczekiwanie na bagaż.

JAK SPOWSZEDNIAŁO I STANIAŁO LATANIE

W kwietniu 1935 r. z Londynu wystartował pierwszy samolot na trasie Europa – Australia. Lot miał 31 przystanków i trwał 12,5 dnia, wkrótce jednak skrócono go do 10. Obowiązywała taryfa w wersji wspólnego all inclusive, reklamy linii Imperial Airways zachęcały: „wliczone nawet napiwki”. Do dyspozycji 24 pasażerów były: kilkusobowe kabiny z fotelami rozkładanymi do pozycji leżącej, dodatkowy duży salon, wykwintne posiłki serwowane na



chińskiej porcelanie i dobrze zaopatrzonej barek. Przemieszczali się za dnia, nocie spędzali na lądzie. Jeszcze na zdjęciach samolotów latających w latach 50. i 60. widać przestrzenne wnętrza z szerokimi fotelami i łazienkami oraz załogę serwującą szampana.

Był to luksus stosownie wyceniony. Bilet w jedną stronę do Australii kosztował 195 funtów, co przeliczono na ok. 10,5 tys. funtów współczesnych, czyli ponad 51 tys. zł. Dziś przelot w obie strony z Polski bez specjalnego szukania można kupić w promocji za 4 tys. zł, a jeśli wybierze się duże lotnisko w UE, nawet za mniej niż 3 tys. zł, choć oczywiście trzeba się pogodzić z niedogodnościami typu długie przesiadki.

W czasach promocji, citybrejków, tanich urlopów samolot jest niemal jak autobus, tyle że ma skrzydła. Lot czarterowy last minute można kupić za 299 zł – nawet do Maroka albo na Maderę, a do jakiegoś ładnego europejskiego miasta dostać się tzw. tanimi liniami za 200-400 zł. Często to mniej niż pociąg Pendolino na weekend na trasie Kraków – Gdańsk. Swoją drogą pasażer opóźnionego Pendolino, podobnie jak każdego innego pociągu dalekobieżnego – także międzynarodowego oraz autobusu albo promu – może liczyć maksymalnie na zwrot połowy ceny biletu. Nawet jeśli dotarł na miejsce 6 albo

12 godzin po czasie. Pasażerowi lotniczemu przy opóźnieniu powyżej trzech godzin przysługuje od 250 do 600 euro.

Według IATA na świecie codziennie startuje ponad 100 tys. samolotów, przewożąc 13-14 mln pasażerów. Ruch co roku rośnie o kilka procent, co ma się przełożyć na 40 mln lotów i 5 mld 200 mln podróży rocznie. Grubo ponad 1 mld z nich przypada na Europę.

DLACZEGO SAMOLOTY SIĘ SPÓŹNIAJĄ

Usterki, problemy techniczne, braki kadrowe, kwestie związane z bezpieczeństwem, procedurami, paliwem, tłok na niebie – to tylko niektóre z przyczyn opóźnień i odwołań. Maszyny mają bardzo napięty grafik; lądują, zabierają pasażerów na kolejny lot i natychmiast startują. Wystarczy, że na jednym z odcinków coś się wydarzy i wszystkie kolejne sypią się jak klocki. Do tego dochodzą nagle zjawiska pogodowe, które można przewidzieć tylko w pewnym stopniu, i inne, których przewidzieć się nie da. Dość wspomnieć wiosenny paraliz w 2026 roku z powodu wojny na Bliskim Wschodzie czy wybuch słynnego islandzkiego wulkanu w 2010 roku, gdy pył wyrzucony na wysokości przelotowej uzie-

mił miliony pasażerów. Są też przyczyny nietypowe, czasem anegdotyczne, co pokazuje, jak nieprzewidywalne może być latanie. Starty na lotnisku JFK w Nowym Jorku były regularnie przesuwane z powodu żółwi diamentowych, które składały jaja w piasku dookoła pasów. W 2017 roku samolot z Miami odleciał z czterogodzinnym opóźnieniem z powodu roju pszczoł, który przyczepił się przy luku bagażowym tak, że nie sposób było załadować bagaży. Kilka lat wcześniej w samolocie startującym z Sydney odkryto węży, pasażerów ewakuowano na noc do hoteli. Opisano też przypadek, kiedy obsługa lotniska w Manchesterze ścigała po płycie charta wyścigowego, który zwał ze spaceru. Airbus ze Sztokholmu do Frankfurtu musiał lądować awaryjnie, bo na pokładzie roznosił się niezidentyfikowany smród. Zanim ustalono, że to nowa wykładzina, 129 pasażerów zostało przeniesionych na inne loty.

Ubiegły rok pod względem zakłóceń lotów był dla pasażerów amerykańskich najgorszym w ostatniej dekadzie. Według organizacji konsumenckich co dwunasty samolot zaliczył więcej niż godzinę spóźnienia. Prognoza na ten rok: z powodu problemów z paliwem linie będą ciąć połączenia, co oznacza większe zaopóźnienie samolotów, a więc szanse na

overbooking. Jest to praktyka wyjątkowo irytująca i chyba dla wszystkich, poza władzami linii, niezrozumiała. Kalkulując, ile średnio osób nie stawia się na lot, sprzedają tyle więcej biletów, tłumacząc, że „nie chcą wozić powietrza”. Bo i kto by nie chciał dostać zapłaty za 105 biletów w stumiejscowym samolocie? Pech, jeśli stawi się jednak 101, a tym bardziej 105 pasażerów. Teoretycznie obsługa powinna poszukać ochotników, którzy zgodzą się na benefity, czyli odszkodowania, vouchery, zakwaterowanie, podwyższenie klasy itd. polecieć później. W praktyce często wybiera pasażerów, którzy będą dla niej najtańsi, czyli np. lecą na najkrótszej trasie, bo od jej długości zależy wysokość odszkodowania.

CZY MOŻNA OGRANICZYĆ RYZYKO

Ktoś powie: „Ciekawe, co by powiedziała, gdyby jej się to przytrafiło, musiałaby tak koczować albo nie zdążyła na ważne spotkanie?”. Otóż przytrafiło mi się, nie raz, poczynając od początków latania i połączenia przez Rzym. Z powodu mgły samolot zamiast na docelowym wylądował na drugim rzymskim lotnisku, po dłuższym postoju na pasie z pasażerami na pokładzie zawrócił jednak na to pierwsze. Na start w drodze powrotnej czekaliśmy jakieś dwa dni. A kończąc na niedawnym powrocie z Teneryfy, gdy jakiś geniusz logistyki, widząc, że pierwszy z lotów będzie opóźniony i stracę przesiadkę, przebukował mnie na nieco wcześniejszy lot bezpośredni do Polski, ale mnie o tym nie poinformował. Samolot dotarł więc o czasie, ale beze mnie.

W moim życiu wydarzyło się wiele mniejszych i większych zakłóceń samolotowych, wiele razy musiałam zmieniać plany, choć wcale nie latam bardzo intensywnie. Kolega w częstych delegacjach i z rodziną rozsianą po świecie mógłby na ten temat napisać książkę przygodową.

Nie ma gotowej recepty, jak bezboleśnie i o czasie dotrzeć do celu. Potencjalne trudności można w pewien sposób ograniczyć, jednak wszystkiego przewidzieć się nie da. Nie jest żadną tajemnicą, że choć linie nie mają wobec pasażerów takie same obowiązki, dużo łatwiej jest je wyegzekwować w tradycyjnych niż w niskokosztowych czy czarterowych. Choć z drugiej strony: model biznesowy niskokosztowych zakłada, że samoloty są jak najwięcej w powietrzu, w raporcie platformy rezerwacyjnej Travalat pod kątem odwoływania lotów wy-



PRAWA PASAŻERA

Prawa pasażera reguluje rozporządzenie unijne 261/2004, w przypadku opóźnienia dłuższego niż trzy godz. przysługuje mu odszkodowanie w wysokości 250, 400 albo 600 euro w zależności od długości trasy. Dotyczy to wszystkich lotów startujących/lądujących w krajach unijnych, o ile przyczyną opóźnienia czy odwołania nie były „nadzwyczajne okoliczności” niezależne od linii, np. wybuch wojny, wulkanu, strajk kontrolerów. Odszkodowanie powinno zostać wypłacone w gotówce, chyba że pasażer zgodzi się na voucher. Dodatkowo i nie-

zależnie od przyczyny linie powinny zaopiekować się pasażerem, zapewnić mu napoje, posiłki, łączność, nocleg, w przypadku odwołania lotu także połączenie alternatywne albo zwrot. Orzeczono o tych wszystkich prawach poinformować.

Jeśli linia nie zapewni opieki, trzeba zbierać paragony za noclegi, wyżywienie itd. i wystąpić o zwrot kosztów (jeśli polisa obejmuje – także od ubezpieczyciela).

Nie ma potrzeby korzystać z pośrednictwa tzw. kancelarii odszkodowawczych, które łowią pasażerów na lotniskach i pobierają prowizję od wypłaconego odszkodowania. Występujemy o nie bezpośrednio do linii, trzeba wypełnić odpowiedni formularz na ich stronie. Jeśli linia się ociąga albo odmawia, o pomoc można poprosić Rzecznika Praw Pasażera przy ULC (dla lotów z/do Polski) albo Europejskie Centrum Konsumenckie (dla innych lotów europejskich). Faktycznie jednak niektóre linie migają się, dopóki nie założą się sprawy w sądzie. Nad uproszczeniem procedur wypłaty odszkodowań pracuje Parlament Europejski.

Na lotach pozaunijnych obowiązują prawa poszczególnych krajów. Generalnie pasażer może liczyć na opiekę (nocleg, posiłki, transfer), a w przypadku odwołania – przebukowanie albo zwrot kosztu biletu.

Szansą na uniknięcie overbookingu są jak najwcześniejsza odprawa i przejście przez bramkę. Pojawiają się jednak niepotwierdzone informacje, że w przypadku tanich linii liczy się również taryfa – na pokład nie wsiądą posiadacze najtańszych biletów.

Do bagażu podręcznego na wszelki wypadek zawsze warto zabrać: przekąski, podstawowe środki higieniczne, konieczne leki, dla dzieci – pampersy itp., ładowarki, powerbank (tego zresztą w nadawanym nie wolno przewozić), bieliznę na zmianę, ja zawsze mam też lekką poduszkę i miniśpiwór.

padają one więc dobrze, np. w Ryanairze jest to 0,27 proc. w stosunku do 2,91 proc. w Lufthansie.

Można spekulować, że loty poranne są pewniejsze niż popołudniowe, bo samolot nie zaliczył niespodziewanych wpadek w ciągu dnia. Ale przecież mógł zostać uziemiony poprzedniego wieczoru. Że niektóre lotniska, kierunki i pory roku są „bardziej awaryjne” – chociażby Madras z powodu silnych wiatrów, nietypowe go podejścia i pasa zbudowanego częściowo w oceanie. Na wyspach Zielonego Przylądka samoloty mogą nie latać i tydzień z powodu bruma seca, czyli suchej mgły powstałej z pyłu znad Sahary. Złorzeczenia pasażerów, którzy wybrali tańsze rozwiązanie, czyli lot na dwóch osobnych biletach tanimi liniami przez Lizbonę, niosą się daleko. Przy jednym bilecie za stracone połączenie odpowiada przewoźnik. Ale nawet w takim wypadku lepiej unikać krótkich przesiadek „w tamtą”, jeśli podróżuje się z bagażem nadawanym. Bo pasażerowie przesadzą, żeby nie ponosić kosztów,

bagaż niekoniecznie – opóźnienie go dla przewoźnika oznacza jedynie konieczność dostarczenia go do hotelu. W czasie mojego lotu do Astany nie dotarł bagaż jakiejś ćwiartki pasażerów, choć przesiadka w Kijowie była dość długa, to „wagoncik potierali”. Czekając na niego, straciłam pociąg, najbliższe bilety były na za tydzień, cały plan wziął w łeb. Jak można zgubić wózek z bagażami, dociekam do dziś.

Najlepiej więc przyjąć do wiadomości, że zakłócenia w podróży były, są i będą. Osobiście wolę czekać na serwisowany samolot niż lecieć nim z potencjalną awarią. Jeśli linia się ociąga i nie daje tego, co powinna – wody, posiłku, noclegu – mam kartę płatniczą i nie zawaham się jej użyć.

Na szczęście, jako mieszkańcy Europy, lecąc na wakacje, na najgorsze pod względem zakłóceń linie raczej nie traficie. Ze wspomnianego raportu wynika, że rekord za rok 2024 należy do nigeryjskiej Dana Air, która odwołała 33,9 proc. lotów, oprócz niej w pierwszej dziesiątce królują głównie linie indonezyjskie i chińskie. ▲



To nie talent, to *choroba*

Byłam chwalona za szpagat, a dzieci w szkole wciąż prosiły o pokazanie sztuczki – dotykałam językiem nosa. Nikt mi nie powiedział, że to objawy groźnej choroby

TEKST KATARZYNA STASZAK
RYSUNEK JOANNA GNIADY

Hania nie chodziła na żadne zajęcia gimnastyczne, ale bez trudu dosięgała nogą do głowy. Rodzina ją okłaskiwała, koleżanki na podwórku mówiły z zazdrością, że mogłaby być baletnicą albo gimnastyczką, która jeździ na zawody. Gdy Hania została Hanną, dietetyczką z doktoratem, coraz częściej myślała o szpagatach z dzieciństwa. – Zaczęłam łączyć kropki. Różne moje dolegliwości złożyły się w obraz choroby, o której nikt mi nie powiedział. Dzisiaj chcę, żeby rodzice nienaturalnie rozciągniętych dziewczynek usłyszeli ostrzeżenie: To nie talent, to choroba – mówi dr Hanna Stolińska. Wspomina, że już w dzieciństwie zauważyła przeprosty w swoich stawach. – Miałam kolana i łokcie wygięte bardziej niż inni ludzie. Dzieci na przerwie w szkole wciąż prosiły mnie o pokazanie sztuczki – dotykałam językiem nosa. Wiedziałam, że mam wyjątkowo gibkie ciało, ale nie wiedziałam dlaczego. Od dziecka miałam też mocno widoczne rozstępy, a nie miałam wahań wagi, nie urosłam też zbyt szybko. Te rozstępy na biodrach, udach, pośladkach pojawiły się przez bardzo wiotką skórę. Jak na ramieniu ścisnę skórę palcami, to ona przez chwilę zostaje w tej pozycji – pokazuje Stolińska. Pierwszy raz o hipermobilności pomyślała sześć lat temu, gdy poznała swojego partnera.

LISTA OBJAWÓW ROŚNIE: ZWICHNIECIA, ŻYLAKI, CHORE JELITA

– Mój partner ma hipermobilność, która u niego objawiała się bólem stawów. Gdy się poznaliśmy, był już świadomy swojej choroby, ćwiczył na siłowni, żeby wzmocnić ciało i na starość nie mieć problemów ze stawami. Ja akurat bólu stawów nigdy nie czułam, ale miałam wyjątkową skłonność do urazów. Mogłam iść po prostej drodze i skrócić sobie kostkę – wspomina Stolińska.

Zaczęła szukać informacji o hipermobilności i wszystko nagle ułożyło się w pełen obraz. – Jeśli ktoś ma hipermobilność związaną z zaburzeniami kolagenu, to może mieć różne objawy i ja je mam. Kolagen to główne białko budulcowe organizmu, daje tkankom wytrzymałość i elastyczność. U mnie kolagen nie działa właściwie, więc mam np. problemy z naczyniami krwionośnymi. Już w szóstej klasie podstawówki

miałam pierwszy raz wycinane żyłaki spod kolana. Wtedy nikt nie drażył tematu, nie szukał przyczyny i nie łączył tego z innymi objawami. Teraz okazało się, że mam też żyłaka w macicy i przy nerce – mówi Hanna Stolińska. Gdy zaczęła opowiadać o hipermobilności na swoim profilu na Instagramie, odezwał się do niej flebolog oraz osoba z diagnozą i problemami żylnymi. Wcześniej dr Stolińska podzieliła się opowieścią o kłopotach z jelitami. Biegunki, zaburzenia mikrobioty jelitowej, wyniszczenie organizmu, zakażenia – latami cierpiała przez swój „nadwrażliwy” brzuch. Przeszła pięć przeszczepów mikrobioty jelitowej. Dopiero dzięki tej terapii biegunki i bóle brzucha się skończyły. – Teraz wiem, że problemy jelitowe są częste u osób z hipermobilnością. Odkąd mówię o tej przypadłości, zgłasza się do mnie mnóstwo osób. Opowiadają o swoich cierpieniach, a ja często w tych historiach widzę swoje objawy. Czy mój bruksizm, czyli nocne zgrzytanie zębami, też ma związek z hipermobilnością? Wydaje się, że tak. Plus problemy z odpornością, bardzo cienkie włosy, problemy z jamą ustną, np. złamania zębów. Wciąż natykam się na coś, co pasuje do hipermobilności. Nie mogłam kupić dla siebie butów narciarskich, bo mam tak wąskie stopy, że buty z nich spadają – mówi Stolińska.

ZAPISANE W GENACH

Gdy Hanna Stolińska nauczyła się rozpoznawać objawy hipermobilności, zorientowała się, że ta przypadłość dotyczy także jej mamy i brata.

– Hipermobilność ma podłoże genetyczne, ale genów, które są z tym stanem

związane, jest dosyć dużo. Są różne typy hipermobilności. Częsty jest zespół Ehlersa-Danlosa, czyli warunkowane genetycznie zaburzenie kolagenu – mówi reumatolożka lek. med. Agata Skwarek-Szewczyk. Pacjentów z hipermobilnością widuje dosyć często, choć większość słyszy to słowo po raz pierwszy dopiero w jej gabinecie. – To osoby dorosłe, które zgłaszają się z bólem w wielu stawach, ale też dzieci z obniżoną gęstością kości. Zbieram wywiad, prowadzę badanie i widzę, że ktoś z łatwością przyciąga kciuk do przedramienia – opowiada dr Skwarek-Szewczyk.

Jak można pomóc dziecku, które ma hipermobilność? – Rodzina powinna dostać informację, że nadmierna ruchomość stawów może powodować bóle, które u dzieci często są mylone z bólami wzrostowymi. Dziecko z hipermobilnością ma większą skłonność do urazów. Mogą pojawiać się problemy skórne i może wystąpić opóźnienie wzrostu. Największe wsparcie może dać fizjoterapeuta; pokaże, jakie aktywności są dla dziecka dobre, jak wzmocniać mięśnie, a jakich ćwiczeń unikać – podpowiada reumatolożka. Zaznacza, że hipermobilność u różnych osób może objawiać się nieco inaczej. – Czasem mówimy o zaburzeniach ze spektrum hipermobilności. Dla kobiety hipermobilność może oznaczać poważne problemy w czasie ciąży i porodu. Możliwą komplikacją jest np. hipotonia macicy, czyli stan, w którym mięsień macicy nie obkurcza się prawidłowo, co jest przyczyną krwotoku i stanowi zagrożenie życia – opisuje dr Skwarek-Szewczyk. Jeśli byłaś dzieckiem-gumą i planujesz ciążę, sprawdź, czy nie oznacza to u ciebie defektu tkanek, który mo-



że prowadzić do poważnych komplikacji. – Młode kobiety, które mają objawy hiper-mobilności, powinny rozważyć badania genetyczne. Diagnostyka pomaga podejmować decyzje dotyczące zdrowia i ciąży. Wynik badania przyda się do rozmowy z ginekologiem, jeśli kobieta będzie myśleć o ciąży – tłumaczy dr Skwarek-Szewczyk.

WYGLĄDA PANI JAK PO TRZECH CIĄŻACH

Kolagen jest składnikiem każdej części naszego organizmu, dlatego nieprawidłowości w jego budowie mogą być odczuwalne na różne sposoby. – Mogą pojawić się problemy z sercem, z naczyniami krwionośnymi, więc osoby z hiper-mobilnością powinny być także pod opieką kardiologa. Jeśli pojawiają się problemy z jelitami, potrzebujemy pomocy gastrologa. To znaczy, że pacjentkami i pacjentami z hiper-mobilnością powinien zajmować się wielospecjalistyczny zespół – zaznacza dr Skwarek-Szewczyk. Reumatologia nie może swoim pacjentom i pacjentom zaofiarować leku, który cofnie objawy związane z hiper-mobilnością, bo takiego leku nie ma. – Mogę skierować pacjentkę do poradni genetycznej. Już samo rozpoznanie i wiedza, czym jest hiper-mobilność, bardzo by się wielu osobom przydały. Mogłyby być pod opieką specjalistów i fizjoterapeutów, mogłyby bardziej uważać na ewentualne urazy i wzmacniać ciało – wyjaśnia dr Skwarek-Szewczyk.

Hanna Stolińska o swoich problemach z sercem dowiedziała się na początku studiów. – Lekarz stwierdził, że mam tachykardię, czyli przyspieszoną pracę serca – wspomina dietetyczka.

Od kilku lat regularnie chodzi na siłownię i buduje masę mięśniową. – Na to, ile ćwiczę, powinnam być bardziej umięśniona, ale niestety, przy hiper-mobilności wielkich mięśni nie zbuduję, bo mój budulec źle działa – podkreśla Stolińska. Dzięki siłowni nabrała jednak pewności siebie. Kiedyś wstydziła się swojego ciała – wiotkiego i pokrytego rozstępami. – Poszłam nawet na konsultację do kliniki medycyny estetycznej, która zajmuje się rozstępami. Lekarz zobaczył moje piersi i mówi: „Wygląda pani jak po trzech porodach i karmieniach piersiami”. Rozplakałam się, bo

ten komentarz tylko wzmocnił moje kompleksy. Poza tym ja przecież nigdy nie urodziłam dziecka – opowiada Stolińska. Jej ostatnie ustalenia dotyczące hiper-mobilności mają związek ze snem. – Osoby z zespołem Ehlersa-Danlosa często zmagają się z nadreaktywnością autonomicznego układu nerwowego. Ten układ odpowiada za to, o czym nie myślimy: bicie serca, ciśnienie krwi, trawienie, cykl snu. Z powodu wiotkiej tkanki łącznej, w tym wiotkich naczyń krwionośnych, organizm musi ciężiej pracować, żeby utrzymać odpowiednie ciśnienie tętnicze. Żeby to osiągnąć, organizm często ratuje się wyrzutem adrenaliny. W środku nocy około godz. trzeciej naturalne jest obniżenie temperatury ciała i ciśnienia. U osoby z hiper-mobilnością może być to zinterpretowane przez organizm jako zagrożenie, stąd ratunkowy wyrzut hormonów stresu. Wtedy bu-

Jeśli byłaś dzieckiem-gumą
i planujesz ciążę, sprawdź,
czy nie oznacza to u ciebie defektu
tkanek, który może prowadzić

do poważnych komplikacji

dzisz się z uczuciem niepokoju, szybszym biciem serca. Ja tak właśnie mam – mówi Stolińska.

CO ROBIĆ? DIETETYCZKA- -PACJENTKA MA PLAN

Eksperti od hiper-mobilności zwracają uwagę na jeszcze inne możliwe przyczyny nocnych wybudzeń. – Nasze ciało rozluźnia się w nocy. Hiper-mobilne stawy mogą ulegać mikropodwichnięciom, co wywołuje ból i wybudzenia. Poza tym hiper-mobilność może iść w parze z zespołem aktywacji komórek tucznych (w skrócie MCAS). To zaburzenie immunologiczne, w którym komórki tuczne uwalniają zapalne cząsteczki, m.in. histaminę. Powoduje to objawy podobne do alergii, zmiany skórne i problemy żołądkowe. To pokazuje, jak złożona może być hiper-mobilność. To nie są problemy wynikające z naszej głowy, co słyszałam przez lata, tylko wynikające z fizjologii – podkreśla Stolińska. Opowiada, że przez nocne pobudki jest często zmęczona, gorzej się rege-

neruje, co wpływa choćby na słabsze efekty ćwiczeń siłowych.

Gdy omówiłam już z Hanką całą masę objawów, ona nagle pyta: – A wspominałam o nietrzymaniu moczu?

– Nie, ale to logiczne. Wiotkie tkanki tłumaczą także ten objaw – odpowiadam. Jako dietetyczka kliniczna, która pasjami czyta doniesienia naukowe z dziedziny żywienia, Hanna Stolińska opracowała plan samopomocy. – To nie leczenie, ale profilaktyka, wsparcie organizmu, sposoby na to, żeby w tym stanie, którego nie zmienię, funkcjonować jak najlepiej. Potrzebuję odpowiedniej ilości białka w posiłkach, a cała dieta musi być mocno przeciwzapalna. Warzywa, owoce, błonnik karmiący mikroby, zdrowe tłuszcze, kwasy omega-3. Suplementuję kolagen w dużych ilościach, bo są doniesienia, że to może zahamować powstawanie rozstępów. Jednak nie każdy dobrze reaguje na kolagen w większej ilości, może to wywołać problemy żołądkowo-jelitowe. Kolagen potrzebuje obecności witaminy C, więc o niej pamiętam. Stosuję też koenzym Q10, bo działa przeciwpalnie. Do tego kreatyna, która wpływa na wzmocnienie masy mięśniowej – wymienia dietetyczka. Ma też swoje sprawdzone nawyki pielęgnacyjne. Służą jej zimne kąpiele. Skórę wzmacnia szczotkowaniem na sucho. – Dbam o naczynia krwionośne, noszę skarpety i rajstopy przeciwżylakowe. Nie rozciągam się, choć dla osób z hiper-mobilnością jest to przyjemne – mówi Stolińska.

POWIEDZIEĆ, ŻE TO NIE TALENT?

Może znasz rodziców, którzy chwalą się gimnastycznymi zdolnościami córki? Zastanawiasz się, czy powinnaś powiedzieć, że to może być związane z hiper-mobilnością? A może lepiej „nie wtrącać się”? – Nogi założone za głowę to nie fizjologia – mówi o zdjęciach wyjątkowo rozciągniętych dziewczynek dr Skwarek-Szewczyk. Potrzebna jest większa świadomość na temat hiper-mobilności. Dotyczy ona – w różnym stopniu – według szacunków od 10 do nawet 20 proc. ludzi.

– Uważam, że lepiej powiedzieć rodzicom o istnieniu hiper-mobilności. Warto uwrażliwić ludzi na ten problem. Ja przez lata o hiper-mobilności nie wiedziałam, a gdy mówiłam lekarzom o różnych objawach, słyszałam: „Taka pani uroda”. Bardzo by mi pomogło szybsze rozpoznanie choroby – podsumowuje dr Hanna Stolińska. ▲

TEMAT NUMERU: ZDROWIE TO NOWY LUKSUS

Herstorie: Niewidzialne służące z Zamku Książ

Podróże: Ikaria, wciąż niezadeptana grecka wyspa

Balkon: Dekoracje na styl włoskiego podwórka



*suplement diety

Numer dostępny z prezentem do wyboru:
skarpetkami złuszczejacymi **Silcatil**
lub kolagenem do picia **Primabiotic Collagen***